

ARTHUR CONAN DOYLE

ZAGADKI SHERLOCKA HOLMESA

TYTUŁY ORYGINAŁÓW ANGIELSKICH
THE ADVENTURES OF SHERLOCK HOLMES
THE RETURN OF SHERLOCK HOLMES
THE CASE-BOOK OF SHERLOCK HOLMES

ROZDZIAŁ I

RYTUAŁ RODU MUSGRAVE'ÓW

Nigdy nie mogłem zrozumieć, na czym polega pewna niekonsekwencja w zachowaniu i wyglądzie mojego przyjaciela, Sherlocka Holmesa. Niezwykle metodyczny i precyzyjny w rozumowaniu, schludny, a nawet wytworny w ubiorze, był jednocześnie człowiekiem tak nieporządnym, że każdego współlokatora mógł doprowadzić do rozpacz. Nie mogę powiedzieć, abym sam był bez zarzutu pod tym względem. Zaskakujące, trudne do przewidzenia sytuacje w Afganistanie, trafiwszy na podatną, cygańską naturę, sprawiły, że żyłem na kompletnym luzie, co przecież nie przystoi lekarzowi. Ale znam pewne granice i gdy widzę człowieka trzymającego cygara w koszu na węgiel, tytoń w miękkim pantoflu perskim, a niezalutowane listy przyszpilone szczyrykiem do samego środka drewnianego gzymsu kominka — zaczynam wierzyć, że jestem wzorem porządku. Zawsze byłem zdania, że strzelanie do celu powinno się odbywać na zewnątrz. Toteż gdy Holmes w przystępach złego humoru siedział w fotelu z pistoletem w ręku i ozdabiał przeciwległą ścianę patriotycznymi inicjałami królowej Wiktorii: V. R., wybitymi przez pociski, uważałem, że to nie wpływa dodatnio na atmosferę w domu ani nie sprawia, iż pokój staje się piękniejszy.

Zresztą u nas zawsze było pełno chemikalii i dowodów rzeczowych, które się wszędzie poniewierały — a to w maselnicy, a to w innych najmniej oczekiwanych miejscach. Do furii doprowadzały mnie jednak papiery Holmesa. Miał wyraźną awersję do niszczenia dokumentów, zwłaszcza mających związek z jego dawnymi sprawami. Najwyżej raz w roku albo na dwa lata z najwyższym wysiłkiem zdobywał się na posegregowanie i ułożenie dokumentów. Bo, jak już gdzieś poprzednio w moich wspomnieniach pisałem, po okresach szaleńczej energii, kiedy dokonywał niezwykłych czynów, które okrywały sławą jego nazwisko, wpadał w stany krańcowej apatii. Leżał wtedy otoczony książkami, mając w pobliżu ulubione skrzypce, a wstawał jedynie po to, aby podejść do stołu. Tymczasem stosy papierów rosły z miesiąca na miesiąc, wypełniając wszystkie kąty. Nie wolno jednak było ich spalić, a uporządkować je mógł tylko właściciel.

Pewnego zimowego wieczoru, gdy siedzieliśmy razem przy kominku, odważyłem się powiedzieć, że skoro skończył uzupełnianie notatek w swoim brulionie, mógłby przez dwie następne godziny doprowadzić nasz pokój do jakiegoś takiego porządku.

Tym razem nie zaprotestował. Z żalną miną poszedł do sypialni i po chwili wrócił, ciągnąc za sobą wielką żelazną skrzynię. Postawił ją na środku pokoju i, przykucnąwszy przed nią, otworzył wieko. Zobaczyłem, że jedną trzecią wypełniały paczki papierów powiązane czerwonymi wstążkami.

— Jest tu parę ciekawych przypadków — powiedział, uśmiechając się nieco figlarnie. — I myślę, że gdybyś wiedział, co tu mam, poprosiłbyś, żebym wyjął te papiery zamiast je chować.

— To są pewnie materiały dotyczące twoich dawnych spraw? — zapytałem. — Od dawna chciałem się z nimi zapoznać.

— Tak, mój drogi. Pospieszyłem się ze schowaniem tych dokumentów, zanim mój biograf zdążył mnie rozślawić.

Czule, niemal pieszczotliwie wyjmował paczkę po paczce.

— Nie wszystkie te papiery świadczą, że osiągnąłem sukces — ciągnął — ale znajdzie się tu parę pięknych ciekawostek. To sprawozdanie o tarletońskich mordercach, a tu sprawa handlarza win, Yamberry'ego. Tu znów przygoda starej Rosjanki i niezwykła afera związana z aluminiowym szczudłem chromego. A tu pełna relacja o kuternodze Ricolettim i jego odrażającej małżonce. O, a tu jest coś wyjątkowego!

Sięgnął ręką niemal do samego dna skrzyni i wydobył małe drewniane pudełko z wysuwaną pokrywką. Znajdowały się w nim: skrawek pogniecionego papieru, antyczny mosiężny klucz, sznurek nawinięty na drewniany kołek i trzy stare, zardzewiałe krążki metalu.

— No, stary, co byś o tym powiedział? — zapytał, śmiejąc się z mego zdziwienia.

— Ciekawa kolekcja.

— Bardzo ciekawa, ale jeszcze bardziej zaciekawi cię historia z nią związana.

— A więc te rzeczy mają jakąś historię?

— Historią są one same.

— Jak mam to rozumieć?

Holmes wyjmował po kolei przedmioty i układał je na brzegu stołu. Potem przesiadł się na swój fotel i zaczął się im przyglądać z satysfakcją.

— Tu mamy wszystko, co sobie zostawiłem na pamiątkę sprawy Rytuału Musgrave'ów.

Już nieraz wspominał o tej sprawie, ale nigdy nie udało mi się wyciągnąć od niego szczegółów.

— Bardzo bym chciał usłyszeć wszystko o tej historii — odezwałem się.

— I zostawić ten cały kram? — zapytał złośliwie. — Twoje zamiłowanie do porządku bardzo na tym ucierpi, mój drogi. Ale będę rad, jeśli włączysz tę sprawę do swojej kroniki, bo pod pewnymi względami jest ona wyjątkowa nie tylko w kryminalnych aferach Anglii, ale, jak przypuszczam, i każdego innego kraju. Kolekcja moich, doprawdy skromnych, osiągnięć byłaby bez niej niekompletna.

Teraz moje nazwisko zyskało już rozgłos wśród ogółu, a i policja uznaje mnie za ostatnią instancję w kontrowersyjnych kwestiach. Ale nawet wtedy, gdy się poznaliśmy, w czasie afery uwiecznionej przez ciebie pod tytułem „Studium w szkarłacie”, miałem już dość dużą, choć niezbyt dochodową praktykę. Trudno ci jednak sobie wyobrazić, jak ciężko mi szło na początku i jak długo musiałem czekać na pierwsze sukcesy.

Kiedy przybyłem na stałe do Londynu, zamieszkałem na Montague Street, tuż za rogiem British Museum. Czekałem tam na sprzyjającą okazję, wypełniając wolny czas — a miałem go zbyt wiele — studiowaniem tych nauk, które mogły podnieść moje kwalifikacje. Od czasu do czasu trafiała mi się jakaś sprawa, zazwyczaj dzięki pośrednictwu kolegów ze studiów, bo w ostatnich latach na uniwersytecie wiele o mnie i o mojej metodzie mówiono. Trzecią taką sprawą była tajemnica Rytuału Musgrave'ów. Sprawa ta wywołała duże zainteresowanie na skutek dziwnych zbiegów okoliczności i stała się początkiem mojej kariery.

Reginald Musgrave studiował w tej samej uczelni co ja i trochę go znałem. Koledzy go nie lubili, choć według mnie to, co brano u niego za pyszałkowatość, było po prostu maskowaną nieśmiałością. Wyglądał jak prawdziwy arystokrata: szczupły, o dużych oczach i wydatnym nosie. Miał dość niedbałe maniery, choć na pewno odebrał staranne wychowanie. Był potomkiem jednego z najstarszych rodów Anglii, ale z młodszej, północnej gałęzi Musgrave'ów. Jego przodkowie oddzielili się od swego pnia rodowego w XVI wieku i osiedli w zachodnim okręgu Sussex, gdzie ich feudalna siedziba Hurlstone jest chyba najstarszym zamieszkanym budynkiem w całym hrabstwie. Coś z tej kolebki rodu przylgnęło do młodego Musgrave'a. Jego blada twarz, ostre rysy, sposób, w jaki pochylał głowę zawsze przywodziły mi na myśl szare łuki bram, pokratkowane oknami i szacowne szczątki głównej baszty feudalnego zamku.

Czasem wymienialiśmy jakieś uwagi i pamiętam, że Musgrave parokrotnie żywo zainteresował się moimi metodami obserwacji i dedukcji.

Przez cztery lata nie dawał znaku życia. Aż pewnego ranka wszedł do mojego pokoju przy Montague Street. Mało się zmienił. Ubrany według ostatniej mody (zawsze miał w sobie coś z dandysa), zachował również wytworny i opanowany sposób bycia, którym się niegdyś wyróżniał.

— Co się z panem działo? — zapytałem, gdy wymieniliśmy serdeczny uścisk dłoni.

— Zapewne słyszał pan o śmierci mojego ojca — odparł. — Pochowaliśmy go dwa lata temu. Od tego czasu zarządzam dobrami Hurlstone, a że jestem też posłem ze swego okręgu, nie brak mi roboty. Jak słyszałem, wykorzystuje pan praktycznie swoje zdolności, którymi dawniej tak nas pan zadziwiał.

— Tak — odparłem — jakoś sobie radzę z ich pomocą.

— Cieszę się z tego, bo pańskie zdanie będzie dla mnie niezwykle cenne. Dziwne rzeczy wydarzyły się w Hurlstone, a policja nie może sobie z nimi dać rady. Doprawdy, coś niebywałego i zagadkowego!

Możesz sobie wyobrazić, Watsonie, jak chłonałem jego słowa. Czuję, że nareszcie los zsyła mi szansę, na którą czekałem tyle miesięcy. W głębi duszy wierzyłem, że powiedzie mi się tam, gdzie innym się nie udało, a teraz nadeszła wreszcie godzina próby.

— Proszę o szczegóły — zawołałem.

Reginald Musgrave usiadł naprzeciw mnie i zapalił papierosa, którym go poczęstowałem.

— Chciałbym, aby pan wiedział — zaczął — że choć jestem kawalerem, muszę trzymać w Hurlstone dużo służby. Siedziba jest stara, niezwykle rozbudowana i utrzymanie jej wymaga dużego nakładu pracy. Poza tym mam w lasach zwierzynę i w okresie polowań na bażanty zawsze przebywa u mnie kilka osób, nie może więc brakować obsługi. Mam osiem pokojówek, kucharza, kamerdynera, dwóch lokajów i chłopca na posługi. Ogrodników i stajennych, oczywiście, nie liczę.

Najdłużej jest u nas kamerdyner Brunton. Kiedy ojciec wziął go do siebie, był młodym, bezrobotnym nauczycielem. Dzięki energii i wytrwałości stał się wkrótce niezastąpiony. Był człowiekiem wysokim, przystojnym, o wspaniałym czole; choć służył u nas od dwudziestu lat, mógł mieć najwyżej czterdziestkę. Wypada się tylko dziwić, że z tymi zaletami i przy niepospolitych zdolnościach (mówił kilkoma językami i grał na prawie wszystkich instrumentach) tak długo zadowalał się posadą kamerdynera. Przypuszczam jednak, że było mu u nas dobrze i nie chciało mu się szukać czegoś innego. Wszyscy nasi goście doskonale pamiętają kamerdynera z Hurlstone.

Jednakże mimo swej doskonałości miał jedną wadę. Zachowywał się trochę jak Don Juan, a rozumie pan chyba, że takiemu jak on człowiekowi, w dodatku w takiej cichej, wiejskiej okolicy, nietrudno było zyskać sobie taką opinię.

Póki był żonaty, mieliśmy spokój. Ale gdy owdowiał, zaczęły się niekończące kłopoty. Parę miesięcy wydawało nam się, że się wreszcie ustakuje, bo zaręczył się z Rachel Howells, naszą drugą pokojówką. Lecz wkrótce ją porzucił i zajął się Janet Tregellis, córką nadleśniczego. Rachel, z gruntu dobra dziewczyna, mająca jednak gwałtowny walijski temperament, dostała zapalenia mózgu i chodzi teraz — a raczej chodziła do wczoraj — z podkrążonymi oczami jak własny cień. To pierwszy dramatyczny splot okoliczności, ale na tym się nie skończyło. Zaszło coś nowego i było poprzedzone niełaską, w jaką popadł Brunton i jego dymisją.

Jak się to stało? Powiedziałem już, że kamerdyner był inteligentny i właśnie ta cecha przyczyniła się do jego zguby. Odznaczał się bowiem niezdrową ciekawością. Wciskał nos w sprawy, które nie powinny go były obchodzić. Nie zastanawiałem się nigdy, czym się to skończy, aż wreszcie czysty przypadek otworzył mi oczy.

Powiedziałem już, że pomieszczenia we dworze są dość chaotycznie rozlokowane. Pewnej nocy w ubiegłym tygodniu, a było to dokładnie w czwartek, nie mogłem zasnąć po wypiciu dwóch filiżanek mocnej czarnej kawy, wypitej nieopatrnie po obiedzie. Aż do drugiej w nocy bezskutecznie walczyłem z bezsennością; potem dałem za wygraną, wstałem i zapaliłem świecę, by poczytać. Przypomniałem sobie jednak, że zostawiłem moją książkę w pokoju bilardowym. Włożyłem więc szlafrok i poszedłem po nią.

Do pokoju bilardowego musiałem zejść po schodach, przez kawałek korytarza prowadzącego do biblioteki i zbrojowni. Może pan sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy spojrzawszy w głąb korytarza zobaczyłem światło bijące z otwartych drzwi biblioteki. Własnoręcznie przed pójściem spać zgasilem lampę i zamknąłem drzwi. Naturalnie, pomyślałem, że to włamywacze. Korytarze naszej siedziby zdobi ogromna ilość starożytnej, zdobyczej broni. Zerwałem więc ze ściany jakąś halabardę, postawiłem świecę na podłodze, na palcach podkradłem się pod drzwi i zajrzałem do biblioteki.

Był w niej Brunton. Siedział w fotelu z kawałkiem papieru na kolanach, wyglądającym jak mapa. Oparł głowę na rękach i trwał tak, pogrążony w głębokiej zadumie. Stałem w mroku i patrzyłem zdumiony. Mimo słabego światła woskowej lampki stojącej na brzegu biurka mogłem stwierdzić, że był ubrany. Nagle wstał, podszedł do sekretery, otworzył ją i wysunął jedną z szuflad. Wyjął z niej jakiś papier i, wróciwszy na miejsce, rozłożył go na brzegu biurka, tuż przy lampce. Potem pochylił się i z wielką uwagą zaczął coś czytać. Na to bezczelne przeglądanie naszych rodzinnych dokumentów tak się zdenerwowałem, że uczyniłem krok naprzód. Brunton uniósł wzrok i zobaczył mnie na progu. Zerwał się, zbladł z przerażenia jak chusta i pospiesznie ukrył na piersi dokument podobny do mapy, który przed chwilą studiował.

— To tak! — zawołałem. — W ten sposób odpłacacie za zaufanie, jakim was darzyliśmy!? Od jutra jesteście wolni!!!

Skłonił się z miną człowieka zdruzgotanego i bez słowa przeszedł obok mnie.

Lampka wciąż jeszcze stała na biurku i w jej świetle ujrzałem, jaki dokument wyjął z sekretery. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że nie było to nic ważnego. Po prostu kopia pytań i odpowiedzi wymienianych podczas pradawnego, niezwykłego obrządku nazwanego rytuałem rodu Musgrave'ów. Jest to, tradycyjna już, nasza rodzinna ceremonia, przez którą od wieków musi przejść każdy z Musgrave'ów, gdy dojdzie do pełnoletności. Sprawa czysto prywatna, która może zainteresować historyka, tak jak nasze herby i dewizy rodowe, a poza tym jest bez znaczenia.

— O tym dokumencie pomówimy później — powiedziałem.

— Jeżeli pan uważa, że to będzie potrzebne — odparł z wahaniem.

Wracam jednak do opowiadania. Zamknąłem sekreterę na klucz i zawróciłem do wyjścia. W tym momencie zaskoczył mnie widok stojącego przede mną kamerdynera.

— Sir — powiedział ochryplym głosem — nie zniosę tej hańby. Zawsze byłem ambitny, a ten wstyd mnie zabije. Jeżeli pan mnie doprowadzi do rozpacz, moja śmierć spadnie na pana... na pewno... Błagam pana, jeżeli muszę odejść po tym, co zaszło, niech mi pan pozwoli, abym to ja wypowiedział służbę, przepracował jeszcze z miesiąc i odszedł jakby z własnej woli. To zniosę, ale niech mnie pan nie wyrzuca jawnie, wobec ludzi, którzy mnie dobrze znają.

— Nie zasługujecie, Brunton, na żadne względy. Zachowaliście się haniebnie. Ale po tylu latach służby nie chcę wam sprawiać wstydu. Miesiąc to za długo. Odejdziecie po tygodniu pod jakim chcecie pretekstem.

— Po tygodniu, proszę pana?! — krzyknął zrozpaczony. — Po dwóch... co najmniej po dwóch...

— Tydzień — powiedziałem — i możecie uważać, że postępuję z wami bardzo łagodnie.

Załamany, wysunął się z pokoju z nisko opuszczoną głową. Ja zaś zgasilem lampkę i wróciłem do siebie.

Przez dwa kolejne dni Brunton niezwykle skrupulatnie wypełniał swoje obowiązki. Nie wspominałem ani słowem o tym, co się stało, i byłem ciekaw, jak upozoruje swoje upokarzające wydalenie. Rano trzeciego dnia kamerdynier nie przyszedł po codzienne instrukcje, jak to było w zwyczaju. Wychodząc z jadalni, spotkałem Rachel Howells. Jak już

wspomniałem, właśnie wstała po ciężkiej chorobie i wyglądała tak mizernie i blado, że rozgniewałem się na nią za zbyt wczesny powrót do pracy.

— Powinnaś jeszcze leżeć w łóżku — powiedziałem. — Wrócisz do pracy, gdy wydobrzejesz.

Spojrzała na mnie takim strasznym wzrokiem, że zastanowiłem się, czy nie zwariowała.

— Czuję się zupełnie dobrze, proszę pana — rzekła.

— Zobaczmy, co powie doktor. Na razie proszę wracać do siebie i przysłać mi Bruntona.

— Kamerdyner zniknął.

— Zniknął? Jak to zniknął?

— Tak. Nikt go nie widział. W pokoju go nie ma. Och, przypadek, przypadek! — Oparła się o ścianę, śmiejąc się i płacząc na przemian.

Przestraszył mnie ten atak hysterii i zadzwoniłem gwałtownie po pomoc. Przeraził mnie łkającą dziewczynę zabrano do jej pokoju, a ja zacząłem wypytywać służbę o kamerdynera.

Nie było żadnej wątpliwości, zniknął w tajemniczy sposób. Łóżko było nietknięte. Nikt go nie widział od poprzedniego wieczora, gdy poszedł spać. Jak mógł jednak wyjść, skoro rankiem wszystkie drzwi były zamknięte od wewnątrz? Jego ubranie, zegarek, a nawet pieniądze zostały w pokoju. Brakowało tylko czarnego ubrania, w którym zawsze chodził. Nie było też pantofli, choć buty stały na miejscu. Dokąd więc poszedł Brunton w nocy i co się z nim stało?

Przeszukaliśmy dom od góry do dołu, ale nie znaleźliśmy najmniejszego śladu. Nasza siedziba to prawdziwy labirynt, zwłaszcza najstarsze skrzydło, właściwie już nie zamieszkałe. Przetrasaliśmy każdy pokój i strych — bez powodzenia. Nie wierzyłem wprost, by Brunton odszedł, zostawiając całe swoje mienie. Więc gdzie się podział? Wezwałem policję, ale i ona nic nie wykryła. Poprzedniej nocy padał deszcz. Zbadaliśmy trawniki i ścieżki wokół domu. Na próżno. Tak wyglądała sytuacja, gdy nagle nowe tajemnicze wydarzenie kazało nam zapomnieć o poprzednim.

Rachel Howells bardzo się rozchorowała; majączyła i spazmowała na przemian. Przez dwie noce musiała czuwać przy niej pielęgniarka. Trzeciej nocy po zniknięciu Bruntona, gdy chora spokojnie zasnęła, pielęgniarka zdrzemnęła się w fotelu. Wczesnym rankiem, gdy się obudziła, stwierdziła z przerażeniem, że łóżko jest puste, okno otwarte, a pacjentka zniknęła. Natychmiast mnie obudzono i z dwoma lokajami zaczęliśmy szukać dziewczyny. Nietrudno było ustalić, dokąd poszła. Ślady jej stóp widniały od okna, przez trawnik do stawu. Tu przy zwirowanej dróżce prowadzącej do granicy posiadłości ślady się urywały. W tym miejscu staw ma dwa metry głębokości, może więc pan sobie wyobrazić, co czuliśmy badając ślady biednej, szalonej dziewczyny urywające się tuż nad wodą.

Od razu przystąpiliśmy do badania dna stawu, szukając zwłok. Ale nic nie znaleźliśmy. Wyłowiliśmy natomiast rzecz nieoczekiwaną: płócienny worek z masą jakichś kawałków metalu i sporą ilością matowych kamyczków czy szkiełek. To było wszystko, co wydobyliśmy ze stawu, i mimo najskrupulatniejszych poszukiwań nie dowiedzieliśmy się wczoraj nic ani o zaginionej dziewczynie, ani o Bruntonie. Miejscowa policja jest bezsilna. Pan jest więc naszą ostatnią nadzieją.

— Rozumiesz chyba, Watsonie, z jaką ciekawością słuchałem opowieści o tym nadzwyczajnym splocie wydarzeń, usiłując je jakoś powiązać i znaleźć ich wspólną przyczynę.

Kamerdyner przypadek. Przepadła pokojówka. Pokojówka początkowo kochała kamerdynera, potem miała powód, by go nienawidzić. Była Walijką, a więc kobietą namiętną i nieopanowaną. Zniknięcie kochanka było dla niej szokiem. Wrzuciła do stawu worek z dziwną zawartością. Nad tym wszystkim należało się zastanowić, ale żaden z tych faktów nie dostarczał klucza do zagadki. Co obrać za punkt wyjścia w tym dziwnym łańcuchu wydarzeń? I to był problem.

— Muszę zobaczyć ten dokument, który pańskiemu kamerdynerowi wydał się tak ważny, że badał go narażając się na utratę pracy — powiedziałem do Musgrave'a.

— To taki sobie dość absurdalny zwyczaj, ten nasz rytuał — odparł — ale związany z naszą rodową tradycją. Mam tu kopię pytań i odpowiedzi. Jeżeli pan chce rzucić na nie okiem...

— Podał mi papier, który tu widzisz. Jest to rodzaj katechizmu, zbiór podstawowych zasad, których każdy Musgrave musi się nauczyć, gdy dojdzie do pełnoletności. Przeczytam ci kolejno pytania i odpowiedzi:

— Czyje to było?

— Tego, kto odszedł.

— Czyje to będzie?

— Tego, kto przyjdzie po nim.

— W jakim to było miesiącu?

— W szóstym od pierwszego.

— Gdzie stało słońce?

— Nad dębem.

— Gdzie był cień?

— Pod wiązem.

— Jak wymierzyć krokami?

— Na północ dziesięć i dziesięć, na wschód pięć i pięć, na południe dwa i dwa, na zachód jeden i jeden, i w dół.

— Co za to winniśmy dać?

— Wszystko, co mamy.

— A dlaczego musimy to oddać?

— Bo nam to powierzono.

Oryginał nie ma daty, ale z pisowni wynika, że dokument pochodzi z połowy XVII wieku — zauważył Musgrave. — Doprawdy, obawiam się, że ten papier niewiele panu pomoże w rozwikłaniu tajemnicy.

— Mamy tu tylko nową tajemnicę, ciekawszą zresztą od poprzedniej. Możliwe, że wyjaśnienie jednej posłuży zarazem do wyjaśnienia drugiej. Wybacz mi pan, ale uważam, że pański kamerdyner był bardzo mądrym człowiekiem i wykazał większą przenikliwość w odczytywaniu tego tekstu niż cała generacja jego panów.

— Nie bardzo rozumiem, o co panu chodzi — odparł Musgrave. — Dla mnie ten dokument w gruncie rzeczy nic nie znaczy.

— Dla mnie zaś znaczy wiele i sądzę, że Brunton też był tego zdania. Przypuszczam, że widział go przedtem, zanim pan go tamtej nocy przyłapał na czytaniu.

— To zupełnie możliwe. Nie staraliśmy się go ukrywać.

— Po prostu więc owej nocy chciał sobie odświeżyć jego treść w pamięci. Mówił pan, że miał przed sobą jakąś mapę czy szkic, który porównywał z manuskryptem. Potem ukrył go na piersi. Tak?

— Tak. Ale cóż Brunton mógł mieć wspólnego z naszym starym zwyczajem rodowym i co mogą znaczyć te brednie?

— Sądzę, że ustalimy to bez trudu — odpowiedziałem. — Jeśli pan pozwoli, pojedziemy pierwszym pociągami do Sussex i lepiej poznamy teren.

Jeszcze tego samego dnia po południu znaleźliśmy się w Hurlstone. Pewnie czytałeś opis tego starego budynku i znasz go z rycin. Powiem więc tylko, że ma kształt litery L. Dłuższe ramię to część nowocześniejsza, krótsze zbudowano dużo dawniej; do niej dobudowywano resztę dworu. Nad niskim, grubym sklepieniem drzwi, mieszczących się w samym środku starego skrzydła, widać wykutą datę 1607, ale znawcy zgadzają się, że kamienny mur i belki są znacznie starsze. W ubiegłym wieku właściciele zamku, nie chcąc mieszkać w starej

siedzibie, która miała niezwykle grube mury i małe okienka, dobudowali nowe skrzydło. Starą część, jeśli w ogóle się z niej korzysta, przeznaczono na magazyn i piwnicę. Wspaniały park z pięknymi wiekowymi drzewami otacza cały budynek, a staw, o którym wspominał mój klient, leży tuż przy alei, jakieś sto jardów od zamku.

— Byłem przekonany, że wszystkie trzy tajemnice to w gruncie rzeczy jedna i, jeżeli zdołam rozwiązać zagadkę rytuału, odnajdę klucz do tajemnicy zaginięcia kamerdynera Bruntona i pokojówki Howells. W tym kierunku poszły moje wysiłki. Dlaczego kamerdyner tak pragnął zrozumieć i zapamiętać odwieczne formułki rytuału? Widocznie dojrzał w nich coś, co uszło uwagi całych pokoleń tutejszych magnatów i z czego obiecywał sobie spore korzyści majątkowe. Cóż to było i jak wpłynęło na jego losy?

Z rytuału wynikało, że podane w nim pomiary wskazują na jakieś miejsce, do którego nawiązywała reszta dokumentu. Myślałem też, że jeśli uda mi się je odnaleźć, chwycę nić wiodącą do tajemnicy, którą przodkowie Musgrave'ów ukryli pod tak tajemniczymi formułkami. Na początku mieliśmy dwa punkty wyjścia: dąb i wiąz. Co do dębu, to nie mogło być wątpliwości. Akurat na wprost domu, po lewej stronie alei wjazdowej stał stary patriarcha dębów, jeden z najwspanialszych okazów, jakie kiedykolwiek widziałem.

— Czy to drzewo już rosło, kiedy spisywano rytuał pańskiego rodu? — zapytałem, gdy je mijaliśmy.

— Rosło już prawdopodobnie za czasów najazdu Normanów — odrzekł Musgrave. — W obwodzie ma dwadzieścia trzy stopy.

Tu więc był początek.

— A czy rosną w parku jakieś równie stare wiązy?

— Tam rósł jeden, bardzo stary. Przed dziesięcioma laty uderzył w niego piorun i musieliśmy go ściąć.

— Zechce mnie pan zaprowadzić w to miejsce?

— Bardzo proszę.

— Czy nie ma tu innych wiązów?

— Same młode. Ale mamy pełno buków.

— Chciałbym jednak zobaczyć, gdzie rósł tamten wiąz.

Podjechaliśmy małą bryczką i, nie zajrzawszy nawet do domu, poszliśmy do wykrotu na trawniku, gdzie niegdyś stał wiąz, niemal w połowie drogi między dębem i starym budynkiem. Wyraźnie posuwałem się naprzód w moich badaniach.

— Czy dałoby się ustalić jego wysokość? — zapytałem z powątpiewaniem.

— Zaraz panu powiem. Miał sześćdziesiąt dwie stopy.

— Skąd pan wie? — zapytałem zdziwiony.

— Mój stary wychowawca zawsze zadawał mi zadania z trygonometrii polegające na wyliczeniach wysokości różnych obiektów. Już jako chłopiec wymierzyłem każde drzewo i wszystkie zabudowania w okolicy.

To był prawdziwy uśmiech losu. Zdobywałem konkretne fakty prędzej niż się spodziewałem.

— Niech pan mi powie, czy pański kamerdyner zadał panu kiedyś to samo pytanie?

Reginald Musgrave spojrział na mnie zdumiony.

— Teraz, kiedy pan mnie o to pyta, przypomniałem sobie — powiedział. — Parę miesięcy temu Brunton rzeczywiście pytał mnie o wysokość tego drzewa. Chodziło o jakiś spór między służbą.

Była to niezwykle cenna wiadomość. Wskazywała, że jestem na dobrej drodze. Spojrzałem na słońce. Stało nisko i obliczyłem, że za niecałą godzinę zejdzie nad wierzchołek starego dębu. Wtedy spełni się jeden z warunków wymaganych przez rytuał. Cień wiązu musi wyznaczyć krańcowy punkt cienia, bo inaczej sam pień dębu służyłby za wskaźnik. Trzeba więc było wyliczyć, gdzie padnie koniec cienia, kiedy słońce znajdzie się tuż nad dębem.

— To musiało być trudne, mój drogi, bo przecież wiąz już nie było — zauważyłem.

— Myślałem, że skoro Brunton potrafił, to i mnie musi się udać. Zresztą nie było to takie trudne. Poszedłem z Musgrave'em do jego gabinetu, wystrugałem ten oto kołek i przywiązałem do niego długi sznurek z supłami wiązany co jard. Potem złożyłem dwa wędziska, tak że razem miały sześć stóp i wraz z Musgrave'em wróciłem na miejsce, gdzie kiedyś rósł wiąz. Słońce stało właśnie nad wierzchołkiem dębu. Wbiłem wędzisko w ziemię, zaznaczyłem kierunek padającego cienia i wymierzyłem go. Miał dziewięć stóp.

Teraz już rachunek był prosty. Jeżeli sześciostopowy pręt rzucił dziewięciostopowy cień, to sześćdziesięcioczerostopowe drzewo rzuci dziewięćdziesięcioszesciostopowy cień, oczywiście w tym samym kierunku. Odmierzyłem więc odległość i znalazłszy się pod murem budynku, wbiłem kołek w ziemię. Możesz sobie wyobrazić, Watsonie, mój tryumf, gdy tuż obok zobaczyłem ślad po podobnym kołku. Wiedziałem, że to pomiarowy znak Bruntona i idę po jego śladach.

Wyjąłem kieszonkowy kompas, ustaliłem strony świata i zacząłem odmierzać kroki. Po dziesięciu krokach znalazłem się na linii równoległej do ściany domu. Tu znowu zaznaczyłem miejsce kolkiem. Potem starannie odmierzyłem pięć kroków na wschód i dwa na południe. To przywiodło mnie na próg starego wejścia. Dalej miałem zrobić dwa kroki na zachód w dół wyłożonego kamieniami korytarza, by stanąć na miejscu oznaczonym w rytuale.

Nigdy jeszcze nie czułem się chyba aż tak rozczarowany. Przez chwilę sądziłem, że musiałem popełnić jakiś kardynalny błąd w obliczeniu. W jasnym blasku zachodzącego słońca padającym na kamienną podłogę widziałem, że stare, wydeptane płyty były mocno spojone i od lat nikt ich nie ruszał. Nie było też żadnych śladów Bruntona. Opukałem podłogę, wszędzie dawała jednakowy odgłos — ani śladu pomieszczenia pod spodem. Na szczęście Musgrave, który zaczął już doceniać znaczenie tego, co robiłem, i był nie mniej zdenerwowany ode mnie, wyciągnął stary manuskrypt, chcąc sprawdzić moje wyliczenie.

— I w dół! — krzyknął. — Zapomniał pan o słowach „i w dół”.

Przypuszczałem, że oznacza to kopanie, ale teraz nagle zrozumiałem pomyłkę.

— Czy pod korytarzem jest piwnica?! — wykrzyknąłem.

— Tak, równie stara jak ten dom. Zejdźmy na dół tymi drzwiami.

Krętymi kamiennymi schodami zeszliśmy w dół. Musgrave zapalił wielką latarnię stojącą w kącie na becze. Natychmiast pojeśliśmy, że tym razem jesteśmy nareszcie we właściwym miejscu i ktoś już tu był przed nami.

Ta część piwnicy była drewnianą, ale ktoś odrzucił na bok poniewierające się wszędzie polana i oczyścił środek, na którym znajdowała się wielka i ciężka kamienna płyta z zardzewiałym pierścieniem, przez który przeciągnął gruby, czarno-biały, wełniany szal.

— Na Boga! — wykrzyknął mój klient. — To szal Bruntona! Mogę przysiąc, że widziałem go na nim. Czego ten łajdak tu szukał!?

Zażądałem wezwania kilku policjantów i przy nich spróbowałem podnieść płytę ciągnąc za szal. Ale zdołałem ją zaledwie nieco unieść. Dopiero przy pomocy jednego konstabla udało mi się odsunąć ją na bok. Pod nami rozwarła się czarna czeluść. Musgrave przyklęknął przy otworze, opuścił latarnię i zajrzeliśmy do środka.

Ujrzeliśmy mały kwadratowy loszek, głębokości siedmiu i szerokości czterech stóp. Pod jedną ścianą stała niska, pękata, okuta miedzią drewniana skrzynia. Pokrywę miała podniesioną, a wielki staromodny klucz sterczał w zamku. Z zewnątrz pokrywał ją gruby pokład kurzu, a wilgoć i robaki stoczyły drzewo, tak że wewnątrz porosło grzybem. Na dnie leżały porozrzucone metalowe krążki, z pewnością stare monety, takie jak te tutaj, i nic poza tym.

Chwilę później przestaliśmy jednak myśleć o starej skrzyni, bo naszym oczom ukazała się postać mężczyzny ubranego na czarno. Siedział w kucki, wsparty czołem o kant skrzyni, którą obejmował rękami. Zakrzepła krew spłynęła mu na twarz wykrzywioną, czerwonosiną i

tak zmienioną, że trudno było poznać, kto to był. Po wydobyciu trupa Musgrave nie miał żadnych wątpliwości: wzrost, ubranie i włosy wskazywały na zaginionego kamerdynera. Zgon musiał nastąpić co najmniej przed paru dniami. Na ciele nie znaleźliśmy żadnych obrażeń, które mogłyby wyjaśnić przyczynę jego strasznej śmierci. Gdy już zabrano zwłoki, nie potrafiłszy znaleźć odpowiedzi na dręczące wszystkie pytania.

Przyznaję, że byłem rozczarowany. Liczyłem, że kiedy tylko znajdę miejsce wskazane w rytuale, uda mi się wszystko wyjaśnić. Ale teraz, gdy już je znałem, byłem tak samo jak na początku daleki od tego, co ród Musgrave'ów ukrywał z taką przebiegłością i uporem. Co prawda udało mi się rzucić światło na los Bruntona, ale musiałem jeszcze wyjaśnić, dlaczego umarł w ten sposób i co z tym miała wspólnego zaginiona pokojówka. Usiadłem więc w kącie na beczulce i jeszcze raz starannie przemyślałem wszystko od początku.

Znasz moją metodę: przede wszystkim staram się dobrze poznać psychikę danej osoby, wchodzę jakby w jej skórę i wyobrażam sobie, co ja bym robił na jej miejscu. W tym wypadku zadanie było łatwiejsze, bo Brunton był mądrym człowiekiem i nie trzeba było przyjmować poprawki na odchylenie, jak mówią astronomowie. On wiedział, że chodzi o jakieś ukryte skarby. Wyśledził miejsce. Przekonał się, że sam nie uniesie płyty. Cóż więc zrobił? Nie mógł liczyć na nikogo z zewnątrz, nawet gdyby miał osobę godną zaufania, bo musiałby otworzyć jej drzwi wejściowe, ryzykując przy tym, że go złapią. Lepiej więc było poszukać współnika w domu. Do kogo mógł się z tym udać? Zaginiona pokojówka niegdyś była w nim zakochana. Mężczyzna nigdy nie chce uwierzyć, że przestał być obiektem uczuć, nawet jeśli skrzywdził ukochaną. Gdyby się jednak postarał mógłby może odzyskać względy dziewczyny i w ten sposób zdobyć współnika. Razem zeszliby do piwnicy i wspólnymi siłami staraliby się odsunąć płytę. Do tego miejsca mogłem sobie wszystko odtworzyć, jakbym to widział na własne oczy.

Lecz dwoje ludzi, w tym kobieta, nie poradziłoby sobie z ciężarem. Dość namęczyłem się nad płytą z silnym policjantem. Jakim więc narzędziem sobie pomogli?

Wstałem i uważnie przejrzałem polana rozrzucone na podłodze. Niemal od razu znalazłem to, czego szukałem. Jedno z nich, trzystopowej długości, miało wyraźne wgłębienie na końcu i wiele spłaszczeń na brzegach, jakby je czymś silnie ściśnięto. Widocznie tych dwoje, stopniowo unosząc płytę, podkładało pod nią polano. A gdy otwór był już dość duży, żeby wypełnić do środka, podstawiono pod płytę polano na sztorc. Tym tłumaczyłoby się wgłębienie na jego końcu, płyta bowiem całym ciężarem wciskała go w krawędź otworu. Dotąd ciągle jeszcze poruszałem się na pewnym gruncie.

Ale co dalej? Jak odtworzyć nocny dramat? Do loszku wpełzł tylko jeden człowiek, był nim Brunton. Dziewczyna czekała na górze. Brunton otworzył skrzynię, podał jej zawartość — bo w loszku nic nie znaleźliśmy — a potem..., co potem?

Jak bardzo musiała nienawidzić ta namiętna celtycka kobieta, gdy zobaczyła, że człowiek, który ją skrzywdził (może skrzywdził ją bardziej niż przypuszczamy) znalazł się w jej mocy? Czy wypadek sprawił, że polano wysliznęło się i płyta zapadła nad lochem, który stał się grobowcem Bruntona? Czy dziewczyna tylko milczeniem przyczyniła się do jego zguby? A może nagle pchnięcie usunęło podporę i płyta z trzaskiem spadła na miejsce? Cokolwiek tam się zdarzyło, miałem wrażenie, jakbym widział na własne oczy kobietę pędzącą w popłochu krętymi schodami, ze skarbem kurczowo przyciśniętym do piersi. W uszach jeszcze dźwięczy jej zduszony krzyk rozpaczony i oszalałe walenie w płytę, która na zawsze pogrzebała niewiernego kochanka...

Tu kryła się tajemnica jej błądzenia, rozstroju nerwowego i wybuchów histerycznego śmiechu następnego ranka. Lecz co było w skrzyni? Co ona z tym zrobiła? Musiały to być te kamyki i metalowe krążki wyłowione ze stawu przez Musgrave'a. Przy pierwszej okazji wrzuciła je do wody, by ukryć ślady zbrodni.

Ze dwadzieścia minut siedziałem bez ruchu, rozmyślając. Musgrave, blady jak śmierć, stał obok, wymachując latarnią i patrząc w głąb loszku.

— To są monety z czasów Karola I — powiedział wreszcie, podając mi kilka krążków pozostałych w skrzyni. — Jak pan widzi, dobrze określiliśmy datę powstania rytuału.

— Możemy znaleźć jeszcze coś po Karolu I! — wykrzyknąłem, zrozumiawszy w nagłym olśnieniu znaczenie dwóch pierwszych pytań rytuału. — Niech mi pan pokaże zawartość wyłowionego worka.

Przeszliśmy do jego gabinetu, gdzie pokazał mi te żalosne szczątki. Spojrzawszy na prawie czarny metal i bezbarwne, matowe kamienie, pojąłem, dlaczego nie zwrócił na nie uwagi. Potarłem jeden z kamyków o rękaw, a ten roziskrzył się w ciemnym wgłębieniu dłoni. Kawałek metalu miał kształt podwójnego pierścienia, niestety, powyginany i skręcony, zatracił swą dawną formę.

— Zechce pan wziąć pod uwagę — powiedziałem — że stronnicy króla byli bardzo silni nawet po jego śmierci, a gdy w końcu uciekli, musieli zostawić wiele skarbów w pewnych ukryciach, by wrócić po nie w odpowiednim czasie.

— Mój przodek, sir Ralph Musgrave, był słynnym rojalistą i wiernym towarzyszem Karola II w jego tułaczce — rzekł mój klient.

— Naprawdę?! — powiedziałem. — Więc chyba odnaleźliśmy brakujące ogniwo. Muszę panu pogratulować: w sposób tak tragiczny wszedł pan w posiadanie zabytku cennego samego przez się, lecz mającego jeszcze większą wartość historyczną.

— Więc cóż to jest? — Musgrave aż się zachłysnął ze zdziwienia.

— To stara korona królów angielskich.

— Korona!

— Tak, korona. Niech pan przypomni sobie, co mówi rytuał. Jak to idzie: „Czyje to było? Tego, kto odszedł”. To po ścięciu Karola I. Następnie: „Czyje to będzie? Tego, kto przyjdzie”. To o Karolu II, którego nadejście już przewidywano. Sądzę, że nie ma wątpliwości — ta bezkształtna dziś i pogięta korona zdobiła kiedyś głowy Stuartów.

— Ale dlaczego znalazła się w stawie?

— Na to pytanie odpowie czas. — I przedstawiłem mu logicznie przeze mnie wysnuty długi łańcuch przypuszczeń i dowodów.

Zmrok już zapadał i jasno świecił księżyc, kiedy skończyłem.

— Dlaczego jednak Karol po powrocie nie odzyskał korony? — zapytał Musgrave, wkładając historyczne relikty do płóciennego worka.

— Zadał pan pytanie, na które pewnie nigdy nie będziemy mogli odpowiedzieć. Możliwe, że ten z Musgrave'ów, który znał tajemnicę, umarł, zanim zdążył wyjaśnić następcy znaczenia rytuału. Odtąd zwyczaj przechodził z ojca na syna, aż wreszcie znalazł się człowiek, który odkrył tajemnicę i zginął usiłując wejść w posiadanie skarbu.

Oto, mój drogi, historia rytuału Musgrave'ów. Korona została w Hurlstone, choć Musgrave'owie mieli z tym wiele prawnych trudności i musieli zapłacić znaczną kwotę, zanim uzyskali na to pozwolenie. Jestem pewien, że jeżeli się na mnie powołasz, chętnie ci ją pokażą.

O dziewczynie słuch zaginął. Bardzo możliwe, że wyjechała z Anglii, uwożąc za morze tajemnicę swojej zbrodni.

Przełożył Tadeusz Evert

ROZDZIAŁ II

TAJEMNICA MORDERSTWA W REIGATE

Sporo czasu minęło, zanim mój przyjaciel Sherlock Holmes wrócił do pełni sił po niezwykłym wyczynie, którego dokonał wiosną 1887 roku. Śledztwo w sprawie Towarzystwa Niderlandy–Sumatra i nieprawdopodobne machinacje barona Maupertuisa nie zostały jeszcze zapomniane. Mają takie powiązania z polityką i światową finansjerą, że trudno byłoby omawiać je w tej serii krótkich opowiadań. Afera ta pośrednio przyczyniła się do tego, że mój przyjaciel mógł, rozwiązując ten nadzwyczaj zawiły problem, wykazać wyższość nowej broni nad wieloma innymi, które wykorzystywał w swej długiej walce z przestępczością.

Jak wynika z moich notatek, 14 kwietnia odebrałem telegram z Lyonu z wiadomością, że Holmes leży chory w hotelu „Dulong”. Nim doba minęła, stałem już przy łóżku chorego i z wielką radością stwierdziłem, że nie ma żadnych niebezpiecznych symptomów. Nawet tak żelazny organizm nie oparł się kolosalnemu napięciu wywołanemu przeszło dwumiesięcznymi dochodzeniami. Mój przyjaciel w tym czasie musiał pracować co najmniej po piętnaście godzin na dobę, a czasem, jak sam się przyznał, po pięć dni i nocy bez przerwy. Po tak wyczerpującej pracy, mimo osiągniętego sukcesu, nastąpiła gwałtowna reakcja. Podczas gdy jego nazwisko podawano sobie z ust do ust w całej Europie, a jego pokój dosłownie zasypywano gratulacyjnymi telegramami, on sam wpadł w głęboką depresję. Nawet mając świadomość, że odniósł sukces tam gdzie zawiodła policja trzech państw, iż wywiódł w pole najsprytniejszego oszusta w Europie, nie otrząsnął się z prostracji.

Trzy dni później byliśmy już na Baker Street. Wiedziałem jednak, że tylko zupełna zmiana otoczenia pomoże memu przyjacielowi, mnie zaś uśmiechała się myśl spędzenia wiosną tygodnia na wsi. Mój stary przyjaciel, pułkownik Hayter, którego leczyłem niegdyś w Afganistanie, kupił dom w pobliżu Reigate, w Surrey i wielokrotnie mnie do siebie zapraszał. Ostatnio wspominał nawet, że będzie szczęśliwy, jeżeli zabiorę ze sobą mojego przyjaciela Holmesa. Musiałem użyć trochę dyplomacji, ale gdy Holmes dowiedział się, że pułkownik jest kawalerem i będziemy u niego nieskrepowani, ustąpił i tydzień po naszym powrocie z Lyonu znaleźliśmy się już pod gościnnym dachem mojego przyjaciela. Hayter był ogromnie sympatycznym starym żołnierzem, który widział kawał świata, a wkrótce okazało się, że mają z Holmesem wiele wspólnych zainteresowań.

Wieczorem, w pierwszym dniu naszego pobytu na wsi, siedzieliśmy po obiedzie w myśliwskim pokoju pułkownika. Holmes wyciągnął się wygodnie na kanapie, a gospodarz pokazywał mi swoją kolekcję broni palnej.

— Muszę na wszelki wypadek — powiedział niespodziewanie pułkownik — zabrać jeden z tych rewolwerów do sypialni.

— Na wszelki wypadek? — powtórzyłem.

— Ostatnio było tu trochę niespokojnie. W ubiegły poniedziałek włamano się do miejscowego bogacza. Nie wyrządzono żadnej szkody, ale te łobuzy są nadal na wolności.

— Nie wykryto żadnego śladu? — zapytał Holmes, spoglądając z ukosa na pułkownika.

— Dotąd żadnego. Ale to nieważne, takie tam lokalne przestępstwo, niewarte, aby pan po tej wielkiej międzynarodowej aferze się nim zajmował.

Holmes na pozór nie zwrócił uwagi na komplement, choć uśmiechając się zdradził, że słowa pułkownika mu pochlebily.

— Czy było coś dziwnego w tym włamaniu?

— Chyba nie. Złodzieje przeszukali bibliotekę, lecz niewiele na tym zyskali. Przewrócili wszystko do góry nogami, powyciągali wszystkie szuflady, przetrząsnęli szafy i w rezultacie

zabrali jeden tom Homera w przekładzie Pope'a, dwa posrebrzane świeczniki, przycisk z kości słoniowej, mały dębowy barometr i kłębek szpagatu.

— Co za dziwne zestawienie! — wykrzyknąłem.

— Złodzieje brali widocznie, co im wpadło pod rękę.

Holmes mruknął z kanapy:

— Miejscowa policja powinna się tym zająć, przecież widać...

Ostrzegawczo podniosłem rękę.

— Masz tu odpoczywać, stary. Na miłość boską, nie zaczynaj nowej sprawy! I tak masz nerwy stargane...

Holmes spojrział na pułkownika i z komiczną rezygnacją wzruszył ramionami.

Rozmowa przyjęła inny, bezpieczniejszy obrót.

Tak się jednak stało, że moja zawodowa ostrożność poszła na marne, bo następnego ranka zaistniał nowy fakt, którego nie można już było zignorować. Nasz pobyt na wsi nie miał już odtąd charakteru wypoczynkowego, czego nikt z nas nie zdołał przewidzieć.

Siedzieliśmy właśnie przy śniadaniu, kiedy, zapominając tym razem o poprawnym zachowaniu, wpadł do pokoju kamerdyner pułkownika.

— Czy pan już słyszał?! — zawołał, ciężko dysząc. — Tym razem u Cunninghamów, proszę pana!

— Rabunek? — zawołał pułkownik, zatrzymując filiżankę z kawą w pół drogi do ust.

— Morderstwo!

Pułkownik gwizdnął przez zęby.

— Na Boga! — powiedział. — Kogo zabito? Sędziego czy syna?

— Żadnego z nich. Williama, stangreta. Na miejscu, kulą w serce.

— Kto go zastrzelił?

— Włamywacz, proszę pana. Uciekł błyskawicznie. Włamał się przez okno do spiżarni i tu nakrył go William, ratując pańskie dobro.

— Kiedy to się stało?

— Ubiegłej nocy koło dwunastej.

— No, to musimy zaraz tam pójść — spokojnie powiedział pułkownik, kończąc śniadanie.

— Niedobrze — dodał po wyjściu kamerdynera. — Ten Cunningham to pierwsza osoba w naszym rejonie i bardzo przyzwoity człowiek. Musiał też ciężko przeżyć ten wypadek, bo William służył u niego od lat i był porządnym chłopcem. Pewnie byli to ci sami złodzieje, którzy włamali się do Actona.

— I skradli tę zadziwiającą kolekcję? — zapytał Holmes zamyślony.

— Tak.

— Hm! Może to być najzwyczajniejsze w świecie przestępstwo, ale na pierwszy rzut oka wydaje się niezwykle. Banda działająca w jakimś okręgu powinna była zmienić trochę teren, a nie włamywać się tuż obok po paru dniach. Wczoraj, kiedy pan mówił, że trzeba się mieć na baczności, pomyślałem, że z całej Anglii chyba tu jest najbezpieczniej. Widać z tego, że mogę się jeszcze czegoś w życiu nauczyć.

— To musi być jakiś miejscowy złodziejasek — odparł pułkownik. — I dlatego, oczywiście, wybrał Actonów i Cunninghamów, bo oni cieszą się u nas największym poważaniem.

— I są najbogatsi?

— Tak powinno być, ale rozpoczęli między sobą długi proces, który, jak sędzę, wyciągnął z nich ostatni grosz. Stary Acton rości sobie pretensję do połowy majątku Cunninghamów, a prawnikom tylko w to graj.

— Jeśli to jakiś tutejszy złodziejasek, nietrudno go będzie złapać — rzekł Holmes, ziewając. — Watsonie, uspokój się, nie mam zamiaru się do tego mieszać.

— Inspektor Forrester, proszę pana — zameldował kamerdyner, otwierając drzwi na oścież.

Do pokoju wszedł oficer policji, człowiek młody, z dobrą prezencją.

— Dzień dobry, panie pułkowniku — powiedział. — Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, ale słyszeliśmy, że przebywa u pana pan Holmes z Londynu.

Pułkownik wskazał ręką na mego przyjaciela, a inspektor uklonił mu się.

— Myśleliśmy, że może zechciałby pan tam pójść, panie Holmes.

— Los ci nie sprzyja, Watsonie — roześmiał się Holmes. — Właśnie rozmawialiśmy o tej sprawie, kiedy pan wszedł, inspektorze. Może pan nas zapozna ze szczegółami.

Odchylił się w fotelu i po jego minie zrozumiałem, że straciłem już wszelkie szansę.

— W sprawie Actona nie natrafiłszy na żaden ślad, ale tu jest o co zahaczyć. Niewątpliwie to byli ci sami ludzie. Zabójcę widziano.

— O!

— Tak, proszę pana. Ale po zastrzeleniu biednego Williama Kirwana uciekł z chyżością jelenia. Pan Cunningham widział go z okna sypialni, a jego syn, Alec Cunningham, stojąc w drzwiach kuchennych. Stało się to w nocy, kwadrans przed północą. Sędzia właśnie się położył, a jego syn palił fajkę w garderobie. Obaj słyszeli, jak William wzywał pomocy. Pan Alec wybiegł, aby zobaczyć, co się stało. Gdy był już na dole, przez otwarte drzwi kuchenne zobaczył dwóch ludzi walczących na progu. Jeden z nich strzelił, drugi upadł. Morderca przebiegł ogród i przeskoczył przez płot. Sędzia z okna widział, że dobiegł do szosy i tam zniknął. Jego syn natomiast uważał, że przede wszystkim powinien ratować rannego. Wiemy jednak, że zabójca był średniego wzrostu ubrany na czarno. Rozpoczęliśmy energiczne poszukiwania i jeśli jest to ktoś obcy, na pewno go złapiemy.

— A co tam robił William? Czy przed śmiercią nic nie powiedział?

— Ani słowa. Razem z matką mieszkał w stróżówce. Był bardzo obowiązkowy, więc przypuszczamy, że obchodził w nocy ogród. Po tym rabunku u Actonów ludzie stali się czujni. Złodziej usiłował sforsować drzwi, o czym świadczą ślady na zamku. W tym właśnie momencie William go chwycił.

— Czy William powiedział matce, dokąd idzie?

— Ona już prawie nie słyszy. Nie możemy się od niej niczego dowiedzieć. Po śmierci syna całkiem straciła rozum, choć i przedtem chyba nie była zbyt rozgarnięta. Mamy jednak w rękę jeden, bardzo ważny szczegół. Niech pan na to spojrzysz.

Wyjął z notesu skrawek papieru i rozłożył go na kolanach.

— Denat trzymał to kurczowo w rękę. Urwany kawałek papieru. Niech pan, proszę, zwróci uwagę, że godzina na nim podana zgadza się z godziną zabójstwa biednego Williama. Ktoś komuś, albo on mordercy, albo morderca jemu, mógł wyrwać resztę arkusika z ręki. Fragment treści przypomina wezwanie na schadzkę.

Holmes wziął strzępek papieru, który reprodujemy poniżej:

*przed dwadzieścia
się czegoś to cię
niezmiernie ważne
nie mówić*

— Zakładając, że jest to wezwanie na schadzkę — ciągnął inspektor — można przypuścić, że William Kirwan, choć uchodził za człowieka porządnego, mógł być w zмовie ze złodziejem. Spotkał się z nim, może nawet pomógł mu się włamać do domu, a potem mogli się o coś pokłócić.

— To bardzo interesujący dowód — rzekł Holmes, z najwyższą uwagą badając skrawek papieru. — Sprawa jest poważniejsza niż myślałem.

Podparł głowę rękami, a inspektor uśmiechnął się, widząc, jakie wrażenie wywarł ten wypadek na sławnym londyńskim detektywie.

— Pańskie podejrzenie, że złodziej i stangret mogli działać w porozumieniu i że ten skrawek może być urywkiem listu wyznaczającego spotkanie — powiedział Holmes wreszcie — wydaje mi się prawdopodobne. Lecz wynika z niego... — Znow podparł czoło rękami i przez parę minut siedział głęboko zadumany.

Gdy wreszcie uniósł głowę, ze zdziwieniem zobaczyłem, że rumieniec zabarwił mu policzki, a oczy zabłyśły jak dawniej. Energicznie zerwał się na równe nogi.

— Coś panom powiem! — rzekł. — Chciałbym zapoznać się z tą sprawą. Coś mnie w niej pociąga. Jeśli pan pozwoli, pułkowniku, zostawię panu Watsona, a sam z inspektorem pójdę się przekonać, czy nie za daleko poniosła mnie fantazja. Wrócę za jakieś pół godziny.

Po upływie półtorej godziny inspektor wrócił... sam.

— Pan Holmes spaceruje po polanie — powiedział. — Chce, żebyśmy wszyscy poszli na miejsce zbrodni.

— Do Cunninghamów?

— Tak.

— Po co?

Inspektor wzruszył ramionami.

— Właściwie nie wiem. Między nami mówiąc, sędzę, że pan Holmes jeszcze nie jest zupełnie zdrowy. Dziwacznie się zachowuje i jest bardzo podniecony.

— Niech się pan nie obawia, drogi panie — wtrąciłem. — Nieraz już się przekonałem, że w jego szaleństwie jest metoda.

— Można by raczej powiedzieć, że w jego metodzie; jest szaleństwo — mruknął inspektor. — Ale tak czy owak, on na nas niecierpliwie czeka i dobrze zrobimy, wyruszając zaraz, jeśli panowie są gotowi.

Zastaliśmy Holmesa przechadzającego się po polanie, z głową opuszczoną na piersi i rękami schowanymi w kieszeniach.

— Sprawa staje się coraz ciekawsza — powiedział. — Watsonie, miałeś świetny pomysł, namawiając mnie na ten wyjazd. Cóż za wspaniały ranek!

— Czy był pan na miejscu zbrodni? — zapytał pułkownik.

— Tak. Razem z inspektorem przeprowadziliśmy mały wywiad.

— Uwieńczony powodzeniem?

— Widzieliśmy coś bardzo ciekawego. Opowiem o tym po drodze. Przede wszystkim obejrzelśmy zwłoki zabitego. Istotnie zmarł od kuli.

— Czy pan w to wątpił?

— Och, najlepiej jest samemu się o wszystkim przekonać. Nie straciliśmy czasu. Rozmawialiśmy z Cunninghamem i jego synem, którzy dokładnie wskazali nam miejsce, gdzie zbrodniarz przeskoczył płot, uciekając. To było niezmiernie ciekawe.

— Oczywiście.

— Potem odwiedziliśmy matkę biedaka. Ale od niej nie dowiedzieliśmy się niczego. Jest bardzo stara i słaba.

— No i co pan myśli?

— Myślę, że to nie jest zwykła zbrodnia. Nasze odwiedziny u Cunninghamów mogą sporo wyjaśnić. Pan chyba zgodzi się ze mną, inspektorze, że skrawek papieru w ręce zmarłego, dokładnie określający godziny jego zgonu, jest niesłychanie ważny i może odegrać dużą rolę w rozwiązaniu zagadki.

— Jestem tego samego zdania.

— I podsunie nam rozwiązanie. Bez względu na to, kim był autor tego listu, właśnie wyciągnął Kirwana z łóżka przed dwunastą. Gdzie jednak jest reszta kartki?

— Przeszukałem uważnie cały teren, ale bez rezultatu — powiedział inspektor.

— A więc ktoś wyrwał ją zabitemu z ręki. Ale czego temu komuś tak bardzo na niej zależało? Bo mogła go zdradzić. Ale co z nią zrobił? Może wsadził dc kieszeni, nie zauważywszy nawet, że kawałek został w ręku Williama. Jeśli więc odnajdziemy pozostałą część, posuniemy się naprzód w naszych poszukiwaniach.

— Tak, ale jak to zrobić, skoro jeszcze nie złapaliśmy zabójcy?

— No, tak, nad tym trzeba pomyśleć. Poza tym jest jeszcze coś godnego uwagi. Kartkę przesłano Williamowi. Człowiek, który ją pisał, sam mu jej nie wręczył, bo inaczej mógłby mu wszystko powiedzieć. Kto więc był posłańcem? A może przesłano ją pocztą?

— Sprawdziłem — odparł inspektor. — Wczoraj pocztą popołudniową nadszedł list do Williama. Koperta została jednak zniszczona.

— Doskonale! — wykrzyknął Holmes, klepiąc inspektora po ramieniu. — Rozmawiał pan z listonoszem. Współpraca z panem to prawdziwa przyjemność. Oto stróżówka. Pułkownika, jeśli zechce pan pójść ze mną, pokażę panu miejsce zbrodni.

Minęliśmy przyjemny domek, gdzie mieszkał zamordowany, i poszliśmy dalej aleją dębową aż do pięknego, starego dworu w stylu królowej Anny z wrytą datą bitwy pod Malplaquet w 1709 roku na belce nad drzwiami wejściowymi.

Holmes z inspektorem poprowadzili nas wokół domu Ho bocznego wejścia oddzielonego skrawkiem ogrodu od parkanu biegnącego wzdłuż drogi. Przed kuchennymi drzwiami stał policjant.

— Proszę otworzyć — powiedział Holmes do niego. I zwrócił się do nas — Z tych schodów młody Cunningham widział dwóch mężczyzn walczących w miejscu, gdzie teraz stanęliśmy. Jego ojciec, stojąc przy tym oknie, drugim po lewej ręce, zobaczył mordercę uciekającego w lewo od tego krzaka. Młody Cunningham widział go tam również. Obaj zgadzają się co do tego krzaka. Potem młody Cunningham wybiegł i ukląkł przy rannym. Jak panowie widzą, ponieważ ziemia jest tu twarda, nie zostały żadne ślady.

Kiedy Holmes to mówił, ścieżką zza rogu domu wyszło dwóch mężczyzn. Jednym z nich był człowiek w podeszłym już wieku, o surowej twarzy pobrużdżonej zmarszczkami i ciężkich, obwisłych powiekach, drugi — tryskający życiem, wesoły młodzieniec, którego wygląd dziwnie kontrastował z dramatem, jaki nas tu sprowadził.

— Jeszcze się pan nad tym głowi? — zwrócił się do Holmesa. — Myślałem, że was, londyńczyków, nic nie zbije z tropu. A pan jakoś nie może sobie z tą sprawą poradzić.

— O, proszę nam dać trochę czasu — pogodnie odrzekł Holmes.

— Będzie go pan sporo potrzebował — odparł młodzieniec. — Nie sądzę, żebyście odnaleźli klucz do tej zagadki.

— Mamy pewien ślad — wtrącił inspektor. — Przypuszczamy, że gdyby się nam udało znaleźć... Na Boga? Panie Holmes, co się panu stało?

Mój przyjaciel nagle przerażająco zmienił się na twarzy. Oczy mu wpadły, ból wykrzywił rysy. Ze zduszonym jękiem runął twarzą na ziemię. Przerażeni tym nagłym atakiem zanieśliśmy Holmesa do kuchni, gdzie przez parę minut, w pół leżąc w fotelu, z trudem łapał oddech. Wreszcie nieśmiało przeprosił nas za chwilową niedyspozycję i znów się podniósł.

— Watson potwierdzi panom, że jestem po ciężkiej chorobie — wyjaśnił — i że takie gwałtowne nerwowe ataki często mi się zdarzają.

— Może odwieźć pana bryczką do domu? — zapytał stary Cunningham.

— Skoro już tu jestem, chciałbym mieć pewność co do jednego. To nie sprawi większego kłopotu.

— O co chodzi?

— A więc wydaje mi się, że nieszczęsny William mógł się tu zjawić nie przed, lecz po wtargnięciu włamywacza do domu. Panowie zaś wydają mi się pewni, że zbrodniarz nie wszedł do środka, chociaż stwierdzone zostało, że drzwi były wyłamane.

— To chyba oczywiste — poważnie odparł stary Cunningham. — Mój syn jeszcze się nie położył i usłyszałby ruch wewnątrz domu.

— A gdzie był wówczas?

— Palilem fajkę w swojej garderobie — odpowiedział Alec.

— Które to okno?

— Ostatnie na lewo, tuż koło sypialni ojca.

— W obu pokojach paliły się lampy, prawda?

— Oczywiście.

— To zastanawiające — uśmiechnął się Holmes. — Czy panów nie dziwi, że włamywacz, i to z pewnym doświadczeniem, włamał się do domu, widząc, że jego mieszkańcy jeszcze nie śpią?

— Musiał być nad wyraz bezczelny.

— No, gdyby wszystko było takie proste, nie zwracalibyśmy się do pana — wtrącił się młody Cunningham. — Uważam jednak, że to absurd zakładać, iż zbrodniarz dostał się do domu zanim William nadszedł. Czy znaleźliśmy w środku jakiś dowód, że on tam wszedł albo coś ukradł?

— Trudno na to jednoznacznie odpowiedzieć — odparł Holmes. — Proszę pamiętać, że mamy do czynienia z dość oryginalnym włamywaczem, który poszukuje czegoś niezwykłego. Niech pan sobie przypomni, na przykład, co zrabował u Actonów... co to było?... Kłębek szpagatu, przycisk i jakieś dziwne rzeczy!

— Jesteśmy całkowicie do pańskiej dyspozycji, panie Holmes — rzekł stary Cunningham. — Zrobimy wszystko, czego pan albo inspektor od nas zażądacie.

— Przede wszystkim chciałbym, żeby pan wyznaczył prywatnie nagrodę za ujęcie przestępcy, bo zanim władze ustalą wysokość oficjalnej kwoty, potrwa to dosyć długo, a czas nagli. Już sobie naszkicowałem tekst ogłoszenia, jeśli go pan zechce podpisać. Uważam, że pięćdziesiąt funtów zupełnie wystarczy.

— Chętnie dam nawet pięćset — odparł sędzia, biorąc z rąk Holmesa kartkę papieru i ołówek. — Ale tu jest błąd — dorzucił, czytając tekst.

— Pisałem w pośpiechu.

— Pisz pan: „za kwadrans pierwsza we wtorek usiłowano...” i tak dalej. A przecież stało się to za kwadrans dwunasta.

Zrobiło mi się przykro, bo wiedziałem, jak zabolil Holmesa ta pomyłka. Był niezwykle pedantyczny, ale ostatnia choroba widocznie dawała o sobie znać. Ta drobna pomyłka wskazywała, że wciąż jeszcze nie doszedł do siebie. Holmes zmieszał się w pierwszej chwili, inspektor uniósł brwi ze zdziwienia, a młody Cunningham wybuchnął śmiechem. Sędzia poprawił błąd i zwrócił papier Holmesowi.

— Niech pan to zaraz ogłosi — powiedział. — Bardzo mi się podoba pański pomysł.

Holmes starannie schował kartkę do notesu.

— A teraz dobrze by było, gdybyśmy wszyscy poszli do domu i sprawdzili, czy ten zwariowany włamywacz rzeczywiście niczego nie zabrał.

Przed wejściem do domu Holmes dokładnie zbadał wyłamany zamek. Wyraźnie było widać, że podważono go jakimś mocnym nożem czy dłutem.

— Panowie nie używają zasuw? — zapytał Holmes.

— Dotychczas nie było takiej potrzeby.

— I nie macie psa?

— Mamy, ale trzymamy go na łańcuchu, po tamtej stronie domu.

— O której służba idzie spać?

— Koło dziesiątej.

— Rozumiem, że i William kładł się o tej porze?

— Tak.

— To dziwne, że właśnie tej nocy był na nogach. Panie Cunningham, będę panu bardzo zobowiązany, jeśli zechce nas pan oprowadzić po domu.

Wyłożony kamiennymi płytami korytarz, z kuchniami po obu stronach, prowadził do drewnianych schodów wiodących na pierwsze piętro. Schody wychodziły na podest i kończyły się na wprost innych, ozdobniejszych, prowadzących z frontowego holu. Z podestu wchodziło się do salonu i paru sypialni, między innymi do sypialni starego Cunninghama i jego syna. Holmes szedł wolno, uważnie przyglądając się rozkładowi pomieszczeń mieszkalnych. Po jego minie widziałem, że trafił na świeży ślad, choć nie potrafiłem się domyślić, w jakim kierunku idą jego podejrzenia.

— Drogi panie — z lekkim zniecierpliwieniem w głosie zaczął Cunningham — to przecież do niczego nie prowadzi. Mój pokój jest tam, przy końcu schodów, mojego syna tuż obok. Niechże się pan zastanowi, czy złodziej mógłby się tu dostać nie usłyszany?!

— Będzie pan musiał poszukać innego śladu — ze złośliwym uśmiechem wtrącił syn.

— Proszę panów o chwilę cierpliwości. Chciałbym zobaczyć, na przykład, co można dojrzeć z okien sypialni. To chyba sypialnia pańskiego syna — otworzył drzwi — a to, jak się domyślam, garderoba, w której palił papierosa, gdy usłyszał wołanie o pomoc. Na którą stronę wychodzi jej okno?

Przeciął sypialnię, pchnął drzwi i obrzucił uważnym spojrzeniem sąsiedni pokój.

— Teraz chyba jest już pan zadowolony? — Zdenerwowanym głosem zapytał Cunningham.

— Dziękuję panu. Zobaczyłem wszystko, czego potrzebowałem.

— A zatem, skoro pan to uważa za konieczne, przejdźmy do mojego pokoju.

— Jeśli to panu nie sprawi różnicy.

Sędzia wzruszył ramionami i poprowadził nas do swego skromnie i banalnie umeblowanego pokoju. Gdy szliśmy do okna, Holmes zwolnił kroku, tak że obaj znaleźliśmy się w tyle.

W nogach łóżka stał mały kwadratowy stoliczek, a na nim patera z pomarańczami i karafka wody. Mijając go, Holmes ku memu wielkiemu zdziwieniu pochylił się i przewrócił wszystko na podłogę. Karafka poszła w drobny mak, a pomarańcze rozsypały się po całym pokoju.

— Coś ty narobił — spokojnie powiedział do mnie Holmes — zniszczyłeś dywan!

Przystanąłem zmieszany i zacząłem zbierać pomarańcze, nie rozumiejąc dlaczego mój przyjaciel chciał winę zwalić na mnie. Nasi towarzysze pomogli mi i postawili stolik na miejscu.

— Ejże! — zawołał nagle inspektor. — Gdzie on się podział?

Holmes zniknął.

— Poczekajcie tu, panowie — powiedział młody Cunningham. — Chyba ma bzika. Chodź, ojczy, zobaczymy, dokąd poszedł.

Obaj wybiegli z pokoju, podczas gdy my — pułkownik, inspektor i ja, zdziwieni patrzyliśmy na siebie.

— Słowo daję, zgadzam się z panem Cunninghamem i — odezwał się wreszcie inspektor. — Może to przez te choroby, ale sądzę, że...

Przerwało mu głośnie wołanie: „ratunku! ratunku! mordercy!” Poznałem głos mego przyjaciela. Jak szalony wybiegłem na podest. Krzyk, który przeszedł tymczasem w głuche rżenie, dobiegał z sypialni młodego Cunninghama. Wpadłem tam, a następnie do przyległej garderoby. Obaj Cunninghamowie pochylali się nad rozciągniętym na wznak Holmesem: młody oburącz dusił go, a stary usiłował mu wykręcić ręce. W mgnieniu oka odciągnęliśmy ich, a Holmes blady i wyczerpany z trudem stanął na nogach.

— Inspektorze, niech pan aresztuje tych ludzi — szepnął z trudem.

— Pod jakim zarzutem?

— Zabójstwa stangreta Williama Kirwana.

Inspektor rozejrzał się osłupiały.

— Och, panie Holmes — powiedział — pan chyba nie myśli, że...

— Człowieku! Niech pan spojrzy na ich twarze! — zawołał Holmes szorstko.

Nigdy chyba nie widziałem, żeby czyjeś twarze wyrażały bardziej szczerze wyznanie winy. Stary Cunningham stał jak rażony piorunem, z ponurym wyrazem na swojej pomarszczonej twarzy. Jego syn zaś nagle stracił pogodę i pewność siebie. Oczy płonęły mu dziko, a grymas wściekłości wykrzywił przystojną twarz. Inspektor bez słowa podszedł do drzwi i zagwizdał. Dwaj konstable wbiegli na górę.

— Bardzo mi przykro — powiedział do Cunninghamów. — Mam nadzieję, że wszystko się wyjaśni, ale sami panowie widzą... Coś takiego! Rzuć to! — Zamachnął się.

Młody Cunningham upuścił rewolwer, wytrącony przez inspektora.

— Niech pan to zatrzyma jako dowód rzeczowy — Holmes błyskawicznie stanął nogą na rewolwerze. — A teraz to, czego przede wszystkim szukaliśmy.

Uniósł w górę zmiętoszony kawałek papieru.

— Brakująca część arkusika! — wykrzyknął inspektor.

— Tak.

— Gdzie była?

— Tam, gdzie wiedziałem, że jest. Zaraz wam wszystko wyjaśnię. Pułkowniku, niech pan wróci z Watsonem do domu, a ja przyjdę najpóźniej za godzinę. Musimy porozmawiać z aresztowanymi, ale na pewno wrócę na drugie śniadanie.

Holmes dotrzymał słowa, bo około pierwszej zjawił się w palarni pułkownika. Towarzyszył mu starszy niski pan — przedstawiono mi go jako pana Actona, sąsiada, do którego włamano się za pierwszym razem.

— Chciałem, żeby pan Acton był przy tym, gdy będę wyjaśniał tajemnicę tej małej afery — oznajmił Holmes. — Jasne bowiem, że interesuje się jej szczegółami. Boję się, pułkowniku, że pan żałuje godziny, kiedy przyjął pan pod swój gościnny dach tak niespokojnego ducha jak ja.

— Przeciwnie — gorąco zapewniał pułkownik. — Jestem szczęśliwy, że mogę zapoznać się z pańskimi metodami pracy. Przyznaję, że to, czego byłem świadkiem, przekroczyło moje najśmielsze oczekiwania i zupełnie nie rozumiem, jakimi drogami doszedł pan do tak wspaniałych wyników.

— Nie chciałbym pana rozczarować. Nigdy jednak nie robiłem tajemnicy ze stosowanych przeze mnie metod ani przed moim przyjacielem Watsonem, ani Przed kimkolwiek, kto potrafiłby je ocenić. Ale niech mi pan pozwoli pokrzepić się odrobiną brandy, bo niezupełnie jeszcze przyszedłem do siebie po tej szarpaninie z Cunninghamami. Ostatnio czuję się trochę zmęczony.

— Ale chyba nie miał pan drugiego ataku?

Holmes roześmiał się serdecznie.

— Jeszcze do tego dojdziemy — powiedział. — Wyjaśnię panom wszystko po kolei, zwracając waszą uwagę na pewne szczegóły, które były mi niezwykle pomocne. Proszę, przerwicie mi, panowie, jeśli jakaś moja konkluzja nie będzie dość jasna.

Najważniejszą rzeczą w sztuce dedukcji jest umiejętność odróżnienia faktów istotnych od nieistotnych. Jeśli tego nie potrafimy, rozpraszamy tylko naszą energię i uwagę zamiast ją skupić. W tej sprawie od razu zrozumiałem, że klucz do zagadki tkwi w skrawku papieru wyjętym z ręki ofiary. Przede wszystkim chciałbym zwrócić panów uwagę, że gdyby Alec Cunningham mówił prawdę i zabójca, po zastrzeleniu Williama Kirwana, natychmiast uciekł, nie mógłby wyrwać papieru z ręki swej ofiary. A zatem, jeśli nie on go wyrwał, musiał to zrobić sam Alec, bo gdy stary Cunningham zszedł na dół, służba już się zebrała przy zabitym. Jest to jasne jak dzień, ale inspektor nie wyobrażając nawet sobie, że przedstawiciele miejscowej elity mogliby popełnić tę zbrodnię, nie dostrzegł oczywistej prawdy. Ja zaś

przyjąłem jako zasadę, że należy odrzucać wszelkie uprzedzenia tego rodzaju i skrupulatnie iść za każdym śladem. Dlatego od razu zacząłem podejrzliwie przyglądać się Alecowi Cunninghamowi i postanowiłem zbadać, jaką rolę odgrywał w tej sprawie. Bardzo uważnie zbadałem rozek papieru pokazany nam przez inspektora. Uświadomiłem sobie szybko, że jest to część niezmiernie ważnego dokumentu. Oto on. Czy nic tu nie rzuca się panom w oczy?

— Różny charakter pisma — powiedział pułkownik.

— Drogi panie — wykrzyknął Holmes — przecież to oczywiste, że pisały go dwie osoby na zmianę. Zwrócę panu uwagę na literę „w” ostrą w słowach „dowiesz się” i „ważne” i zaokrągloną w wyrazach „kwadrans” i „dwunasta”. Teraz widzi pan, że mam rację. Nawet powierzchowna analiza tych czterech słów pozwoli panu stwierdzić, że „dowiesz się” i „ważne” skreśliła mocna ręka, a „kwadrans” i „dwunasta” — już znacznie słabsza.

— Ależ to jasne jak słońce! — wykrzyknął pułkownik. — Do diabła! Dlaczego aż dwie osoby pisały ten list?

— Bo chodziło o zbrodnię, a ci ludzie nie ufali sobie. Chcieli wzajemnie trzymać się w rękę. Dalej: widzimy, że człowiek, który napisał „dowiesz się”, był inicjatorem wszystkiego.

— Z czego pan to wnosi?

— Chociażby z porównania charakterów pisma. Ale mamy jeszcze lepszy dowód. Niech pan dokładnie przyjrzy się karteczce. Widzi pan, że człowiek o mocnym charakterze pisma pierwszy napisał swoje słowa, pozostawiając między nimi wolne miejsca drugiemu. Te przerwy były jednak za małe, toteż może pan zobaczyć, że drugi z piszących musiał ścisnąć słowa „czegoś co” między „się” i „cię”. To wyraźnie wskazuje, że zasadniczy tekst był już z góry przygotowany, a zatem ten, kto go napisał, musiał zainicjować całą zbrodnię.

— Wspaniale! — wykrzyknął Acton.

— Ale to bardzo powierzchowna ocena faktów — odrzekł Holmes. — Teraz przechodzimy do zasadniczego punktu. Może wiedzą, panowie, że grafolodzy potrafią niemal dokładnie określić wiek piszącego na podstawie pisma. W normalnych przypadkach można to dość trafnie ustalić z dokładnością do dziesięciu lat. Mówię: w normalnych przypadkach, bo człowiek, choć młody, ale chory czy słabowity, może pisać jak starzec. Tu, mając przed oczami śmiałe, mocne pismo jednego i przerywane, chwiejne, jeszcze czytelne, lecz już z zanikającym przekreśleniem litery „t” — drugiego, możemy powiedzieć, że jeden z autorów listu był młodym, drugi starszym człowiekiem, choć jeszcze nie starcem.

— Wspaniale! — powtórzył Acton.

— Ale mamy jeszcze jeden punkt zaczepienia, znacznie ciekawszy. W obu charakterach pisma jest coś wspólnego, widać jakąś więź krwi. Panowie mogą to stwierdzić po rysunku litery „s”, lecz ja widzę to w wielu innych, jeszcze drobnych szczegółach. Oba charakterystyki pisma nacechowane są wspólną, rodzinną manierą. Przedstawiłem tu panom tylko zasadnicze wnioski, jakie wysnułem z badania pisma. Ilość wniosków można powiększyć do dwudziestu trzech, którymi zajęliby się z chęcią eksperci. Jestem jednak już pewien, że list do Williama pisali Cunninghamowie, ojciec i syn.

Ustaliwszy to, spróbowałem zapoznać się bliżej ze szczegółami zbrodni i przekonać się, jak daleko mogą mnie one zaprowadzić. Poszedłem z inspektorem do domu i obejrzałem wszystko, co tylko się dało. Z oględzin zwłok wynikało niezbicie, że zabójca strzelił z odległości ponad czterech jardów. Ubranie zabitego wokół rany nie było osmalone. Alec Cunningham musiał więc skłamać, mówiąc, że tuż przed strzałem widział dwóch ludzi zmagających się ze sobą. Ojciec i syn zgodnie określili miejsce, w którym zbrodniarz wy dostał się na drogę. Ale akurat tamtędy przechodzi szeroki rów o wilgotnym dnie, powinny więc zostać jakieś ślady. A skoro ich nie było, nabrałem pewności, że Cunninghamowie kłamią i że nikt obcy nie wchodzi tu w grę.

Teraz należało już tylko odkryć, jakie były motywy tej niezwykłej zbrodni. Nasuwało się pytanie, po co włamywano się do Actona. Ze słów pułkownika wynikało, że między panem,

panie Acton, a Cunninghama — mi toczy się jakiś proces. Od razu przyszło mi do głowy, że chodziło o zdobycie jakiegoś ważnego, decydującego dla sprawy dokumentu.

— I tak właśnie było — wtrącił Acton. — Nie mam żadnych wątpliwości co do zamiarów Cunninghamów. Ja mam uzasadnione roszczenia do połowy ich posiadłości. A gdyby zdobyli jeden tylko papierek (na szczęście przechowuję go w kasie mojego adwokata) bardzo poważnie wpłynęłoby to na przebieg sprawy.

— No właśnie! — powiedział Holmes, uśmiechając się. — Była to bezczelnie śmiała próba, widzę tu rękę młodego Aleca. Cunninghamowie nie znaleźli jednak tego, czego szukali, i dlatego, aby zmylić ślady, nadali, włamaniu pozory zwykłego przestępstwa, zabierając, co im wpadło w rękę. To było jasne, ale jeszcze pozostawało coś do wyjaśnienia. Przede wszystkim chodziło mi o brakującą część kartki. Byłem pewien, że Alec wyrwał ją z ręki umierającego, i niemal pewien, że ją wsunął do kieszeni szlafroka. Bo co miały z nią zrobić? Należało więc to sprawdzić i dlatego poszliśmy do domu.

Cunninghamowie, jak sobie panowie przypominają, dołączyli do nas przed kuchennymi drzwiami. Niezwykle ważne było, żeby sobie nie przypomnieli o kartce, bo wiedząc, że jej szukam, zaraz by ją zniszczyli. Inspektor o mały włos się nie wygadał, gdy szczęśliwym trafem dostałem ataku, skupiając na sobie uwagę obecnych.

— Wielkie nieba! — zawołał pułkownik śmiejąc się. — Czy to oznacza, że odegrał pan małą komedię i że nie powinniśmy panu współczuć?

— Z zawodowego punktu widzenia mówiąc, zagrałeś znakomicie — wtrąciłem, patrząc z podziwem na Holmesa, który co chwila potrafił mnie czymś zadziwić.

— Umiejętność udawania to bardzo pożyteczna sztuka — powiedział Holmes. — Gdy już „doszedłem do siebie”, udało mi się podstępem, być może dość pomysłowym, zmusić starego Cunninghama do napisania słowa „dwunasta”. Pozwoliło mi to porównać je z takim samym słowem na posiadanym skrawku papieru.

— Cóż za osioł ze mnie! — wykrzyknąłem.

— Widziałem, jak się litowałeś nade mną — roześmiał się Holmes. — Przykro mi, że musiałeś się za mnie wstydzić... Potem poszliśmy na górę i znaleźliśmy się w pokoju, gdzie zobaczyłem szlafrok wiszący za drzwiami. Przewróciłem umyślnie stolik, aby odwrócić w ten sposób uwagę od siebie, pobiegłem do tamtego pokoju i zajrzałem do kieszeni szlafroka. Ledwie zdążyłem wyjąć z jednej z nich szukaną kartkę, wpadli obaj Cunninghamowie, rzucili się na mnie i pewnie by mnie zamordowali, gdyby nie szybka pomoc moich przyjaciół. Ciągłe jeszcze boli mnie gardło od uścisku młodego Cunninghama i ręka, którą wykręcał mi stary, chcąc wydrzeć kartkę. Oni musieli się domyślać, że odgadłem ich tajemnicę, i stąd ta nagła zmiana: od absolutnej, aroganckiej pewności siebie do desperacji.

Później już odbyłem krótką rozmówkę ze starym Cunninghamem na temat motywów zbrodni. Z nim poszło dość gładko, inaczej z jego synem, bo to wcielony diabeł, gotów roztrzaskać głowę sobie lub komu innemu, gdyby tylko miał przy sobie rewolwer. Stary, widząc, że wszystko stracone, załamał się i przyznał do winy. Jak wynikało z jego zeznań, William przyłapał swoich panów, kiedy dokonywali napadu na Actona i próbował ich szantażować. Wtedy zastawili na niego pułapkę i zastrzelili. Alec to niebezpieczny przeciwnik w takiej grze. Jego pomysł wykorzystania głośniejszego w okolicy próby rabunku do zgładzenia niebezpiecznego wroga ma w sobie coś genialnego. I gdyby Cunninghamowie zabrali swojej ofierze całą kartkę i trochę staranniej obmyślili szczegóły zbrodni, prawdopodobnie nikt by ich o nią nie podejrzewał.

— A co jest na tej kartce? — zapytałem. Sherlock Holmes położył kartkę przed nami.

Przyjdź koniecznie kwadrans przed dziesiątą
pod wschodnią bramę, a dowiesz się czegoś co ci
bardzo zlewa i jest być może ~~niezmiernie~~ ^{niezmiernie} ważne
dla ciebie i dla Anne Rossion. Tylko nie mów
me mów.

— Nie jest dla mnie zaskoczeniem; spodziewałem się czegoś w tym rodzaju — zakończył Holmes. — Oczywiście, nie wiemy, co łączyło Aleca Cunninghama z Williamem Kirwanem i Annie Morrison. Jak się okazało, pułapka była sprytnie zastawiona. Jestem przekonany, że zachwyca was, panowie, różnice w kształcie litery „r” i ogonku „y”. Brak kropki nad „i” w piśmie starego Cunninghama jest też bardzo charakterystyczny.

Watsonie, wydaje mi się, że nasz wypoczynek na wsi był niezwykle udany i jutro rano wrócę na Baker Street z nowym zapasem energii.

Przełożył Tadeusz Evert

ROZDZIAŁ III

TRAKTAT MORSKI

Lipiec, pierwszy miesiąc po moim małżeństwie, zapisał mi się w pamięci trzema nadzwyczaj ciekawymi sprawami. Los pozwolił mi wówczas współpracować z Sherlockiem Holmesem i jeszcze lepiej zapoznać się z jego metodami. Sprawy te opisałem w moich wspomnieniach, opatrując je tytułami: „Afera drugiej plamy”, „Traktat morski” i „Wyczerpany kapitan”. Pierwsza z nich dotyczy jednak zagadnień takiej wagi i wiąże się z tyloma najznakomitszymi nazwiskami Anglii, że przez wiele jeszcze lat musi pozostać tajemnicą. Trzeba jednak powiedzieć, że dopiero ona wykazała w pełni, ile wart był analityczny umysł Holmesa i wywarła ogromne wrażenie na wszystkich, którzy z nim współpracowali. Ciągle jeszcze przechowuję zapisaną niemal dosłownie rozmowę Holmesa z panami Dubuque’em z paryskiej policji i Fritzem von Waldbaumem, słynnym gdańskim specjalistą, którzy na próżno tracili czas i energię, goniąc za fałszywym tropem. Musimy jednak poczekać z udostępnieniem tej historii aż do następnego stulecia. Tymczasem zajmę się drugą z kolei sprawą, która zapowiadała się w swoim czasie na wydarzenie światowej wagi.

Będąc jeszcze w szkole, przyjaźniłem się z niejakim Percym Phelpsem, chłopcem w moim wieku, ale chodzącym do starszej klasy. Percy był wyjątkowo zdolny. Otrzymywał wszystkie szkolne nagrody, a następnie uzyskał stypendium, które pozwoliło mu kontynuować wielce obiecującą karierę na studiach w Cambridge. Pamiętam, że pochodził z bardzo ustosunkowanej rodziny. Już jako dzieci wiedzieliśmy, że jego wujem był lord Holdhurst, znany polityk, konserwatysta. W szkole te zaszczytne powiązania nie wychodziły mu na dobre. Przeciwnie, zachęcały nas tylko do ugania się za nim po boisku i walenia go po tydkach kijem od krokietu. Ale inaczej rzecz wyglądała, gdy Percy ukończył studia. Doszły mnie słuchy, że dzięki swoim zdolnościom i stosunkom otrzymał dobre stanowisko w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Potem już nic o nim nie słyszałem aż do chwili odebrania następującego listu:

Briarbrae, Woking

Mój drogi!

Chyba pamiętasz jeszcze »Kijankę« Phelpsa, który był w piątej klasie, gdy Ty byłeś w trzeciej. Może nawet słyszałeś, że dzięki wpływowi mojego wuja uzyskałem dobre stanowisko w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, gdzie wszystko wróżyłoby mi świetną karierę, gdyby nie nagle nieszczęście, które zniweczyło moje nadzieje.

Nie ma po co opisywać Ci tej strasznej historii, bo jeśli spełnisz moją prośbę, opowiem Ci ją osobiście. Właśnie wstałem z łóżka po trwającym dziewięć tygodni zapaleniu mózgu, ale ciągle jeszcze jestem bardzo osłabiony. Czy mógłbyś przyjechać do mnie razem ze swoim przyjacielem Holmesem? Chciałbym usłyszeć jego opinię w gnębiącej mnie sprawie, ponieważ policja twierdzi, że nie jest w stanie nic więcej zrobić. Proszę Cię, przywieź go koniecznie, i to jak najszybciej. W tym okropnym położeniu, w jakim żyję, każda minuta wydaje się wiekiem. Powiedz mu, że zwracam się do niego dopiero teraz nie dlatego, abym nie doceniał jego talentów; po prostu zupełnie straciłem głowę. Teraz już mogę o wszystkim myśleć spokojniej, choć w ogóle muszę się bardzo oszczędzać, żeby nie nastąpił nawrót choroby. Jestem jeszcze taki słaby, że sam nie mogę pisać, i dlatego, jak widzisz, dyktuję ten list. Proszę Cię, koniecznie przywieź Holmesa.

Twój stary kolega Percy Phelps.

Było coś wzruszającego w tym liście. Jakaś żalosna nuta w powtarzającym się błaganiu o sprowadzenie Holmesa. Tak przejęła mnie ta prośba, że bez względu na trudności spełniłbym ją. Holmes uwielbiał robić to, co robił i tak samo chętnie niósł pomoc swoim klientom, jak ci ją przyjmowali. Moja żona zgodziła się ze mną, że nie można zwlekać, toteż godzinę po śniadaniu znów byłem w moim dawnym mieszkaniu na Baker Street.

Holmesa zastałem w szlafroku, przy bocznym stole, zajętego jakimś chemicznym doświadczeniem. W wielkiej wygiętej retorcie nad niebieskawym płomykiem bunsenowskiego palnika coś wrzało. Przedestylowane krople wolno skapywały do dwóch małych menzurek. Holmes ledwie rzucił na mnie okiem, a ja, widząc, jak bardzo jest zaabsorbowany, bez słowa zasiadłem w fotelu i czekałem aż skończy. Patrzyłem, jak szklaną pipetką pobierał krople roztworu to z jednej menzurki, to z drugiej i wreszcie, napełniwszy całą probówkę, przeniósł ją na stół. W prawej ręce trzymał kawałek lakmusowego papierka.

— Trafiłeś na ważny moment — powiedział. — Jeśli ten papierek pozostanie niebieski, wszystko w porządku, lecz jeśli się zaróżowi, oznaczać to będzie śmierć człowieka.

Zanurzył w probówce papierek, który od razu nabrał brudnopurpurowego koloru.

— Hm! Tego się spodziewałem! — wykrzyknął Holmes. — Zaraz ci służę, mój drogi. Tytoń znajdziesz w perskim pantoflu.

Podszedł do biurka i nakreślił kilka depesz, które dał do wysłania chłopcu na posyłki. Potem opadł na fotel naprzeciw mnie. Objął nogi rękoma i podkurczył kolana tak wysoko, że palce zetknęły mu się na szczupłych, długich goleniach.

— Najzwyklejsze morderstwo — powiedział. — Chyba masz coś ciekawszego. Czuję w tobie zwiastuna burzy. O co chodzi?

Podaliśmy mu list. Przeczytał go bardzo uważnie.

— Nic nam to nie mówi, prawda? — powiedział zwracając mi list.

— Prawie nic.

— A jednak charakter pisma jest bardzo ciekawy!

— Przecież to nie on pisał!

— Oczywiście. Pisała kobieta...

— Na pewno mężczyzna! — wykrzyknąłem.

— Nie, kobieta. I to kobieta o niezwykłych cechach charakteru. Widzisz, od samego początku sprawy jest ważne, aby wiedzieć, że nasz klient pozostaje w ścisłym kontakcie z kimś, kto pod każdym względem jest naturą wyjątkową, nawet jeżeli jest kimś złym. Jeśli jesteś gotów, możemy od razu pojechać do Woking i zobaczyć pogrążonego w nieszczęściu dyplomatę oraz kobietę, której dyktował ten list.

Udało nam się złapać poranny pociąg ze stacji Waterloo. W niecałą godzinę znaleźliśmy się wśród jodłowych lasów i wrzosowisk Wokingu. Briarbrae okazało się obszernym, stojącym na odludziu dworem, otoczonym rozległym parkiem. Od stacji dzieliło go niecałe dziesięć minut drogi. Po oddaniu naszych wizytówek weszliśmy do wytwornie urządzonego salonu, gdzie po paru minutach bardzo uprzejmie powitał nas jakiś tęgi mężczyzna. Musiał już mieć około czterdziestki, lecz jego rumiane policzki i wesołe oczy przywodziły na myśl raczej młodego, pulchnego, psotnego chłopaka.

— Bardzo się cieszę, że panowie przyjechali — powiedział, wylewnie ściskając nasze dłonie. — Percy od rana dopytuje się o panów. Biedny chłopiec, chwytą się najdrobniejszego okruszka nadziei. Jego rodzice prosili, abym powitał panów w ich imieniu, gdyż każda wzmianka o tej sprawie jest dla nich bardzo bolesna.

— Trudno nam zabierać głos, ponieważ nic właściwie jeszcze nie wiemy — zauważył Holmes. — Widzę, że pan nie należy do rodziny.

Nasz nowy znajomy wydawał się zaskoczony. Wreszcie spojrzął w dół i się roześmiał.

— Ach, musiał pan zobaczyć monogram J.H. na moim breloku — powiedział. — Przez chwilę myślałem, że zagadka była trudniejsza. Nazywam się Józef Harrison, a że Percy jest

zareczony z moją siostrą Anną, dzięki temu małżeństwu wejść do rodziny. Moją siostrę zobaczą panowie w pokoju Percy'ego. W czasie choroby nie odstępowała go ani w dzień, ani w nocy przez całe dwa miesiące. Może od razu tam pójdziemy. Wiem, jak się Percy niecierpliwi.

Weszliśmy do pokoju na tym samym piętrze, który był czymś pośrednim między bawialnią a sypialnią. W każdym kącie i kąciku stały gustownie ułożone kwiaty. Przy otwartym oknie, przez które wpadały upajające zapachy ogrodu i lata, leżał wyciągnięty na kanapie blady, wyczerpany młody mężczyzna. Siedząca obok niego kobieta wstała na nasz widok.

— Czy mam wyjść, Percy? — zapytała. Chwycił jej rękę i zatrzymał.

— Jak się masz, Watsonie! — powitał mnie serdecznie. — Nie poznałbym cię, wasy cię zmieniły, a i ty chyba byś mnie nie poznał. To zapewne twój słynny przyjaciel, pan Sherlock Holmes?

Przedstawiłem Holmesa i obaj usiedliśmy. Tęgi młody mężczyzna odszedł, ale jego siostra została i nadal siedziała przy chorym, który kurczowo trzymał jej rękę. Była to młoda kobieta, raczej niska i trochę zbyt pulchna, lecz w sumie o zniewalającym wyglądzie. Miała prześliczną śniadą cerę, duże włoskie oczy i niezwykle gęste, kruczoczarne włosy. Przy tym bogactwie kolorów blada, schorowana twarz Percy'ego wydawała się jeszcze bledsza.

— Nie będę zabierał panom czasu — powiedział chory, unosząc się na kanapie — i przystąpię do rzeczy bez zbędnych wstępów. Byłem człowiekiem szczęśliwym, na progu kariery, tuż przed ślubem, gdy nagle spadło na mnie straszne nieszczęście mszcząc wszelkie moje widoki na przyszłość. Watson pewnie mówił panu, że pracuję w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, gdzie dzięki wpływom mojego wuja, lorda Holdhursta, szybko otrzymałem odpowiedzialne stanowisko. Wuj, po mianowaniu go ministrem Spraw Zagranicznych, powierzał mi wiele poufnych spraw, a że zawsze wywiązywałem się z moich obowiązków należycie, nabrał do mnie pełnego zaufania.

Jakieś dziesięć tygodni temu, dokładnie mówiąc 23 maja, wuj wezwał mnie do swego gabinetu, wyraził mi uznanie za moją pracę i powiedział, że chce mi powierzyć nowe poufne zadanie.

— Masz, powiedział, wyjmując z biurka szary rulon papieru — oryginał tajnego traktatu zawartego między Anglią i Włochami. Niestety, niektóre szczegóły z niego przedostały się już do prasy. Jest rzeczą niesłychanie ważną, żeby już nic więcej nie przeniknęło na zewnątrz. Ambasada rosyjska czy francuska zapłaciłaby każdą cenę za jego treść. Nie wypuściłbym go z rąk, gdyby nie konieczność zrobienia kopii. Czy u siebie w biurze masz zamykaną szufladę?

— Tak.

— Więc weź ten traktat i zamknij go starannie. Wydam odpowiednie dyspozycje, abyś mógł zostać w biurze, gdy wszyscy już skończą pracę. Wtedy będziesz mógł przepisać traktat, nie obawiając się, że ktoś cię zauważy. Gdy skończysz, zamkniesz oryginał i kopię na klucz. Oddasz mi je osobiście jutro rano.

— Zabrałem dokument i...

— Przepraszam, chwileczkę — przerwał Holmes. — Czy ta rozmowa toczyła się w cztery oczy?

— Tak. Z całą pewnością

— Czy gabinet wuja jest duży?

— Trzydzieści stóp na trzydzieści.

— Rozmawialiście, stojąc pośrodku?

— Tak, prawie na środku.

— Mówiliście cicho?

— Mój wuj zawsze mówi cicho. A ja prawie milczałem.

— Dziękuję — Holmes przymknął oczy. — Proszę, niech pan mówi dalej.

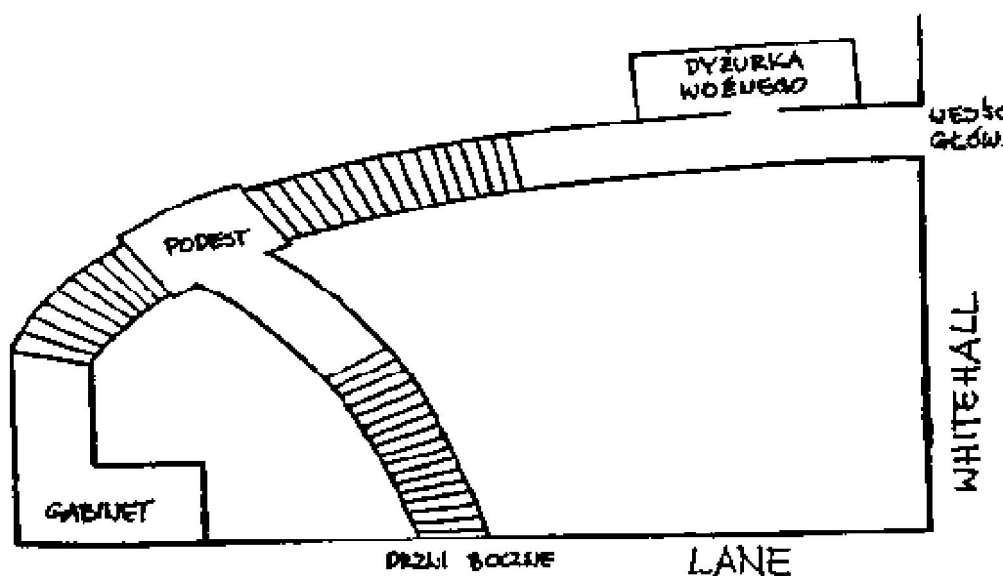
— Zrobiłem tak, jak mi kazał, i zczekałem, aż inni urzędnicy wyjdą. Jeden z kolegów, Charles Gorot, pracujący w tym samym pokoju, miał jeszcze coś do załatwienia. Zostawiłem go więc samego i poszedłem na obiad. Kiedy wróciłem, już go nie było. Szybko zabrałem się do przepisywania, gdyż Józef Harrison, którego panowie przed chwilą poznali, był akurat w mieście i chciałem razem z nim wrócić do Woking pociągiem o jedenastej.

Przeglądając traktat, przekonałem się, że mój wuj ani trochę nie przesadził mówiąc o nadzwyczajnej jego ważności. Nie wnikając w szczegóły, powiem tylko, że dotyczył on stanowiska Anglii wobec Trójprzymierza i z góry określał jej politykę w wypadku, gdyby Francja zyskała supremację nad Włochami na Morzu Śródziemnym. W traktacie omawiano czysto morskie sprawy. Podpisali go najwyżsi dygnitarze państwowi. Przerzuciłem dokument i zasiadłem do przepisywania.

Dokument był długi, zawierał dwadzieścia sześć artykułów w języku francuskim. Pisałem tak szybko, jak mogłem, ale do dziewiątej wieczorem zdołałem przepisać zaledwie dziewięć z nich. Straciłem więc nadzieję, że zdążę na pociąg odchodzący o jedenastej. Byłem już zmęczony, ogarniała mnie senność, być może po obfitym obiedzie, ale także po całodziennym pracy. Przydałaby mi się filiżanka kawy. Na dole, przy wejściu na schody, w dyżurce siedzi zawsze w nocy jeden z woźnych, który, jak to już weszło do zwyczaju, parzy na spirytusowej maszynie kawę dla urzędników pracujących po godzinach. Zadzwoiłem więc na niego.

Zdziwiłem się, gdy zamiast woźnego weszła jakaś starsza, tęga kobieta w fartuchu. Widząc moje zdziwienie, powiedziała, że jest żoną woźnego przychodzącą tu na posługi. Kazałem więc jej zaparzyć kawę.

Przepisałem dwa następne artykuły, ale czując, że jestem coraz bardziej senny, wstałem i przespacerowałem się po pokoju. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego jeszcze nie podano mi kawy. Otworzyłem więc drzwi gabinetu, w którym pracuję, i wyszedłem na ciemny i słabo oświetlony korytarz. Było to jedyne wyjście z mojego pokoju. W połowie drogi na klatce schodowej znajdował się mały podest, od którego pod kątem prostym odchodzi drugi, mniejszy korytarz. Na dole, jak już mówiłem, jest dyżurka woźnego. Korytarz biegnie dalej do schodków prowadzących do bocznych drzwi, używanych przez służbę i urzędników, którzy skracają sobie w ten sposób drogę z Charles Street. Proszę, tu jest odręczny szkic.



— Dziękuję. Wszystko jest dla mnie jasne — powiedział Holmes.

— Szalenie ważne jest, by się pan dobrze zorientował w sytuacji. A więc zszedłem na dół do holu i tam zobaczyłem woźnego śpiącego twardo w dyżurce. Kawa wykypiała. Nie tylko

spirytusowa maszynka, ale cała podłoga była zachlapana. Właśnie wyciągałem rękę, żeby potrząsnąć za ramię słodko śpiącego woźnego, gdy tuż nad jego głową rozdzwonił się dzwonek i zbudził go ze snu.

— Słucham pana, panie Phelps — powiedział woźny, patrząc na mnie niezbyt przytomnie.

— Zszedłem, żeby zobaczyć, co się dzieje z moją kawą.

— Zasnąłem, parząc ją, proszę pana — spojrzał na mnie, a później z rosnącym zdziwieniem na dzwonek, który nie przestawał brzęczeć.

— Jeżeli pan tu jest, to kto tam dzwoni? — zapytał.

— Dzwoni? — powtórzyłem. — Co to za dzwonek?

— To dzwonek z pańskiego pokoju.

Serce we mnie zamarło. Ktoś więc musiał być na górze, gdzie leżał na stole cenny traktat. Jak szalony pobiegłem schodami i korytarzem do pokoju. Korytarz był pusty, panie Holmes. I pokój też. Wszystko w nim było na miejscu, tylko powierzone mi papiery zniknęły z biurka. Kopia została, lecz oryginał zniknął.

Holmes siedział wyprostowany i tylko tarł dłonie. Zauważyłem, że był bardzo zaintrygowany.

— No, i co pan zrobił dalej? — mruknął.

— Natychmiast domyśliłem się, że złodziej musiał wejść bocznymi drzwiami. Inaczej spotkałbym go, biegnąc na górę.

— Jest pan pewien, że nie schował się w pokoju albo, jak pan mówił, w tym słabo oświetlonym korytarzu?

— Jestem zupełnie pewny. Nawet mysz nie ukryłaby się w pokoju czy korytarzu. Nie ma gdzie.

— Dziękuję. Proszę mówić dalej.

— Woźny zorientował się, widząc moje przerażenie, że stało się coś niedobrego, wpadł za mną na górę. Obaj pobiegliśmy korytarzem i schodami wiodącymi na Charles Street. Drzwi na dole były zamknięte, ale nie na klucz. Otworzyliśmy je jednym pchnięciem i wypadliśmy na ulicę. Dobrze pamiętam, że w tej chwili na sąsiedniej wieży kościoła wybiły trzy uderzenia: była za kwadrans dziesiąta.

— To bardzo ważne — wtrącił Holmes, coś sobie notując na mankiecie.

— Noc była ciemna, lał gęsty, ciepły deszcz. Charles Street była pusta, ale u jej wylotu, na Whitehall, jak zawsze panował wielki ruch. Z gołymi głowami, jak staliśmy, pobiegliśmy ulicą i przy jej końcu na rogu wpadliśmy na policjanta.

— Popelniono kradzież — wykrztusiłem jednym tchem. — Skradziono niesłychanie ważny dokument z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Czy nikt tędy nie przechodził?

— Stoję tu od kwadransa, proszę pana — powiedział — i tylko jedna kobieta tędy przeszła. Starsza i wysoka, w ciepłej chustce.

— To moja żona! — wykrzyknął woźny. — Nikt inny nie szedł?!

— Nikt.

— Musiał uciec inną drogą! — wołał woźny, szarpiąc mnie za rękaw.

Lecz to mnie nie uspokoiło, a jego wysiłki w celu odwrócenia mojej uwagi wzbudziły we mnie jeszcze większe podejrzenie.

— Dokąd poszła ta kobieta? — spytałem.

— Nie wiem, proszę pana. Widziałem, jak szła, ale nie miałem powodu, aby ją obserwować. Pamiętam tylko, że się spieszyła.

— Jak dawno to było?

— Przed paroma minutami.

— Przed pięcioma?

— Najwyżej.

— Pan marnuje czas, a każda minuta jest cenna! — wołał woźny. — Zapewniam pana, że ta kobieta nie ma z tym nic wspólnego. Biegnijmy w tamtą stronę! Nie wiem jak pan, ale ja biegnę. — I puścił się w dół ulicy.

Natychmiast go dopędziłem i chwyciłem za rękaw.

— Gdzie mieszkacie? — zapytałem.

— Pod 16 Ivy Lane, Brixton — odpowiedział. — Niech pan nie idzie fałszywym tropem! Chodźmy na drugi koniec ulicy i tam poszukajmy.

Nic nie stało na przeszkodzie, abym posłuchał jego rady. Wraz z policjantem pobiegliśmy na drugi koniec ulicy, ale tylko po to, żeby wpaść w tłum ludzi i pojazdów. W tę dżdżystą noc każdy chciał jak najprędzej dostać się do domu, nie spotkaliśmy więc żadnego przechodnia, który mógłby nam coś powiedzieć.

Wróciliśmy do biura. Przeszukaliśmy schody i korytarz — na próżno. Korytarz prowadzący do pokoju wyłożony jest jasnym linoleum, na którym odbiły się każdy ślad. Badaliśmy bardzo uważnie, lecz nie znaleźliśmy żadnego odcisku stopy.

— Czy deszcz padał przez cały wieczór?

— Od siódmej.

— Dlaczego posługaczka, która weszła do pokoju koło dziewiątej, nie zdeptała linoleum?

— Dobrze, że pan na to zwrócił uwagę. Sam na to wpadłem: posługaczki zwykle zdejmują buty w dyżurce i wkładają miękkie pantofle.

— No tak. To jasne. A więc mimo deszczowej pogody nie wykryliście panowie żadnych śladów? Bardzo ciekawe. I co pan zrobił później?

— Obejrzeliliśmy dokładnie pokój. Nie ma w nim żadnego tajnego wyjścia, a okna znajdują się trzydzieści stóp nad ziemią. Oba zresztą były mocno zamknięte od wewnątrz. Dywan wyklucza myśl o jakiejś zapadni. Sufit jest gładki, bielony, nienaruszony. Gotów jestem przysiąc na wszystko, co dla mnie święte, że złodziej, który ukradł moje papiery, wszedł drzwiami.

— A kominek?

— Nie ma go. Jest tylko piec. Sznur od dzwonka zwisa po prawej stronie mojego biurka. Ten, kto dzwonił, musiał do niego podejść. Lecz po co miałby złodziej dzwonić? To największa zagadka.

— Z pewnością ta sprawa jest niezwykła. Co pan zrobił później? Zakładam, że zbadaliście, czy nie zostały jakieś ślady po intruzie w pokoju, na przykład niedopałek, rękawiczki, szpilki czy coś podobnego?

— Nic nie znaleźliśmy.

— Nie poczuł pan żadnego obcego zapachu?

— Nie pomyślałem o tym.

— Ach, zapach tytoniu mógłby nam dużo powiedzieć.

— Ja nie palę, myślę więc, że od razu zwróciłbym uwagę na zapach tytoniu. Nie znalazłem żadnego klucza do zagadki. Jedyne, co wydawało nam się istotne, to pośpiech, z jakim żona woźnego, pani Tangey, wyszła z biura. On nie mógł nam nic wyjaśnić. Powiedział tylko, że o tej porze żona zawsze szła do domu. Zgodziłem się z policjantem, że najlepiej zrobimy, próbując ją złapać, zanim odda komuś papiery, jeśli oczywiście je zabrała.

Tymczasem wiadomość dotarła do Scotland Yardu. Na miejsce przybył detektyw Forbes, który energicznie zabrał się do rzeczy. Wsiadliśmy do dorożki i za pół godziny znaleźliśmy się pod wskazanym adresem. Otworzyła nam młoda dziewczyna, jak się okazało, starsza córka Tangeyów. Matka jeszcze nie wróciła, zaczekaliśmy więc na nią w pokoju frontowym.

Dziesięć minut potem ktoś zastukał do drzwi wejściowych. I tu zrobiliśmy bardzo poważny błąd, którego nie mogę sobie darować. Zamiast sami otworzyć drzwi, pozwoliliśmy to zrobić córce. Usłyszeliśmy, jak mówiła: „Mamo, dwóch panów czeka na ciebie”, a zaraz potem — tupot szybkich kroków w korytarzu. Forbes jednym pchnięciem otworzył drzwi i

wpadliśmy do kuchni, ale posługaczka znalazła się w niej przed nami. Patrzyła na nas podejrzliwie, ale nagle poznała mnie i osłupiała ze zdziwienia.

— Jak to... pan Phelps z naszego biura? — powiedziała.

— Przed kim pani tak uciekała? — zapytał detektyw.

— Myślałam, że to komornicy — odparła. — Mamy kłopoty, jesteśmy winni sklepikarzowi.

— Kiepska wymówka — rzekł Forbes. — Podejrzewamy, że pani skradła ważne papiery w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i chce je tu schować. Musi pani pojechać z nami do Scotland Yardu i poddać się rewizji.

Na próżno broniła się i zaprzeczała. Sprowadziliśmy dorożkę i w trójkę odjechaliśmy. Ale przedtem przetrząsnęliśmy kuchnię, a przede wszystkim obejrzelśmy palenisko, czy czasem nie spalono tam jakichś papierów. Nie znaleźliśmy jednak ani popiołu, ani żadnego skrawka dokumentu.

Po przyjeździe do Scotland Yardu posługaczkę oddano w ręce policjantki, która przeprowadziła rewizję osobistą. Z zamierającym sercem czekałem na wynik. Wreszcie policjantka wróciła. Nie znalazła nic podejrzanego. Wtedy po raz pierwszy w pełni dostrzegłem całą groźbę sytuacji. Zajęty poszukiwaniami, dotychczas o niczym innym nie byłem w stanie myśleć. Byłem tak pewny, że szybko uda mi się odnaleźć skradziony traktat, iż nawet do głowy mi nie przyszło, co się stanie, jeśli poszukiwania zawiodą. Ale teraz, kiedy już zrobiłem wszystko, co było możliwe, miałem dużo czasu, żeby zastanowić się nad strasznymi dla mnie konsekwencjami tej kradzieży. Byłem w tragicznej sytuacji! Watson powie panu, że jeszcze w szkole byłem bardzo nerwowy i przewrażliwiony. Taki już mam charakter. Myślałem o moim wuju, o jego kolegach w rządzie, o hańbie, jaką ściągnąłem na niego, na siebie i moich bliskich. Cóż z tego, że padłem ofiarą nieprzewidzianych okoliczności? W dyplomacji nie ma wytłumaczenia dla nieprzewidzianych okoliczności, gdy w grę wchodzi interes państwa. Moje życie legło w gruzach: byłem zhańbiony, zgubiony. Nie przypominam sobie, co było dalej. Pewnie dostałem jakiegoś ataku. Pamiętam tłum urzędników ze Scotland Yardu tłoczących się i pocieszających mnie. Jeden z nich odwiózł mnie na stację Waterloo i wsadził do pociągu jadącego do Woking. Pewnie odwiózłby mnie aż do domu, gdyby nie doktor Ferrier, nasz sąsiad, który wracał tym samym pociągiem. Uprzejmie zaopiekował się mną i dobrze się stało, bo na stacji dostałem nowego ataku i zanim dotarłem do domu, zachowywałem się już jak kompletny wariat.

Może pan sobie wyobrazić, co się działo w domu, gdy na gwałtowny dzwonek doktora wszyscy zerwali się z łóżek i zobaczyli mnie w tak oplakanyim stanie. Biednej Annie i matce omal nie pękły serca z rozpacz. Doktor, jeszcze na stacji, pobieżnie zaznajomiony przez detektywa z przebiegiem wypadków, złożył niepełną relację, co oczywiście nie polepszyło nastrojów. Stało się jasne, że rozchorowałem się na dobre. Wyrzucono więc Józefa z przytulnej bawialni i zamieniono ją w szpital. Leżałem tu przeszło dziewięć tygodni, majacząc i bredząc nieprzytomnie; był to ciężki przypadek zapalenia mózgu. Gdyby nie pełna poświęcenia opieka panny Harrison i doktora, pewnie by pan dziś ze mną nie rozmawiał, panie Holmes. Anna nie odstępowała mnie we dnie, a wynajęta pielęgniarka w nocy, bo w ataku szału mogłem się porwać na wszystko. Powoli wracałem do zdrowia, ale dopiero od trzech dni w pełni odzyskałem władze umysłowe. Czasem myślę jednak, że lepiej byłoby, gdybym zwariował. Gdy tylko poczułem się lepiej, zaraz zatelegrafowałem do Forbesa, który prowadzi śledztwo. Przyjechał i powiedział, że choć poczyniono wszelkie kroki, nie natrafiono jednak na żaden ślad. Szczegółowo przesłuchano woźnego i jego żonę, ale ich zeznania nie rzuciły nawet najślabszego światła na tę straszną zagadkę. Podejrzenia policji padły więc na młodego Gorota, który, jak pan pamięta, został tamtego wieczoru trochę dłużej w biurze. Ten fakt i francuskie nazwisko były jedynymi podstawami do podejrzeń. Ale ja przecież do roboty zabrałem się po jego wyjściu, a co do jego pochodzenia, to choć jest z

hugenockiej rodziny, jest tak samo dobrym Anglikiem jak pan czyja. Nie można mu było nic udowodnić i na tym się wszystko skończyło. Pan, panie Holmes, jest więc moją ostatnią nadzieją. Jeśli panu się nie uda odnaleźć skradzionych dokumentów, stracę honor i moja kariera będzie zwichnięta na zawsze.

Chory osunął się na poduszki, wyczerpany długim opowiadaniem, a jego narzeczona podała mu szklanekę jakiegoś pokrzepiającego napoju. Holmes siedział w milczeniu, z odchyłoną w tył głową i zamkniętymi oczami, pozornie zupełnie obojętny. Ja jednak wiedziałem, że ta postawa oznacza u niego najwyższe skupienie.

— Opowiedział pan wszystko tak szczegółowo, że właściwie nie mam o co pytać — odezwał się wreszcie. — Chciałbym panu zadać tylko jedno bardzo ważne pytanie: Czy pan nikomu nie mówił, że ma się zająć tak odpowiedzialną pracą?

— Nikomu.

— Nawet pannie Harrison?

— Nie. Po rozmowie z wujem nie wróciłem przecież do domu i kilka godzin później zabrałem się do przepisywania.

— A czy nikt z rodziny nie wpadł w tym czasie do pana?

— Nikt.

— Czy rodzina zna wszystkie wejścia do ministerstwa?

— Tak, zna. Prawie wszyscy bywali u mnie w biurze.

— Oczywiście, skoro pan nikomu nie mówił o czekającej pana pracy, moje pytania nie mają nic do rzeczy.

— Nikomu nic nie mówiłem.

— Co pan wie o woźnym?

— Tylko tyle, że jest byłym żołnierzem.

— Którego pułku?

— Słyszałem, że był w gwardii Coldstream.

— Dziękuję panu. Myślę, że dalszych szczegółów dowiem się od Forbesa. Władze doskonale potrafią gromadzić fakty, choć nierzadko nie potrafią z nich korzystać. Cóż to za wspaniała róża!

Wstał, przeszedł obok kanapy do otwartego okna, uniósł opadającą lodygę róży i przyjrzał się dokładnie subtelnej mieszaninie purpury i zieleni. Dla mnie był to nowy rys jego charakteru, gdyż nigdy dotąd nie wykazywał najmniejszego zainteresowania przyrodą.

— Do dedukcji należy się odnosić z nabożeństwem. To jak religia — powiedział, opierając się plecami o okiennice. — Człowiek logicznie rozumujący może ją rozwinąć w naukę ścisłą. Dla mnie wspaniałomyślność opatrności znajduje najwyższe potwierdzenie w kwiatach. Wszystko inne — siły, chęci, pożywienie, to przede wszystkim rzeczy niezbędne dla naszej egzystencji. Ale róża to coś więcej. Jej zapach i kolor są pięknem życia, lecz nie jego warunkiem. Tylko wspaniałomyślności możemy zawdzięczać ten niepowtarzalny dar i dlatego jeszcze raz twierdzę: w kwiatach winniśmy pokładać nasze nadzieje.

Percy Phelps i jego pielęgniarka ze zdumieniem i niemym rozczarowaniem słuchali tej wypowiedzi. A Holmes, trzymając różę między palcami, rozmarzył się.

Wreszcie po paru minutach młoda dziewczyna nieco szorstko przerwała milczenie.

— Czy ma pan jakąś nadzieję, że uda się odkryć tę tajemnicę?

— A, tajemnicę! — odpowiedział Holmes; raptownie wyrwany z zadumy, wrócił do rzeczywistości. — Nonsensem byłoby twierdzenie, że sprawa jest prosta i nieskomplikowana, obiecuję jednak, że zajmę się nią i powiadomię państwa o wszystkim, co mnie w niej najbardziej uderzy.

— A czy widzi pan jakiś punkt zaczepienia?

— Z opowiadania wyłoniło się ich siedem. Oczywiście, muszę je sprawdzić, zanim powiem, ile są warte.

— Podejrzewa pan kogoś?
— Podejrzewam siebie...
— Co?!
— ...że wyciągnąłem zbyt pospieszne wnioski.
— Niechże więc pan wraca do Londynu i je sprawdzi.
— Pani rada jest doskonała, panno Harrison — powiedział Holmes, odchodząc od okna. — Myślę, Watso — nie, że nic innego nam nie pozostaje. A pan, panie Phelps, niech się nie ludzi fałszywymi nadziejami. Sprawa jest bardzo zawiślana.
— Będę oczekiwał pana niecierpliwie! — wykrzyknął młody dyplomata.
— Dobrze. Przyjadę jutro rano tym samym pociągiem, choć wątpię, czy już z rozwiązaniem.
— Niech pana Bóg wynagrodzi za obietnicę przyjazdu — powiedział nasz klient. — Życie mi wraca, gdy pomyślę, że sprawę da się rozwiązać. Ale, ale, otrzymałem list od lorda Holdhursta.
— Co pisze?
— List chłodny, ale nie jest utrzymany w ostrym tonie. Sądzę, że to moja choroba powstrzymała go od przykrych słów. Powtarza, że sprawa jest niezwyklej wagi, i dodaje, że nie podejmie żadnych kroków w stosunku do mnie (ma na myśli, oczywiście, zwolnienie mnie) dopóki nie odzyskam zdrowia i nie wykorzystam wszystkich środków, aby naprawić zło.
— Bardzo rozsądnie i taktownie — rzekł Holmes. — Chodźmy, Watsonie. Czeką nas dużo pracy w Londynie.
Józef Harrison odwiózł nas na stację i wkrótce siedzieliśmy już w pociągu do Portsmouth. Holmes zamyślił się i po raz pierwszy odezwał się dopiero, gdy mijaliśmy Clapham Junction.
— Zawsze mnie pogodnie usposabia, gdy wjeżdżam do Londynu jedną z tych wysoko biegnących linii i patrzę na domy w dole.
Myślałem, że żartuje, bo widok był dość ponury, ale Holmes wyjaśnił, o co mu chodzi.
— Spójrz na te samotne bryły budynków wystających nad dachami domów niczym ceglane wyspy nad ołowianym morzem.
— Szkoły publiczne.
— Latarnie morskie, mój chłopcze! Światła ostrzegawcze! Torebki nasienne z setkami małych ziarenek, z których wykwitnie lepsza Anglia przyszłości. Ten Phelps chyba nie pije?
— Chyba nie.
— I ja tak myślę. Ale musimy wszystko wziąć pod uwagę. Biedny chłopak wpadł jak śliwka w kompot. Pytanie, czy zdołamy go z niego wyciągnąć. Co sądzisz o pannie Harrison?
— To dziewczyna o mocnym charakterze.
— Tak, a przy tym porządna, chyba że się mylę. Ona i jej brat to jedyne dzieci fabrykanta metalowego z Northumberland. Phelps zaręczył się z nią zeszłej zimy w czasie jednej ze swych podróży. Teraz ona przyjechała z bratem do Woking, by poznać rodzinę narzeczonego. Akurat w tym czasie wydarzyło się to nieszczęście. Została więc i pielęgnuje ukochanego, a jej brat, który czuje się tu jak u Pana Boga za piecem, został z nią. Jak widzisz, czegoś się dowiedziałem. Ale tak się składa, że dzisiejszy dzień musimy poświęcić zbieraniu dalszych informacji.
— Moja praktyka lekarska... — zacząłem.
— Och, jeżeli uważasz, że twoja praktyka dostarczy ci czegoś ciekawszego niż moja... — szorstko przerwał mi Holmes.
— Chciałem powiedzieć, że moja praktyka doskonale się beze mnie obejdzie dzień lub dwa, bo to najbardziej ogórkowy sezon w roku.

— Doskonale — odparł Holmes, odzyskując humor. — A więc zajmiemy się rozwiązaniem tej zagadki razem. Zaczniemy od rozmowy z Forbesem. Pewnie zaznajomi nas z interesującymi szczegółami i będziemy wiedzieli, od czego zacząć.

— Mówiłeś, że masz już punkt zaczepienia.

— Tak, mam parę, lecz ich wartość należy dopiero sprawdzić. Najtrudniej wyśledzić przestępstwo bez motywu. Ale to nim nie jest. Komu mogło być potrzebne? Ambasadorowi Francji, ambasadorowi Rosji, każdemu, kto mógł sprzedać dokument jednemu z nich, i wreszcie lordowi Holdhurstowi.

— Lordowi Holdhurstowi!?

— No tak. Można sobie wyobrazić taką sytuację, kiedy mąż stanu wcale by się nie zmartwił, gdyby dokument nagle i przypadkowo zniknął.

— Ale nie mąż stanu tak nieskazitelny jak Holdhurst.

— Musimy brać pod uwagę każdą możliwość. Dziś jeszcze odwiedzimy szanownego lorda i zobaczymy, co nam powie. Tymczasem już rozpocząłem śledztwo.

— Już?

— Tak. Depeszowałem ze stacji w Woking do wszystkich wieczornych gazet w Londynie. Prosiłem o umieszczenie tego ogłoszenia. Podał mi kartkę wyrwaną z notesu, na której było napisane:

10 funtów NAGRODY za podanie numeru dorożki, która przywiozła pasażera przed same drzwi lub prawie pod drzwi Ministerstwa Spraw Zagranicznych z Charles Street wieczorem 23 maja o godzinie za kwadrans dziesiąta. Wiadomość podać na Baker Street nr 221 b.

— Jesteś pewien, że złodziej przyjechał dorożką?

— A gdyby nawet nie, to cóż to szkodzi? Jeżeli jednak Phelps ma rację, twierdząc, że ani na korytarzu, ani w jego pokoju złodziej nie miał się gdzie ukryć, to musiał przybyć z zewnątrz. Skoro zaś w taki deszczowy wieczór nie zostawił śladów na linoleum, pamiętasz, obejrzano je w parę minut po kradzieży, musiał przyjechać dorożką. Tak, myślę, że śmiało możemy to wydedukować.

— To brzmi bardzo prawdopodobnie.

— Jest to jeden z tych punktów, o których wspomniałem, i może nam dać nić do ręki. No, a potem dzwonek. Też jeden z najistotniejszych szczegółów. Dlaczego dzwonek dzwonił? Czy złodziej pociągnął za niego chcąc się popisać brawurą? Czy też był z nim ktoś, kto chciał zapobiec kradzieży? A może był to czysty przypadek? Lub wreszcie... — Znów zapadł w milczącą zadumę, z której niedawno się zbudził.

Znałem go jednak na tyle, by wiedzieć, że nagle wpadł na jakiś nowy pomysł.

Dwadzieścia po trzeciej dotarliśmy do celu podróży. Szybko przegryźliśmy coś niecoś w bufecie kolejowym i pojechaliśmy do Scotland Yardu. Forbes, uprzedzony depeszą Holmesa, czekał na nas. Był to niski człowieczek, z przenikliwym, lisim, wcale nie uprzejmym wyrazem twarzy. Przywitał nas ozięble, zwłaszcza gdy się dowiedział, po co przychodzimy.

— Już słyszałem o pańskich metodach pracy, panie Holmes — powiedział zjadliwie. — Wykorzystuje pan informacje zebrane i dostarczone panu przez policję, kończy pan sprawę i zgarnia laury.

— Przeciwnie — odparł Holmes. — Z ostatnich pięćdziesięciu trzech spraw, które prowadziłem, o mnie była mowa tylko w czterech przypadkach. W pozostałych czterdziestu dziewięciu cały zaszczyt przypadł policji. Nie dziwię się, że pan o tym nie wie. Jest pan jeszcze młody i niedoświadczony. Ale jeżeli pan chce osiągnąć powodzenie na początku swojej kariery, niech pan lepiej trzyma ze mną.

— Będę panu wdzięczny za jakąś wskazówkę w tej sprawie — bardziej już uprzejmym tonem powiedział detektyw. — Jak dotąd nie miałem szczęścia.

— A co pan dotychczas zrobił?

— Zbadaliśmy przeszłość woźnego Tangeya. Zwolniono go z wojska z dobrą opinią. Nic nie przemawia przeciw niemu. Jego żona natomiast to nic dobrego. Zdaje się, że mogłaby coś więcej powiedzieć o tej kradzieży.

— Czy pan ją śledził?

— Śledziła ją jedna z naszych agentek. Okazało się, że zagląda do kieliszka. Policjantka była u niej dwa razy, gdy tamta miała już dobrze w czubie, lecz nie udało jej się nic z niej wydobyć.

— Słyszałem, że komornik zaglądał do Tangeyów.

— Tak, ale spłacili już dług.

— Skąd wzięli pieniądze?

— To nie budzi podejrzeń. Akurat w tym czasie Tangey dostał pensję, choć na ogół jest u nich krucho.

— A dlaczego to ona przysłała na dzwonek Phelpsą?

— Mówi, że mąż był bardzo zmęczony i chciała go wyręczyć.

— Istotnie, parę minut potem Phelps znalazł go śpiącego w dyżurce. A więc wszystko się zgadza z wyjątkiem złego charakteru żony i nałogów. Czy pytał ją pan, dlaczego tak się spieszyła tego wieczoru, kiedy popełniono kradzież? Przecież to właśnie zwróciło na nią uwagę policjanta.

— Zasiedziała się dłużej niż zwykle i chciała jak najprędzej być w domu.

— Czym tłumaczy fakt, że pan i Phelps znaleźliście się u niej wcześniej niż ona, choć wyjechaliście jakieś dwadzieścia minut później?

— Tłumaczy to tym, że my jechaliśmy dorożką, a ona omnibusem.

— A dlaczego po przyjsciu do domu pobiegła prosto do kuchni?

— Bo tam trzymała pieniądze dla komornika.

— Widzę, że na wszystko ma odpowiedzi. Pytał ją pan, czy wychodząc z biura nie widziała kogoś włóczącego się po Charles Street?

— Widziała tylko policjanta.

— Hm, wypytał ją pan dokładnie. Co jeszcze pan zrobił?

— Przez dziewięć tygodni śledziliśmy Gorota, ale to nic nie dało. Jest czysty jak lza.

— I co jeszcze?

— Więcej już nic. Nie mamy się czego chwycić.

— Jak pan myśli, dlaczego pociągnięto za dzwonek?

— Przyznaję, że tego nie rozumiem. Musiał to być jakiś bezczelny gość, igrający z niebezpieczeństwem.

— Tak, to dziwne. Dziękuję panu za te wiadomości. Jeżeli uda mi się wysledzić przestępcę, dam panu znać. Chodźmy, Watsonie.

— Dokąd teraz idziemy? — zapytałem po wyjściu ze Scotland Yardu.

— Pójdziemy pogadać z lordem Holdhurstem, ministrem i przysłym premierem Anglii.

Szcęście nam dopisało. Zastaliśmy jeszcze lorda Holdhursta na Downing Street. Holmes posłał mu swoją wizytówkę i w parę chwil potem wprowadzono nas do gabinetu ministra. Mąż stanu przyjął nas ze staromodną kurtuazją, z której był znany. Wskazał nam dwa wygodne, antyczne fotele po obu stronach kominka. Gdy stał obok nas na dywanie, wysoki, szczupły, o ostrych rysach mądrej twarzy i kędzierzawych włosach przyprószonych przedwczesną siwizną, wydawał się wcieleniem ginącego już typu arystokraty w każdym calu.

— Pańskie nazwisko jest mi dobrze znane, panie Holmes — powiedział z uśmiechem. — Wiem, oczywiście, co pana do mnie sprowadza. W moim ministerstwie wydarzył się tylko jeden wypadek, który mógłby pana zainteresować. Pozwoli pan, że zapytam, w którym imieniu pan działa?

— W imieniu pana Percy'ego Phelpsa — odparł Holmes.

— Ach, mego biednego siostrzeńca! Pojmuje pan, że nasze pokrewieństwo tylko utrudnia mi jego obronę. Obawiam się, że to nieszczęsne wydarzenie fatalnie zaciąży na jego karierze.

— A jeśli dokument się znajdzie?

— Wtedy, oczywiście, sprawa będzie wyglądała inaczej.

— Chciałbym zadać panu kilka pytań, jeśli pan pozwoli.

— Chętnie udzielę wszelkich informacji.

— Czy to w tym pokoju rozmawiał pan z siostrzeńcem, polecając mu przepisanie dokumentu?

— Tak, w tym.

— A zatem nikt nie mógł panów podsłuchać.

— Nikt, z całą pewnością.

— Czy pan nikomu nie mówił, że zamierza pan dać dokument do skopiowania?

— Nikomu.

— Jest pan tego pewien, panie ministrze?

— Oczywiście.

— Skoro więc ani pan o tym nikomu nie mówił, ani pański siostrzeniec, to złodziej musiał przypadkowo trafić do jego pokoju. Zorientował się szybko w nadarzającej się okazji i ukradł dokument.

— To już nie moja działka — uśmiechnął się lord Holdhurst.

Holmes zastanowił się chwilę.

— Jest jeszcze jedno niezmiernie ważne zagadnienie, które chciałbym, jeśli pan pozwoli, omówić z panem — powiedział wreszcie. — Podobno obawiał się pan jakichś poważnych konsekwencji w wypadku, gdyby niektóre szczegóły traktatu zostały ujawnione, czy tak?

Cień przemknął po wyrazistej twarzy polityka.

— Tak. Bardzo poważnych konsekwencji.

— A czy coś już je zapowiada?

— Jeszcze nie.

— Czy gdyby zaginiony dokument już dotarł, powiedzmy, do francuskiego czy rosyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, wiedziałby pan o tym?

— Wiedziałbym — z niechęcią przyznał mąż stanu.

— Skoro więc po prawie dziesięciu tygodniach od kradzieży dokumentu nic o nim nie słyszymy, wolno nam przypuścić, że z tego czy innego względu nie dotarł on do tych ministerstw.

Lord Holdhurst wzruszył ramionami.

— Trudno przypuścić, że złodziej po to skradł dokument, aby go oprawić i powiesić na ścianie.

— Może czeka na wyższą cenę.

— Jeżeli będzie czekał dłużej, nic nie dostanie. Traktat za parę miesięcy przestaje być tajemnicą.

— To bardzo ważne — rzekł Holmes. — Można by założyć, że złodziej rozchorował się nagle...

— Na przykład na zapalenie mózgu? — zapytał Holdhurst, rzucając błyskawiczne spojrzenie na Holmesa.

— Tego nie powiedziałem — z niewzruszonym spokojem odrzekł Holmes. — Obawiam się, że zabraliśmy już zbyt wiele pańskiego cennego czasu. Pozwoli więc pan, że go pożegnamy.

— Życzę panu powodzenia bez względu na osobę przestępcy — rzekł Holdhurst, skinieniem głowy żegnając nas przy drzwiach.

— Wspaniały typ — powiedział Holmes, gdy wyszliśmy na Whitehall. — Ale niełatwo mu utrzymać swoją pozycję. Nie jest zbyt bogaty, a obowiązki ma duże. Zauważyłeś, oczywiście, że chodzi w żelowanych butach? No, a teraz, Watsonie, nie będę cię już dłużej odrywał od twoich zawodowych czynności. Sam też wracam do domu i czekam na wynik zamieszczonego ogłoszenia. Na dzisiaj dosyć. Będę ci jednak bardzo zobowiązany, jeżeli jutro rano wybierzesz się ze mną do Woking tym samym pociągiem co dziś.

Nazajutrz zgodnie z umową pojechaliśmy razem do Woking. Holmes powiedział mi, że na ogłoszenie nikt się nie zgłosił i nic nowego nie wie. Gdy chciał, potrafił przybrać iście indiański, nieprzenikniony wyraz twarzy, nie mogłem więc poznać, czy jest zadowolony z dotychczasowych wyników śledztwa. Pamiętam, że przez cały czas mówił o metodzie pomiarów Bertilliona i zachwycał się tym francuskim uczonym, który był wynalazcą antropometrii mierzenia ciała ludzkiego do celów naukowych lub policyjnych.

Naszego klienta zastaliśmy nadal pod czułą opieką narzeczonej. Wyglądał znacznie lepiej niż wczoraj. Bez trudu wstał z kanapy na nasze powitanie.

— Są jakieś nowe wiadomości? — zapytał żywo.

— Tak jak się spodziewałem, jeszcze nie mogę panu nic powiedzieć — odparł Holmes. — Widziałem się z Forbesem i z pańskim wujem. Złapałem już parę nici, które mogą nas do czegoś doprowadzić.

— A więc nie zniechęcił się pan?

— Ani trochę.

— Niech pana Bóg wynagrodzi! — zawołała panna Harrison. — Nie traćmy tylko nadziei i cierpliwości, a prawda na pewno wyjdzie na jaw.

— Ale my możemy panu więcej powiedzieć niż pan nam — rzekł Phelps, siadając na kanapie.

— Spodziewałem się tego.

— Tej nocy coś się wydarzyło, co mogłoby się skończyć tragicznie — mówił z coraz poważniejszą miną, a w oczach błysnął mu jakby strach. — Wie pan, zaczynam myśleć, że nic o tym nie wiedząc, znalazłem się w samym środku jakiegoś spisku i że ktoś czyha nie tylko na mój honor, ale również na moje życie.

— O! — wykrzyknął Holmes.

— To wprost nie do wiary, bo jak mi wiadomo, nie mam wrogów. Jednakże wydarzenie ubiegłej nocy świadczy wręcz o czymś innym.

— Proszę, niech pan powie, co się stało.

— Zacznę od tego, że wczoraj po raz pierwszy spałem sam w pokoju, bez opieki pielęgniarki. Czułem się już tak dobrze, że mogłem ją zwolnić. Nocnej lampy jednak nie zgasilem. Koło drugiej, gdy już zacząłem zapadać w sen, zbudziło mnie ciche chrobotanie, tak jakby mysz gryzła podłogę. Jakiś czas nasłuchiwałem, pewny, że to mysz. Ale szmer przybrał na sile i nagle przy oknie coś metalicznie szczęknęło. Usiadłem na łóżku zdziwiony. Nie było już żadnej wątpliwości: ktoś usiłował przedtem wepchnąć jakieś narzędzie w szczelinę między połówki okna, a teraz rygiel ustąpił.

Z dziesięć minut było cicho, jakby ten ktoś chciał się przekonać, czy szmer mnie nie zbudził. Potem usłyszałem leciutki skrzyp ostrożnie otwieranego okna. Nie mogłem się już pohamować, bo nie mam takich mocnych nerwów jak dawniej. Wskoczyłem z łóżka i otworzyłem okiennice. Jakiś mężczyzna skulił się pod oknem. Nie mogłem mu się dobrze przyjrzeć, bo zniknął jak błyskawica. Jednego jestem pewien. Miał na sobie płaszcz z wysokim kołnierzem zasłaniającym mu pół twarzy. Jestem również pewien, że w ręku trzymał jakąś broń. Coś w rodzaju długiego noża. Wyraźnie widziałem błysk stali, gdy uciekał.

— Bardzo ciekawe — rzekł Holmes. — I co zrobił pan później?

— Gdybym się czuł silniejszy, wyskoczyłbym za nim. Ale mogłem tylko dzwonić i zaalarmować cały dom. Zabrało mi to trochę czasu, bo dzwonek wisi w kuchni, a służba śpi na górze. Zacząłem jednak krzyczeć i to spowodowało Józefa, który obudził innych domowników. Józef i stajenny znaleźli ślady stóp na grządce pod oknem, ale uważali, że po ostatniej suszy dalsze szukanie na trawie jest bezcelowe. Mówili jeszcze, że na drewnianym płocie przy drodze znaleźli miejsce, gdzie ktoś najwidoczniej przełaził i złamał przy tym szpic palika. Nie zawiadamałem policji, uważając, że lepiej z tym poczekać na pana.

Ta historia niezwykle zainteresowała Holmesa. Zerwał się z krzesła i zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

— Nieszczęścia zawsze chodzą parami — powiedział Phelps, uśmiechając się. Widać było jednak, że był pod wrażeniem nocnej przygody.

— Pan już miał dość jednego nieszczęścia — odparł Holmes. — Czy wystarczy panu sił, by razem z nami obejść dom dokoła?

— Chętnie wyjdę trochę na słońce. Józef pójdzie z nami.

— I ja też — wtrąciła panna Harrison.

— Przykro mi — Holmes potrząsnął głową — ale muszę panią prosić, żeby pani została.

Młoda dziewczyna z wyraźną niechęcią usiadła z powrotem. Jej brat przyłączył się jednak do nas i wyszliśmy razem. Obeszliśmy trawnik i stanęliśmy pod oknem naszego klienta. Jak mówił, zobaczyliśmy ślady na grządce, ale bardzo zatarte i niewyraźne. Holmes przykląkł koło nich. Po chwili jednak wstał i wzruszył ramionami.

— Z tego nic nie można wywnioskować — powiedział. — Obejdźmy dom, jeśli łaska, i zastanówmy się, dlaczego włamywacz wybrał pański pokój. Wydaje mi się, że te wielkie okna w salonie i jadalni byłyby dla niego znacznie ciekawsze.

— Są lepiej widoczne z drogi — podsunął Józef Harrison.

— A tak. Rzeczywiście. Ale mamy tu drzwi, którymi mógłby próbować się dostać. Dokąd one prowadzą?

— To boczne wejście dla dostawców. Na noc jest zamykane.

— Czy przedtem zdarzały się u państwa włamania?

— Nigdy — odparł Phelps.

— Czy w domu jest jakieś srebro lub coś kosztownego, co mogłoby przyciągnąć włamywacza?

— Nic cennego.

Holmes obszedł dom wkoło, z rękami w kieszeniach i z pewną nonszalancją, tak u niego niezwykle.

— Ale, ale — zwrócił się do Józefa Harrisona — podobno znalazł pan miejsce, gdzie włamywacz przełaził przez płot. Może nas pan tam zaprowadzi.

Młody człowiek zaprowadził nas na miejsce, gdzie jeden z palików w płocie miał nadłamaną szpic. Kawałek drewna zwisał w dół. Holmes oderwał go i obejrzał krytycznym wzrokiem.

— Myśli pan, że ułamano go dziś w nocy? Pęknięcie wygląda na stare.

— Być może.

— Nie widać też, żeby ktoś przeskakiwał na tamtą stronę. Nie ma żadnych śladów. Nie, tu nic nie znajdziemy. Wróćmy do sypialni i jeszcze raz rozważmy sprawę.

Percy Phelps szedł wolno, opierając się na ramieniu swego przyszłego szwagra. Holmes zaś bardzo szybko przeciął trawnik i stanął przy otwartym oknie sypialni, zanim dotarła reszta.

— Proszę pani — zwrócił się do panny Harrison cicho, ale z naciskiem. — Nie wolno się pani ruszać z tego pokoju przez cały dzień. Pod żadnym pozorem niech pani nie pozwoli się stąd wyciągnąć. To rzecz niesłychanie ważna.

— Dobrze, jeżeli pan sobie tego życzy — odparła zdziwiona.

— Kiedy będzie pani szła spać, proszę zamknąć drzwi i zatrzymać klucz przy sobie. Musi mi pani to obiecać.

— A co z Percym?

— Zabierzemy go do Londynu.

— A ja muszę zostać?

— Dla jego dobra. Odda mu pani wielką przysługę. Szybko! Niech pani przyrzeknie!

Skinęła głową na znak zgody, w chwili kiedy tamci podchodzili pod okno.

— Anno, dlaczego siedzisz kołkiem w domu? — zawołał jej brat. — Wyjdź trochę na słońce!

— Nie, Józefie. Głowa mnie boli, a tu w pokoju jest tak przyjemnie i chłodno.

— Co pan chce teraz robić, panie Holmes? — zapytał nasz klient.

— Nie wolno nam dla głupstwa zapomnieć o zasadniczej sprawie. Bardzo by mi było na rękę, gdyby się pan udał z nami do Londynu.

— Teraz?!

— Najszybciej, jak pan może. Powiedzmy, za godzinę.

— Jeżeli mam się panu na coś przydać, czuję się dość silny.

— Przyda się pan, i to bardzo.

— Czy chce pan, żebym tam zanocował?

— Właśnie to chciałem panu zaproponować.

— Hm, jeśli więc mój nocny przyjaciel znów przyjdzie mnie odwiedzić, zastanie klatkę pustą. Pan tu rozkazuje, panie Holmes, i to pan musi nam powiedzieć, co mamy robić, a my się do tego zastosujemy. Może pan woli, żeby Józef pojechał z nami i zaopiekował się mną?

— Nie. Mój przyjaciel, Watson, jest lekarzem, jak pan wie. Weźmie pana pod swoje skrzydła. Jeśli pan pozwoli, drugie śniadanie zjemy tutaj i o godzinie trzeciej razem wyjedziemy do miasta.

Zasiedliśmy więc wspólnie do śniadania, tylko panna Harrison, zgodnie z prośbą Holmesa, nie ruszyła się z pokoju. Nie rozumiałem, jaki był cel tego manewru Holmesa. Może chodziło mu po prostu o odciążenie dziewczyny od Phelps'a, który jadł razem z nami, uszczęśliwiony powrotem do zdrowia i tym, że nareszcie może coś robić. Holmes przygotował nam jednak jeszcze większą niespodziankę, bo po odprowadzeniu nas na stację i umieszczeniu w wagonie, najspokojniej oświadczył, że nie zamierza opuszczać Woking.

— Zostało mi tu jeszcze parę rzeczy do wyjaśnienia — powiedział. — Nawet jest mi na rękę, że pana tu nie będzie, panie Phelps. Watsonie, po przyjeździe do Londynu jedź, proszę, z naszym przyjacielem wprost na Baker Street i nie odstępuj go aż do mojego powrotu. Starym szkolnym kolegom nie zabraknie na szczęście tematu do rozmowy. Ulokuj pana Phelps'a w sypialni dla gości na tę noc. Ja przyjadę jutro rannym pociągiem, który przychodzi na Waterloo Station o ósmej.

— No a co z pańskim dalszym śledztwem w Londynie? — rozczarowanym tonem zapytał Phelps.

— Odłożymy je do jutra. Teraz mam coś pilniejszego do załatwienia.

— Może pan zechce powiedzieć w Briarbrae, żeby się mnie spodziewali najpóźniej jutro wieczorem — zawołał Phelps, gdy pociąg już ruszał.

— Wątpię, czy wrócę do Briarbrae — odrzekł Holmes, wesoło kiwając nam ręką na pożegnanie.

W drodze daremnie głowiliśmy się, co mogło skłonić Holmesa do zmiany planu.

— Myślę, że chce się zająć wczorajszą próbą włamania, jeżeli to w ogóle było włamanie. Nie bardzo wierzę, żeby tu chodziło o zwykłego złodzieja — powiedział Phelps.

— Więc co myślisz o tym?

— Słowo daję... możesz to przypisać moim roztrzęsionym nerwom, ale jestem przekonany, że mamy do czynienia z jakąś poważniejszą polityczną intrygą uknutą przeciwko

mnie. Nie mogę zrozumieć po co, ale jacyś spiskowcy czyhają na moje życie. To brzmi bardzo nieskromnie, a nawet absurdalnie, zastanów się jednak nad faktami! Po co złodziej włamywałby się do domu przez okno sypialni, gdzie nie miałby nic do zrabowania, i dlaczego miał nóż w ręku?

— Czy jesteś pewny, że nie był to zwykły łom?

— Och, nie. To był nóż. Wyraźnie widziałem błysk ostrza.

— Nie rozumiem, po co nastawano by tak zawzięcie na twoje życie.

— Oto jest pytanie.

— A więc jeżeli Holmes tak samo uważa, mielibyśmy wytłumaczenie, dlaczego został, prawda? Jeżeli słusznie myśli, złapanie zbrodniarza, który chciał cię zabić ubiegłej nocy, powinno doprowadzić do wykrycia osoby, która ukradła traktat. Nonsensem byłoby przypuszczać, że masz aż dwóch wrogów: jednego, który cię ograbił, i drugiego, który chciał cię zabić.

— Ale Holmes powiedział, że nie wraca do Briarbrae.

— Znam go od dawna — odparłem — i nigdy nie widziałem, żeby postępował bezmyślnie, nie mając ku temu przyczyny.

I zmieniliśmy temat.

Był to dla mnie ciężki dzień. Po przebytej chorobie Phelps był bardzo osłabiony, a jego nieszczęście zrobiło go kłótliwym i nieznośnym. Daremnie usiłowałem zainteresować go opowiadaniem o Afganistanie i Indiach, rozważaniem społecznych zagadnień, słowem, wszystkim, co by go mogło oderwać od trapiących myśli. Stale powracał do skradzionego traktatu. Bez przerwy zastanawiał się, domyślał, zgadywał, co robi Holmes, jakie kroki przedsięwzięcie lord Holdhurst, czego dowiemy się rano. Pod wieczór stał się już zupełnie nieznośny.

— Wierzysz ślepo w Holmesa? — spytał.

— Dokonywał cudów.

— Lecz nigdy chyba nie rozwiązywał równie zawilej sprawy.

— Zapewniam cię, że tak. Wydobywał na światło dzienne tajemnice, gdy brak było jakichkolwiek wskazówek do rozwiązania zagadki.

— Ale nie wtedy, kiedy chodziło o tak poważną sprawę.

— Trudno powiedzieć. O ile wiem, działał w interesie i na zlecenie co najmniej trzech panujących domów w Europie, w sprawach niezwykle doniosłych.

— Znasz go przecież dobrze. Jest tak tajemniczy, że nie wiem, co o nim myśleć. Czy sądzisz, że ma jakieś szansę? Że mu się rzeczywiście uda?

— Ani słówkiem nie zdradził swoich myśli.

— To zły znak.

— Przeciwnie. Stwierdziłem, że jeśli nic nie wie, to przyznaje się do tego. Gdy coś podejrzewa, a nie jest jeszcze tego absolutnie pewny, milczy zawzięcie. Posłuchaj mnie, denerwowaniem się nie pomożesz sprawie. Połóż się spać i zbierz siły na jutro.

Wreszcie udało mi się go przekonać, choć widziałem, że nie zaśnie będąc tak podniecony. Musiał jednak i mnie zarazić swoim niepokojem, bo co najmniej pół nocy przewracałem się na łóżku, rozmyślając nad zagadką i snując setki najrozmaitszych przypuszczeń coraz bardziej absurdalnych. Dlaczego Holmes został w Woking? Po co prosił pannę Harrison, by na krok nie ruszała się z pokoju Phelps'a? Dlaczego nic nie powiedział mieszkańcom Briarbrae, że pozostaje w pobliżu? Suszyłem sobie głowę tymi kwestiami, aż wreszcie usnąłem, daremnie usiłując znaleźć jakąś wyczerpującą odpowiedź na dręczące mnie pytania.

Obudziłem się o siódmej rano i natychmiast poszedłem do sypialni Phelps'a. Był błądy i wykończony po nieprzespanej nocy. Od razu zapytał, czy Holmes już wrócił.

— Przyjedzie, jak obiecał. Ani chwili później ani wcześniej — powiedziałem.

Mówiłem prawdę, bo parę minut po ósmej nasz przyjaciel zajechał dorożką przed dom. Stojąc w oknie, widzieliśmy, że lewą rękę miał obandażowaną, a twarz bladą i gniewną. Wszedł szybko, ale nie od razu pokazał się na górze.

— Wygląda na przegranego! — wykrzyknął Phelps.

Musiałem przyznać mu rację.

— Najwidoczniej klucz do tajemnicy znajduje się jednak w Londynie — powiedziałem.

Phelps westchnął ciężko.

— Nie wiem — rzekł — ale tyle nadziei wiązałem z jego powrotem! Zdaje mi się, że wczoraj nie miał obandażowanej ręki. Co mu się mogło stać?

— Czy jesteś ranny? — zapytałem Holmesa, gdy wszedł do pokoju.

— Tylko zadrapanie, i to przez własną niezdarność — odparł, witając nas lekkim skinieniem głowy. — Pańska sprawa, panie Phelps, jest naprawdę jedną z najbardziej tajemniczych, z jakimi miałem do czynienia.

— Boję się, że nie da pan sobie z nią rady.

— Była niezwykle interesującym doświadczeniem. — Bandaż na ręku świadczy o jakimś poważniejszym zajściu. — wtrąciłem. — Może zechcesz nam opowiedzieć, co się stało?

— Po śniadaniu, mój drogi. Nie zapominaj, że dziś rano podróżując przez trzydzieści mil wdychałem świeże powietrze Surrey. Przypuszczam, że na moje ogłoszenie nikt się nie zgłosił? No cóż, nie zawsze odnosi się sukcesy.

Stół był nakryty i właśnie chciałem zadzwonić, gdy pani Hudson weszła z herbatą i kawą. Kilka minut później przyniosła trzy nakrycia. Zasiadliśmy do śniadania. Holmes był wściekle głodny, ja — zaciekawiony, a Phelps w stanie kompletnej depresji.

— Pani Hudson stanęła na wysokości zadania — rzekł Holmes, podnosząc pokrywę półmiska z kurczakiem duszonym w curry. — Jej menu jest wprawdzie ograniczone, ale, jak prawdziwa Szkotka, wie co podać na śniadanie. Co tam masz, Watsonie?

— Jajka na szynce — odpowiedziałem.

— Wspaniale! Panie Phelps, co panu podać, drób, jajka? A może pan sobie sam nałoży?

— Dziękuję. Nie mam apetytu.

— Och, niech pan da spokój! Może pan przynajmniej spróbuje tego, co stoi przed panem.

— Naprawdę dziękuję. Nie będę nic jadł.

— No, więc dobrze — rzekł Holmes, chytrze mrużąc oko. — Ale może zechce pan łaskawie mnie nałożyć.

Phelps uniósł pokrywę półmiska i krzyknął przeraźliwie. Wytrzeszczył oczy i siedział z twarzą tak białą jak półmisek, na który patrzył. W środku leżał mały zwitek szaroniebieskiego papieru. Phelps porwał odzyskany dokument, przycisnął go do piersi i, krzycząc z radości, zaczął szaleńczo tańczyć wokół pokoju. Po chwili runął na fotel tak wyczerpany i osłabiony przeżytym wzruszeniem, że siłą musieliśmy wlać mu do gardła trochę brandy, żeby nie zemdlął.

— No, no — uspokajająco mówił Holmes, klepiąc go po ramieniu. — Może postąpiłem zbyt ostro, jak dla pana, ale Watson potwierdzi, że lubię czasem udramatyzować sytuację.

Phelps chwycił jego rękę i przycisnął do ust.

— Niech pana Bóg błogosławi! — wołał. — Uratował pan mój honor.

— Mój własny także wchodził w grę — odparł Holmes. — Zapewniam pana, że mnie tak samo zależy na powodzeniu mojej pracy, jak panu swojej.

Phelps włożył cenny dokument w najgłębszą kieszeń surduta.

— Przykro mi doprawdy przeszkadzać panu w śniadaniu, ale umieram z ciekawości, żeby się dowiedzieć, jak panu udało się odebrać traktat i gdzie on był.

Sherlock Holmes przełknął łyk kawy i energicznie zabrał się do jajek na szynce. Potem wstał, zapalił fajkę i wygodnie zasiadł w swoim fotelu.

— Powiem panu, od czego zacząłem i co mnie skłoniło, żeby dalej działać w tym, a nie innym kierunku — powiedział. — Po rozstaniu się z panami na stacji, przespacerowałem się po uroczej okolicy Surrey aż do małej wioski Ripley, gdzie wypilem herbatę w gospodzie, przezornie napełniłem podróżną flaszkę i wsadziłem do kieszeni torebkę z paroma kanapkami. Tam przesiedziałem do wieczora, a potem wyruszyłem z powrotem do Woking. Zaraz po zachodzie słońca znalazłem się na szosie, tuż obok Briarbrae.

Zaczekałem, aż szosa opustoszeje, zresztą zdaje mi się, że nigdy nie ma tam dużego ruchu, i przedostałem się przez płot do parku.

— Brama była chyba otwarta? — głośno zdziwił się Phelps.

— Tak, ale ja mam szczególne upodobania w tym względzie. Wybrałem miejsce, gdzie rosną trzy jodły i pod ich osłoną przelałem przez płot, mając pewność, że nikt mnie z domu nie zobaczy. Przycupnąłem w krzakach i, skradając się od jednego do drugiego, spójrzcie na oplakany stan moich spodni na kolanach, znalazłem się za kępą rododendronów na wprost pańskiej sypialni. Tu przykucnąłem i czekałem na rozwój wydarzeń.

Zasłony w oknie były podniesione i mogłem widzieć pannę Harrison czytającą przy stole. Kwadrans po dziesiątej zamknęła książkę, zatrzasnęła okiennice i wyszła. Słyszałem, jak zamykała drzwi, i byłem pewien, że przekręcała klucz w zamku.

— Klucz? — znów zdziwił się Phelps.

— Tak. Prosiłem pannę Harrison, by idąc spać zamknęła drzwi i zabrała klucz ze sobą. Zrobiła dosłownie wszystko, o co ją prosiłem i gdyby nie jej pomoc, nie miałby pan teraz traktatu w kieszeni. A więc wyszła, światła pogasły, a ja zostałem w zasadzce za krzakiem rododendronów.

Noc wprawdzie była piękna, ale siedzenie na czatach było dosyć nużące, choć niewątpliwie w jakiś sposób podniecające. Czułem się tak, jak sportowiec na ławce rezerwowych w czasie meczu, czekając na swoją wielką szansę. Trwało to bardzo długo, prawie tak długo, Watsonie, jak wtedy, kiedy czekaliśmy w tym strasznym pokoju przy rozwiązywaniu zagadki „Cętkowanej wstęgi” — W Woking zegar kościelny wybijał kwadrans, a mnie coraz częściej wydawało się, że już stanął. Wreszcie koło drugiej usłyszałem słaby zgrzyt odsuwanej rygli i szmer przekręcanego klucza w zamku. Chwilę potem otworzyły się drzwi służbowe i ukazał się w nich, w smudze księżycowego blasku, Józef Harrison.

— Józef?! — wykrzyknął zdumiony Phelps.

— Był wprawdzie z gołą głową, ale na ramiona narzucił czarny płaszcz, tak że gdyby ktoś podniósł alarm, mógł sobie zakryć twarz. Na palcach przesunął się pod murem, a gdy doszedł do okna, wsunął długi nóż między listewki i odepchnął zasuwę. Wcisnął ostrze noża w szczelinę okiennic, a gdy je uchylił, uniósł do góry jedno skrzydło okienne.

Z mojego ukrycia miałem doskonały punkt obserwacyjny. Widziałem dokładnie wnętrze pokoju i każdy ruch Józefa. Zapalił dwie świece na kominku, odgiął róg dywanu koło drzwi, ukląkł i wyciągnął jedną klepkę z posadzki, tę, którą się zwykle zostawia luzną, aby mieć łatwiejszy dostęp do połączeń rur gazowych. Przykrywała ona, jak się okazuje, złącze prowadzące do kuchni, znajdującej się niżej. Z tej kryjówki wydobył ten oto mały zwitek papierów, z powrotem położył klepkę, wygładził dywan, zdmuchnął świecę i... wpadł wprost w moje ramiona, bo już czekałem na niego pod oknem.

Przyznaję, że był bardziej niebezpieczny niż go o to podejrzewałem, bo rzucił się na mnie z nożem. Musiałem powalić go na ziemię, ale sam oberwałem ostrzem po palcach zanim go unieszkodliwiłem. Po walce patrzył na mnie jak zbój niezapuchniętym okiem, ale posłuchał głosu rozsądku i oddał mi papiery. Gdy już je miałem, puściłem go. Dziś rano przetelegrafowałem wszystkie szczegóły Forbesowi. Jeśli uwinie się prędko, złapie ptaszka i szczęść mu Boże! Lecz jeśli, co złośliwie podejrzewam, gniazdko już wystygnie, zanim się

tam zjawi, tym lepiej dla rządu. Coś mi się wydaje, że lord Holdhurst z jednej strony i pan Percy Phelps z drugiej woleliby, żeby sprawa nie wyszła poza śledztwo.

— Wielki Boże! — jęknął nasz klient. — Mówi pan, że skradzione papiery przez całe dziesięć straszliwych tygodni leżały obok mnie w tym samym pokoju?

— Tak.

— Józef! Józef łotr i złodziej?!

— Hm, wydaje mi się, że Józef jest o wiele bardziej chytry i niebezpieczny niż na to wskazuje jego wygląd. Z tego, co usłyszałem od niego dzisiaj rano, wnoszę, że przegrał na giełdzie masę pieniędzy i był gotów na wszystko, byle podreperować nadszarpnięte finanse. Widząc nadarzącą się okazję, ten bezgraniczny egoista, pozbawiony sumienia, nie zawahał się narazić szczęścia swojej siostry ani pańskiej reputacji.

Percy Phelps bezwładnie opadł na fotel.

— W głowie mi się nie mieści — powiedział. — Pańskie opowiadanie mnie oszołomiło.

— W tej sprawie główną przeszkodą było to — ciągnął Holmes pouczającym tonem — że mieliśmy za dużo poszlak. Te, które były naprawdę ważne, ukrywały się za zupełnie błahymi. Z wszystkich znanych nam faktów należało wybrać te, które wydawały się istotne, uszeregować i odtworzyć bardzo ciekawy splot wydarzeń. Zacząłem podejrzewać Józefa już od chwili, kiedy pan wspomniał, że tego fatalnego wieczoru mieliście razem wracać do domu. Nikogo nie mogło zdziwić, że znając dobrze ministerstwo mógł po pana wstąpić idąc na dworzec. Kiedy zaś dowiedziałem się, że ktoś próbował wtargnąć do sypialni, w której Józef mógł coś ukryć, gdyż jak pan wspomniał, on poprzednio zajmował ten pokój, moje podejrzenie zmieniło się w pewność. Była ona tym bardziej uzasadniona, że próby włamania dokonano pierwszej nocy, kiedy odeszła pielęgniarka. Dowodziło to, że zbrodniarz dobrze wiedział, co się dzieje w domu.

— Ależ byłem ślepy!

— O ile mogłem ustalić, fakty wyglądają tak: Józef Harrison zajechał do ministerstwa od strony Charles Street i, znając drogę, wszedł do pańskiego pokoju w chwilę po pańskim wyjściu. Widząc, że nikogo nie ma, podszedł do dzwonka i szarpnął nim. W tej chwili ujrzał papiery rozłożone na biurku. Od razu zorientował się, że los daje mu w ręce państwowe papiery doniosłej wagi. Błyskawicznie schował je do kieszeni i wyszedł. Pamięta pan, że upłynęło parę minut zanim zaspany woźny zwrócił pańską uwagę na dźwięk dzwonka. To wystarczyło złodziejowi.

Najbliższym pociągiem Józef odjechał do Woking. Tu przyjrzał się swemu łupowi, przekonał się, że istotnie jest to niezwykle cenny dokument, i ukrył go w miejscu, które uważał za najpewniejsze. Za dzień lub dwa zamierzał wyjąć zdobycz i zanieść ją do ambasady francuskiej lub tam, gdzie mu dadzą więcej. Lecz pański nagły powrót pokrzyżował mu plany. Nie zwlekając, usunięto go z pokoju, w którym odtąd przebywały zawsze co najmniej dwie osoby. To uniemożliwiło mu dostanie się do skarbu. Bardzo go to zirytowało. Aż wreszcie zdawało mu się, że nadarza się okazja. Usiłował wkraść się do pokoju, ale nie udało mu się, ponieważ pan nie spał. Pamięta pan, że tamtego wieczoru nie wziął pan swego zwykłego lekarstwa?

— Pamiętam.

— Podejrzewam, że Józef musiał przedtem dolać jakiegoś środka nasennego do tego leku i był całkowicie pewny, że pan mocno zaśnie. Oczywiście, wiedziałem, że przy pierwszej nadarzącej się sposobności znów spróbuje włamania. Pański wyjazd dałby mu szansę, na którą czekał. Panna Harrison na moją prośbę nie ruszyła się na krok z pokoju, co uniemożliwiło Józefowi wejście do pokoju przed moim powrotem. Potem utwierdziłem go w przekonaniu, że może bez przeszkód wejść do środka, ale jednocześnie pozostałem na czatach. Już wtedy wiedziałem, że papiery powinny być; w pokoju, ale nie chciało mi się w

celu ich znalezienia zrywać podłogi i listew. Pozwoliłem więc Józefowi wyjąć je ze schowka, oszczędzając sobie w ten sposób wiele trudu. Czy wszystko jest jasne?

— Dlaczego za pierwszym razem Józef próbował dostać się przez okno, kiedy mógł wejść drzwiami? — zapytałem.

— Gdyby chciał wejść drzwiami, musiałby przejść obok siedmiu sypialni. Do ogrodu zaś mógł dostać się bez trudu. Czy coś jeszcze jest niejasne?

— Pan chyba nie myśli, że miał jakieś mordercze zamiary? — zapytał Phelps. — Nóż miał służyć tylko do włamania...

— Być może — odparł Holmes wzruszając ramionami. — Powiem tylko, że nie chciałbym się znaleźć w rękach takiego człowieka, jak Józef Harrison.

Przełożył Tadeusz Evert

ROZDZIAŁ IV

OSTATNIA ZAGADKA

Z ciężkim sercem chwytam za pióro, by po raz ostatni pisać o niezwykłych talentach mego przyjaciela Sherlocka Holmesa. W oderwanych i jak sam dobrze czuję, dość nieudolnych szkicach usiłowałem przedstawić te wszystkie dziwne wydarzenia, w których wspólnie z nim brałem udział od naszego przypadkowego spotkania w okresie sprawy nazwanej „Studium w szkarłacie”, aż do wmieszania się Holmesa w tajemnicę zaginionego traktatu morskiego. Początkowo zamierzałem na tej historii zakończyć moje wspomnienia i zamilczeć o wypadku, który wywołał w mym życiu tak wielką pustkę, że przez dwa lata niczym nie zdołałem jej zapelnąć. Jednakże listy pułkownika Jamesa Moriarty’ego, w których usiłuje on wybielić pamięć swego brata, zmuszają mnie do ponownego chwycenia za pióro. Nie mam innego wyboru, jak tylko publicznie przedstawić wypadki zgodnie z ich przebiegiem. Ja jeden znam prawdę i cieszę się, że nadszedł czas, kiedy można już ją ogłosić. O ile wiem, istnieją tylko trzy sprawozdania z wypadku: jedno w „Journal de Geneve” z 6 maja 1891 roku, drugie — umieszczona w prasie angielskiej 7 maja depesza agencji Reutera, i wreszcie ostatnie — wspomniane przeze mnie listy. Pierwsze dwie wiadomości były bardzo lakoniczne, a te listy, jak zaraz wykażę, całkowicie przekraczają fafcyi. Uważam więc za swój obowiązek wyjaśnić, co naprawdę zaszło między profesorem Moriartym a Sherlockiem Holmesem.

Muszę przypomnieć, że po moim ożenku i podjęciu przeze mnie prywatnej praktyki moja nierozłączna dotąd przyjaźń z Holmesem nieco osłabła. Holmes odwiedzał mnie czasem, gdy chciał mieć towarzysza w swych przygodach. Ale stopniowo i te wizyty poczęły ustawać. Wreszcie w roku 1890 zanotowałem tylko trzy sprawy, w których uczestniczyłem. Zimą wspomnianego roku i na wiosnę 1891 wyczytałem z gazet, że mój przyjaciel, na polecenie rządu francuskiego, zajęty jest czymś niezmiernie ważnym. Z dwóch krótkich listów od niego z Narbonne i Nimes dowiedziałem się, że prawdopodobnie dłużej zabawi we Francji. Zdziwiłem się więc, kiedy wszedł do mego gabinetu wieczorem 24 kwietnia. Od pierwszego rzutu oka zobaczyłem, że schudł i zmizerniał.

— Tak, nie oszczędzałem się zupełnie — odpowiedział na moje nieme pytanie. — Ostatnio miałem moc pilnej roboty. Czy pozwolisz, że zamknę okiennice?

Lampa nad biurkiem, przy którym czytałem, była jedynym źródłem światła w pokoju. Holmes przemknął się pod ścianami i zamknawszy okiennice zaryglował je starannie.

— Boisz się czegoś? — zapytałem.

— Tak. Boję się.

— Czego?

— Kuli z wiatrówki.

— Nie rozumiem cię, mój drogi.

— Chyba znasz mnie za dobrze, by mnie posądzać o przesadną nerwowość. Ale tylko z głupoty, nie z odwagi można sobie lekceważyć wiszące nad głową niebezpieczeństwo. Podaj mi, proszę, zapalki.

Zaciągnął się, jakby w dymie papierosa szukał uspokojenia.

— Wybacz, że przyszedłem o tak późnej porze — powiedział. — Muszę cię też prosić, byś mi pozwolił wyjść z twego domu bez ceremonii przez mur w drugim końcu ogrodu.

— Co to wszystko znaczy? — zapytałem zdziwiony. Wyciągnął ku mnie rękę i w świetle lampy zobaczyłem, że z dwóch głęboko przeciętych palców płynie mu krew.

— To nie były żarty, jak widzisz — odparł uśmiechając się. — Można było nawet stracić rękę. Czy twoja żona jest w domu?

— Wyjechała w odwiedziny.

— Naprawdę?! Więc jesteś sam?

— Jak kolek.

— Tym łatwiej przyjdzie mi zaproponować, abyśmy razem na tydzień wyjechali za granicę.

— Dokąd?

— Gdziekolwiek. Nie robi mi to różnicy.

Wszystko wydało mi się bardzo dziwne. Bezcelowy wypoczynek nie leżał w naturze Holmesa. A coś w jego wymizierowanej, zmęczonej twarzy mówiło mi, że nerwy ma napięte do ostatnich granic. Dostrzegł pytanie w mym wzroku, zetknął dłonie koniuszkami palców, łokcie oparł na kolanach i zaczął:

— Prawdopodobnie nic nie słyszałeś o profesorze Moriartym.

— Nic.

— Ach! Cóż to za geniusz! — wykrzyknął. — Nic w Londynie nie dzieje się bez niego i nikt o nim nie wie! To właśnie stawia go na wyżynach kryminalistyki. Mówię ci, że gdybym zdołał go pokonać i uwolnić społeczeństwo od jego osoby, uważałbym swoją karierę za zakończoną. Zająłbym się wówczas czymś spokojniejszym. Między nami mówiąc, ostatnie sprawy, w których wyświadczyłem usługi królewskiemu domowi Skandynawii i Republice Francuskiej, pozwalają mi na bardziej zrównoważone życie i całkowite oddanie się chemii. Ale, Watsonie, nie mogę spocząć, nie mogę spokojnie usiedzieć w fotelu, wiedząc, że taki człowiek jak profesor Moriarty bezkarnie spaceruje po ulicach Londynu.

— Cóż on zrobił?

— Jego życie jest niezwykle. Pochodzi z dobrej rodziny, jest bardzo wykształcony, a natura obdarzyła go szczodrze. To fenomenalny matematyk. W dwudziestym pierwszym roku życia napisał rozprawę o dwumianie Newtona, której zawdzięcza europejską sławę i katedrę matematyki na jednym z mniejszych uniwersytetów. Wszystko wróżyło mu wspaniałą przyszłość. Ale odziedziczył wprost szatańską skłonność do zła. Z urodzenia jest zbrodniarzem, a jego genialny umysł, zamiast pohamować zbrodnicze namiętności, jeszcze je spotęgował. Na uniwersytecie poczęto o nim źle mówić. Musiał więc zrezygnować z profesury i przeniósł się do Londynu, gdzie przygotowuje młodzież do egzaminu oficerskiego. Tyle wiadomo o nim oficjalnie, ale teraz powiem ci, co ja wykryłem.

Wiesz, że nikt lepiej ode mnie nie zna świata londyńskich zbrodniarzy. Od lat już zdaję sobie sprawę, że jakaś tajemnicza siła kryje się za wszystkimi poważnymi przestępstwami. Jakaś wspaniale zorganizowana potęga rzuca wyzwanie prawu i osłania winnych. Raz po raz w najrozmaitszych sprawach — fałszerstwach, rabunkach, morderstwach — napotykam na tę zakulisową siłę. Wyczuwam ją w tych do dziś nie wyjaśnionych zbrodniach, które starano się wykryć bez mego udziału. Od lat już usiłuję przeniknąć okrywającą ją tajemnicę, aż wreszcie udało mi się uchwycić nić, która kręta i zawiła drogą, po tysiącach trudności, zawiodła mnie do eks-profesora Moriarty'ego, matematycznej sławy.

To Napoleon zbrodniarzy, Watsonie. Organizuje połowę wszystkich wielkich przestępstw w tym mieście i zorganizował niemal wszystkie, których nie wykryto. To geniusz, filozof i abstrakcyjny myśliciel. Siedzi nieruchomo jak pajak w środku sieci i czuje najmniejsze drgnienie każdej z miliona nitek. Sam w niczym nie macza palców. Tylko planuje. Ma licznych agentów i wspaniałą organizację. Gdy rodzi się jakiś zbrodniczy pomysł, na przykład wykradzenia dokumentu, ograbienia domu, sprzątnięcia kogoś, wystarczy zwrócić się do profesora, a on to zorganizuje i przeprowadzi. Policja łapie przestępcę i od razu znajdują się pieniądze na kaucję lub obronę. Lecz nigdy nie udaje się schwycić głównego organizatora, tego promotora zbrodni. Nawet się nie podejrzewa jego istnienia. Na tę organizację, mój drogi, wpadłem wreszcie i poświęciłem wszystkie siły, by ją ujawnić i złamać.

Ale profesor dobrze się strzegł. Tak umiejętnie się ukrywał, że choć stawałem na głowie, nie mogłem zdobyć dowodów, które zawiodłyby go na ławę oskarżonych. Znasz moje

zdolności, a przecież po trzech miesiącach daremnych prób musiałem przyznać, że natrafiłem na równego sobie przeciwnika. Mój wstręt do jego zbrodniczych instynktów przerodził się w podziw dla jego zręczności. Aż wreszcie potknął się — leciutko obsunęła mu się —noga — ale tak mu deptałem po piętach, że to wystarczyło. Natychmiast skorzystałem z okazji i oplotłem go siecią, którą teraz wystarczy tylko ściągnąć. Za trzy dni, a więc mówiąc dokładnie, w poniedziałek, sprawa całkowicie dojrzeje i profesor wraz z prowodyrami bandy wpadnie w ręce policji. I wtedy będziemy świadkami największego kryminalnego procesu naszego stulecia. Wyjaśni się co najmniej czterdzieści nie wykrytych przestępstw i główni zbrodniarze pójdą na stryczek. Lecz działając gorączkowo, gotowiśmy pozwolić im wysliznąć się w ostatnim momencie.

Wszystko byłoby dobrze, gdybym moje plany potrafił ukryć przed profesorem Moriartym. Ale on jest na to za sprytny. Widział każdy mój krok. Dostrzegał pułapkę. Parokrotnie udawało mu się wymknąć, ale za każdym razem zastępowałem mu drogę. Mówię ci, mój drogi, że gdyby tak ogłosić szczegółowe sprawozdanie z tej cichej walki, mielibyśmy wspaniały przykład „pojedyunku” w historii kryminalistyki. Nigdy jeszcze nie wzniosłem się do takich szczytów w mej pracy i nigdy nie byłem tak naciskany przez przeciwnika. Bił silnie, a jednak udało mi się ugodzić go jeszcze silniej. Dziś rano zakończyłem ostatnie przygotowania i potrzebowałem tylko trzech dni, by dokończyć dzieła. Siedziałem w domu i raz jeszcze zastanawiałem się nad wszystkim, gdy drzwi się otwarły i profesor Moriarty stanął przede mną. Mam zahartowane nerwy, a jednak przyznaję, że drgnąłem widząc na progu mego gabinetu człowieka, któremu poświęciłem wszystkie myśli. Znałem go dobrze. Jest wysoki, szczupły, gładko wygolony, o wyglądzie ascety i rysach uczonego. Czoło ma białe, wypukłe i wyniosłe, oczy głęboko osadzone. Garbi się lekko ze ślęczenia nad książkami, głowę wysuwa trochę naprzód i kołysze nią bezustannie niby jakiś gad. Ciekawie przyglądał mi się zmrużonymi oczami.

— Ma pan słabiej rozwiniętą czaszkę, niż przypuszczałem — powiedział wreszcie. — To niebezpieczne przyzwyczajenie trzymać palec na cynglu nabitej broni w kieszeni szlafroka.

Gdy wszedł, zdałem sobie od razu sprawę z grożącego mi niebezpieczeństwa. Jedynym ratunkiem dla niego byłoby ucieszenie mnie na zawsze. Błyskawicznie więc wyjąłem rewolwer z szuflady, wsunąłem go do kieszeni i przez szlafrok wycelowałem w mego gościa. Na jego uwagę wyjąłem broń i z odwiedzionym kurkiem położyłem na stole. Moriarty wciąż się uśmiechał i mrużył oczy.

W jego spojrzeniu było coś, co kazało mi się cieszyć, że broń leży przede mną.

— Widocznie pan mnie jeszcze nie zna — rzekł.

— Przeciwnie — odpowiedziałem. — Chyba dałem tego dowody. Proszę, niech pan siada. Chętnie poświęcę panu pięć minut, jeśli ma pan md coś do powiedzenia.

— Pan już odgadł wszystko, co mam do powiedzenia.

— A zatem i pan musiał odgadnąć moją odpowiedź.

— Upiera się pan przy swoim?

— Tak.

Wsunął rękę do kieszeni, a ja chwyciłem za rewolwer. Wyjął jednak tylko notes, w którym miał skreślone parę dat.

— Wszedł mi pan w drogę 4 stycznia — powiedział. — Przeszkodził mi pan 23. W połowie lutego sprawił mi pan poważny kłopot. W końcu marcu pomieszał mi pan szyki. A teraz, przy końcu kwietnia, swym bezustannym prześladowaniem zagroził pan mej wolności. Sytuacja staje się niemożliwa.

— Cóż pan proponuje?

— Musi pan tego zaniechać — powiedział potrząsając głową. — Pan wie, że inaczej być nie może.

— Dopiero po poniedziałku — odparłem.

— No, no — rzekł. — Człowiek o pańskim rozumie musi wiedzieć, że pozostaje tylko jedno wyjście z tej sytuacji. Pan musi się wycofać. Doprowadził pan do tego, że nie mamy innego wyboru. Swą konsekwentną, uporczywą walką sprawił mi pan prawdziwą ucztę duchową. Przyznaję szczerze, że przykro by mi było uciekać się do drastycznych środków. Pan się śmieje, ale zapewniam pana, że to prawda.

— Niebezpieczeństwo jest częścią mego zawodu — odparłem.

— Nie chodzi o niebezpieczeństwo, lecz o jawną zgubę. Stał pan na drodze nie jednostce, lecz silnej organizacji, której potęgi, mimo całego rozumu, nie potrafi pan ocenić. Musi się pan usunąć, albo stratujemy pana.

— Obawiam się — powiedziałem wstając — że ta miła rozmowa odrywa mnie od ważnych i pilnych spraw, które na mnie czekają.

Moriarty wstał również i patrzył na mnie w milczeniu, potrząsając głową.

— No więc dobrze — powiedział po chwili. — Przykro mi, ale zrobiłem, co mogłem. Znam każdy pański ruch w tej grze. Aż do poniedziałku jest pan bezsilny. Rozegraliśmy piękny pojedynek. Pan chce mnie posadzić na ławę oskarżonych. Zapewniam pana, że mnie pan tam nie zobaczy. Chce mnie pan pobić. Nigdy mnie pan nie pobije. Jeśli starczy panu rozumu, by mnie zgubić, może pan być pewien, że i ja pana zgubię.

— Powiedział mi pan wiele komplementów. Pozwoli pan, że się odwzajemnię mówiąc, że w imię dobra ogółu dla pańskiej zguby chętnie pogodzę się z własną.

— Tę mogę panu obiecać, pierwszej nie — warknął; odwrócił się do mnie przygarbionymi plecami i rozglądając się spod przymrużonych powiek, wyszedł z pokoju.

Taka była moja niezwykła rozmowa z profesorem Moriarty. Przyznaję, że wywarł na mnie silne wrażenie. Wyraża się z łagodną ścisłością. Słowa jego brzmią szczerze, nie tak jak w ustach jakiegoś rzezimieszka. Pewnie powiesz: „Czemu nie skorzystasz z ochrony policji”? Widzisz, jestem pewien, że cios zadadzą jego agenci, nie on. A najlepszą próbkę tego już miałem.

— Napadnięto cię?

— Drogi mój przyjacielu, profesor Moriarty nie zasypiał gruszek w popiele. W południe wyszedłem coś załatwić na Oxford Street. Gdy przechodziłem przez jezdnię, na skrzyżowaniu Bentinck Street i Welbeck Street, jak błyskawica wyleciał na mnie ciężki, dwukonny wóz. Ledwie zdążyłem uskoczyć na chodnik. Chodziło o ułamek sekundy. Wóz wyskoczył z Marylebone Lane i znikł w mgnieniu oka. Potem trzymałem się już chodnika, ale gdy szedłem w dół Vere Street, nagle z jednego domu zleciała cegła i roztrzaskała się u moich stóp. Wezwałem policję i kazałem zbadać dom. Na dachu złożono cegły i dachówki na reperację. Policja starała się mnie przekonać, że to wiatr strącił jedną. Oczywiście ja wiem, jak sprawa naprawdę wygląda, ale nie mam dowodu. Natychmiast wsiałem do dorożki i pojechałem do brata na Pali Mali, gdzie spędziłem resztę dnia. Teraz, kiedy szedłem do ciebie, napadł mnie jakiś drab z okutą pałką. Powaliłem go i oddałem w ręce policji. Mogę cię jednak zapewnić, że nigdy nie ustali się związku między jegomościem, o którego zęby rozwaliłem sobie rękę, a dymisjonowanym profesorem matematyki, który, niech mi wolno będzie zauważyć, o dziesięć mil stąd rozstrzyga przy tablicy zawile problemy. Nie dziw się więc, że po wejściu do ciebie przede wszystkim zamknąłem okiennice i prosiłem o pozwolenie opuszczenia twego domu drogą mniej widoczną niż frontowe drzwi.

Nieraz podziwiałem odwagę mego przyjaciela, ale nigdy nie więcej niż tego wieczoru, kiedy siedząc spokojnie wymieniał wszystkie wydarzenia, które złożyły się na tak groźny dzień.

— Będziesz spał u mnie?

— Nie, mój drogi. Mógłbym być niebezpiecznym gościem. Ułożyłem już plan i wszystko będzie dobrze. Sprawa zaszła tak daleko, że całą szajkę aresztują beze mnie. Będę tylko

potrzebny na rozprawie. Najlepiej więc zrobię wyjeżdżając na te parę dni, zanim nie wkroczy policja. Bardzo bym się cieszył, gdybyś pojechał ze mną.

— Nie mam teraz wielu pacjentów — powiedziałem — a sąsiad zawsze mnie wyręczy. Chętnie pojedę z tobą.

— Już jutro rano?

— Jeżeli to konieczne.

— Tak, bardzo konieczne. Posłuchaj więc moich instrukcji. Proszę cię, byś się do nich zastosował jak najdokładniej, bo wraz ze mną grasz przeciw najmądrzejszemu zbrodniarzowi i najpotężniejszej przestępczej organizacji w Europie. Więc słuchaj! Dziś wieczór wyślij swoje walizki przez zaufanego człowieka na dworzec Victoria, umieszczając na nich napis z nazwą dworca. Rano pošlesz po dorożkę, przy czym każesz nie brać ani pierwszej, ani drugiej ze spotkanych. Potem pojedziesz na Strand na koniec Lowther Arcade. Adres podasz dorożkarzowi na kartce papieru i każesz mu go zaraz zniszczyć. Odlicz sobie pieniądze i natychmiast po zatrzymaniu się dorożki zapłać, wyskocz, przebiegnij Arcade z takim wyliczeniem, byś się znalazł na drugiej stronie kwadrans po dziewiątej. Zobacysz małą, dwuosobową karetkę czekającą tuż koło chodnika. Woźnica będzie w czarnym płaszczu z czerwono oblamowanym kołnierzem. Wskocz do niej i przed samym odejściem pociągu na kontynent znajdziesz się na dworcu Victoria.

— Gdzie się spotkamy?

— Na dworcu. Drugi przedział w wagonie pierwszej klasy będzie dla nas zarezerwowany.

— A więc spotkamy się w wagonie?”

— Tak.

Daremnie nalegałem, aby Holmes został na noc. Myślę, że bał się ściągnąć nieszczęście pod dach mego domu i dlatego odszedł. Szybko dorzucił jeszcze parę słów do planu na jutro i razem wyszliśmy do ogrodu. Przełaził przez mur na Mortimer Street, niezwłocznie gwizdnął na dorożkę i odjechał.

Nazajutrz raniem zrobiłem dokładnie, jak mi Holmes kazał. Sprowadzono mi dorożkę z ostrożnością, która wykluczała wzięcie jakiejś podstawionej. Zaraz po śniadaniu pojechałem do Lowther Arcade, przez które przebiegłem co tchu w piersi. Karetką z woźnicą herkulesowej budowy w czarnym płaszczu już na mnie czekała. Ledwie zdążyłem do niej wskoczyć, woźnica zaciął konia i w mgnieniu oka przewiózł mnie na dworzec Victoria. Gdy wyskoczyłem, natychmiast zawrócił i nie obejrzawszy się na mnie znikł błyskawicznie.

Dotąd wszystko szło jak z płatka. Moje walizki już na mnie czekały. Bez trudu znalazłem przeznaczony dla nas przedział, tym łatwiej, że był to jedyny zarezerwowany w całym wagonie. Martwiłem się tylko nieobecnością Holmesa. Pozostawało zaledwie siedem minut do odjazdu. Na próżno wypatrywałem szczupłej sylwetki mego przyjaciela między podróżnymi i odprowadzającymi. Nie było o nim ani słyhu, ani dychu. Parę minut przyglądałem się jakiemuś czcigodnemu włoskiemu księdzu, który daremnie usiłował w łamanej angielszczyźnie wytłumaczyć tragarzowi, że jego bagaże należy nadać do Paryża. Potem, raz jeszcze rozejrzawszy się wkoło, wróciłem do wagonu i zobaczyłem, że tragarz mimo kartki na drzwiach przedziału uszczęśliwił mnie towarzystwem podstarzałego Włocha. Na próżno trudziłem się wyjaśnić księdzu, że jest intruzem, bo mój włoski był jeszcze gorszy niż jego angielski. Zrezygnowany wzruszyłem więc ramionami i znów zacząłem się niespokojnie rozglądać za Holmesem. Dreszcz przejmował mnie na myśl, że w nocy mogło spotkać go coś złego. Już zatrzęsnięto drzwi, rozległ się gwizd, gdy nagle...

— Drogi przyjacielu — usłyszałem — nawet nie próbujesz się ze mną przywitać.

Obejrzałem się zdziwiony. Stary ksiądz odwrócił się do mnie. W jednej chwili zmarszczki na jego twarzy znikły, nos oddzielił się od podbródka, dolna warga cofnęła się, ustało starcze mamlanie warg, oczy zajaśniały blaskiem, a cała postać wyprostowała się. Ale w jednym mgnieniu oka plecy znów się przygarbiły i Holmes znikł równie szybko, jak się zjawił.

— Mój Boże! — wykrzyknąłem. — Jakżeś mnie przestraszył !

— Musimy być ostrożni — szepnął. — Zdaje mi się, że złapali wiatr. Ach, otóż i Moriarty. Już ruszaliśmy. Wyjrzawszy zobaczyłem wysokiego mężczyznę przepychającego się naprzód i machającego ręką jakby chciał zatrzymać pociąg. Lecz było już za późno: pociąg nabrał szybkości i niebawem wyjechał ze stacji.

— A jednak przy zachowaniu wszelkich ostrożności udało nam się wymknąć — rzekł Holmes śmiejąc się.

Wstał, zrzucił przebranie — sutannę i czarny kapelusz — i wsadził je do walizki.

— Czyś już czytał gazety? — zapytał.

— Nie.

— To nic nie wiesz, co zaszło na Baker Street?

— Na Baker Street?

— Podpalono nasze mieszkanie. Na szczęście nie ma większych szkód.

— Wielki Boże, to już przechodzi wszelkie granice!

— Musieli stracić mnie z oczu po aresztowaniu tego draba, który mnie napadł, i nie wiedząc, gdzie mnie szukać, poszli do mojego domu. Najwidoczniej śledzili i ciebie; dlatego Moriarty wpadł na dworzec. Czyś nie popełnił jakiegoś błędu?

— Ściśle zastosowałem się do twoich wskazówek.

— Znalazłeś karetkę?

— Tak, czekała na mnie.

— Poznałeś stangreta?

— Nie.

— To był mój brat, Mycroft. W takich wypadkach dobrze jest skorzystać z pomocy kogoś bezinteresownego. Musimy jednak zastanowić się, co zrobić z Moriartym.

— Jedziemy pośpiesznym pociągiem, który ma bezpośrednie połączenie ze statkiem. Sądzę więc, że zgubiliśmy prześladowców.

— Mój drogi, nie zrozumiałeś mnie widocznie, gdy ci mówiłem, że ten człowiek w pełni mi dorównuje. Czy sądzisz, że gdybym ja kogoś ścigał, speszyłbym się taką błażostką? Czemu tak nisko go cenisz?

— A co robi?

— To, co i ja bym zrobił.

— No więc co ty byś zrobił?

— Wynająłbym specjalny pociąg.

— Spóźni się.

— Ani trochę. Nasz pociąg przystaje w Canterbury. Poza tym statek odchodzi co najmniej w kwadrans po nadejściu pociągu. To wystarczy. Złapie nas.

— Myślałby kto, że to my jesteśmy przestępcami. Każemy go aresztować po przyjeździe.

— Moja trzymiesięczna praca poszłaby na marne. Złapałibyśmy grubą rybę, ale płotki uszłyby z sieci. W poniedziałek będziemy mieli wszystkich. Nie, o aresztowaniu nie może być mowy.

— Więc co?

— Wsiądziemy w Canterbury.

— A później?

— Ano, zrobimy wypad do Newhaven i stamtąd do Dieppe. Moriarty znów postąpi tak, jak i ja bym postąpił. Pojedzie do Paryża i przez dwa dni będzie pilnował naszego bagażu. Musimy więc kupić sobie jakieś sakwojaże i ożywiając przemysł krajów, przez które będziemy przejeżdżali, udać się na wypoczynek do Szwajcarii via Luksemburg i Bazylea.

Jestem za starym turystą, bym się przejął utratą walizek, ale muszę przyznać, że zabawa w chowanego z zaciekłym zbrodniarzem niezbyt mi się uśmiechała. Lecz cóż, Holmes

orientował się lepiej. Wysiedliśmy więc w Canterbury po to, by się dowiedzieć, że musimy czekać całą godzinę na pociąg do Newhaven.

Żałosnym okiem patrzyłem na znikający na horyzoncie pociąg, który uwoził nasze bagaże, gdy Holmes pociągnął mnie za rękaw i wskazał na szyny.

— Już. Widzisz? — zapytał.

Daleko z lasów Kentu biła smuga dymu. W parę chwil potem parowóz z jednym wagonem wyrósł na zakręcie przed stacją. Ledwie zdążyliśmy się ukryć za górą skrzyni, gdy z łoskotem przeleciał, owiewając nasze twarze gorącym oddechem.

— Jedzie — powiedział Holmes, gdy patrzyliśmy, jak wagon kołysze się i podskakuje na zwrotnicach. — Widzisz, że i dla naszego przyjaciela istnieją granice rozumu. Musiałby być niezwykle przenikliwy, by wydedukować to, co ja bym wydedukował, i odpowiednio do tego postąpić.

— Cóż by zrobił, gdyby nas dopędził?

— Na pewno próbowałby mnie zabić. Ale ta zabawa wymaga dwóch osób. Co teraz robić, czy zjeść coś tutaj, czy zaryzykować śmierć głodową w drodze do bufetu w Newhaven?

Tej nocy jeszcze odjechaliśmy do Brukseli, gdzie spędziliśmy dwa dni. Trzeciego dnia dotarliśmy do Strassburga. W poniedziałek rano Holmes telegrafował do Scotland Yardu, a wieczorem odpowiedź już czekała na nas w hotelu. Holmes jednym szarpnięciem otworzył depeszę i po chwili z przekleństwem cisnął do kominka.

— Powinienem był się domyślić — jęknął. — Uciekł!

— Moriarty?!

— Mają całą bandę, ale bez niego. Wymknął im się. Oczywiście, gdy mnie zabrakło, nie miał kto się z nim zmierzyć. Myślałem jednak, że dałem im zwierzynek w ręce. Lepiej zrobisz, mój drogi, wracając do Londynu.

— Czemu?

— Bo teraz jestem niebezpiecznym towarzyszem. Panowanie tego człowieka skończyło się. Jeśli wróci do Londynu, będzie zgubiony. Znam go dobrze i chyba się nie mylę mówiąc, że całe życie poświęci zemście. Napomknął o tym w naszej krótkiej rozmowie i sędzę, że mówił poważnie. Szczerze ci radzę, wracaj do swoich pacjentów.

Oczywiście ta rada nie mogła znaleźć posłuchu u starego weterana i oddanego przyjaciela. Z pół godziny dyskutowaliśmy w jadalni hotelowej w Strassburgu z tym rezultatem, że tego wieczoru razem odjechaliśmy do Genewy.

Spędziliśmy czarujący tydzień wędrując doliną Rodami. Potem zboczyliśmy w Leuk, przeszliśmy przełęcz Gemmi, wciąż jeszcze leżącą w głębokim śniegu, i zawadziliśmy o Interlake, wylądowaliśmy w Meiringen. Była to wspaniała wycieczka: delikatna zieleń wiosny pod nami i nieskalana biel zimy w górze. Widziałem jednak, że Holmes ani na chwilę nie zapomniał o ścigającym go cieniu. W małych alpejskich wioskach czy na bezludnych niemal przełęczach bacznie okiem przyglądał się każdej mijanej twarzy i śmiało mógł powiedzieć, że dokądkolwiek byśmy się udali i cokolwiek byśmy robili, zawsze towarzyszyła mu obawa przed podążającym za nami niebezpieczeństwem.

Pamiętam, że pewnego razu, gdyśmy przechodzili przez Gemmi i szli brzegiem romantycznego jeziora Daubensee, oderwał się głaz z wierzchołka góry po prawej ręce i runął z łoskotem w wodę tuż za nami. W mgnieniu oka Holmes wdrapał się na górę i stanawszy na wysokim szczycie bacznie jak żuraw rozejrzał się wkoło. Daremnie przewodnik upewniał go, że na wiosnę w tym miejscu często spadają takie głazy. Zmilczał, ale uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo.

A jednak mimo nieustannej czujności nigdy nie wpadł w depresję. Przeciwnie, ani razu dotąd nie widziałem go w tak doskonałym humorze. Raz po raz powtarzał, że bez żalu zakończyłby swą karierę, gdyby udało mu się uwolnić społeczeństwo od profesora Moriarty'ego.

— Mogę chyba śmiało powiedzieć, że nie zmarnowałem życia — mówił. — Gdybym nawet umarł dziś w nocy, nie miałbym się czego powstydić. Oczyszciliem atmosferę Londynu. W żadnej z ponad tysiąca spraw nie występowałem w obronie zła. Ostatnio silniej kusiły mnie problemy, jakie nastęcza natura, niż te, powiedzmy, powierzchowne, za które całą odpowiedzialność ponosi sztuczny ustrój społeczny. Twoje wspomnienia o mnie, Watsonie, zakończą się z dniem, w którym ukoronuję swe życie ujęciem lub zgładzeniem najniebezpieczniejszego i najzdołniejszego przestępcy w Europie.

Chciałbym krótko i zwięźle przedstawić to, co mi jeszcze pozostało. Niemiły to dla mnie temat, lecz obowiązek wymaga, abym nie pominął żadnego szczegółu.

Trzeciego maja dotarliśmy do małej wioski Meiringen, gdzie zatrzymaliśmy się w Englischer Hoff prowadzonym wówczas przez niejakiego Piotra Steilera. Nasz gospodarz był człowiekiem inteligentnym i doskonale władał angielskim, gdyż trzy lata służył jako kelner w hotelu „Grosvenor” w Londynie. Za jego radą wyruszyliśmy czwartego maja na wycieczkę w góry, z tym, że zanocujemy w Rosenloui. Przykazał nam jednak, byśmy w połowie drogi zbieżyli nieco i obejrżeli wodospad Reichenbach.

Muszę przyznać, że to miejsce budzi grozę. Potok, wezbrany tającym śniegiem, leci w dół z zawrotnej wysokości, a bryzgi unoszą się nad nim jak dym nad płonącym domem. Wąwóz, do którego spada, to przepaść otoczona połyskliwymi, czarnymi jak węgiel skałami, zwężająca się w dole w niezgłębioną studnię. Gdzieś nisko biała woda kotłuje się i kipi, wypełnia głębię i przelewa się za skalisty, zębaty próg. Zielona struga, odwiecznie spadająca w dół, i gęsta, migotliwa zasłona rozbryzgów, bezustannie unoszących się w górę, swym łoskotem i wirowaniem przyprawia o zawrót głowy. Staliśmy tuż nad przepaścią, patrząc na połyskującą wodę, która gdzieś w dole pod nami rozbijała się o skały, i słuchając niemal ludzkich głosów, wraz z bryzgami unoszących się nad otchłanią.

Ścieżka przebita w skale zatacza półkole, by łatwiej było ogarnąć okiem cały wodospad, i urywa się nagle. Podróżny więc musi tu zawrócić. Właśnie zamierzaliśmy to zrobić, gdy ujrzeliśmy jakiegoś młodego Szwajcara biegnącego ku nam z listem w ręku. Gospodarz na papierze hotelowym pisał do mnie, donosząc, że parę minut po naszym wyjściu przybyła jakaś Angielka w ostatnim stadium gruźlicy. Zimą spędziła w Davos i jechała do przyjaciół w Lucernie, gdy nagle dostała krwotoku. Stan jej był beznadziejny, miała tylko parę godzin życia przed sobą, ale chciałaby jeszcze poradzić się angielskiego lekarza, gdybym więc mógł wrócić, etc. etc. Pocziwy Steiler zapewniał mnie w *postscriptum*, że byłby mi bardzo wdzięczny, gdybym zaraz zawrócił, bo chora nie chce nawet słyszeć o wezwaniu lekarza miejscowego, a on zdaje sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka na niego spada. Było to wezwanie z tych, którym się nie odmawia. Jakże nie usłuchać prośby rodaczki umierającej na obczyźnie? Nie chciałem jednak opuścić Holmesa. Umówiliśmy się wreszcie, że młody Szwajcar zostanie przy nim jako przewodnik i towarzysz, a ja wrócę do Meiringen. Holmes miał jeszcze jakiś czas zabawić nad wodospadem, a potem, jak mówił, wolno ruszy do Rosenloui, gdzie dogonię go wieczorem. Odchodząc widziałem go jeszcze opartego o skałę, ze skrzyżowanymi ramionami, wpatzonego w rwącą wodę. Tak po raz ostatni w życiu widziałem mego przyjaciela.

Już na samym dole, przy zejściu, obejrzałem się ponownie. Stąd nie widać już było wodospadu, ale kręta dróżka wiodąca zbieżem góry ku niemu leżała jak na dłoni. Przypominam sobie, że dojrzałem na niej jakiegoś mężczyznę idącego bardzo szybkim krokiem. Na zielonym tle jego ciemna sylwetka odbijała się wyraźnie. Doskonale pamiętam postać: i energiczne ruchy idącego, ale spiesząc do chorej nie zwróciłem na niego większej uwagi. W niespełną godzinę doszedłem do Meiringen. Stary Steiler stał na ganku hotelu.

— No! — wołałem biegnąc co sił. — Chyba jeszcze żyje? Cię zdziwienia przemknął po twarzy gospodarza, pytająco uniósł brew, a we mnie serce zamarło.

— Czy to pan pisał? — zapytałem wyciągając list z kieszeni. — Nie ma żadnej chorej Angielki w hotelu?

— Nie ma! — wykrzyknął. — Ale to blankiet hotelowy! Ha, ten liścik pisał pewnie wysoki Anglik, który przyszedł zaraz po wyjściu panów. Mówił...

Nie czekałem na dalsze wyjaśnienia. Zdjęty panicznym lękiem pędziłem ulicą ku ścieżce, którą tylko co szedłem. Godzinę schodziłem w dół i mimo mego pośpiechu upłynęło razem dwie, nim znów znalazłem się nad wodospadem Reichenbach. Alpejska laska Holmesa stała oparta o skałę na miejscu naszego rozstania. On sam zniknął bez śladu. Daremnie go wołałem. Odpowiedziało mi tylko gromkie echo odbite od gór.

Widok laski przyprawił mnie o dreszcz przerażenia. A więc Holmes nie poszedł do Rosenlauri. Został na tej wąskiej ścieżce z gładką ścianą za plecami i bezdenną przepaścią u stóp, aż dopadł go śmiertelny nieprzyjaciel. Młody Szwajcar też gdzieś znikł. Pewnie był przekupiony przez Moriarty'ego i zostawił ich sam na sam. Lecz co zaszło potem? Kto nam to powie?

Ze dwie minuty usiłowałem zebrać myśli i otrząsnąć się z przerażenia. Potem przypomniałem sobie metody Holmesa i z ich pomocą próbowałem odgadnąć tajemnicę tragedii. Niestety, zadanie było aż za łatwe! Rozmawiając pod wodospadem nie doszliśmy do końca dróżki, a kij alpejski znaczył miejsce, gdzie stał Holmes. Na czarnej ziemi ścieżki, stale zraszanej bryzgami wody, widać było wyraźnie każdy ślad, nawet pozostawiony przez ptasie łapki. Ujrzałem więc dwie pary śladów widocznych na krawędzi ścieżki. Oba szły dalej od miejsca, gdzie stałem, a żaden nie wracał. Na parę jardów przed końcem ścieżki ziemia była zdeptana na grzaskie błoto, a glóg i paproć porastające zbocza przepaści poszarpane i połamane. Położyłem się na brzuchu i zajrzałem w głąb, podczas gdy bryzgi rozbijały się wokół mnie. Zmierzch już zdążył zapaść, toteż widziałem tu i tam połysk wilgoci na czarnych skałach i gdzieś daleko w dole łamiącą się, migotliwą biel wody. Zawołałem, lecz odpowiedział mi tylko ten sam na pół ludzki głos wodospadu.

Los jednak chciał, że doszło do mnie ostatnie słowo pożegnania od mego przyjaciela i towarzysza wielu przygód. Powiedziałem już, że jego kij alpejski stał oparty o skałę występującą na ścieżkę. Na szczycie tej skały coś błysnęło. Pomacałem ręką i stwierdziłem, że to błyszcząca srebrna papierośnica Holmesa. Gdy ją podniosłem, wyleciał z niej mały zwitek papieru i sfrunął do moich stóp. Rozwinąłem go i przekonałem się, że są to trzy stroniczki wydarte z notesu i zaadresowane do mnie'. Charakteryzowały one Holmesa: pismo było równe, spokojne, treść zwięzła, tak jakby pisał u siebie w pokoju.

Drogi mój przyjacielu!

Uprzejmości profesora Moriarty'ego zawdzięczasz te parę linijek, które do Ciebie piszą przed końcową dyskusją z profesorem nad różniącymi nas kwestiami. Moriarty w krótkich słowach opowiedział mi, jak udało mu się ująć przed angielską policją i utrzymać się na naszych śladach. Potwierdza to tylko moje wysokie o nim mniemanie. Cieszę się, że uwolnię społeczeństwo od jego osoby, choć boję się, że stanie się to za cenę, która zmartwi moich przyjaciół, a zwłaszcza Ciebie. Mówiłem Ci jednak, że moje powodzenie doszło już do zenitu i że trudno mi marzyć o wspanialszym jego zakończeniu. Mówiąc szczerze, nie miałem żadnych wątpliwości, że list z Meiringen to zwykła mistyfikacja, i pozwoliłem Ci odejść mając pełną świadomość, że zajdzie to, co zaszło. Powiedz, proszę, inspektorowi Pattersonowi, że dokumenty potrzebne mu do zdemaskowania szajki znajdzie w szufladzie biurka w niebieskiej teczce zatytułowanej „Moriarty”. Przed wyjazdem z Anglii sporządziłem testament i oddałem go memu bratu Mycroftowi. Bądź łaskaw przekazać swej żonie pozdrowienia ode mnie.

Szczerze Ci oddany Sherlock Holmes

Parę słów wystarczy dla opisanego, co zaszło potem. Badania ekspertów wykazały, że walka dwóch ludzi zakończyła się tak, jak tylko mogła się zakończyć w tych warunkach — upadkiem w otchłań obu splecionych w mocnym uścisku. Nie można było nawet pomyśleć o odnalezieniu zwłok. Głęboko więc, w przepastnej kotlinie, gdzie spieniona woda kłębi się i burzy, pozostaną na wieki: najniebezpieczniejszy przestępca i najlepszy obrońca praw naszego pokolenia. Nigdy nie odszukano chłopca Szwajcara i nie może być wątpliwości, że był on jednym z agentów Moriarty'ego. Co do całej szajki, to dobrze jeszcze pamiętamy, jak zgubiły ją dowody zebrane przez Holmesa i jak bardzo zaciążyła nad nią jego ręka już po śmierci. W czasie procesu mało co dowiedziano się o strasznym szefie bandy, a jeśli teraz bez żadnych osłonek przedstawiam jego prawdziwą postać, to zmusili mnie do tego niesumienni ludzie, którzy usiłują wybielić jego pamięć atakując najszlachetniejszego i najmądrzejszego człowieka, jakiego znałem.

Przełożył Tadeusz Evert

ROZDZIAŁ V

PUSTY DOM

Na wiosnę 1894 roku cały Londyn był podniecony, a elegancki świat wstrząśnięty nadzwyczaj tajemniczym morderstwem popełnionym na czcigodnym Ronaldzie Adair.

Z oficjalnego śledztwa publiczność dowiedziała się wielu szczegółów zbrodni, wiele jednak zatajono, gdyż dochodzenie było niezmiernie przykre, a nie zachodziła potrzeba ujawnienia wszystkich okoliczności. Dopiero teraz, gdy mija dziesiąty rok od popełnienia morderstwa, wolno mi uzupełnić brakujące ogniwo w całym łańcuchu zadziwiających wydarzeń. Zbrodnia, sama przez się bardzo ciekawa, była niczym w porównaniu z wprost niepojętymi jej następstwami, które nie tylko mnie zadziwiły, ale i wstrząsnęły mną jak żaden wypadek w moim pełnym przygód życiu. Nawet dziś, po wielu latach, przejmuję mnie dreszcz na wspomnienie tego wydarzenia i znów ogarnia mnie fala radości, zdziwienia i wątpliwości. Niech ci czytelnicy, których zainteresowały moje migawkowe opisy czynów i myśli jednego z najwybitniejszych ludzi świata, nie biorą mi za złe, że dotąd nie podzieliłem się z nimi moimi wiadomościami. Chętnie bym to zrobił, gdyby nie wyraźny zakaz Holmesa, cofnięty dopiero trzeciego dnia ubiegłego miesiąca.

Nietrudno pojąć, że moja bliska przyjaźń z Sherlockiem Holmesem rozbudziła we mnie głębokie zainteresowanie kryminalistyką. Po jego zniknięciu zawsze uważnie czytałem sprawozdania ze wszystkich tajemniczych wydarzeń. Nieraz nawet z czystego zamilowania próbowałem, ze zmiennym zresztą szczęściem, zastosować do tych wypadków metodę Sherlocka Holmesa. Żadna jednak sprawa nie zainteresowała mnie tak bardzo jak zabójstwo Ronalda Adair. Czytając orzeczenie władz, stwierdzające, że Adair padł ofiarą morderstwa dokonanego z premedytacją przez jednego lub więcej nieznanymi sprawców, zrozumiałem jaśniej niż kiedykolwiek, jaką niepowetowaną stratę poniosło społeczeństwo przez śmierć Holmesa. W tej niepojętej zbrodni były punkty, które niewątpliwie bardzo by go zainteresowały. Czujny, doświadczony i bystry umysł największego w Europie detektywa potrafiłby uzupełnić, a pewnie nawet wyprzedzić wysiłki policji. Codziennie, idąc do moich chorych, rozmyślałem nad tą sprawą, lecz nie znajdowałem żadnego zadowalającego rozwiązania. Ryzykując, że niepotrzebnie powtarzam znane wszystkim z oficjalnej wersji fakty, raz jeszcze je przytoczę:

Ronald Adair był drugim synem hrabiego of Maynooth, ongi gubernatora jednej z australijskich kolonii. Jego matka wróciła z Australii, by się poddać operacji katarakty. Wraz z synem Ronaldem i córką Hildą mieszkała przy Park Lane pod numerem 427. Młodzieniec obracał się w najlepszym towarzystwie. O ile wiadomo, nie miał wrogów ani żadnych namiętności. Był zaręczony z panną Edith Woodley of Carstairs, ale na parę miesięcy przed tragicznym wypadkiem za obopólną zgodą narzeczeństwo zostało zerwane, bez żalu dla którejś ze stron. Poza tym życie młodzieńca, z natury cichego i beznamiętnego, płynęło spokojnie w małym kółku znajomych. A jednak na tego beztroskiego arystokratę wieczorem między godziną dziesiątą a jedenastą dwadzieścia 30 marca 1894 spadła tajemnicza i niespodziewana śmierć.

Ronald Adair chętnie grywał w karty, ale nigdy zbyt hazardownie. Należał do klubów „Baldwin”, „Cavendish” i „Bagatelle”. Stwierdzono, że w dzień śmierci po obiedzie zagrał jednego robra wista w ostatnim z tych klubów. Grał tam też po południu. Jego partnerzy: pan Murray, sir John Hardy i pułkownik Moran zeznali, że grano w wista z równym szczęściem. Adair mógł przegrać pięć funtów, nie więcej. Był bardzo bogaty i taka przegrana nic dla niego nie znaczyła. Niemal codziennie grywał w tym czy innym klubie, szczęście mu dopisywało i prawie zawsze wygrywał. Dowiedziano się jeszcze, że parę tygodni temu ;na jednym

posiedzeniu wygrał do spółki z pułkownikiem Moranem 420 funtów od Godfrey'a Milnera i lorda Balmoral. Tyle ujawniono w śledztwie.

Tragicznego dla siebie wieczoru Adair powrócił z klubu punktualnie o dziesiątej. Jego matka i siostra były z wizytą u krewnych. Pokojówka zeznała, że słyszała, jak Adair wszedł do frontowego pokoju na drugim piętrze, służącego mu zwykle za bawialnię. Podpaliła tam już przedtem na kominku, a że ten dymił, otworzyła okna. W pokoju było zupełnie cicho aż do jedenastej dwadzieścia, kiedy to wróciła lady Maynooth z córką. Chciała wejść do syna, by mu powiedzieć dobranoc. Ale drzwi były zamknięte od wewnątrz i nikt nie odpowiadał na pukanie i wołanie. Wyłamano więc drzwi. Nieszczęśliwy młodzieniec leżał koło stołu. Głowę miał straszliwie zmasakrowaną rewolwerową kulą dum—dum. W pokoju jednak nie znaleziono żadnej broni. Na stole leżały dwa banknoty po 10 funtów oraz 17 funtów i 10 szylingów w złocie i srebrze ułożonych w stopki różnej wartości. Na kawałku papieru nakreślone były jakieś cyfry, a obok nich nazwiska klubowych przyjaciół. Wywnioskowano z tego, że przed śmiercią Ronald próbował podliczyć wygrane i przegrane w karty.

Szczegółowe badanie okoliczności zbrodni jeszcze bardziej ją zaciemniło. Przede wszystkim nie wiadomo było, czemu młodzieniec zamknął drzwi pokoju. Przypuszczano, że może zrobił to morderca, który później uciekł oknem. Musiałby jednak zeskoczyć co najmniej z wysokości dwudziestu stóp prosto na klomb kwitnących krokusów. Ale ani jeden kwiatek nie był złamany, a na ziemi czy wąskim trawniku między domem i ulicą nie znaleziono żadnych śladów. Najwidoczniej więc sann Ronald zamknął drzwi. Skąd więc ta śmierć? Nikt nie zdołałby się dostać przez okno nie zostawiając po sobie śladów. Załóżmy, że ktoś strzelił z ulicy. Tylko wspaniały strzelec mógłby w tych warunkach zadać śmiertelną ranę z rewolweru. Poza tym Park Lane jest uczęszczaną ulicą, a o sto jardów od domu znajduje się postój dorożek. Nikt nie słyszał wystrzału. A jednak fakty były nieubłagane; trup, rewolwerowa kula, splaszczona jak wszystkie kule z miękkim końcem, i rana, która musiała spowodować natychmiastową śmierć. Takie okoliczności towarzyszyły „Tajemniczej zbrodni przy Park Lane”, a komplikowało ją jeszcze to, że nie wykryto żadnego powodu do zabójstwa — bo jak już powiedzieliśmy, ofiara nie miała wrogów, a rabunku nie stwierdzono.

Cały dzień myślałem o tych faktach, starając się wyrobić sobie jakiś pogląd, który by je pogodził, i znaleźć najlogiczniejszy punkt zaczepienia, punkt wyjściowy każdego śledztwa, jak uczył mnie mój nieodżałowany przyjaciel. Przyznaję jednak, że nie zdziałiałem wiele. Wieczorem przespacerowałem się przez park i koło szóstej stanąłem na Oxford Street przy końcu Park Lane. Po grupce gapiów na chodniku, z zadartymi głowami obserwujących jakieś okno, poznałem dom, którego szukałem. Wysoki, chudy jegomość w ciemnych okularach, jak podejrzewam — agent śledczy, wygłaszał swe zdanie o tej zbrodni, a ludzie tłoczyli się wokół niego, słuchając. Przecisnąłem się, jak mogłem najbliżej, ale jego wywody były tak absurdalne, że wycofałem się z niesmakiem. Zderzyłem się wówczas z jakimś zgarbionym staruszkiem stojącym za mną i wytrąciłem mu z ręki kilka książek. Pamiętam, że podnosząc je przeczytałem jeden z tytułów: *O genezie czci dla drzew*. Pomyślałem sobie, że ten staruszek musi być biednym bibliofilem, który albo z zawodu, albo z zamiłowania zbiera dziwolągi. Chciałem się usprawiedliwić przed nim, ale musiał sobie bardzo cenić tak źle przeze mnie potraktowane książki, bo coś odburknął i odwrócił się na pięcie. Widziałem jego zgarbione plecy i siwą głowę znikającą w tłumie.

Moja obserwacja domu nr 427 przy Park Lane nie dała mi nic nowego. Niski murek i sztachety, razem nie sięgające nawet pięciu stóp, odgradzały dom od ulicy. Łatwo więc było dostać się do ogrodu. Za to okno było zupełnie niedostępne. Ściana gładka, bez żadnej rynny czy występu, po którym jakiś śmiałek mógłby się wspiąć na piętro. Bardziej jeszcze zakłopotany niż przedtem wróciłem do Kensington. Nie minęło nawet pięć minut od mego powrotu, gdy do gabinetu weszła pokojówka i zameldowała, że ktoś chce się ze mną widzieć. Zdumiałem się ujrawszy przed sobą dziwaka—bibliofila. Gęste siwe włosy opadały mu na

pomarszczoną twarz o ostrych rysach, zakrywając ją niemal całkowicie. Pod pachą trzymał z tuzin swych drogocennych książek.

— Nie spodziewał się pan mnie — powiedział dziwnym, skrzekliwym głosem.

Przyznałem mu rację.

— Nie jestem znów całkiem pozbawiony sumienia, mój panie. Gdy kuśtykałem za panem, zobaczyłem, że pan wszedł do tego domu, i pomyślałem sobie: wejdź za tym uprzejmym panem i powiedz, że choć byłeś dla niego szorstki, nie myślałeś nic złego i że wdzięczny mu jesteś za podniesienie książek. — Nie ma nawet o czym mówić — odparłem. — Ale skąd pan wie, kim jestem?

— Pozwolę sobie powiedzieć, że sąsiadujemy ze sobą. Mam księgarenkę na rogu Church Street. Będę rad, jeśli pan kiedy wstąpi. A może i pan kolekcjonuje książki? Proszę : *Brytyjskie ptaki*, *Catullus** i *Wojna świata*. Każda — to unikat. Pięcioma tomami mógłby pan zapłacić lukę na drugiej półce. Bo to nieporządnie wygląda, proszę pana.

Obejrzałem się na półkę za sobą. A gdy się znów odwróciłem, zobaczyłem przed biurkiem roześmianego Sherlocka Holmesa. Zerwałem się na równe nogi, przez chwilę patrzyłem nań ogłupiały, a później musiałem chyba zemdleć po raz pierwszy i zapewne ostatni w życiu. W oczach mi pociemniało, a gdy się ocknąłem, kołnierzyk miałem rozpięty, a na wargach czułem palący smak wódki. Holmes z butelką w rękę pochylał się nade mną.

— Drogi przyjacielu — powiedział dobrze mi znanym głosem. — Stokrotnie cię przepraszam. Nie przypuszczałem, że się tak wzruszysz.

Schwyciłem go za rękę.

— Holmes! — krzyknąłem. — To naprawdę ty! Więc żyjesz? Udało ci się wyjść z tej strasznej otchłani?

— Chwileczkę — odparł Holmes. — Czy już możesz mówić spokojnie? Za bardzo cię przeraziłem tą niepotrzebną, zresztą komedią.

— Już mi dobrze. Ale własnym oczom nie wierzę. Wielkie nieba... Tylko pomyśleć, że to ty we własnej osobie stoisz tu przede mną!

Znów chwyciłem go za rękaw i wyczułem pod materiałem szczupłe, muskularne ramię.

— A więc nie duch! — powiedziałem. — Mój drogi, nie posiadam się z radości. Usiądź i powiedz, jak się wydostałeś z przepaści.

Siadł naprzeciwko mnie i w swój nonszalancki sposób zapalił papierosa. Miał na sobie wytarty surdut antykwariusza, ale reszta przebrania — siwy kłębek peruki i kupka książek — leżały spiętrzone na biurku. Holmes sprawiał wrażenie jeszcze szczuplejszego i bardziej nerwowego niż dawniej, a jego orla twarz nabrała chorobliwej bladeści. Widocznie ostatnio pędził niezdrowy tryb życia.

— Chętnie rozprostuję kości — powiedział. — Przy moim wzroście to nie fraszka garbić się przez cały dzień, by zmaleć o stopę. Drogi przyjacielu, jeśli chcesz, bym ci wyjaśnił tę zagadkę, a nie odmówisz mi pomocy w moim przedsięwzięciu, będziemy mieli dość czasu, bo czeka nas ciężka i niebezpieczna noc. Może lepiej zrobię wyjaśniając ci wszystko już po skończonej robocie.

— Płonę z ciekawości. Wolałbym, żebyś mi już teraz opowiedział.

— A będziesz mi towarzyszył tej nocy?

— Kiedy chcesz i dokąd chcesz.

— Jak w starych, dobrych czasach. Zdążymy jeszcze coś zjeść przed wyjściem. No dobrze, a teraz o przepaści: wydostanie się z niej nie sprawiło mi kłopotu dla tej prostej przyczyny, że w niej nigdy nie byłem.

— Nigdyś w niej nie był?!

— Nie, nigdy. Zresztą list, który ci zostawiłem, był zupełnie szczery. Widząc złowrogą postać nieboszczyka profesora Moriarty'ego zagrządzającego mi wąską ścieżkę, jedyną drogę

* Catullus Cajus Valerius — poeta rzymski urodzony w Weronie około 84 r. p.n.e.

ratunku, uwierzyłem, że to koniec mojej kariery. Jego szare oczy były nieubłagane. Wymieniliśmy parę uwag i wspaniałomyślnie pozwolił mi napisać ten krótki liścik, który później znalazłeś. Zostawiłem go wraz z papierośnicą i laską, a sam poszedłem dalej z Moriartym deptającym mi po piętach. Kiedy doszedłem do końca ścieżki, znalazłem się w rozpaczliwej sytuacji. Moriarty nie miał żadnej broni, ale rzucił się na mnie i oplótł mnie swymi długimi ramionami. Wiedział, że przegrał z kretesem i że pozostała mu tylko zemsta. Walczyliśmy tuż nad wodospadem, na samym skraju przepaści. Znam się trochę na „baritsu”, japońskim systemie walki, co już nieraz mi się przydało. Wyśliznąłem się z objęć przeciwnika, a on, przeraźliwie krzyknawszy, parę chwil chwiał się na nogach i bił rękami w powietrzu, starając się utrzymać równowagę. Ale stracił ją mimo wszystko i spadł w przepaść. Przechyliwszy się przez krawędź widziałem, jak leciał. Uderzył o skałę, odbił się i runął w wodę.

Holmes mówił zaciągając się od czasu do czasu papierosem, a ja słuchałem zdziwiony.

— Ale ślady! — wykrzyknąłem. — Widziałem na własne oczy, że dwóch ludzi poszło ścieżką, lecz żaden nie wrócił. — Widzisz, stało się to tak: gdy profesor spadł w przepaść, natychmiast uświadomiłem sobie, że los zsyła mi niezwykłą szansę. Wiedziałem, że nie tylko Moriarty przysiągł mi zemstę. Pozostało jeszcze ze trzech innych ludzi, których śmierć ich szefa mogła tylko rozjrzeć. Wszyscy byli nadzwyczaj niebezpieczni. Któremuś z nich na pewno udałoby się mnie zabić. Jeżeli zaś cały świat nabierze przekonania, że nie żyję, ludzie ci zaczną śmiało sobie poczynać. Łatwiej się zdradzą i wcześniej czy później wpadną w moje ręce. Wtedy będzie można ogłosić, że jeszcze chodzę po tym świecie. Mózg tak szybko pracuje, że przemyślałem to wszystko, zanim profesor Moriarty doleciał do dna wodospadu Reichenbach.

Wstałem i zacząłem przyglądać się skale za mną. W swoim malowniczym sprawozdaniu z tego wydarzenia — przeczytałem je z wielkim zainteresowaniem w jakiś czas później zapewniałeś, że ściana była gładka. To niezupełnie zgadza się z prawdą. Miałem o co oprzeć nogę, a nieco wyżej znalazłem nawet mały występ. Skała była tak wysoka, że nie można się było wdrapać na jej szczyt, ale nie można też było wracać wilgotną ścieżką nie pozostawiając śladów. Oczywiście mogłem włożyć buty tyłem do przodu, jak to już nieraz robiłem, ale trzy linie śladów, biegnących w tym samym kierunku, łatwo wzbudziłyby podejrzenia. Musiałem więc zaryzykować wspinaczkę. Nie należała do przyjemności, wierzaj mi. Wodospad huczał tuż pode mną. Nie mam bujnej wyobraźni, ale głowę bym dał, że Moriarty strasznym głosem wołał mnie z dna przepaści. Najmniejszy niezręczny ruch byłby dla mnie fatalny w skutkach. Za każdym razem, gdy pęczek trawy zostawał mi w rękach lub noga pośliznęła się w wilgotnej rozpadlinie, myślałem, że koniec ze mną. Wspinałem się jednak uparcie i wreszcie dotarłem do występu szerokiego na kilka stóp i porośniętego miękkim zielonym mchem. W tym pewnym ukryciu mogłem się wygodnie położyć. I tam też leżałem, gdy ty wraz z twymi towarzyszami jak najstaranniej, lecz bezskutecznie, starałeś się ustalić okoliczności mej domniemanej śmierci.

Wreszcie wyrobiliście sobie nieuniknione, choć zupełnie fałszywe zdanie i odeszliście do hotelu, pozostawiając mnie samego. Myślałem, że moja przygoda już się skończyła, gdy coś nieprzewidzianego dowiodło mi, że czekają mnie jeszcze różne niespodzianki. Potężny głaz spadający z góry z hukiem przeleciał obok mnie, wyrzwał w ścieżkę i runął w przepaść. Myślałem przez sekundę, że to zwykły przypadek. Ale w chwilę później, spojrzawszy w górę, ujrzałem czyjaś twarz na tle ciemnego nieba i nowy kamień uderzył w występ, na którym leżałem, o parę stóp od mej głowy. Nie mogłem mieć już żadnych wątpliwości. Moriarty nie był wtedy sam. Jakiś jego współnik — od jednego spojrzenia oceniłem, jak bardzo niebezpieczny — czatował w czasie naszej walki. Z daleka, niewidoczny dla mnie, obserwował śmierć swego przyjaciela i moją ucieczkę. Wyczekał, obszedł szczyt skały i teraz usiłował dokonać tego, co nie udało się jego towarzyszowi.

Nie zostawił mi czasu na dłuższe rozmyślenia. Za chwilę znów ujrzałem tę straszną twarz nad skałą. Wiedziałem, że jest to zapowiedź kolejnego zamachu na moje życie. Począłem schodzić w dół. Myślę, że gdyby nie nerwy, nigdy bym tego nie dokazał. Zejść było sto razy trudniej niż wejść. Nie miałem czasu myśleć o niebezpieczeństwie, bo gdy zawisłem na rękach na krawędzi występu, nowy kamień przeleciał tuż koło mnie. W połowie drogi obsunąłem się, ale dzięki Bogu, choć skrwawiony i obdarty, wylądowałem szczęśliwie na ścieżce. Wziąłem nogi za pas, po ciemku zrobiłem dziesięć mil po górach i w tydzień później byłem już we Florencji, pewny, że nikt na świecie nie wie, co się ze mną stało.

Mogłem mieć tylko jednego powiernika — mego brata Mycrofta. Bardzo cię przepraszam, mój drogi, ale to było konieczne. Ty musiałeś wierzyć, że zginąłem, bo inaczej nie napisałbyś tak przekonywającego sprawozdania o mojej śmierci. W ciągu ostatnich trzech lat nieraz chwyciłem za pióro, by do ciebie napisać. Zawsze jednak bałem się, że z przyjaźni gotówes, popełnić jakąś fatalną dla mnie niedyskrecję. Dlatego też odwróciłem się od ciebie dziś wieczór, gdy wytrąciłeś mi książki. Groziło mi niebezpieczeństwo: twoje zdziwienie czy radość na mój widok zdemaskowałyby mnie, a tego bym sobie nigdy nie darował. Mycroftowi musiałem się zwierzyć, by dostawać pieniądze. W Londynie sprawy nie potoczyły się tak, jak się spodziewałem. Dwóch najgroźniejszych członków bandy Moriarty'ego umknęło prawu. Byli to moi najbardziej zaciekli wrogowie chodzący na wolności. Dwa lata podróżowałem więc po Tybecie, odwiedziłem Lhasę i spędziłem parę dni u Dalaj Lamy. Pewnie czytałeś o niezwykłych odkryciach Norwega Sigersona i nawet ci przez myśl nie przeszło, że to wieść od twego przyjaciela. Zwiedziłem Persję, zajrzałem do Mekki i złożyłem Krc,Ka, lecz ciekawą wizytę kalifowi w Chartumie. Sprawozdanie z niej przesłałem Ministerstwu Spraw Zagranicznych. Potem wróciłem do Francji i spędziłem parę miesięcy w laboratorium w Montpellier, na południu, badając pochodne dziegciu. Gdy się z tym szczęśliwie uporałem i dowiedziałem się, że w Londynie przebywa tylko jeden z mych wrogów, zacząłem się zbierać do powrotu. Przyśpieszyłem go na wiadomość o „Tajemniczej zbrodni przy Park Lane”, która nie tylko sama przez się jest interesująca, ale dla mnie wiąże się jeszcze z pewnymi osobistymi nadziejami. Błyskawicznie zjawiłem się w Londynie, zajechałem na Baker Street, przyprowadziłem moim widokiem panią Hudson o spazmy i stwierdziłem, że Mycroft zachował tam wszystko, w dawnym porządku. Tak to, mój drogi, dziś o drugiej siedziałem w swoim starym fotelu w naszym starym pokoju i tylko życzyłem sobie, bym mógł zobaczyć ciebie, stary przyjacielu, w drugim fotelu, który tak często zdobyłeś swoją osobą.

Takiego to ciekawego opowiadania słuchałem pewnego kwietniowego wieczora. Opowiadania wręcz niewiarygodnego, gdyby nie widok wysokiej, szczupłej postaci i energicznego, inteligentnego oblicza, którego już nigdy nie spodziewałem się ujrzeć. W jakiś tajemniczy sposób Sherlock Holmes dowiedział się o mojej ciężkiej stracie i wyraził współczucie raczej całym swoim zachowaniem, a nie słowami.

— Praca to najlepsze lekarstwo na zmartwienie, mój drogi — powiedział. — A na dzisiejszą noc mam kawał roboty dla nas obu. Jeżeli się nam poszczęści, to samo, to już wystarczy za cel życia.

Na próżno błagałem go, by mi powiedział coś więcej. — Zdażysz się napatrzeć i nasłuchać przed świtem — przeciął moje pytanie. — Mamy dość do pogadania o minionych trzech latach. Wystarczy tematu do wpół do dziesiątej, kiedy to wyruszymy do pustego domu w poszukiwaniu wielkiej przygody.

Rzeczywiście, przypomniały mi się dawne czasy, gdy o wpół do dziesiątej siedziałem obok Sherlocka Holmesa w dorożce z rewolwerem w kieszeni i dreszczem oczekiwania w sercu. Holmes był spokojny, poważny i milczący. W przelotnym blasku ulicznych latarni, padającym na jego ascetyczne rysy, widziałem zmarszczone brwi i zaciśnięte w skupieniu usta. Nie wiedziałem, na jaką bestię polujemy w dżungli kryminalnego Londynu, ale z

zachowania tego mistrza myśliwych czułem, że gra jest nadzwyczaj poważna. A z sardonicznego uśmiechu, który czasem rozjaśniał jego opanowane i surowe oblicze, nie wróżyłem nic dobrego zwierzyńnie.

Wydawało mi się, że jedziemy na Baker Street, lecz Holmes zatrzymał dorożkę na rogu Cavendish Square. Zauważyłem, że wysiadając rozejrzał się badawczo, a na każdym rogu uważnie sprawdzał, czy nas nikt nie śledzi. Dziwną szliśmy drogą. Holmes znał wszystkie zakamarki Londynu, więc szybko, pewnym krokiem przemierzał labirynt sta jen i dorożkarskich podwórek, o których istnieniu nie miałem najmniejszego pojęcia. Wreszcie wyszliśmy na jakiś zaułek między starymi, ponurymi domami, który zawiódł nas na Manchester Street, a później na Blandfort Street. Tu Holmes nagle zawrócił w wąskie przejście, minął drewnianą bramę, wszedł na puste podwórko i otworzył kluczem tylne drzwi jakiegoś domu. Gdyśmy weszli, przekręcił klucz w zamku. Wewnątrz było ciemno jak w piekle. Domyśliłem się, że dom jest pusty. Gołe deski podłogi trzeszczały i skrzypiały pod naszymi nogami. Wyciągniętą ręką dotykałem strzępów tapet zwisających ze ścian. Holmes zacisnął zimne, szczupłe palce na moim napiętku i poprowadził mnie długim korytarzem. Wreszcie ujrzałem mdłe światło padające przez półokrągłe okno nad drzwiami. Tu Holmes raptownie skręcił w prawo i znaleźliśmy się w dużym, kwadratowym, pustym pokoju, którego kąty tonęły w mroku, choć środek był oświetlony słabym blaskiem z ulicy. W pobliżu nie było żadnej latarni i gęsty kurz pokrywał szyby, tak że ledwie mogliśmy się dojrzeć. Holmes położył mi rękę na ramieniu i przybliżył usta do ucha.

— Wiesz, gdzie jesteśmy? — zapytał szeptem.

— Na Baker Street — odparłem patrząc przez zakurzone szyby.

— Tak. Jesteśmy w Camden House, akurat naprzeciwko naszego dawnego mieszkania.

— Po cośmy tu przyszli?

— Bo stąd mamy wspaniały widok na ten malowniczy budynek. Czy mogę cię prosić, byś najostrożniej, tak by cię nikt nie zobaczył, podszedł do okna i spojrzął na nasze stare apartamenty, punkt wyjściowy tylu wspaniałych przygód?

Zobaczmy, czy moja trzyletnia nieobecność nie pozbawiła mnie zdolności sprawiania ci niespodzianek.

Podkradłem się bliżej, spojrzałem na znane okno i krzyknąłem ze zdziwienia. Zasłona była spuszczone, pokój jasno oświetlony, a na żółtą tafłę szyby padał wyraźny, czarny cień człowieka siedzącego w fotelu. Pochylenie głowy, kwadratowe ramiona, ostrość rysów nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Twarzą był na pół zwrócony ku mnie, a cała jego sylwetka przypominała jedną z tych, które nasi dziadkowie tak lubili wycinać z czarnego papieru. Wykapany Holmes! Byłem tak zdziwiony, że wyciągnąłem rękę chcąc się przekonać, czy on sam stoi przy mnie. Trząsł się w cichym śmiechu.

— Udane, co? — zapytał.

— Wielkie nieba! Wspaniale!

— Ha, więc wiek i rutyna nie osłabiły mej pomysłowości — powiedział, a w głosie jego zadrgała duma i radość artysty z własnego dzieła. — Podobne do mnie, prawda?

— Przysięgłbym, że to ty.

— Zaszczyt wykonania przypada panu Oskarowi Meunier z Grenoble, który w parę dni uporał się z odlewem. To woskowe popiersie. Wykończyłem dzieło sam, będąc dziś po południu na Baker Street.

— Ale po co?

— Bo, mój drogi, bardzo mi na tym zależy, by niektóre osoby myślały, że jestem tam, gdzie mnie nie ma.

— Przypuszczasz, że mieszkanie jest śledzone?

— Ja wie m, że jest śledzone.

— Przez kogo?

— Przez moich zagorzałych wrogów. Przez bardzo miłą kompanię, której szef spoczywa na dnie wodospadu Reichenbach. Musisz pamiętać, że ci ludzie, i tylko oni — wiedzą, że żyję. Wiedzą, że wcześniej czy później wrócę do siebie. Nie spuszczała mieszkania z oka, a dziś rano widzieli mnie, jak wchodziłem.

— Skąd wiesz?

— Widziałem jednego z nich na czatach, gdy wyrządałem z okna. To niegroźny gość. Nazywa się Parker, dusiciel z zawodu i prawdziwy mistrz w grze na organkach. Nic sobie z niego nie robię. Lecz za to wiele sobie robię z tego wielce niebezpiecznego osobnika, który się za nim ukrywa. Z serdecznego przyjaciela nieboszczyka Moriarty'ego, z człowieka, który spychał na mnie głązy, z najprzebieglejszego i najniebezpieczniejszego zbrodniarza w Londynie. On mnie dziś tropi, a nie wie, że my tropimy jego.

Powoli plany mego przyjaciela same się ujawniały. Ta wygodna, odosobniona kryjówka pozwalała nam śledzić śledzących i tropić tropiących. Kościsty cień po drugiej stronie ulicy był przynętą, a my myśliwymi. W milczeniu i ciemności staliśmy z Holmesem obok siebie, śledząc przechodzące ulicą osoby. Holmes stał nieruchomy i cichy, ale miał się na baczności i uważnie obserwował tłum za oknem. Noc była chłodna i wietrzna. Wiatr przeraźliwie gwizdał w długim przelocie ulicy. Ludzie szli w obie strony, otuleni w płaszcze i szaliki. Parę razy wydało mi się, że widzę tę samą osobę, i nawet wypatrzyłem dwóch mężczyzn chroniących się przed wiatrem w bramie pobliskiego domu. Usiłowałem zwrócić na nich uwagę Holmesa, lecz on tylko odburknął coś niecierpliwie i nadal nie odrywał wzroku od ulicy. Kilkrotnie przestąpił z nogi na nogę i zabębnił palcami po ścianie. Widziałem, że coś zaczyna go denerwować i że nie wszystko idzie po jego myśli. Wreszcie koło północy, gdy ulica opustoszała, Holmes nie panując już nad sobą przeszedł się parę razy po pokoju. Właśnie chciałem się odezwać, gdy wzrok mój padł na oświetlone okno naprzeciw. Zmartwiałem ze zdziwienia i chwyciwszy Holmesa za rękę, zawołałem wskazując palcem:

— Cień się poruszył! — Teraz widzieliśmy już nie profil, lecz plecy siedzącego.

Trzy lata nie utemperowały szorstkiego charakteru Holmesa ani nie nauczyły go wyrozumiałości dla mniej bystrych umysłów.

— Myślę, że się poruszył — odrzekł zgryźliwie. — Sądysz, że jestem takim idiotycznym partaczem, który usiłuje złapać najsprytniejszego człowieka w Europie na jawną kukłę? Siedzimy tu już od dwóch godzin i przez ten czas pani Hudson osiem razy poruszyła manekin. Co piętnaście minut. Porusza nim od przodu, tak by nie rzucać sobą cienia. Ach!... — podniecony, ze świstem wciągnął oddech.

W mroku dostrzegłem, że pochylił się naprzód i zebrał w sobie. Tamci dwaj ludzie ciągle jeszcze, być może, kulili się w bramie, ale ja już ich nie „widziałem”. Wszystko tonęło w ciemności, tylko żółta tafla okna z czarnym cieniem pośrodku błyszcząca przed nami. W głuchej, pełnej napięcia ciszy znów usłyszałem cienki świst oddechu, znak tłumionego podniecenia. Za chwilę Holmes pchnął mnie w najciemniejszy kąt i ostrzegawczo położył mi dłoń na ustach. Palce zaciśnięte na moim ramieniu drgały nerwowo. Nigdy nie widziałem go jeszcze aż tak podnieconego, choć ulica przed nami leżała ciemna, cicha i głucha.

Aż nagle usłyszałem to, co Holmes już przedtem pochwycił czujnym uchem. Stłumiony szelest nadlotał do mnie nie z ulicy, lecz z tyłu domu, w którym siedzieliśmy ukryci. Drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły. Za chwilę usłyszałem szmer kroków w korytarzu. Ktoś usiłował się skradać, lecz w pustym domu kroki rozbrzmiały echem. Holmes przywarł do ściany. Ja zrobiłem to samo i zaciśnąłem rękę na kolbie rewolweru. Wpatrując się w ciemność ujrzałem na czarnym tle otwartych drzwi nieco czarniejszą sylwetkę człowieka. Przez chwilę stał bez ruchu, potem, skulony groźnie, wsunął się do pokoju. Był od nas o trzy jardy i już szykowałem się do odparowania skoku, gdy zdałem sobie sprawę, że przecież nic o nas nie wie. Przeszedł tuż obok, podkradł się do okna i ostrożnie, bez szelestu, uniósł je o pół stopy. Gdy ukląkł przed powstałym otworem, uliczne światło, nie tłumione już zakurzoną szybą,

pełnym blaskiem padło na jego twarz. Spostrzegłem, że był niesłychanie podniecony. Oczy błyszczały mu jak gwiazdy, grymas wykrzywił rysy. Był to starszy już mężczyzna o cienkim, długim nosie, wysokim, łysym czole i wielkich, szpakowatych wusach. Szapoklak zsunął mu się na tył głowy, a spod rozpiętego płaszcza błyszczał biały gors koszuli. Nieznajomy twarz miał pociągłą i smagłą, wykrzywioną grymasem wściekłości.

W Anglii okna są podnoszone.

W rękę trzymał coś podobnego do laski, ale gdy ją położył na ziemi, zadźwięczała metalicznie. Potem z kieszeni palta wyciągnął jakiś ciężki przedmiot i zaczął się nad czymś mozolić, po chwili rozległ się głuchy szcęk, jakby sprężyny czy zaczepu wskakującego na swoje miejsce. Ciągłe klęcząc przed oknem nieznajomy pochylił się w przód i całym ciężarem ciała naparł na jakiś lewarek. Rozległ się długi, wibrujący, przenikliwy świst, zakończony głośnym traskiem. Wówczas wyprostował się i zobaczyłem, że trzyma w rękę coś w rodzaju strzelby z dziwną kolbą. Potem znów się pochylił i oparł lufę na parapecie okna. Ujrzałem długie wąsy tuż u kolby i błysk oka wpatzonego w cel. Usłyszałem też westchnienie ulgi, gdy przykładał broń do ramienia, i zobaczyłem ten dziwny cel: czarną sylwetkę na żółtym tle okna. Na chwilę tajemniczy strzelec zastygł w bezruchu. Potem pociągnął za cyngiel. Rozległ się głośny gwizd i przeciągły brzęk tłuczonego szkła. W tej chwili Sherlock Holmes jak tygrys skoczył na plecy nieznajomego i powalił go na podłogę. Ale on w mgnieniu oka zerwał się na nogi i z rozpaczliwą siłą chwycił Holmesa za gardło. Wówczas silnym uderzeniem kolby rewolweru w głowę przewróciłem złoczyńcę na ziemię. Zwalilem się na niego, a Holmes zagwizdał w świstawkę. Kroki biegnących zadudniły po chodniku i dwaj umundurowani policjanci z agentem śledczym po cywilnemu wpadli do domu przez drzwi frontowe.

— Lestrade, to pan? — zapytał Holmes.

— Tak, to ja. Sam wziąłem się do tej roboty. Cieszę się, że pan wrócił.

— Myślałem, że przyda się wam trochę prywatnej pomocy. Trzy nie wykryte morderstwa w ciągu roku — to kiepsko. Ale w sprawie „Tajemniczy Molesey” działał pan nieco... powiedzmy, całkiem dobrze.

Wstaliśmy już z ziemi. Nasz jeńiec, trzymany przez dwóch krzepkich policjantów, dyszał ciężko. Gapie poczęli się zbierać na ulicy. Holmes podszedł do okna, zamknął je i opuścił żaluzje. Lestrade zapalił dwie świece, a policjanci odślonili swe latarki. Nareszcie mogłem się przyjrzeć naszemu jeńcowi.

Ujrzałem zwróconą ku nam wybitnie męską, ale złą twarz; Czoło filozofa i zmysłowa szczeka wskazywały, że człowiek ten jednakowo był skłonny do dobrego i do złego. Ale sama natura naznaczyła go ostrzegawczym piętnem: wystarczyło tylko spojrzeć na jego okrutne niebieskie oczy, ze zmrużonymi cynicznie powiekami, srogą, zaczepną linię nosa i groźne, pomarszczone czoło. Z nienawiścią i zdumieniem wpatrywał się w Sherlocka Holmesa, nas zdawał się nie widzieć.

— Diabeł — mruczał. — Wcielony diabeł!

— Pułkowniku — rzekł Holmes poprawiając poszarpany kołnierzyk. — „Podróże kończą się spotkaniem kochanków”, jak mówi stara sztuka. Chyba nie miałem przyjemności widzieć się z panem od czasu, kiedy nad wodospadem Reichenbach darzył mnie pan, leżącego bezradnie na skale, swymi łaskawymi względami.

Pułkownik wciąż wpatrywał się w mego przyjaciela jak człowiek w transie.

— Diabeł, wcielony diabeł — powtarzał raz po raz.

— Jeszcze nie zdążyłem pana przedstawić obecnym — ciągnął Holmes. — Widzicie tu, panowie, pułkownika Sebastiana Morana, ongi oficera królewskiej indyjskiej armii i najlepszego myśliwego na grubego zwierza, jakiego zna nasze Wschodnie Imperium. Chyba się nie mylę, pułkowniku, mówiąc, że nikt jeszcze nie ubił tylu tygrysów co pan?

Człowiek z uporem milczał nie odrywając wzroku od Holmesa. Dzikie oczy i szczeciniaste wąsy jego samego upodabniały do tygrysa.

— : Dziwię się, że tak stary i doświadczony *shikaree** dał się wziąć na mój naiwny podstęp — mówił Holmes. — To dla pana nic nowego. Czy nigdy nie przywiązywał pan koźlecia pod drzewem i nie czekał ze strzelbą w zasadzce na tygrysa zwabionego przynętą? Ten pusty dom to moje drzewo, a pan — to mój tygrys. Pewnie miał pan zwykle pod ręką zapasowe strzelby, gdyby tygrysów było parę lub gdyby, co mało prawdopodobne, zawiodło pana pańskie oko. To — zatoczył ręką koło — moje zapasowe strzelby. Rażące podobieństwo.

Pułkownik Moran skoczył naprzód, rycząc z wściekłości. Ale policjanci go przytrzymali. Strach było patrzeć na tego człowieka.

— Przyznaję, że zrobił mi pan małą niespodziankę — rzekł znów Holmes. — Nie myślałem, że pan skorzysta z tego pustego domu i wygodnego, frontowego okna. Sądziłem, że będzie pan działał z ulicy, gdzie czekał mój przyjaciel Lestrade ze swymi miłymi chłopakami. Poza tym wszystko poszło, jak przewidziałem.

Pułkownik Moran odwrócił się do agenta tajnej policji.

— Może pan ma dostateczny powód, aby mnie aresztować — powiedział — ale nie wolno panu narażać mnie na niczyje szyderstwa. Jeśli więzi mnie prawo, niech wszystko idzie drogą legalną.

— To racja — odparł Lestrade. — Czy pan już nic nie ma nam do powiedzenia, panie Holmes, przed naszym wyjściem?

Holmes podniósł z podłogi wielką strzelbę i przyglądał się jej mechanizmowi.

— Wspaniała i jedyna broń — powiedział. — Cicha i potężna. Znałem von Herdera, ślepego niemieckiego rusznikarza, który ją skonstruował na zamówienie nieboszczyka profesora Moriarty'ego. Od lat wiem o jej istnieniu, choć nigdy nie miałem jej w ręku. Polecam ją pańskiej szczególnej opiece, Lestrade, a także kule do niej.

— Już my jej upilnujemy — powiedział Lestrade ruszając wraz z innymi policjantami do drzwi. — To już wszystko?

— Chciałem się jeszcze zapytać, jakie oskarżenie pan wniesie?

— Jakie oskarżenie? No jakże, o usiłowanie zabójstwa Sherlocka Holmesa.

— Nie bardzo, panie Lestrade. Ja nie chciałbym tu figurować. Na pana, wyłącznie na pana spada zaszczyt ujęcia poszukiwanego zbrodniarza. Tak, wiesz panu! Ze zwykłą dozą szczęścia, przebiegłości i odwagi schwytał go pan.

— Schwytałem?... Kogo, proszę pana?

— Człowieka, którego cała policja szuka na próżno, pułkownika Sebastiana Morana, który dnia 30 ubiegłego miesiąca zastrzelił sir Ronalda Adair przez otwarte okno frontowe domu nr 427 przy Park Lane, używając do tego strzelby wiatrówki i kuli dum-dum. Oto właściwe oskarżenie. A teraz — Holmes zwrócił się do mnie — jeżeli nie boisz się przeciągu z rozbitego okna, moglibyśmy spędzić w moim pokoju przyjemne pół godziny przy cygarze.

Dzięki opiece Mycrofta Holmesa i staraniom pani Hudson nic się nie zmieniło w naszym dawnym wspólnym mieszkaniu. Wprawdzie od razu uderzył mnie panujący w nim przesadny porządek, ale charakterystyczne cechy pozostały. Kącik chemiczny z poplamionym i wygryzionym kwasami stołem, na półce rząd wielkich albumów z wycinkami gazet i różnych informatorów, które niejeden nasz bliźni spaliłby z radością. Wykresy, pudło ze skrzypcami, podstawka do fajki — nawet perski pantofel z tytoniem — wszystko to wpadło mi w oko, gdy rozejrzałem się dokoła. W pokoju czekała nas promieniejąca radością pani Hudson i dziwny manekin — główny aktor naszej wieczornej przygody. Było to woskowe kolorowane popiersie mego przyjaciela, do złudzenia do niego podobne. Ustawione na małym stoliku i okryte szlafrokiem Holmesa, mogło zwieść najbaczniejsze oko spoglądające z ulicy.

— Mam nadzieję, że pani była bardzo ostrożna — zwrócił się Holmes do pani Hudson.

* Shikaree (anglo—ind.) — myśliwy.

— Czołgałam się na kolanach, jak pan mnie uczył.

— To dobrze. Świetnie się pani wywiązała z zadania. Czy zauważyła pani, gdzie trafiła kula?

— Tak, boję się, że zepsuła wspaniałe popiersie. Przebiła głowę i rozplaszczyła się o ścianę. Podniosłam ją z dywanu. Proszę.

Holmes podał mi kulę.

— Miękka kula rewolwerowa, jak widzisz — powiedział. — Genialny pomysł. Któż by bowiem przypuścił, że taką kulą strzelono z wiatrówki. W porządku, pani Hudson, bardzo pani dziękuję za pomoc. Watsonie, niechże cię znów ujrzę w starym fotelu. Mamy jeszcze sporo spraw do obgadania.

Zrzucił zniszczony surdut, włożył szlafrok, który ściągnął ze swego woskowego sobowtóra, i znów wyglądał jak dawny Sherlock Holmes.

— Oko i nerwy nie zawiodły wytrawnego myśliwego — powiedział z uśmiechem, oglądając rozbite czoło manekina. — Trafił prosto w tył głowy i przebiłby mózg na wylot. Był najlepszym strzelcem w Indiach i myślę, że bodaj nie miał sobie równego w Londynie. Czyś kiedy o nim słyszał?

— Nie, nigdy.

— Tak to bywa ze sławą! O ile sobie przypominam, nie słyszałeś też o profesorze Jamesie Moriarty, najtęższej głowie naszego wieku. Podaj mi, proszę, mój informator biograficzny.

Wygodnie oparty na—fotelu, otoczony kłębam dymu z cygara, niedbale odwrócił kilka kartek.

— Moja kolekcja na „M” jest wspaniała — powiedział. — Sam Moriarty uświetniłby każdą literę, a tu jeszcze mam truciciela Morgana i ohydnej pamięci Merridewa i Mathewsa, który w poczekalni dworcowej na Charing Cross wybił mi lewy kieł. A oto wreszcie nasz nocny bohater.

W podanym mi notatniku przeczytałem: ..Moran Sebastian, pułkownik. Dymisjonowany. Służył w pierwszym pułku bengalskich pionierów. Urodził się w Londynie w 1840 r. Syn Augusta Morana, C. B. *, ongi ministra brytyjskiego w Persji. Wykształcenie: Eton i Oxford. Uczestniczył w wyprawach do Jowaki, Afganistanu, Charasiabu, Sherpuru i Kabulu. Autor dzieł: *Gruby zwierz Zachodnich Himalajów*, 1881, i *Trzy miesiące w dżungli*, 1884. Adres: Conduit Street. Kluby: Anglo-Indyjski, „Tankerwill”, „Bagatelle”.

Na marginesie widniała czytelna notatka Holmesa: ..Drugi z najniebezpieczniejszych ludzi Londynu”.

— Zadziwiające — powiedziałem oddając notes. — Żywot dzielnego żołnierza.

— Racja — odparł Holmes. — Do pewnego momentu był porządnym człowiekiem. Zawsze miał stalowe nerwy. W Indiach do dziś opowiadają sobie, jak wczołgał się do kanału za rannym tygrysem ludojadem. Są, mój drogi, drzewa, co rosną do pewnej wysokości, a potem nagle dziwacznie wyrodniają. U ludzi zauważysz to często. Stworzyłem sobie pogląd, według którego człowiek w swoim rozwoju jest jakby odbiciem całego łańcucha własnych przodków, a taki zwrot do dobrego czy złego przypisać należy wpływowi dziedziczności. Jednostka zatem stanów; jakby skondensowaną historię rodu.

— Trochę dziwaczne.

— Dobrze, nie upieram się przy tym. Tak czy owak, dość, że pułkownik Moran zszedł na manowce. Nie doszli wprawdzie do otwartego skandalu, ale w Indiach ziemia zaczęła mu się palić pod nogami, Podał się do dymisji, wrócił do Londynu i zdobył sobie złą sławę. Wtedy to poznał profesora Moriarty’ego i przez pewien czas był jego szefem sztabu. Moriarty hojnie mu płacił, a użył go tylko raz czy dwa do wyjątkowo trudnej pracy, gdzie zwykły zbrodniarz nie wystarczał. Może przypominasz sobie śmierć pani Steward z Lauder w 1887 roku? Nie? Jestem pewien, że Moran maczał w tym palce, ale niczego nie można mu było dowieść.

* c. b. (Companion o f t h e 73 a t h) — kawaler Orderu Łaźni niższego stopnia.

Pułkownik tak umiejętnie się maskował, że nawet po rozbiciu bandy Moriarty'ego nie mogliśmy mu nic zrobić. Pamiętasz, jak starannie zamknąłem wtedy u ciebie okiennice? Bałem się kuli z wiatrówki. Pewnie brałeś mnie za wariata, ale ja wiedziałem, co robię. Wiedziałem o istnieniu tej niezwyklej broni i że ma ją w ręku najlepszy strzelec świata. Gdy wyjechaliśmy do Szwajcarii, Moran pojechał z Moriartym za nami i napędził mi parę chwil śmiertelnego strachu nad wodospadem Reichenbach.

Wyobrażasz sobie, z jakim zaciekawieniem czytałem we Francji gazety, czyhając na okazję, by go nareszcie wsadzić za kratki. Dopóki chodził na wolności po Londynie, życie moje niewarte było złamanego szeląga. Cień Morana prześladował mnie we dnie i w nocy i kiedyś musiała przyjść jego godzina. Cóż miałem począć? Gdybym go zastrzelił przy pierwszym spotkaniu, poszedłbym do więzienia. Nie mogłem też skorzystać z ochrony prawa, które nie wkracza tam, gdzie chodzi tylko o podejrzenie. Byłem więc bezsilny. Czatowałem jednak na wiadomość o każdej zbrodni, wiedząc, że wcześniej czy później Moran wpadnie. Wreszcie — morderstwo Ronalda Adair. Los uśmiechnął się do mnie. Czy? z tego, co wiedziałem, nie wynikało jasno, że zabójcą jest pułkownik Moran? Grał w karty z tym młodzieńcem, poszedł za nim pod dom i zastrzelił go przez otwarte okno. To było pewne. Same kule wystarczą, by Moran dał szyję pod stryczek. Nie zwlekając wróciłem do Londynu. Widziała mnie jego czata przed domem i od razu doniosła o moim powrocie. Musiał powiązać mój powrót ze swą zbrodnią i przeraził się. Wiedziałem, że postara się mnie sprzątnąć natychmiast i że przy tym skorzysta ze swej strasznej broni. Ustawiłem w oknie cudowny cel, zawiadomiłem policję — nawiasem mówiąc, bezbłędnie wysłedziłeś policjantów w bramie — i zasiadłem w kryjówe, która wydała mi się najlepszym punktem obserwacyjnym; nawet nie marzyłem, że pułkownik również wybierze ją dla swych zbrodniczych celów. Czy jest jeszcze coś, czego nie rozumiesz?

— Tak — powiedziałem. — Nie wyjaśniłeś, po co Moran zabił sir Ronalda Adair.

— Ach, mój drogi, teraz wkraczamy w sferę domysłów, gdzie logika może zawieść. Każdy z nas potrafi wyrobić sobie własny pogląd i obaj możemy mieć rację.

— A ty już masz swój?

— Myślę, że nietrudno wyjaśnić motywy zbrodni. W śledztwie okazało się, że pułkownik Moran i młody Adair razem wygrali znaczną sumę pieniędzy. Moran bez wątpienia był szulerem... O tym już dawno wiem. Sądzę, że w dniu morderstwa Adair odkrył oszustwo Moran... Pewnie rozmówił się z nim w cztery oczy i zagroził, że go zdemaskuje, jeśli ten nie wystąpi z klubu i nie przyrzeknie, że już nigdy nie weźmie kart do ręki. Nieprawdopodobne jest, by taki młodzieniec jak Adair z miejsca wywołał ohydny skandal i oskarżył znanego i wiele od siebie starszego człowieka. Musiał więc działać, jak założyłem. Dla Morana, żyjącego z szulerki, wyjście z klubu równałoby się ruinie. Zamordował więc Ronalda Adair, gdy ten obliczał, ile pieniędzy musi komu zwrócić, by nie korzystać z nieuczciwej gry Morana. Adair zamknął drzwi, by mu panie nie przeszkadzały w tym zajęciu... Mogło tak być?

— Jestem pewien, że tak właśnie było.

Prawda wyjdzie na jaw w śledztwie. Faktem jest jednak, że pułkownik Moran już nam nie spędzi snu z powiek, słynna wiatrówka von Herdera upiększy muzeum Scotland Yardu, a Sherlock Holmes znów będzie się mógł poświęcić badaniu tych ciekawych drobnych zagadek, w które tak obfituje skomplikowane życie Londynu.

Przełożył Tadeusz Evert

ROZDZIAŁ VI

PRZEDSIĘBIORCA BUDOWLANY Z NORWOOD

Z punktu widzenia eksperta w sprawach kryminalnych — mówił Sherlock Holmes — Londyn, od śmierci nieodżałowanego profesora Moriarty'ego, stał się mało interesującym miastem.

— Nie sądzę — odpowiedziałem — aby wśród bogobojnych i uczciwych obywateli znalazło się wielu podzielających twoje zdanie.

— No, cóż — rzekł z uśmiechem mój przyjaciel, odsuwając krzesło od stołu, przy którym jedliśmy śniadanie — nie należy być egoistą. Społeczeństwo niewątpliwie na tym zyskuje; z wyjątkiem pewnego godnego współczucia fachowca, który stracił pracę. Dopóki profesor kontynuował swą błyskotliwą karierę, dopóty lektura pierwszej lepszej gazety dostarczała nieskończenie wiele możliwości. Nieraz był to tylko jakiś szczegółik, pozornie pozbawiona znaczenia wzmianka, lecz wystarczająca, aby zasygnalizować działalność tego wielkiego zbrodniczego umysłu, podobnie jak najmniejsze drgnięcie pajęczyny dowodzi obecności obrzydliwego Pajaka w samym jej środku. Drobne kradzieże, zorganizowane napaści, pozbawione sensu szkody układały się dla wtajemniczonego w logicznie powiązaną całość; żadna stolica Europy nie dawała nam, detektywom, takich możliwości jak Londyn. A teraz... — wrzucił drwiąco ramionami, jakby potępiał stan rzeczy, który w znacznej mierze był jego zasługą.

W okresie, o którym piszę, Holmes był już od paru miesięcy znowu w Londynie. Na jego prośbę odstąpiłem swoje mieszkanie w dzielnicy Kensington razem z moją skromną praktyką i gabinetem lekarskim młodemu doktorowi Vernerowi i przenieśliśmy się do naszego dawnego mieszkania na Baker Street. Ku memu zdziwieniu doktor Verner zgodził się chętnie na dosyć wygórowaną cenę i dopiero po latach dowiedziałem się że był dalekim kuzynem Holmesa, który dostarczył mu na to funduszy.

Wbrew narzekaniom Holmesa te parę miesięcy naszej współpracy nie były tak nudne, ponieważ, jak wynika z moich notatek, wtedy właśnie mieliśmy do czynienia ze sprawą zaginionych dokumentów byłego prezydenta Murilli oraz wstrząsającą aferę na holenderskim parowcu „Friesland”, która omal nie kosztowała nas życia.

Holmes, dumny i zamknięty w sobie, unikający ja zawsze wszelkiego rozgłosu i jakichkolwiek form publicznego uznania czy podziwu, zakazał mi kategorycznie dalszych publikacji dotyczących jego osoby, metod i sukcesów. Dopiero obecnie, jak już uprzednio wspomniałem, uchylił go.

Po tym nieco dziwnym oświadczeniu Holmes; rozsiadł się wygodnie i zaczął niedbale przeglądać poranną gazetę, gdy nagle naszą uwagę odwrócił wyjątkowo natarczywy dzwonek u drzwi wejściowych, poi którym rozległo się natychmiast coś w rodzaju bębnienia; jakby ktoś walił w nie pięścią. Usłyszeliśmy skrzypnięcie otwieranych drzwi, potem jakiś hałas w holu, wreszcie tupot biegnących po schodach nóg i do pokoju wpadł rozczochrany, błądy mężczyzna, o pałającym, spojrzeniu i nieopanowanych ruchach. Spojrzał na Holmesa i na mnie, a widząc nasz pytający wzrok uświadomił sobie, że składanie wizyty w tak bezceremonialnej formie wymaga jednak jakiegoś usprawie dliwienia.

— Niech się pan nie gniewa! — wykrzyknął. — Wszak to pan Holmes?! Proszę wybaczyć nieszczęsnemu...! Jestem bliski obłądu! Nazywam się John Hector McFarlane.

Wypowiedział to nazwisko, jakby ono samo stanowiło wystarczające wytłumaczenie zarówno jego wtargnięcia, jak i stanu nerwów. Widząc obojętny wyraz twarzy mojego przyjaciela, zdałem sobie sprawę, że i jemu nic ono nie mówi.

— Może pan zapali — zaproponował Holmes, podsuwając mu pudełko z papierosami. — Jestem pewien, że obserwując pańskie zachowanie, obecny tu mój przyjaciel doktor Watson byłby skłonny przepisać panu jakiś środek uspokajający. W ostatnich dniach pogoda nie dopisywała, było naprawdę nieznośnie gorąco. A teraz, jeśli pan zdołał wrócić do równowagi, może pan usiądzie i opowie nam, powoli i spokojnie, kim pan jest i z czym pan przychodzi. Podał pan swoje nazwisko tak jakbym je znał, ale zapewniam pana, że poza tym, iż jest pan kawalerem, adwokatem, masonem i astmatykiem, nic o panu nie wiem.

Znałem już tak dobrze metody Holmesa, że patrząc na niedbały strój gościa, plik akt sądowych, brelok z herbem łoży masońskiej przy dewizce od zegarka i widząc, jak jest zadyszany, z łatwością odkryłem drogi rozumowania mego przyjaciela. Nasz klient jednak spojrzał na Holmesa ze zdumieniem i zmieszaniem.

— Tak, to się zgadza, ale poza tym jestem w tej chwili najniezwyklejszym człowiekiem w Londynie. Na miłość boską! Błagam o pomoc! Jeśli przyjdą mnie tu aresztować, zanim zdążę panu wszystko opowiedzieć, proszę zażądać, aby mi pozwolili dokończyć. Pójdę do więzienia z lekkim sercem, jeśli będę wiedział, że pan wyraził zgodę na zajęcie się tą sprawą.

— Aresztować pana? — rzekł Holmes. — To jest bardzo... bardzo interesująca wiadomość. A z jakiego powodu spodziewa się pan aresztowania?

— Pod zarzutem morderstwa dokonanego na osobie pana Jonasa Oldacre'a z Lower Norwood.

Na ożywionej twarzy mego przyjaciela pojawił się wyraz współczucia, nie pozbawiony, przynajmniej, pewnej satysfakcji.

— To ciekawe! Nie dalej jak dzisiaj, przy śniadaniu, mówiłem doktorowi Watsonowi, że sensacyjne wydarzenia zniknęły ostatnio ze szpał naszej prasy.

Nasz gość wyciągnął drżącą jeszcze rękę i wziął numer dziennika „Daily Telegraph”, który leżał wciąż jeszcze na kolanach Holmesa.

— Gdyby pan tylko spojrzał na gazetę, odkryłby pan od razu powody, dla których zjawilem się tutaj dziś rano. Mam wrażenie, że moje nazwisko i nieszczęście, jakie mnie spotkało, są już na ustach wszystkich mieszkańców Londynu. — Odwrócił gazetę i wskazał na jej pierwszą kolumnę. — O, to właśnie. Jeśli pan pozwoli, przeczytam panu głośno. Nagłówek brzmi tak: „Potworna zbrodnia w Lower Norwood. Zniknięcie znanego przedsiębiorcy budowlanego. Morderstwo i podpalenie Odkrycie poważnych poszlak”. Ja wiem, jakie są to poszlaki. Wiem też, że wskazują niewątpliwie na mnie. Agenci śledzili mnie, szli za mną od London Bridge Station i jestem pewny, że tylko czekają na rozkaz, żeby mnie aresztować. Moja matka tego nie przeżyje. Ona tego nie przeżyje!

Mówiąc to, chwiał się na swym krześle i załamywał ręce z rozpaczą.

Spojrzałem z zainteresowaniem na człowieka oskarżonego o tak ciężką zbrodnię. Miał około dwudziestu siedmiu lat, gładko wygoloną twarz bez wyrazu, był jasnowłosy i właściwie przystojny na swój sposób. W jego niebieskich oczach malował się strach. Miał miękko zarysowane usta, cechujące na ogół chwiejne, wrażliwe charaktery. Postawa i odzież wskazywały wyraźnie, że mamy do czynienia z dżentelmenem. Z kieszeni jego cienkiego, letniego płaszcza wystawał zwinięty plik papierów, których format i nadruki pozwalały określić jego zawód.

— Nie możemy tracić czasu, jaki nam pozostał — rzekł Holmes, po czym zwrócił się do mnie. — Bądź tak dobry i przeczytaj mi odpowiedni fragment w tej gadzecie.

Pod sensacyjnymi nagłówkami, cytowanymi już przez naszego klienta, widniał następujący tekst:

„Wczoraj późnym wieczorem, a raczej dziś wczesnym rankiem w Lower Norwood nastąpiło wydarzenie, które należy najprawdopodobniej uznać za straszną zbrodnię. Pan Jonas Oldacre, w wieku lat pięćdziesięciu dwóch, kawaler, znany i szanowany przedsiębiorca budowlany, zamieszkiwał od wielu lat na przedmieściu, w domu zwanym Deep Dene House,

u wylotu Sydenham Street. Miał opinię człowieka skrytego, o mrukliwym usposobieniu i ekscentrycznych zwyczajach. Od paru lat przestał właściwie uprawiać swój zawód, dzięki któremu jakoby dorobił się, jak mówią, znacznego majątku. Na tyłach jego domu był niewielki skład drewna budowlanego i tam właśnie ostatniej nocy, około godziny dwunastej, wybuchł pożar. Zaalarmowana straż pożarna przybyła niezwłocznie, lecz suche drewno paliło się tak gwałtownie, że zanim ogień został ugaszony, jeden ze składowanych tam stosów doszczętnie spłonął. Można byłoby to uznać za zwykły wypadek, gdyby nie pewne okoliczności, które wskazują, że została popełniona poważna zbrodnia. Nieobecność właściciela na miejscu pożaru wywołała zrozumiałe zdziwienie i wkrótce stwierdzono, że w ogóle nie było go w domu. Po zbadaniu sypialni okazało się, że łóżko było posłane, stojąca tam kasa pancerna otwarta, a ważne papiery porozrzucane na podłodze. Stwierdzono ponadto, że w pokoju tym stoczono zaciętą walkę. Znalaziono plamy krwi oraz dębową laskę, na ręczce której były też siady krwi. Wiadomo również, że pan Jonas Oldacre późnym wieczorem tego dnia przyjmował u siebie gościa. Została ustalona tożsamość właściciela laski. Je to młody londyński adwokat, John Hector McFarlane, młodszy wspólnik firmy Graham & McFarlane, mieszczącej się przy ulicy Gresham Buildings Nr 426. Policja rozporządza jakoby dowodami ustalającymi ponad wszelką wątpliwość pobudki zbrodni. Wszystko zdaje się powiadać sensacyjny przebieg sprawy.

Z ostatniej chwili. Gdy oddawaliśmy do druku wydanie naszego dziennika, dowiedzieliśmy się o aresztowaniu pana Johna H. McFarlane'a pod zarzutem morderstwa dokonanego na panu Jonasie Oldacre. W każdym razie nakaz aresztowania został wydany! Śledztwo prowadzone w Lower Norwood ujawniło noweli mrozące krew w żyłach szczegóły. Poza tym, że walkami stoczona została w pokoju nieszczęsnego przedsiębiorcy, wiadomo było, że szklane drzwi w jego sypialnię znajdujące się na parterze, były otwarte i wyciągnięta przez nie coś ciężkiego, co zawleczono potem do stosu; drewna. Następnie stwierdzono, że w popiołach pozostałych po pożarze znajdują się zwęglone szczątki ciała. Zdaniem policji popełniono makabryczną zbrodnię. Morderca, po zabiciu swej ofiary za pomocą laski i zapoznaniu się z dokumentami, zaciągnął zwłoki aż do stosu drewna i podpalił go, aby zatrzeć wszelkie ślady swego czynu. Śledztwo prowadzi doświadczony inspektor Lestrade ze Scotland Yardu, który bada każdą poszlakę z właściwą sobie sprawnością i energią”.

Sherlock Holmes wysłuchał tego istotnie sensacyjnego sprawozdania z zamkniętymi oczyma, zetknąwszy dłonie koniuszkami palców.

— Ta sprawa ma specyficzny aspekt — rzekł z zastanowieniem. — Chciałbym pana przede wszystkim zapytać, jak się to stało, że znajduje się pan dotychczas na wolności, skoro istnieją aż nadto wystarczające dowody, aby pana aresztować?

— Mieszkam w Torrington Lodge, w Blackheath, razem z rodzicami, ale wczoraj, będąc do późna zajęty panem Oldacre'em, przenocowałem w hotelu w Norwood i stamtąd pojechałem prosto do mojego biura. Nie wiedziałem o niczym i dopiero w pociągu przeczytałem to co pan właśnie usłyszał. Zdałem sobie natychmiast sprawę z grozy mego położenia i czym prędzej przyjechałem tutaj, aby panu powierzyć mój los. Byłbym już na pewno aresztowany, gdybym się znajdował w domu lub w biurze. Jakiś mężczyzna szedł za mną od London Bridge Station i jestem pewny... O Boże, co to?

Rozległ się głos dzwonka i chwilę potem usłyszeliśmy ciężkie kroki na schodach. W drzwiach ukazał się nasz stary przyjaciel, inspektor Lestrade. Za nim dostrzegłem postacie dwóch umundurowanych policjantów.

— Pan John Hector McFarlane? — spytał Lestrade. Nasz klient wstał z krzesła, drżący i trupio błydy.

— Aresztuję pana pod zarzutem morderstwa z premedytacją pana Jonasa Oldacre'a z Lower Norwood.

McFarlane zwrócił się ku nam z rozpaczliwym gestem i opadł na krzesło, jakby przywalony miazdzącym ciężarem.

— Chwileczkę, inspektorze — rzekł Holmes — pół godziny wcześniej czy później nie sprawi panu różnicy. Ten dżentelmen zamierzał właśnie opowiedzieć o tej ciekawej sprawie, może to nam pomóc w jej wyjaśnieniu.

— Nie sądzę, aby pozostało cokolwiek do wyjaśniania — odparł posepnie Lestrade.

— Niemniej jednak chętnie bym wysłuchał, co ma do powiedzenia pan McFarlane, jeśli oczywiście pan, inspektorze, pozwoli.

— Trudno mi odmówić. W swoim czasie oddał nam Pan pewne przysługi i Scotland Yard czuje się pod tym Względem pańskim dłużnikiem, ale muszę pozostać Przy swoim więźniu. Jestem zobowiązany go ostrzec, że cokolwiek powie, może być użyte jako materiał dowodowy przeciwko niemu.

— Niczego więcej nie pragnę — oświadczył nasz klient — chcę po prostu, aby pan mnie wysłuchał i przyjął do wiadomości absolutną prawdę.

Lestrade spojrział na zegarek.

— Daję panu pół godziny.

— Muszę przede wszystkim wyjaśnić — mówił McFarlane — że pana Oldacre'a nie znałem osobiście. Jego nazwisko natomiast nie było mi obce. Przed laty należał do kręgu znajomych moich rodziców, którzy przestali jednak utrzymywać z nim kontakty. Toteż zdziwiłem się szczerze, gdy wczoraj, około trzeciej po południu, zjawił się w moim biurze. Zdziwienie moje wzrosło po zapoznaniu się z celem jego wizyty. Miał w ręku kilkanaście niechlujnie zapisanych kartek, mam je przy sobie, oto one, i położył je na moim biurku.

„To jest mój testament — powiedział — i proszę pana mecenasa o nadanie mu odpowiedniej formy prawnej. Poczekam tutaj, aż się pan z tym upora”.

— Zabrałem się do roboty i nie wierzyłem własnym oczom, kiedy przeczytałem, że z pewnymi zastrzeżeniami pan Oldacre wyznaczył mnie spadkobiercą całego swojego majątku. Dziwny to był człowieczek. Małego wzrostu, o ruchach przypominających jamnika. W jego świdrujących mnie bystrych, szarych oczach dostrzegłem jakby rozbawienie. Zapoznawszy się z postanowieniami testamentu nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Pan Oldacre wytłumaczył mi jednak, że był kawalerem, nie mającym bliższych krewnych. W młodości przyjaźnił się z moimi rodzicami, słyszał zawsze o mnie jako o obiecującym młodym prawniku i nie wątpi, że jego pieniądze dostaną się w godne ręce. Oniemiałem i ledwo udało mi się wyjąkać, jak bardzo jestem wdzięczny.

Testament został przeze mnie formalnie zredagowany i podpisany przez spadkodawcę oraz mojego pomocnika, wezwanego na świadka. Oto jest ten dokument, spisany na urzędowym papierze; a te kartki, jak już wspomniałem, stanowią brulion skreślony własną ręką testatora. Następnie pan Oldacre powiedział mi, że ma w swoim posiadaniu różne dokumenty: kontrakty najmu i dzierżawy, wypisy z ksiąg hipotecznych, tytuły własności nieruchomości i inne, które ja powinienem przeczytać i dokładnie się z nimi zapoznać. Powiedział również, że nie zazna spokoju, dopóki nie załatwi wszystkiego do końca, poprosił mnie więc, abym jeszcze tego wieczora przybył do niego, do Norwood, przywożąc ze sobą testament.

— Pamiętaj, chłopcze — dodał — ani słówka o tym rodzicom, zanim ostatecznie nie załatwimy sprawy. Będą mieli miłą niespodziankę.

Nalegał na to stanowczo i musiałem przyrzec, że zastosuję się do jego życzenia.

To chyba zrozumiałe, że nie mogłem odmówić niczego człowiekowi, który stał się moim dobroczyńcą. Gotów nawet byłem zadośćuczynić jego najbardziej niezwykłym prośbom. Wysłałem do rodziców telegram, w którym donosiłem, że z powodu różnych zawodowych zajęć nie mogę przewidzieć, kiedy wrócę do domu. Pan Oldacre zaprosił mnie na kolację o godzinie dziewiątej, uprzedzając, że wcześniej mogę go nie zastać. Miałem jednak pewne

trudności ze znalezieniem jego domu i dotarłem tam dopiero o wpół do dziesiątej. Pan Oldacre...

— Chwileczkę! — przerwał mu Holmes. — Kto otworzył panu drzwi?

— Kobieta w średnim wieku, zapewne jego służąca.

— Wymieniła pańskie nazwisko?

— Tak jest.

— Niech pan mówi dalej.

Pan McFarlane otarł spocone czoło.

— Ta kobieta wprowadziła mnie do gabinetu, gdzie zastałem przygotowaną skromną kolację. Po jej spożyciu przeszliśmy z panem Oldacre'em do jego sypia w której stała ciężka kasa pancerna. Otworzył ją i wdożył plik dokumentów. Przejrzeliśmy je razem i skończyliśmy dopiero gdzieś między jedenastą a dwunastą w nocy. Powiedział, że nie chce budzić służącej i prosił, abym wyszedł przez szklane drzwi, które były otwarte przez cały czas mego pobytu.

— Czy były zasłonięte? — spytał Holmes.

— Nie jestem pewny, ale zdaje mi się, że roleta był opuszczona do połowy. Tak, teraz sobie przypominam. Podciągnął roletę do góry, otwierając okno. Nie mogłem znaleźć mojej laski, więc pan Oldacre powiedział:

— Mniejsza o to, mój chłopcze, mam nadzieję, że teraz będziemy się często widywać. Poszukam twojej laski i przechowam ją do twojej następnej u mnie wizyty.

Pożegnawszy go w sypialni, stwierdziłem, że sejf był nadal otwarty, papiery leżały poukładane na stole. Z późno już było na powrót do Blackheath, zatrzymałem się więc w hotelu „Anerley Arms”. O całej tej okropnej sprawie dowiedziałem się dopiero dziś rano z gazety.

— Czy ma pan jeszcze jakieś pytania? — rzekł Lestrade, który podczas tej niezwyklej relacji kilkakrotnie znacząco unosił brwi.

— Chwilowo nie — odpowiedział Holmes. — Następne będą zależały od tego, czego się dowiem w Blackheath.

— W Norwood, chciał pan powiedzieć.

— Tak, tak, to właśnie miałem na myśli — odparł Holmes z zagadkowym uśmiechem.

Lestrade miał niejasne przecucie, że przenikliwy umysł Holmesa przedzierał się z łatwością przez niedostępną dla niego gęstwinę faktów i wniosków. Toteż spojrzął z zaciekawieniem na mojego przyjaciela i rzekł:

— Chciałbym z panem zamienić słowo. — Po czym zwrócił się do adwokata. — Dorożka czeka na pana na ulicy, a dwóch moich policjantów przy drzwiach.

Nieszczęsny młody człowiek wstał z krzesła i, obrzuciwszy nas błagalnym wzrokiem, opuścił pokój. Policjanci zaprowadzili go do dorożki, Lestrade zaś został z nami.

Holmes wziął plik kartek — brulion testamentu — i zaczął je bardzo uważnie przeglądać.

— Ten dokument daje wiele do myślenia, nieprawda? — rzekł, podsuwając kartki inspektorowi.

Przedstawiciel Scotland Yardu spojrzął na nie zaintrygowany.

— Zdołałem odczytać kilka pierwszych wierszy, te w środku drugiej kartki oraz jeden czy dwa przy końcu. Są wyraźne jak druk, ale reszta jest bardzo nieczytelna, a w trzech miejscach nie mogłem sobie w ogóle z tym poradzić.

— I co pan o tym sądzi? — spytał Holmes.

— Hm... a co pan o tym sądzi?

— Te kartki były pisane w pociągu. Tam, gdzie pismo jest wyraźne, pociąg stał na stacji, tam gdzie jest trudne do odczytania, pociąg był w ruchu, tam zaś, gdzie staje się bez mała zupełnie nieczytelne, pociąg przejeżdżał przez zwrotnice. Każdy urzędowy biegły, pracujący w tej dziedzinie, powie od razu, że te kartki były pisane w pociągu podmiejskim, tylko

bowiem w pobliżu wielkiego miasta znajduje się tak wielka ilość zwrotnic. Jeśli naszkicowanie testamentu trwało całą podróż, pociąg ten mógł być tylko ekspresem, zatrzymującym się jeden raz między Norwood a stacją London Bridge.

Lestrade się roześmiał.

— Zaczyna pan, jak zwykle, od wymyślania różnych teorii, zbyt zawiłych jak dla mnie. A co to ma wspólnego z samą sprawą?

— Potwierdza tę część zeznań McFarlane'a, z których wynika, że Jonas Oldacre sporządził swą ostatnią wolę wczoraj, w drodze do Londynu. To dziwne... Prawda? Pisanie tak ważnego dokumentu w tak niedbały sposób pozwala przypuszczać, że Oldacre nie przywiązywał praktycznego znaczenia do tego aktu. Tak sporządza swój testament tylko człowiek, który wie, że nigdy nie dojdzie do jego wykonania.

— A jednak — rzekł Lestrade — Oldacre podpisał jednocześnie swój wyrok śmierci.

— Tak pan sądzi?

— A pan jest innego zdania?

— Uważam to za możliwe, ale sprawa nie jest dla mnie jednoznaczna.

— Niejasna? A co może być bardziej jasnego? Pewien młody mężczyzna dowiaduje się nagle, że po śmierci starszego mężczyzny odziedziczy po nim spory majątek. Cóż więc robi? Nikomu o tym nie mówiąc, wymyśla pretekst, aby się udać tego wieczoru do swego klienta, czeka, aż jedyna poza nimi osoba pójdzie spać, po czym, znalazłszy się z nim sam na sam w pokoju, morduje go, pali jego zwłoki na stosie drewna i spędza resztę nocy w pobliskim hotelu. Plamy krwi w pokoju i na lasce są ledwie widoczne. Morderca był prawdopodobnie przekonany, że jego zbrodnia nie pozostawiła żadnych śladów, i sądził, iż po spaleniu zwłok znikną jakiegokolwiek dowody, które mogłyby wskazywać na niego. Czy to wszystko nie jest dostatecznie jasne?

— To wszystko, drogi inspektorze, jest moim zdaniem zbyt jasne. Myślenie nie jest największą pana zaletą. Gdyby pan mógł na chwilę postawić siebie w sytuacji tego młodego człowieka. Czy dla dokonania zbrodni wybrałby pan właśnie tę noc po sporządzeniu testamentu? Czy nie obawiałby się pan, że te dwa fakty będą ściśle powiązane? Co więcej, czy popełniłby pan zamierzone morderstwo właśnie wtedy, gdy ktoś wie, że pan przebywał w tym czasie w domu zamordowanego? Przecież służąca otworzyła panu drzwi i znalazła pańskie nazwisko. I wreszcie, czy zadałby pan sobie tyle trudu, aby ukryć zwłoki, a z drugiej strony pozostawiłby pan swoją łaskę, stanowiącą dowód, że to jej właściciel popełnił morderstwo? Przyzna pan, że trudno to uznać za prawdopodobne.

— Jeśli chodzi o łaskę, to pan wie równie dobrze jak ja, że nieraz zbrodniarz wpada w popłoch i zachowuje się w sposób niezrozumiały dla człowieka zrównoważonego. McFarlane po prostu bał się wrócić do tego pokoju. Wolałbym usłyszeć od pana inną koncepcję, bardziej prawdopodobną.

— Mógłbym z łatwością przedstawić ich panu z pół tuzina. Oto, na przykład, koncepcja możliwa, a nawet bliska prawdy. Odstępuję ją panu bezinteresownie. Stary mężczyzna pokazuje dokumenty przedstawiające niewątpliwie pewną wartość. Przechodzący tamtędy włóczęga widzi to przez drzwi od tarasu, tylko do połowy zasłonięte roletą. Adwokat wychodzi, włóczęga wchodzi. Spostrzega łaskę, zabija Oldacre'a i, spaliwszy ciało, ucieka.

— Dlaczego włóczęga miałby spalić zwłoki?

— A dlaczego miałby to uczynić McFarlane?

— W celu usunięcia pewnych poszlak czy dowodów.

— Możliwe, że włóczęga chciał zatrzeć ślady morderstwa.

— A dlaczego włóczęga nic nie ukradł?

— Dlatego, że nie potrafiłby sprzedać tych papierów.

Lestrade potrząsnął głową, ale jak mi się zdawało, w sposób nieco mniej pewny niż poprzednio.

— Niech pan sobie szuka tego włóczęgi, ale zanim go pan znajdzie, my przytrzymamy naszego więźnia. Przyszłość pokaże, kto z nas ma rację. Proszę jednak zwrócić uwagę na następujący fakt: żadne papiery, o ile zdołaliśmy stwierdzić, nie zginęły z domu zabitego, a aresztowany jest jedynym człowiekiem, który nie miał żadnych powodów, aby cokolwiek stamtąd zabierać, gdyż jako prawny spadkobierca i tak wszedłby w ich posiadanie.

Ta uwaga nieco zbiła z tropu mojego przyjaciela.

— Muszę przyznać — odrzekł — że jak dotychczas dowody, którymi pan rozporządza, potwierdzają skutecznie pańską tezę. Chciałem tylko wykazać, że w tyj wypadku możliwe są również i inne ewentualności. A zresztą, jak pan sam powiada, przyszłość pokaże ja było naprawdę. Do widzenia! Wpadnę zapewne w ciągu dnia do Norwood, aby się dowiedzieć jak postępuje śledztwo.

Po odejściu inspektora mój przyjaciel zerwał się z krzesła i zaczął się przygotowywać do wyjścia z domu z miną człowieka, który ma przed sobą niezwykle ważne dla siebie zadanie.

— Pierwszym moim krokiem — rzekł, wkładając po — spiesznie surdut — będzie, jak już mówiłem, podróż do Blackheath.

— A nie do Norwood? — zapytałem.

— Mamy do czynienia ze zbiegiem dwóch szybko po sobie następujących wydarzeń. Pierwszym jest ten niezwykle i tak nagle sporządzony testament na rzecz tak nieoczekiwanego spadkobiercy, drugim jest śmierć starego Oldacre'a. Tylko w drugim przypadku można podejrzewać zbrodnię, ale policja popełniła błąd, skupiając całą uwagę wyłącznie na nim. Moim zdaniem, logika i wymaga przede wszystkim wyjaśnienia, jak i dlaczego doszło do spisania tego testamentu. Uprościłoby to nam w znacznej mierze rozpatrywanie tego, co potem nastąpiło. Nie, mój drogi, nie sądzę, abys mógł mi pomóc. Nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo, w przeciwnym bowiem razie nie ośmieliłbym się wytknąć nosa z domu bez twojej eskorty.

Do zobaczenia dziś wieczorem i mam nadzieję, że będę miał jakieś pomyślniejsze wieści, co się dzieje z tym biedakiem, który zwrócił się do mnie o pomoc.

Holmes wrócił późno. Od pierwszego rzutu oka można było zauważyć, że jego starania nie zakończyły się sukcesem. Przez godzinę rzępolił na skrzypcach, chcąc uspokoić nerwy, wreszcie cisnął instrument i opowiedział mi szczegółowo, jakie spotkało go rozczarowanie. — Fatalnie wszystko się składa — mówił — gorzej niż myślałem. Nadrabiałem miną przy inspektorze, ale wydaje mi się, niestety, że tym razem to on ma rację, a nie my. Mój instynkt i przecucia mówią mi jedno, wszystkie natomiast fakty temu przeczą i bardzo się boję, że angielscy sędziowie przysięgli nie osiągnęli jeszcze takiego poziomu inteligencji, żeby uznać przewagę moich teorii nad stanowiskiem Lestrade'a.

— Czy byłeś w Blackheath?

— Owszem, pojechałem tam i bardzo szybko stwierdziłem, że nasz nieodżałowany Oldacre był nieprzeciętnym łajdakiem. Ojca oskarżonego nie zastałem, wybrał się na poszukiwanie syna, matka natomiast była w domu. Pulchna, niebieskooka kobiecina, oburzona, przerażona i drżąca. Nie dopuszczała oczywiście nawet myśli, że jej syn może być winny, ale o losie Oldacre'a wyrażała się bez zdziwienia i żalu. Co więcej, mówiła o nim z taką goryczą, że nieświadomie popierała tezę policji. Gdyby syn słyszał ją wyrażającą się w ten sposób, mogłoby to wzbudzić jego nienawiść do Oldacre'a i zachęcić do nieprzemysłanych czynów.

— To raczej złośliwa i przebiegła małpa, a nie ludzka istota — mówiła do mnie. — Zawsze taki był od najmłodszych lat.

— Znała go pani wówczas? — zapytałem.

— O, tak, znałam go dobrze. Mówiąc szczerze, był moim wielbicielem. Dzięki Bogu miałam na tyle rozsądku, aby z nim zerwać i wyjść za mąż za lepszego, aczkolwiek biedniejszego człowieka. Byłam z nim zaręczona, gdy dowiedziałam się o jednym z wielu

jego okrutnych żartów. Wpuścił kota do klatki z ptakami. Tak mnie oburzyło to bestialstwo, że nie chciałam mieć z nim więcej do czynienia.

Poszperała w swoim biurku i wydobyła fotografię przedstawiającą młodą kobietę. Twarz na zdjęciu była zeszpecona i pocięta nożem.

— To moja fotografia, odesłał mi ją w tym stanie w dzień mojego ślubu, dołączając list pełen obelg.

— No tak, ale pod koniec życia pani przebaczył — powiedziałem do niej — bo zostawił pani synowi swój majątek.

— Ani mój syn, ani ja nie przyjmujemy grosza od Jonasa Oldacre'a, żywego czy umarłego — wykrzyknęła z głębokim przekonaniem. — Jest Bóg na niebie, pan Holmes, i ten sam Bóg, który ukarał tego niegodziwe uczyni, aby niewinność mojego syna wyszła na świat dzienne, gdy nadejdzie odpowiednia pora!

Próbowałem jeszcze na różne sposoby szukać czegoś, co by potwierdzało naszą hipotezę, ale na nic to się nie zdało, a nawet mogłoby przemawiać przeciwko niej. Dałem więc temu spokój i pojechałem do Norwood. Dom zwany Deep Dene House jest dużą nowoczesną willą, stojącą w głębi ogrodu. Przed wejściem jest skromnie utrzymany trawnik, po bokach którego rosną krzewy wawrzynu. Na prawo, w pewnej odległości od drogi, znajduje się skład drzewa, miejsce pożaru tej nocy. Naszkicowałem w notatniku plan tego domu i ogrodu. Te szklane drzwi na lewo prowadzą do pokoju Oldacre'a. Jak widzisz, stojąc na drodze można przez nie widzieć wewnątrz pokoju. To jest jedyna pocieszająca wiadomość, jaką udało mi się dzisiaj zdobyć. Lestrade'a nie zastałem, ale honory domu czynił jego zastępca. Obydwaj byli dumni z nowego odkrycia. Przez cały ranek przeszukiwali popiół po spalonym stosie; drewna i oprócz zwęglonych szczątków ciała znaleźli kilkanaście odbarwionych przez ogień metalowych krążków. Po dokładnym przyjrzeniu się im, stwierdziłem ponad wszelką wątpliwość, że są to guziki od spodni. Zauważyłem nawet na jednym z nich nazwisko Hyams — jak się okazało, jest to krawiec Oldacre'a. Zbadałem bardzo starannie cały trawnik szukając jakichkolwiek śladów, lecz pod wpływem ostatnio panującej suszy ziemia stwardniała na beton. Jedyny wyraźnie widoczny ślad tego, co się tam działo tamtej nocy, wskazuje, że ktoś lub coś ciężkiego zostało przeciągnięte przez niski żywopłot w miejscu leżącym naprzeciwko spalonego stosu drzewa. To wszystko, oczywiście, potwierdza tezę policji. Łaziłem na czworakach po trawniku, a sierpniowe słońce piekło mnie w plecy. Wreszcie podniosłem się, nie będąc ani trochę mądrzejszy niż przedtem.

Po tym niepowodzeniu poszedłem do sypialni. Stwierdziłem, że ślady krwi były tam nieliczne i mało widoczne, zaledwie parę drobnutkich, zatartych plamek, ale na pewno świeże. Laskę zabrała policja, wiemy jednak, że na niej również odkryto tylko odrobinę krwi. Nie ma żadnych wątpliwości, że ta laska należy do naszego klienta. Sam to stwierdził. Odciski stóp obu mężczyzn można dostrzec na dywanie, nic natomiast nie wskazuje na obecność w tym pokoju osoby trzeciej. A więc i tę lewą zgarniają nasi przeciwnicy. Ich zapis w tej rozgrywce wciąż wzrasta, my zaś drepczemy w miejscu.

Raz tylko błysnął mi promyczek nadziei, jak się później okazało płonnej. Zbadałem zawartość kasy pancernej. Większość wyjętych z niej papierów leżała na stole, w zapieczętowanych kopertach, z których jedną czy dwie otworzyła policja. O ile mogę się zorientować, żaden z nich nie przedstawia dużej wartości, a saldo konta bankowego nie świadczy o tym, by pan Oldacre należał do bardzo majątnych ludzi. Odniosłem jednak wrażenie, że nie są to wszystkie jego papiery. Wyczytałem mianowicie parę wzmianek o jakichś aktach prawnych, być może bardzo ważnych, których nie zdołałem w tych papierach odnaleźć. Gdybyśmy potrafili dowieść, że mam rację, argument Lestrade'a obróciłby się przeciwko niemu, któż bowiem kradłby coś, co i wkrótce odziedziczy.

Wreszcie, po bezskutecznym węszeniu po wszystkich kątach, spróbowałem szczęścia z gospodynią, jaką panią Lexington. Jest to mała, niezbyt urodziwa, milcząca kobiecina, o

podejrzliwych i wścibskich oczach. Gdyby zechciała, mogłaby nam to i owo powiedzieć. Jestem tego pewny, ale baba miała gębę zamkniętą kłódkę.

Tak, powiada, wpuściłam pana McFarlane'a o wpół do dziesiątej i bodajby mi przedtem ręka uschła.

O wpół do jedenastej położyła się spać. Jej pokój znajduje się na drugim końcu domu i nie słyszała, u się działo w sypialni. Obudził ją dopiero alarm. Mój stary, kochany pan, powiada, został na pewno zamordowany. Czy miał nieprzyjaciół? Któż ich nie ma, ale pan Oldacre nie był towarzyski i spotykał się z ludźmi tylko po to, by załatwiać swoje interesy.

Pani Lexington widziała guziki i jest przekonana że należą do garnitur, który Oldacre miał na sobie tamtej nocy. Drewno w podpalonym stosie było bardzo suche, przecież deszcz nie padał od miesiąca. Paliło się jak hubka i kiedy pani Lexington dobiegła do miejsca pożaru, nic nie było widać, tylko płomienie. Zarówno ona, jak i wszyscy strażacy czuli swąd palonego ci rozchodzący się od stosu. Nie wie nic o papierach i prywatnych sprawach pana Oldacre'a.

Takie są zatem wyniki, mój drogi, moich dzisiejszych żałosnych zabiegów. A jednak... a jednak... — Holmes zacisnął swe cienkie, rasowe dłonie gęsto wyrażającym stanowcze przekonanie — ja wiem, że wszystko jest niezgodne z prawdą. Czuję to przez skórę. Jest coś, co nie wyszło na jaw i służąca wie o tym. Poszła w zaparte, ale w jej oczach dostrzegłem, że coś wie. Nie chce tego wyjawić, bo czymś jej to grozi. Ale szkoda mówić. Jeśli szczęście się do nas uśmiechnie, obawiam się, że sprawa zniknięcia przedsiębiorcy budowlanego z Norwood nie będzie figurować w kronice naszych chwalebnych sukcesów, którą prędzej czy później zamierzasz zanudzać wyrozumiałych czytelników.

— Przysięgłem — wtrąciłem — spodoba się na pewno jego powierzchowność i charakter.

— To nie jest argument. Czy pamiętasz tego okrutnego mordercę, Berta Stevensa, który w 1887 roku usiłował nas nabrać? Czy spotkałeś kiedykolwiek młodzieńca łagodniejszego, lepiej wychowanego; takiego, który uczęszcza do szkółki niedzielnej?

— To prawda.

— Jeśli nie zdołamy podważyć oskarżenia, McFarlane będzie zgubiony.

Akt oskarżenia, który już teraz można sformułować przeciwko niemu, nie budzi właściwie żadnych zastrzeżeń, a dalsze śledztwo obciąża go coraz bardziej. Co prawda, jeśli chodzi o te papiery, znalazłem w nich drobny, ale zastanawiający szczegół, który może nam posłużyć za punkt wyjścia do nowych dochodzeń. Przeglądając zestawienie bankowe, stwierdziłem, że głównym powodem niskiego salda gotówki na rachunku bieżącym jest wystawienie w ubiegłym roku kilku czeków, opiewających na dosyć wysokie sumy, na rzecz niejakiego pana Corneliusa. Otóż chętnie bym się dowiedział, z kim też pan Oldacre, który jak wiemy, praktycznie wycofał się z interesów, prowadził tak poważne transakcje. Czy odbiorca czeków nie maczał rąk w tej sprawie? Cornelius jest może agentem giełdowym, ale nie znaleźliśmy żadnych potwierdzeń zakupu akcji lub papierów wartościowych, odpowiadających wypłaconej gotówce. Z powodu braku innych wskazówek muszę teraz zwrócić uwagę na bank i dzentelmena, który zainkasował równowartość tych czeków. Ale boję się, mój drogi, że ta sprawa zakończy się dla nas fiaskiem i powieszą tego biedaka, co będzie nie lada triumfem inspektora Lestrade'a i Scotland Yardu.

Nie wiem, czy Sherlock Holmes spał tej nocy, ale nazajutrz rano, schodząc na śniadanie, zastałem go bladego i zmizerowanego, a ciemnosine cienie pod oczami podkreślały ich gorączkowy blask. Mnóstwo popiołu i niedopałków oraz pierwsze wydania porannych gazet zaśmiecały gęsto dywan dokoła jego fotela. Na stole leżał otwarty telegram.

— Co o tym myślisz? — rzekł Holmes, podając mi go nerwowym ruchem przez stół.

Telegram był nadany z Norwood i brzmiał tak:

Mamy ważne nowe dowody stop Wina McFarlane'a ostatecznie ustalona stop Radzę zrezygnować Lestrade.

— To zabrzmiało groźnie.

— Tak, Lestrade zatrafił na zwycięstwo — odpowiedział z gorzkim uśmiechem Holmes.
— Chyba jednak rezygnacja z dalszego śledztwa byłaby przedwczesna. Każdy kij ma dwa końce i ten nowy, ważny materiał dowodowy może się odwrócić przeciwko tezie Lestrade'a. Zjedz szybko śniadanie, a potem wyjdziemy i przekonamy się, co jeszcze da się zrobić w tej sprawie. Zdaje mi się, że dzisiaj będę potrzebował twojego towarzystwa i moralnego wsparcia.

Mój przyjaciel nie zdecydował się jednak na śniadanie, ponieważ zgodnie z ustalonym od lat, dziwnym zwyczajem niczego nie jadał w okresach intensywnego wysiłku umysłowego oraz nerwowego napięcia, co doprowadziło go parę razy, mimo końskiego zdrowia, do omdlenia z głodu.

— Nie mogę tracić energii i odporności psychicznej z powodu procesu trawienia — zwykle odpowiadał na moje perswazje i argumenty medyczne.

Toteż nie zdziwiłem się, gdy i tym razem, wyjeżdżając ze mną do Norwood, śniadanie zostawił nietknięte na stole.

Dokoła Deep Dene House, typowej willi podmiejskiej, takiej właśnie jak ją sobie wyobrażałem, kłębił się nadal tłumek gapiów, amatorów makabrycznych wrażeń. Przy bramie spotkał nas inspektor Lestrade — rozpromieniony i trochę nietaktownie okazujący swój triumf.

— Czy zdążył już pan wystrychnąć nas na dudków? — zapytał. — Czy odnalazł pan swego włóczęgę?

— Nie doszedłem jeszcze do żadnych konkluzji — odparł mój towarzysz.

— My natomiast sformułowaliśmy nasze wnioski już wczoraj. Dzień dzisiejszy potwierdził ich słuszność. Przyzna pan, że tym razem zdołaliśmy pana wyprzedzić!

— Sądząc z pańskiego nastroju, musiało istotnie nastąpić coś niezwykłego.

Lestrade roześmiał się głośno.

— Nie w smak panu przegrana! Zresztą kto z nas to lubi? Nie zawsze jednak można postawić na swoim, nieprawdaż, panie doktorze? Chodźcie, panowie, ze mną, a sądzę, że potrafię was raz na zawsze przekonać, iż John McFarlane popełnił tę zbrodnię.

Inspektor Lestrade zaprowadził nas do położonego w końcu korytarza ciemnego holu.

— Po dokonaniu morderstwa — rzekł — McFarlane musiał tu wejść po swój kapelusz. A teraz popatrzcie!

— Nagłym ruchem, obliczonym na wywołanie dramatycznego efektu, zapalił zapałkę i w jej świetle ujrzelśmy krwawą plamę na białej ścianie. Gdy zbliżył do niej zapałkę, dostrzegłem, że była to nie tylko plama. Ktoś pozostawił na ścianie wyraźny odcisk kciuka.

— Proszę się temu przyjrzeć przez pańskie szkło powiększające — rzekł inspektor do Holmesa.

— Dobrze, już to robię.

— Pan wie, oczywiście, że nie ma dwóch identycznych odcisków palców?

— Słyszałem o tym.

— W takim razie może pan zechce spojrzeć na ten kawałek wosku, na którym dziś rano kazałem odcisnąć prawy kciuk McFarlane'a i porównać go z odciskiem na ścianie.

Inspektor trzymał wosk tuż przy ścianie i nawet bez pomocy szkła powiększającego łatwo było stwierdzić, że obydwa odciski są identyczne. Nie miałem już żadnych wątpliwości, że los naszego nieszczęsnego klienta jest przesądzony.

— To jest ostateczny dowód — rzekł Lestrade.

— Tak, to jest ostateczny dowód — powtórzyłem za nim z pełnym przekonaniem.

— To jest ostateczny dowód — dodał Holmes.

Słowa te wypowiedział jednak takim tonem, że odwróciłem się i spojrzałem na niego. Wyraz jego twarzy się zmienił. Promieniował wesołością, a oczy błyszczały mu jak gwiazdy.

Robił wrażenie, jakby całym wysiłkiem opanowywał wybuch śmiechu.

— Mój Boże — rzekł wreszcie — kto by się mógł tego spodziewać? Jakże złudne bywają pozory! Taki sympatyczny młody człowiek! Stąd płynie wniosek, że nie należy zbyt ufać własnym sądom, prawda, drogi inspektorze?

— Tak, niektórzy z nas odznaczają się istotnie zbyt wielką pewnością siebie — odrzekł Lestrade. — Bezcelność tego Macfarlane'a była irytująca w najwyższym stopniu, ale nie mogliśmy mu tego brać za złe.

— Cóż to za niesłychany zbieg okoliczności, że ten młody człowiek, zdejmując swój kapelusz z wieszaka, przycisnął prawy kciuk do ściany! Choć, jeśli się zastanowimy, możemy uznać ten traf za najzupełniej naturalny.

Holmes mówił to na pozór spokojnie, lecz w jego nerwowych ruchach wyczuwało się tłumione podniecenie.

— A tak na marginesie, któż to, jeśli wolno zapytać, dokonał tego niezwykłego odkrycia?

— Gospodyni, pani Lexington, zwróciła na to uwagę policjanta, który dyżurował tutaj w nocy.

— A gdzie przebywał ten policjant?

— Od chwili popełnienia zbrodni nie ruszał się z sypialni. Pilnował, aby nikt niczego tam nie ruszał.

— A dlaczego wczoraj policja nie znalazła tej plamy?

— Nie było specjalnego powodu, aby dokładnie zbadać hol. A ponadto, jak pan widzi, jest tu dosyć ciemno.

— Tak, tak, oczywiście. Sądzę więc, że wczoraj ten odcisk również znajdował się na ścianie?

Lestrade spojrzał na Holmesa jak na kogoś, kto zdradza objawy pomieszania zmysłów. Przyznaję, że ja też byłem zaskoczony zarówno niedorzecznością pytania, jak i radosnym głosem mojego przyjaciela.

— Jeśli dobrze pana zrozumiałem — odrzekł Lestrade — uważa pan, iż McFarlane opuścił więzienie tej nocy w celu uzupełnienia zebranych przeciwko niemu dowodów? Każdy ekspert na świecie przyzna, że to jest odcisk jego kciuka.

— To jest niewątpliwie odcisk jego kciuka.

— To chyba wystarczy. Jestem praktycznym człowiekiem i rozporządzając dostatecznym materiałem dowodowym wyciągam z nich wnioski. Idę napisać raport. Jeśli ma pan coś więcej do powiedzenia, znajdzie mnie pan w saloniku.

Holmes odzyskał swój chłodny i ironiczny sposób bycia, aczkolwiek ślady wesołości pozostały na jego twarzy.

— Sprawa przybiera nieprzyjemny obrót — rzekł do mnie — ale los naszego klienta nie jest jeszcze całkowicie przesądzony.

— Cieszy mnie to, co mówisz — odpowiedziałem — bo zdawało mi się, że nic go już nie uratuje.

— To stanowczo zbyt daleko idący wniosek, drogi Watsonie. Dowód, do którego nasz przyjaciel przywiązuje tak decydującą wagę, budzi poważne wątpliwości.

— A to dlaczego?

— Po prostu dlatego, gdyż wiem, że wczoraj nie było w holu żadnego odcisku palca na ścianie, kiedy tam byłem. A teraz, mój drogi, korzystajmy ze słonecznej pogody i przejdźmy się po ogrodzie.

Podniesiony na duchu pewną nadzieją, ale jednocześnie mając lekki zamęt w głowie, towarzyszyłem memu przyjacielowi w tej przechadzce. Holmes obszedł dom dokoła, zatrzymując się i obserwując go ze wszystkich stron z wielkim zainteresowaniem. Po czym

weszliśmy do środka i zwiedziliśmy cały budynek od piwnic aż do strychów. Większość pokoi nie była umeblowana, niemniej jednak Holmes zbadał je bardzo uważnie. Wreszcie, na najwyższym piętrze, w korytarzu, z którego wchodziło się do trzech niezamieszkanymi pokoi sypialnych, opanowała go ponownie gwałtowna wesołość.

— Chyba nigdy jeszcze — rzekł śmiejąc się donośnie — nie mieliśmy do czynienia z tak oryginalną sprawą. Zdaje mi się, że czas już dopuścić naszego przyjaciela Lestrade'a do naszej tajemnicy. Śmiał się niedawno naszym kosztem, a teraz na nas kolej, jeżeli moja diagnoza jest trafna. Zaraz się zresztą przekonamy. Wiem już jak się do tego zabrać.

Zastaliśmy inspektora w saloniku, zajętego pisaniem.

— Rozumiem, że sporządza pan swój raport? — spytał go Holmes.

— Tak.

— Czy pańskie wnioski nie są cokolwiek przedwczesne? Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że istnieje luka w pańskim rozumowaniu.

Lestrade zbyt dobrze znał mego przyjaciela, aby zlekceważyć jego słowa. Odłożył pióro i spojrzał na niego z zaciekawieniem.

— Co pan ma na myśli? — zapytał.

— Nie uwzględnił pan bardzo ważnego świadka.

— Czy może mi go pan przedstawić?

— Myślę, że tak.

— Więc niech pan to zrobi.

— Dołożę wszelkich starań. Ilu ma pan tu policjantów?

— Mam trzech na każde zawołanie.

— Doskonale. Jeszcze jedno pytanie. Mam nadzieję, że są to mocno zbudowani i obdarzeni potężnym głosem mężczyźni?

— Niewątpliwie, ale nie rozumiem, co mają tu do rzeczy silne głosy.

— Zrozumie pan to za chwilę, a może i coś więcej. Proszę wezwać tu swych podkomendnych, resztę biorę na siebie.

Po pięciu minutach w holu stało już trzech rosyjskich policjantów.

— W składzie przylegającym do oficyny — rzekł do nich Holmes — znajdziecie sporą ilość słomy. Proszę tu przynieść ze dwie duże wiązki. Bardzo nam pomogą w odnalezieniu potrzebnego nam świadka. Masz zapalki przy sobie, Watsonie? Tak? Świetnie, a teraz, panie Lestrade, chciałbym, abyśmy wszyscy weszli na najwyższe piętro.

Jak już wspomniałem, znajdował się tam korytarz, z którego prowadziły drzwi do trzech niezamieszkanymi pokoi sypialnych. Zgodnie z poleceniem Holmesa ustawiliśmy się całą gromadą w końcu tego korytarza. Policjanci uśmiechali się ironicznie, a Lestrade spoglądał na mego przyjaciela ze zdumieniem, zaciekawieniem i kpiącym politowaniem. Holmes zaś stał przed nami w postawie i z miną kuglarza, który ma zademonstrować publiczności nie byle jaką sztuczkę.

— Czy mógłby pan posłać kogoś z policjantów po dwa wiadra wody? Wy zaś rzućcie, proszę, słomę tu na podłogę, z dala od ściany. Tak, dziękuję. A teraz zaczynamy!

Twarz inspektora poczerwieniała ze złości.

— Co to za zabawa? Po co te błazeństwa? Jeśli pan coś wie, czy nie prościej byłoby powiedzieć nam...

— Zapewniam pana, drogi Lestrade, że to wszystko ma swój cel. Parę godzin temu, pozwolę sobie przypomnieć, gdy zdawało się, że racja jest po pańskiej stronie, wyrażał się pan z przekąsem, a nawet uszczypliwie o moich teoriach i domysłach, teraz więc niech pan nie ma mi za złe tej małej inscenizacji. Czy mogę cię prosić Watsonie, abyś otworzył tamto okno i podpalił słomę?

Wykonałem to polecenie. Sucha słoma zaczęła się palić z lekkim trzaskiem i niesiony przeciągiem kłęb dymu popłynął wzdłuż korytarza.

— A teraz — rzekł Holmes — rozglądajmy się, a ujrzymy może potrzebnego nam świadka. Wszystkich tu obecnych proszę o chóralny okrzyk „Pali się!” Uwaga, raz, dwa, trzy...

— Pali się! — wykrzyknęliśmy zgodnie.

— Dziękuję. Jeszcze raz, jeśli łaska.

— Pali się!

— Jeszcze mały wysiłek. Wszyscy razem, panowie! I głośno!

— Pali się!

Wrzask nasz rozległ się chyba po całym Norwood i wywołał zarówno niezwykły, jak i niespodziewany efekt. Nie zdążyliśmy jeszcze zamknąć ust, gdy nagle w głębi korytarza otworzyły się niewidoczne przedtem drzwi i jak zając z bruzdy w polu wyskoczył z nich mały, wychudzony mężczyzna.

— Świetnie! — rzekł spokojnie Holmes. — Watsonie, wylej wiadro wody na słomę! Wystarczy! Kolego Lestrade, mam zaszczyt przedstawić panu brakującego i najważniejszego świadka, pana Jonasa Oldacre’a.

Inspektor w milczącym zdumieniu wpatrywał się w przybysza. Oldacre zaś, mrużąc oczy w jasnym świetle korytarza, spoglądał to na nas, to na ugaszoną, lecz wciąż dymiącą słomę. Wstrętna to była twarz, nacechowana złośliwą chytrą, o jasnoszarych, przewrotnych oczach i białych rzęsach.

— Co to znaczy? — odezwał się wreszcie Lestrade. — po co pan tu siedział? Co?

Oldacre wzdrygnął się, widząc czerwoną, rozwścieczoną twarz detektywa, i usiłował się roześmiać.

— Nie uczyniłem nic złego — wybąkał.

— Nic złego? Zrobił pan wszystko, aby niewinny człowiek zawisnął na szubienicy! I gdyby nie ten oto dżentelmen, kto wie, czyby się to panu nie udało!

— Doprawdy, to był tylko żart, taki sobie tylko zwyczajny żarcik — zapisał płaczką.

— Ach tak? Obiecuję, że pan się nie będzie śmiał, jak się pan przekona, co pana za to czeka! Weźcie go na dół do saloniku i pilnujcie, póki nie wrócę.

Po odejściu policjantów inspektor zwrócił się do Holmesa.

— Nie mogłem przy nich o tym mówić, ale wyznaję w obecności doktora Watsona, że nigdy dotychczas nie dokonał pan nic tak wspaniałego jak dzisiaj, chociaż nie mam pojęcia, jak pan to zrobił. Uratował pan życie niewinnego człowieka i nie dopuścił do okropnego skandalu, który przekreśliłby całą moją zawodową karierę.

Holmes uśmiechnął się i poklepał inspektora po ramieniu.

— Pańska zawodowa kariera nie tylko nie ucierpi na tym, ale nawet, jak się pan o tym przekona, wyjdzie jej to na dobre. Proszę tylko wprowadzić drobne poprawki do swego raportu, a pańscy przełożeni ze Scotland Yardu zrozumieją, jak trudno jest nabrać inspektora Lestrade’a.

— Czy mogę nie wspominać o pańskim udziale i nazwisku?

— Oczywiście. Praca sama w sobie stanowi dla mnie nagrodę. Zresztą, może kiedyś, w dalekiej przyszłości, pozwolę znowu memu gorliwemu kronikarzowi utrwalić to i owo na papierze. Potomność oceni moje trudy, prawda, Watsonie? A teraz rzućmy okiem na norę tego obrzydliwego szczura.

W odległości sześciu stóp od końca korytarza zbudowana była ściana z otynkowanych desek, a w niej znajdowały się pomysłowo zamaskowane drzwi. W utworzonym w ten sposób pomieszczeniu, do którego docierało światło przez szpary wycięte pod krokwiami dachu, znaleźliśmy parę mebli, nieco książek oraz zapas wody i żywności.

— Dzięki temu, że był technikiem budowlanym — rzekł, wychodząc stamtąd Holmes — mógł zbudować tę kryjówkę bez niczyjej pomocy, z wyjątkiem oczywiście wiernej pani Lexington, którą polecam pańskiej szczególnej uwadze, inspektorze.

— Oczywiście, zajmę się tym. Ale skąd pan wiedział o tym miejscu?

— Doszedłem do przekonania, że Oldacre ukrywa się gdzieś w tym domu. Gdy idąc wzdłuż tego korytarza stwierdziłem, że jest o sześć stóp krótszy od znajdującego się na niższym piętrze identycznego korytarza, wszystko stało się jasne. Tylko człowiek o silnych nerwach potrafiłby tu zostać, słysząc okrzyki „pali się!” i czując swąd dymu. Moglibyśmy oczywiście wyciągnąć go za łeb z tej kryjówki, ale zmuszenie go do tego, aby sam się raczył nam ukazać, wydało mi się wartą zachodu rozrywką. A poza tym należało się panu takie małe przedstawienie za poranne pokpiwanie ze mnie.

— Rzeczywiście, wyrównał pan rachunki. Ale skąd, u licha, pan wiedział, że on się znajduje w tym domu?!

— Odcisk kciuka, drogi inspektorze! Nazwał go pan niepodważalnym dowodem i słusznie, ale w zupełnie innym sensie. Wiedziałem, że w przeddzień go tam nie było. Przywiązuję zasadnicze znaczenie do szczegółów, o czym pan się już zdążył niejednokrotnie przekonać, toteż zbadałem hol i stwierdziłem, że ściany były czyste. A zatem kciuk został odcisnięty w nocy.

— Ale w jaki sposób?

— Bardzo prosto. Podczas pieczętowania kopert zawierających dokumenty Oldacre poprosił McFarlane'a o przyłożenie kciuka do jednej z miękkich jeszcze pieczęci woskowych, aby mocniej została przytwierdzona do papieru. Zrobił to tak szybko i odruchowo, że jestem prawie pewny, że sam McFarlane już o tym nie pamięta. Bardzo możliwe, że Oldacre nie zrobił tego celowo, nie przypuszczając, że może mu się to później przydać. Zamknięty w swojej komórce, przypomniał sobie o tym i nagle uprzytomnił sobie, jak druzgocącym rozporządza dowodem przeciw adwokatowi. Reszta była już prosta. Wystarczyło odcisnąć tę pieczęć na kawałku wosku, zwilżyć go krwią, a po to, żeby ją mieć, wystarczyło się ukłuć w palec i własnoręcznie lub za pośrednictwem gospodyni przycisnąć ten kawałek wosku do ściany w holu. Proszę przeszukać papiery, które zabrał ze sobą do kryjówki, a założę się, że znajdzie pan wśród nich pieczęć woskową z odcisniętym na niej kciukiem McFarlane'a.

— To niesłychane! — zawołał Lestrade. — Gdy się pana słucha, wszystko staje się jasne jak słońce! Ale co miał na celu dokonując tak wyrafinowanego oszustwa?

Bawiłem się szczerze, obserwując zmianę w zachowaniu detektywa. Z pewnego siebie przedstawiciela Scotland Yardu stał się nagle potulnym dzieckiem wypyującym nauczyciela.

— Nietrudno to chyba wytłumaczyć — odrzekł Holmes. — Oczekujący nas na dole dżentelmen jest wyjątkowo mściwym, podłym i sprytnym człowiekiem. Wie pan o tym, że starał się w swoim czasie o rękę matki McFarlane'a? Nie wie pan! A przecież mówiłem, że należy rozpocząć śledztwo od Blackheath, a potem dopiero pojechać do Norwood! Otóż Oldacre całe życie uważał się za pokrzywdzonego i znieważonego. Nie mógł tego przeboleć. Myśl o zemście nurtowała nieustannie jego przewrotny, wyrachowany umysł. Nie wiedział jednak, jak się do tego zabrać, i wyczekiwał cierpliwie, całymi latami, na sposobną okazję. Ostatnio Oldacre znalazł się w kłopotach finansowych, zapewne w wyniku ryzykownych potajemnych spekulacji. Postanowił więc wystawić do wiatru swoich wierzycieli i w tym celu wystawił kilkanaście czeków, opiewających na wysokie sumy, na nazwisko niejakiego pana Corneliusa, to jest na siebie samego, przypuszczam bowiem, że jest to jego drugie, przybrane nazwisko. Nie sprawdziłem jeszcze, co się stało z tymi czekami, ale myślę, że zostały wpłacone na rachunek tegoż Corneliusa w jakiejś prowincjonalnej miejscinie, w której Oldacre pojawiał się od czasu do czasu i występował jako Cornelius. Po podjęciu pieniędzy zamierzał zmienić ostatecznie nazwisko, ulotnić się i gdzie indziej rozpocząć życie na nowo.

— Tak — wtrącił Lestrade — to się wydaje bardzo prawdopodobne.

— Oldacre, chcąc zatrzeć za sobą wszelki ślad, a jednocześnie zemścić się na kobiecie, która wzgardziła niegdyś jego miłością, stworzył pozory, że został zamordowany przez jej jedyne dziecko. Wpadłszy na ten genialny w swojej ohydzie pomysł potrafił go wykonać po

mistrzowsku. Pomysł sporządzenia testamentu miał dostarczyć motywu zbrodni. Potajemna wizyta MacFarlane'a, zatrzymanie laski, plamy krwi, guziki od spodni i szczątki zwierzęcych kości w spalonym stosie drewna — wszystko to było znakomicie obmyślane. Lecz w przeciwieństwie do każdego prawdziwego artysty Oldacre nie wiedział, kiedy się zatrzymać. Chciał udoskonalić dzieło już i tak doskonałe, zacisnąc jeszcze mocniej stryczek na szyi swej nieszczęsnej ofiary i to zniweczyło jego plany. Zejdźmy teraz do niego, chciałbym mu zadać jeszcze parę pytań.

Oszust siedział we własnym saloniku, pomiędzy dwoma policjantami.

— To był tylko żart, szanowni panowie — pojękiwał bez przerwy. — Ukryłem się tylko po to, by zobaczyć, jakie będą skutki mojego zniknięcia. Proszę mi wierzyć, nie miałem najmniejszego zamiaru skrzywdzić młodego McFarlane'a. Jeżeli mnie o to posądzacie, to jesteście niesprawiedliwi.

— O tym zadecydują sędziowie przysięgli — rzekł Lestrade. — W każdym razie jest pan oskarżony o oszustwo, jeśli nie o usiłowanie morderstwa.

— Pańscy wierzyciele postarają się również położyć rękę na funduszach złożonych w banku na nazwisko pana Corneliusa — dodał Holmes.

Oldacre wzdrygnął się i spojrzał złym wzrokiem na mego przyjaciela.

— Jestem pańskim dłużnikiem, postaram się kiedyś panu odpłacić.

Holmes uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Wydaje mi się, że przez następne kilka lat nie znajdzie pan na to czasu ani możliwości. A tak przy okazji może pan jednak zechce nam powiedzieć, co pan włożył do stosu drewna oprócz swoich spodni? Zdechłego psa? A może parę królików? Mileczy pan? To bardzo nieuprzejmie! Skłonny jestem sądzić, że para królików byłaby najodpowiedniejsza, chociażby ze względu na krew. Jeśli kiedykolwiek opisziesz to, Watsonie, radzę ci wziąć pod uwagę króliki.

Przełożył Jan Meysztowicz

ROZDZIAŁ VII

SAMOTNY CYKLISTA

Od 1894 do 1901 roku Sherlock Holmes był wiecznie zapracowany. Mogę bez przesady stwierdzić, że w tym czasie przedstawiciele władz nie wahali się prosić go o radę za każdym razem, gdy wymagało tego dobro publiczne. Ponadto Holmes uczestniczył w rozwiązywaniu setek spraw, nieraz wyjątkowo skomplikowanych lub niezwykłych, dotyczących osób prywatnych. W tym długim i pracowitym okresie Holmes odniósł wiele zadziwiających sukcesów, nie obyło się jednak i bez pewnych nieuniknionych niepowodzeń. W niejednej z tych spraw brałem osobisty udział, a na ich temat zrobiłem wyczerpujące notatki, które zachowałem do dziś. Teraz mam kłopoty w dokonaniu selekcji i podjęciu decyzji, które z nich powinienem podać do wiadomości publicznej. Postanowiłem jednak pozostać wierny przyjętej już poprzednio zasadzie i opisać tylko te zdarzenia, które powinny wzbudzić zainteresowanie czytelnika nie tyle z powodu brutalności popełnionej zbrodni, co ze względu na dramatyczny i wymagający wyjątkowej przenikliwości sposób wykrycia jej sprawcy.

Zgodnie z tym założeniem przystąpię do opisanego faktów dotyczących panny Violetty Smith, samotnego cyklisty z Charlington i tego, co wynikło z naszych dochodzeń, zakończonych niespodziewaną tragedią. Co prawda w tym wypadku okoliczności nie pozwoliły memu przyjacielowi na ujawnienie w pełni zdolności,

którym zawdzięczał swą sławę, ale pewne cechy tego przypadku upoważniają do umieszczenia go na długiej liście przestępstw, z której czerpię treść moich opowiadań.

Jak wynika z moich notatek z 1895 roku, po raz pierwszy usłyszeliśmy o panie Violetcie Smith 23 kwietnia, w sobotę. Pamiętam, że Holmes, zaabsorbowany wówczas sprawą prześladowanego w szczególny sposób Johna Vincenta Hardena, ogólnie znanego milionera i fabrykanta wyrobów tytoniowych, nie był szczególnie zadowolony z jej wizyty. Mój przyjaciel cenił najbardziej skupienie i precyzję myśli. Wszystko, co go odrywało od zagadnienia, którym się aktualnie zajmował, wprawiało go w stan najwyższej irytacji. Jednakże nie sposób było, nie okazując obcej jego naturze bezwzględności, odmówić wysłuchania tej młodej i pięknej kobiety — wysokiej, postawnej i pełnej wdzięku — która zjawiła się na Baker Street późnym wieczorem tego dnia, błagając o radę i pomoc. Wszelkie powoływanie się na zupełny brak czasu na nic się nie zdało, gdyż owa młoda kobieta postanowiła nam opowiedzieć o swoich kłopotach i nie ulegało wątpliwości, że żadna ludzka siła nie skłoni jej wcześniej do opuszczenia pokoju. Holmes wskazał jej więc krzesło i ze zrezygnowaną miną oraz nieco sztucznym uśmiechem poprosił, aby zechciała podzielić się z nami swoim zmartwieniem.

— Niewątpliwie jednak — dodał, przyglądając się jej badawczo — problem, z jakim się pani zjawia nie dotyczy pani zdrowia. Tak zamiłowanej cyklistce na pewno nic nie może dolegać.

Zaskoczona spojrzała na swoje stopy i dostrzegłem na boku podeszwy lekkie wgłębienie, wywołane tarcieniem o pedały.

— Tak — odrzekła — jeżdżę dużo na rowerze i właśnie dlatego tu przybyłam.

Mój przyjaciel pochwycił jej dłoń, z której uprzednio ściągnęła rękawiczkę, i podniósłszy ją do góry zaczął się jej przyglądać z uwagą tak skupioną i pozbawioną uczucia, jakby był naukowcem badającym rzadki okaz.

— Proszę mi wybaczyć — rzekł, uwalniając jej dłoń — ale to należy do mojego zawodu. W pierwszej chwili sądziłem mylnie, że pani zarabia na życie przepisywaniem na maszynie, ale nie, jest pani oczywiście muzykiem. Spójrz, Watsonie, na końce palców, to jest charakterystyczna cecha obu tych zawodów. A przecież ma pani w twarzy — tu Holmes

łagodnym ruchem obrócił ją w kierunku światła — coś w rodzaju uduchowienia a pisanie na maszynie na ogół temu nie sprzyja. Pani jest pianistką.

— Tak. Jestem nauczycielką muzyki.

— Mieszka pani na wsi. Świadczy o tym pani cera.

— Tak, niedaleko Farnham, na pograniczu hrabstwa Surrey.

— Śliczna okolica. Budzi we mnie wiele wspomnień. Pamiętasz, Watsonie? To tam właśnie schwytaliśmy Archie'ego Stamforda, fałszerza banknotów. A teraz panno Violetto, posłuchajmy, co się zdarzyło niedaleko Farnham, na pograniczu hrabstwa Surrey.

Panna Smith bardzo rzeczowo i spokojnie opowiedziała nam swoją historię:

— Mój ojciec nie żyje. Nazywał się James Smith i był dyrygentem orkiestry w teatrze „Imperial”. Po jego śmierci matka i ja żyłyśmy samotnie. Jedyny nasz krewny, stryj Ralph Smith, wyjechał przed dwudziestu pięciu laty do Afryki Południowej i od tego czasu nigdy o nim nie słyszałyśmy. Po śmierci ojca znalazłyśmy się w bardzo trudnych warunkach finansowych. Pewnego jednak dnia przeczytałyśmy w „Timesie” ogłoszenie, w którym proszono nas o kontakt. Może pan sobie wyobrazić naszą radość. Miałyśmy nadzieję, że ktoś pozostawił nam fortunę w spadku. Nie tracąc ani chwili, poszłyśmy więc do prawnika, którego adres Codany był w ogłoszeniu. Zastałyśmy u niego dwóch dżentelmenów, pana Carruthersa i pana Woodleya. Obaj przyjechali z Afryki Południowej z krótką wizytą do Anglii — Powiedzieli nam, że byli przyjaciółmi stryja, który przed paru miesiącami umarł w nędzy w Johannesburgu i na łożu śmierci prosił ich o odszukanie i zaopiekowanie się jego rodziną. Stryj Ralph za życia nigdy się nami nie interesował, toteż jego troska okazana przed śmiercią wydała nam się dziwna. Pan Carruthers oświadczył nam jednak, że stryj bardzo późno dowiedział się o zgonie mojego ojca i poczuł się odpowiedzialny za nasz los.

— Przepraszam — rzekł Holmes — kiedy odbyła się ta rozmowa?

— W grudniu, cztery miesiące temu.

— Proszę mówić dalej.

— Pan Woodley zrobił na mnie jak najgorsze wrażenie. Dość młody ordynarny człowiek, o puciołowatych policzkach, płomiennorudych wąsach i przylizanych po obu stronach czoła włosami. Nie podobał mi się od pierwszego wejrzenia, on zaś nie odrywał oczu ode mnie. Nie miałam wątpliwości, że Cyryl nie życzyłby sobie, abym zawierała tego rodzaju znajomości...

— A więc on ma na imię Cyryl! — przerwał jej z uśmiechem Holmes.

Panna Smith zaczerwieniła się i wybuchnęła śmiechem.

— Tak, nazywa się Cyryl Morton, jest inżynierem elektrykiem i zamierzamy się pobrać w końcu lata, doprawdy nie wiem, jak to się stało, że o nim wspomniałam? Chciałam tylko powiedzieć, że o ile pan Woodley był odrażający, o tyle pan Carruthers, o wiele od niego starszy, wydał mi się raczej człowiekiem sympatycznym. Milczący brunet, o gładko wygolonej, ziemistej twarzy, miał znakomite maniery i miły uśmiech. Dopytywał się o nasz stan majątkowy. Dowiedziawszy się, jaka jest nasza sytuacja materialna, zaproponował, abym zamieszkała u niego i uczyła muzyki jego jedyną, dziesięcioletnią córkę. Odpowiedziałam, że nie chciałabym rozstawać się z matką. Wtedy zapewnił mnie, że będę mogła odwiedzać ją co tydzień i zaproponował mi sto funtów rocznie, co niewątpliwie było bardzo hojnym wynagrodzeniem. Skończyło się na tym, że przyjąłem tę posadę i pojechałam do Chiltern Grange, prawie sześć mil od Farnham. Pan Carruthers jest wdowcem, przyjął więc do pracy panią Dixon, starszą, poważną kobietę, żeby prowadziła gospodarstwo domowe. Jego dziecko jest przemiłe i wszystko dobrze się zapowiadało. Mój chlebodawca okazał się człowiekiem muzycznym. Spędziłyśmy razem niejedną przyjemny wieczór. W każdą sobotę wyjeżdżałam do Londynu i niedzielę spędzałam z matką.

Ten błogostan zakłócił dopiero przyjazd rudowłosego pana Woodleya. Przyjechał na tydzień, ale mnie się zdawało, że jego wizyta trwa już co najmniej trzy miesiące! Zachowywał się okropnie. Terroryzował wszystkich, ale najbardziej znęcał się nade mną. A

co gorsze, zaczął się do mnie bezceremonialnie zalecać, przechwalać swoim majątkiem, mówił, że kiedy wyjdę za niego za męża stanę się właścicielką najpiękniejszych brylantów w Londynie, i wreszcie, gdy już nie chciałam z nim nawet rozmawiać, pewnego dnia, po kolacji, chwycił mnie w ramiona (był nieludzko silny) i oświadczył, że nie puści mnie, póki go nie pocałuję. Pan Carruthers wszedł do pokoju i uwolnił mnie z jego objęć. Wówczas Woodley rzucił się na niego i spoliczkował go. Jak się pan domyśla zaraz potem wyjechał, zaś pan Carruthers nazajutrz przeprosił mnie i zapewnił, że już nigdy nie będę narażona na tego rodzaju zniewagi. Od tego czasu nie widziałam pana Woodleya.

A teraz wyjaśnię, dlaczego zwracam się dziś do pana z prośbą o radę. W każdą sobotę rano jadę rowerem na stację kolejową w Farnham, aby tam wsiąść do pociągu odchodzącego o dwunastej dwadzieścia dwie do Londynu. Droga z Chiltern Grange prowadzi przez pustkowie, zwłaszcza jeden odcinek, po którego prawej stronie ciągną się wrzosowiska, a po lewej lasy otaczające posiadłość, zwaną Charlington Hall. Trudno znaleźć mniej uczęszczaną drogę, a napotkanie wozu lub wieśniaka przed szosą koło Crooksbury Hill należy do rzadkości. Dwa tygodnie temu przejeżdżałam przez to miejsce i spojrzawszy przypadkowo za siebie zobaczyłam, jakies dwieście jardów za mną, mężczyznę jadącego również na rowerze. Miał krótką, ciemną brodę i zdaje mi się, że był w średnim wieku. Jeszcze raz się obejrzałam, kiedy byłam blisko Farnham, ale mężczyzna zniknął, więc wkrótce przestałam o tym myśleć. Może pan sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy wracając w poniedziałek zobaczyłam tego samego mężczyznę na tym samym odcinku drogi. Moje zdziwienie było jeszcze większe, gdy w następną sobotę i poniedziałek znowu go spotkałam dokładnie w takich samych okolicznościach. Jechał za mną na rowerze, zachowując tę samą odległość. Chociaż robił wrażenie, że nie chce mnie zaczepiać, zaczęło mi to nie dawać spokoju. Wspomniałam o tym panu Carruthersowi. Zainteresowało go to i obiecał, że zamówi dwukólkę i konia, abym nie musiała w przyszłości jeździć samotnie.

Dwukółka i koń miały być do mojej dyspozycji już w tym tygodniu, ale z jakiegoś powodu nic z tego nie wyszło, więc dzisiaj rano znowu musiałam pojechać na stację rowerem. Dojeżdżając do Charlington Heath, zaczęłam się oczywiście rozglądać i stwierdziłam, że mężczyzna na rowerze znowu się za mną pojawił, tak samo jak przed dwoma tygodniami. Trzymał się stale na tyle daleko, że nie mogłam poznać rysów jego twarzy, ale z pewnością nie znałam go. Miał na sobie ciemny; garnitur i płócienną czapkę. Twarzy dokładnie nie widziałam, zauważyłam tylko ciemną brodę. Nie odczuwałam dzisiaj strachu, byłam po prostu ciekawa, postanowiłam więc się przekonać, kim jest ten człowiek i czego chce. Zwolniłam więc, ale on zrobił to samo. Zatrzymałam się, on zatrzymał się również. Użyłam więc podstępu. Nieco dalej na tej drodze znajduje się ostry zakręt. Pojechałam tam, pedałując co siłą, i zatrzymałam się zaraz za zakrętem. Spodziewałam się, że nie zdoła w porę zahamować rozpędzonego roweru i przejedzie koło mnie. Ale mężczyzna się nie zjawił. Zawróciłam więc i wyrzesałam z za zakrętu na drogę. Widziałam całą drogę przed sobą, lecz jego nie było. A co najdziwniejsze, na tym odcinku nie ma żadnej bocznej drogi, w którą mógłby skręcić.

Holmes roześmiał się cicho, zatarł ręce i rzekł:

— W tej sprawie kryje się niewątpliwie coś dziwnego. Jak długo czekała pani na zakręcie, zanim wyrzesała pani na drogę?

— Od dwóch do trzech minut.

— A zatem nie mógł zawrócić i zniknąć pani z oczu na tej samej drodze, a powiada pani, że nie ma tam żadnej bocznej drogi?

— Nie ma.

— Wobec tego skręcił w jakąś ścieżkę, po jednej lub drugiej stronie drogi.

— W każdym razie nie na wrzosowisko, bo tam musiałabym go dostrzec.

— Musimy więc, w drodze eliminacji, przyjąć, że skierował się w stronę Charlington Hall, posiadłości leżącej po drugiej stronie drogi. Co może pani nam jeszcze dodać?

— Nic więcej, dodam tylko, że tak mnie to zaniepokoiło, iż gdybym panu o tym nie opowiedziała i nie prosiła o radę, nie zaznałabym ani chwili spokoju.

Holmes siedział przez jakiś czas w milczeniu.

— Gdzie przebywa obecnie pani narzeczonej? — zapytał wreszcie.

— W Coventry, pracuje tam w Middland Electric Company.

— Nie sądzi pani, że on mógłby być tym tajemniczym cyklistą?

— Ale skądże znowu! Przecież natychmiast bym go poznała.

— Czy miała pani innych wielbicieli?

— Kilku, zanim poznałam Cyryla.

— A od tego czasu?

— Tego okropnego Woodleya, o ile go można nazwać wielbicielem.

— Nikogo więcej?

Na twarzy naszej przystojnej klientki pojawił się wyraz lekkiego zakłopotania.

— Któż to taki? — nalegał Holmes.

— Może się mylę, ale nieraz mi się zdawało że mój pracodawca, pan Carruthers, bardzo się mną interesuje, spędzamy przecież razem sporo czasu. Akompaniuję mu wieczorami. Nigdy mi nic nie powiedział, to dżentelmen pod każdym względem, ale w takich sprawach kobiety na ogół się nie mylą.

— Hmm — mruknął Holmes i zasepił się nieco. — Z czego on żyje?

— Jest człowiekiem bogatym.

— Czy ma powóz i konie?

— Nie, ale w każdym razie dobrze mu się powodzi. Jeździ do londyńskiego City dwa lub trzy razy tygodniowo. Jest właścicielem akcji południowo — afrykańskich kopalni złota.

— Zechce mnie pani zawiadomić, gdyby zaszło coś nowego, panno Smith. Jestem obecnie bardzo zajęty, ale znajdę trochę czasu by zbadać tę sprawę. Tymczasem proszę nic nie przedsięwziąć bez porozumienia ze mną. Do widzenia pani i mam nadzieję, że usłyszymy od pani tylko dobre wiadomości.

— Zgodnie z odwiecznym prawem natury — rzekł Holmes, zaciągając się dymem z fajki — mężczyźni chętnie się włóczą za taką dziewczyną, ale na ogół nie na rowerze i nie na pustych drogach. Niewątpliwie jakiś tajemniczy wielbiciel. Zwróciłeś chyba uwagę, Watsonie, na pewne, dające do myślenia, ciekawe szczegóły.

— Czy chodzi ci o to, że ów mężczyzna pojawia się zawsze w tym samym miejscu?

— Oczywiście. Pierwszym naszym krokiem winno być zbadanie, kto zamieszkuje Charlington Hall. Następnie należałoby się dowiedzieć, co łączy Carruthersa i Woodleya. Ci panowie zdają się należeć do zgoła odmiennego typu mężczyzn. Dlaczego o b a j tak się interesują losem rodziny Ralphi Smitha? I jeszcze jedno. Cóż to jest za dom, w którym płaci się nauczycielce muzyki dwukrotnie więcej niż wynosi zwykle tego rodzaju wynagrodzenie, a nie stać na utrzymanie woźnicy i konia, kiedy się mieszka sześć mil od stacji kolejowej? To dziwne, naprawdę dziwne.

— Czy zamierzasz tam pojechać?

— Nie, mój drogi. Ty tam pojedziesz. Chodzi najprawdopodobniej o jakąś drobnostkę, nie mogę więc zaniedbać innych poważnych dochodzeń. Pojedziesz do Fairnham w poniedziałek rano, ukryjesz się gdzieś w pobliżu Charlington Hall, sprawdzisz osobiście te fakty i postąpisz, jak uznasz za stosowne. Następnie postarasz się dowiedzieć, kto tam mieszka, wrócisz i zdasz mi sprawę z rezultatów swojej podróży. A teraz, mój drogi, ani słówka o tym, zanim nie uzyskamy nowych elementów, które, miejmy nadzieję, przyczynią się do rozwiązania tej zagadki.

Wiedzieliśmy od panny Smith, że co poniedziałek wyjeżdżała z Londynu, ze stacji Waterloo, o godzinie dziewiątej pięćdziesiąt. Wyruszyłem więc wcześniej z Baker Street i wsiadłem do pociągu odchodzącego o dziewiątej trzynastu. Po przybyciu do Farnham bez trudu dowiedziałem się, gdzie jest droga prowadząca obok Charlington Hall. Nie sposób było pomylić miejsce, w którym nasza klientka spotykała natrętnego cyklistę, po jednej bowiem stronie drogi ciągnęła się otwarta równina, po drugiej zaś rósł stary cisowy żywopłot otaczający posiadłość, zwaną Chjrlington Hall, i przylegający do niej park ze wspaniałym, wiekowymi drzewami. W głąb parku prowadziła brama wjazdowa z omszałego kamienia, a na każdej ze wcierających ją kolumn dostrzegłem zwietrzałe i rozpadające się tarcze herbowe. Obok bramy wjazdowej do Charlington Hall dostrzegłem kilkanaście dziur w żywopłocie i prowadzących przez nie ścieżek. Dom był niewidoczny od strony drogi, lecz całe jego raczej ponure otoczenie mówiło, że musiał być bardzo zaniedbały. Na otwartej równinie rosły tu i ówdzie kępy różowo kwitnących krzewów dzikiego głogu, połyskujących uroczo w świetle wiosennego słońca. Jedną z tych kęp wybrałem sobie jako punkt obserwacyjny i ukryty a nią widziałem dokładnie bramę oraz długi odcinek drogi. Przez pewien czas nie było widać na niej nikogo, ale wkrótce zobaczyłem cyklistę nadjeżdżającego od strony przeciwnej niż ta, z której przybyłem. Miał a sobie ciemne ubranie, widziałem również wyraźną jego czarną brodę. Dojechał do końca parku, zeskoczył z roweru, wprowadził go przez dziurę w parkanie i zniknął mi z oczu.

Po piętnastu minutach pojawił się na drodze drugi rower. Tym razem była to panna Smith jadąca ze stacji. Dojeżdżając do żywopłotu otaczającego Charlington Hall, zaczęła się rozglądać dokoła. Po chwili ów mężczyzna wyłonił się ze swojej kryjówki, wsiadł na rower i ruszył za nią. Jak okiem sięgać na drodze poruszały się tylko te dwie postacie. Młoda, urocza dziewczyna trzymająca się prosto na swoim rowerze i mężczyzna podążający za nią, nisko pochylony nad kierownicą. Całe jego zachowanie świadczyło o tym, że; nie chce, aby go ktoś rozpoznał. Panna Smith spojrzała za siebie i zwolniła. Mężczyzna zrobił to samo. Gdy zatrzymała się, on przystanął natychmiast, trzymając się około dwustu jardów za nią. Jej następne posunięcie było równie niespodziewane, jak odważne. Nagle zawróciła i ruszyła, jak mogła najszybciej, prosto na niego. Zawrócił natychmiast i uciekał, kręcąc pedałami w rozpaczliwym pośpiechu. Gdy zawróciła ponownie i pojechała w swoją stronę, z głową dumnie wzniesioną i nie zwracając uwagi na tajemniczego towarzysza, on zawrócił również i jechał za nią wciąż w tej samej odległości, aż oboje zniknęli za zakrętem.

Nie wyszedłem jeszcze z kryjówki i; jak się okazało, postąpiłem rozsądnie, gdyż mężczyzna pojawił się znowu, jadąc wolno z powrotem. Skręcił w bramę i zeskoczył z roweru. Przez parę minut mogłem go widzieć z tyłu, stojącego między drzewami. Ręce miał podniesione, jakby poprawiał sobie krawat. Po czym wsiadł na rower i odjechał drogą prowadzącą w głąb parku. Wybiegłem z ukrycia i spojrzałem poprzez żywopłot. Z daleka rysowały się kontury starego budynku z szarej cegły, z wysokimi kominami, typowych dla domów z epoki Tudorów. Mężczyzna zniknął mi z oczu, droga bowiem wiła się wśród gęstych zarośli.

Efekty osiągnięte tego poranka uznałem za wystarczające i w doskonałym humorze wróciłem piechotą do Farnham. Miejscowy pośrednik nie mógł mi nic powiedzieć o Charlington Hall i skierował mnie do znanej agencji wynajmu nieruchomości, znajdującej się w Londynie przy ulicy Pali Mall.

Zaszedłem tam w drodze do domu. Przedstawiciel agencji przyjął mnie bardzo uprzejmie, lecz oświadczył, że nie może, niestety, wynająć mi na lato domu zwanego Charlington Hall, gdyż mniej więcej przed miesiącem dom ten został wydzierżawiony przez niejakiego pana Williamsona, dżentelmena w starszym wieku. Mój rozmówca wyraził swoje ubolewanie, że nie może mi nic więcej powiedzieć o swoim kliencie ze względu na obowiązek zawodowej dyskrecji.

Tego wieczoru Sherlock Holmes wysłuchał uważnie mojego długiego sprawozdania, ale nie wypowiedział ani słowa pochwały, której się spodziewałem. Przeciwnie, w miarę jak komentował wszystko, co zrobiłem i czego nie zrobiłem, jego twarz przybierała coraz surowszy wyraz.

— Źle wybrałeś sobie kryjówkę, mój drogi. Powinieneś się ukryć za żywoplotem. Stamtąd miałbyś o wiele lepszy widok i łatwiej byłoby ci się przyjrzeć temu interesującemu osobnikowi. Schowałeś się jednak w odległości kilkuset jardów od niego i jeszcze mniej możesz mi o nim powiedzieć niż panna Smith. Ona twierdzi, że nie zna tego mężczyzny, ja zaś jestem przekonany, że go zna. Inaczej bowiem nie unikałby tak starannie wszelkiego zbliżenia, które pozwoliłoby poznać rysy jego twarzy. Mówisz, że jechał nisko pochylony nad kierownicą roweru. A więc zależy mu, aby go nie poznano. Wyjątkowo źle się spisałeś! Ów mężczyzna powrócił do domu, a ty, chcąc się czegoś o nim dowiedzieć, idziesz do agencji wynajmu nieruchomości!

— A co miałem zrobić?! — wykrzyknąłem nie bez pewnego zniecierpliwienia.

— Pójść do najbliższej knajpy. Tam właśnie dowiesz się wszystkich plotek. Dowiedziałbyś się, jak się nazywa każdy mieszkaniec tego domu, od głównego lokatora do pomywaczki.

Williamson! To nazwisko nic mi nie mówi. Jeśli jest to mężczyzna w starszym wieku, to należy wątpić, czy jest tym samym, który potrafi uciec na rowerze przed ścigającą go młodą i silną dziewczyną. Co dała nam twoja wycieczka? Potwierdzenie, że panna Smith mówiła prawdę. Nigdy w to nie wątpiłem. Stwierdziliśmy również, że istnieje jakiś związek między cyklistą a domem w Charlington Hall. W to również nie wątpiłem ani przez chwilę. Wiemy, że wynajął ten dom niejaki Williamson. Ale co nam z tego przyjdzie?

Nie rób jednak tak zmartwionej miny. Do przyszłej soboty możemy zdziałać więcej, a tymczasem sam się postaram czegoś dowiedzieć.

Następnego dnia otrzymaliśmy od panny Smith list, w którym opisała krótko i dokładnie wszystko, co widziałem na własne oczy. To co było jednak najważniejsze, zawarte było w *post scriptum*:

Jestem przekonana, że mogę liczyć na pańską dyskrecję w sprawie, o której chcę panu donieść: otóż mój pracodawca oświadczył mi się i znalazłam się w bardzo trudnym położeniu. Nie wątpię, że jego uczucia są szczerze, a zamiary uczciwe, lecz jestem już z kimś innym zaręczona. Moja odmowa sprawiła mu przykrość, chociaż muszę przyznać, że przyjął ją z godnością. Zdaje pan sobie sprawę, że sytuacja jest w pewnym sensie kłopotliwa.

Po przeczytaniu tego listu Holmes zamyślił się i powiedział:

— Nasza młoda znajoma znajduje się w coraz gorszych opałach. Ta sprawa jest niewątpliwie bardziej interesująca i więcej zapowiada niespodzianek niż początkowo przypuszczałem. Spędzenie spokojnego dnia na wsi dobrze mi zrobi i mam ochotę jeszcze dziś po południu tam pojechać, by sprawdzić pewne teorie, które mi się nasunęły.

Spokojny dzień spędzony przez Holmesa na wsi zakończył się w niespodziewany sposób, gdyż powrócił na Baker Street późnym wieczorem z rozciętą wargą i sporym guzem na czole. Obrażenia te, świadczące o burzliwych zajściach, mogłyby wywołać usprawiedliwione zainteresowanie Scotland Yardu. Holmes jednak był szczerze rozbawiony tą przygodą i opowiadając mi ją, śmiał się serdecznie.

— Tak mało mam czasu na ćwiczenia fizyczne, muszę więc uznać to, co mi się przydarzyło, za swego rodzaju urozmaicenie. Jak ci wiadomo, mam niejaki osiągnięcia w boksie, tym starym, miłym, brytyjskim sporcie. Nieraz mi się to przydaje. Dzisiaj, na przykład, umożliwiło mi to wyjście obronną ręką z paskudnej sytuacji.

Poprosiłem go, aby mi opowiedział, co się wydarzyło w czasie tego dnia.

— Odszukałem wiejską knajpę, na którą zwróciłem twoją uwagę, i zasiadłszy w barze zacząłem dyskretnie wypytywać właściciela. Okazał się nader rozmowny i chętnie mi opowiedział wszystko, czego byłem ciekaw. Williamson, mężczyzna o siwej, prawie białej

brodzie mieszka sam, z paroma osobami służby, w Charlington Hall. Krążą o nim pogłoski, że jest czy był duchownym, ale niektóre epizody z jego krótkiej kariery kapłańskiej z trudem pasują do nienagannego stylu życia duchownego. Zasięgnąłem poufnych informacji w środowisku kapłanów w Londynie i dowiedziałem się, że istotnie był duchowny o tym nazwisku, ale przebieg jego kościelnej działalności obfitował w podejrzaną sprawki. Właściciel knajpy powiedział mi również, że prawie w każdą sobotę i niedzielę zjeżdżają się do Charlington Hall goście, solidnie popijające grono, jak się wyraził, a jeden dżentelmen, z rudymi wąsami, niejaki pan Woodley, stale tam przesiaduje.

W trakcie naszej rozmowy wszedł do baru nie kto inny, jak pan Woodley, który popijał piwo w sąsiedniej izbie i wszystko słyszał. Kim jestem? Czego tu chcę? Po co te pytania? Ten potok wymowy urozmaicony dosadnymi epitetami, zakończył się prawym sierpowym, którego nie zdołałem uniknąć. Odpowiedziałem lewym prostym i przez następne parę minut miałem wielką uciechę. Z tej wymiany argumentów wyszedłem w stanie, w jakim mnie widzisz. Pana Woodleya odwieź dwukółką do domu. Tak się zakończyła moja dzisiejsza wycieczka na wieś i muszę przyznać, że pobyt w hrabstwie Surrey przyniósł niewiele więcej korzyść niż twój.

W czwartek otrzymaliśmy następny list od naszej klientki.

Sądzę — pisała do Holmesa — że nie zaskoczy pana wiadomość, iż wymówiłam pracę u pana Carruthersa. Nawet wysokie wynagrodzenie nie jest w stanie mnie) skłonić do dłuższego tutaj pobytu. W sobotę wyjeżdżam do Londynu i nie zamierzam tu wracać. Pan Carruthers rozporządza już woźnicą i dwukółką, więc niebezpieczeństwo samotnej podróży, o ile istotnie byłam kiedykolwiek na nie narażona, przestało być aktualne.

Powodem mojego odejścia i porzucenia pracy jest nie tylko ciężka atmosfera, którą stworzył pan Carruthers, ale i ponowne pojawienie się tutaj owego wstrętnego Woodleya. Był dla mnie zawsze odrażający, ale teraz wygląda jeszcze gorzej. Ma bowiem teraz pokiereszowaną twarz. Widziałam go przez okno, lecz na szczęście udało mi się uniknąć spotkania z nim. Odbył dłuższą rozmowę z panem Carruthersem, po której mój pracodawca robił wrażenie bardzo zdenerwowanego. Woodley musi mieszkać gdzieś w sąsiedztwie, ponieważ nie nocuje tutaj, a jednak dzisiaj rano widziałam go skradającego się przez krzaki w parku. Wolalabym tam zobaczyć drapieżne zwierzę. Czuję do niego wstręt i boję się bardziej niż to mogę wyrazić. Nie wiem jak pan Carruthers może znosić tego okropnego człowieka. Cieszę się, że w sobotę zakończą się moje kłopoty!

— Oby tak było, oby tak było — rzekł Holmes poważnym tonem. — Tę młodą kobietę uwikłano w coś niedobrego i naszym obowiązkiem jest zadbać, aby nikt jej nie napastował, gdy po raz ostatni będzie jechała do Farnham. Zajmie nam to sporo czasu, bo musimy pojechać tam w sobotę rano i dopilnować, aby ta podejrzana sprawa zakończyła się pomyślnie.

Przyznaję, że zaliczałem ją raczej do dziwaczných lub groteskowych i nie przewidywałem nawet, aby mogła przybrać niebezpieczny obrót. Mężczyzna wyczekujący na ładną kobietę i podążający krok w krok za nią nie jest kimś wyjątkowym, a skoro nie ośmielał się do niej zbliżyć, a nawet uciekał, gdy zbliżała się do niego, trudno go uznać za groźnego człowieka. Gburowaty i brutalny Woodley należał niewątpliwie do innej kategorii i tylko raz był natarczywy wobec naszej klientki. Podczas jego następnych pobytów u Carruthersa panna Smith nie miała właściwie powodów, aby się uskarżać na jego natręctwo. Mężczyzna na rowerze niewątpliwie należał do gości odwiedzających Charlington Hall, o których wspominał właściciel knajpy. Kim był i o co mu chodziło — pozostawało zagadką. Jednakże widząc jak nazajutrz rano, przed wyjściem, Holmes wsuwa do kieszeni rewolwer, i obserwując skupiony wyraz jego twarzy, zacząłem się liczyć z możliwością tragicznego rozwoju wypadków.

Po dżdżystej nocy nastąpił słoneczny poranek. Widok rozległej, mieniającej się jasnymi barwami okolicy, obficie porosłej kwitnącymi krzakami dzikiego głogu radował nasze oczy przyzwyczajone do szarych i ciasnych ulic Londynu.

Holmes i ja szliśmy szeroką, piaszczystą drogą, wdychając z przyjemnością wonne i czyste powietrze, zachwycając się śpiewnym ćwierkaniem ptaków i ożywczym tchnieniem wiosny. Z niewielkiego wzniesienia na tej drodze dostrzegliśmy staroświecki dom w Charlinton Hall, widoczny spośród wiekowych dębów, które, mimo że bardzo stare, były jednak z pewnością młodsze od tego budynku. Holmes wskazał na długi odcinek drogi, ciągnącej się czerwonożółtą wstęgą między białą zowiejącą połacią wrzosowiska a zieloną masą drzew otaczających Charlinton Hall; z daleka, nie większa niż czarny punkcik, jechał w naszym kierunku jakiś pojazd. Holmes wydał okrzyk, w którym dało się słyszeć zdziwienie.

— Powinniśmy mieć jeszcze pół godziny! — powiedział. — Jeżeli to jest dwukółka wioząca pannę Smith to znaczy, że postanowiła wyjechać na wcześniejszy pociąg. Obawiam się, że minie Charlinton Hall za nim zdołamy tam dotrzeć.

Gdy opuściliśmy wzniesienie, pojazd zniknął nas z oczu, więc ruszyliśmy szybciej. Wkrótce mój siedzący tryb życia dał mi się we znaki i ledwo mogłem dotrzymać kroku Holmesowi, który zawsze w dobrej formie i rozporządzający niespożytym zapasem energii, wyprzedził mnie o jakieś sto jardów. Nagle zatrzymał się i rozpaczliwym gestem podniósł obie ręce do góry. W tej samej chwili pusta dwukółka, zaprzęzona w galopującej go konia, z lejcami wlokącymi się po ziemi, ukazała się zza zakrętu i poturkotała szybko w naszym kierunku.

— Za późno — krzyknął Holmes, gdy zdyszany dobiegłem do niego. — Nie pomyślałem o wcześniejszym pociągu. Cóż ze mnie za głupiec. To porwanie! A może morderstwo! Stań w poprzek drogi. Zatrzymaj konia. Tak. Dobrze. A teraz wsiadajmy, może uda się nam naprawić ten straszny błąd.

Wskoczyliśmy do dwukółki. Holmes zawrócił konia i smagając go batem zmusił do galopu. Gdy wyjechaliśmy zza zakrętu, objęliśmy wzrokiem cały odcinek drogi między wrzosowiskiem a parkiem otaczającym Charlinton Hall.

Nagle chwyciłem Holmesa za rękę. — To on — wykrztusiłem.

Samotny cyklista jechał ku nam z prędkością, której nie powstydziliby się zawodowcy na wyścigach. Głowę miał pochyloną i skurczone ramiona. Widać było, że wszystkie swoje siły skupia na kręceniu pedałami. Nagle podniósł brodą twarz, dostrzegł pędzącą dwukółkę, zahamował gwałtownie i zeskoczył z roweru. Czarna broda dziwnie kontrastowała z białością jego twarzy, a oczy błyszczały gorączkowym podnieceniem. Spojrzał na nas, potem na dwukółkę i wyraz zdumienia ukazał się na jego twarzy.

— Halo! Stop! — zawołał, stawiając rower w poprzek drogi. — Skąd macie ten powóz?! Zatrzymajcie się! — wrzasnął, wyciągając z kieszeni pistolet. — Zatrzymajcie się albo zastrzelę konia!

Holmes rzucił mi lejce i zeskoczył z dwukółki.

— Właśnie pana chcieliśmy spotkać — rzekł szybko opanowanym, rzeczowym głosem. — Gdzie jest panna Violetta Smith?

— Tego właśnie chcę się od was dowiedzieć. Siedzicie w jej dwukółce. Powinniście wiedzieć, co się z nią stało!

— Spotkaliśmy pustą dwukółkę na drodze. Zawróciliśmy, aby ją ratować.

— O Boże, Boże, co robić?! — wykrzyknął rozpaczliwie brodaty mężczyzna. — Porwali ją! Ten łajdak Woodley i ten ksiądz z piekła rodem. Jeśli jesteście jej przyjaciółmi, pomóżcie mi, a uratujemy ją, choćbym miał to życiem przypłacić!

I pobiegł jak szalony z pistoletem w ręku ku szczelinie w żywopłocie ciągnącym się wzdłuż drogi. Holmes ruszył za nim, ja zaś, pozostawiając konia pasącego się na poboczu, pobiegłem za Holmesem.

— Tędy przeszli w głąb parku — rzekł Holmes, wskazując ślady stóp na błotnistej ścieżce.
— Ale, ale, kto tam leży w krzakach?

Był to młody, może siedemnastoletni chłopiec. Po jego ubraniu można było poznać, że to woźnica wynajętej dwukółki. Leżał na plecach nieprzytomny, z podciągniętymi kolanami i wielką raną na głowie. Od razu jednak stwierdziłem, że jest ona powierzchowna i zagraża jego życiu.

— To Peter, woźnica, który ją odwoził na stację — zawołał nasz towarzysz. — Ściągnęli go z wozu i ogłuszyli uderzeniem w głowę. Zostawmy go na razie tutaj i biegnijmy ją ratować. Grozi jej to, co może być najgorszego dla kobiety!

Popędziliśmy ścieżką biegnącą między drzewami. Gdy dobiegliśmy do krzewów otaczających dom, Holmes zatrzymał się i stwierdził:

— Nie weszli do domu, tutaj na lewo widoczne są ślady, tu, przy tych krzakach laurowych.

W tej chwili spoza kępy krzewów dobiegł nas przeraźliwy, rozbrzmiewający grozą krzyk kobiety i urwał; się nagle, jakby gwałtownie zduszony.

— Tędy! Tędy! Są w kręgielni! — krzyczał brodaty mężczyzna, przedzierając się przez krzaki. — Za mną, panowie! Za późno! Za późno!

Wpadliśmy na gładką przestrzeń strzyżonej trawy, wokół której rosły stare drzewa. W cieniu potężnego dębu stały trzy osoby. Jedną z nich była nasza klientka, ślaniająca się i bliska omdlenia. Usta miała przewiązane chustką. Naprzeciwko niej stał młody, rosły: mężczyzna z rudymi włosami, brutalnym wyrazie twarzy i ordynarnych rysach. Stał szeroko rozstawiwszy nogi obute w wysokie kamasze. Jedną ręką podparł bok, a w drugiej trzymał ciężką szpicrutę. Cała jego postawa wyrażała bezczelny i wyzywający tryumf. Pomiędzy tą parą stał starszy mężczyzna z siwą brodą, w krótkiej komży, nałożonej na garnitur z jasnego samodziąłu. Nie ulegało wątpliwości, że przed chwilą udzielił właśnie ślubu. W chwili bowiem, kiedy się ukazaliśmy, zamykał i wsuwał do kieszeni książkę zawierającą liturgiczne teksty, po czym poklepał odrażającego oblubieńca po plecach, składając mu w ten sposób gratulacje.

— Zawarli małżeństwo! — wyszeptalem. — Za mną! — zawołał nasz przewodnik, biegnąc wraz z Holmesem przez trawnik.

Gdy zbliżaliśmy się, kobieta zachwiała się i oparła o drzewo, duchowny złożył nam drwiący ukłon, Woodley zaś powitał głośnym i grubiańskim śmiechem.

— Zdejmij tę brodę, Bob — śmiał się coraz głośniej — znam cię aż za dobrze. Ty i twoi kumple przybyliście w samą porę i chętnie wam przedstawię panią Woodley.

Na te słowa nasz przewodnik zerwał swą czarną brodę, ukazując pociągłą, bladą, gładko wygoloną twarz. Po czym podniósł swój pistolet i wycelował w Woodleya, który ruszył ku niemu wymachując szpicrutą.

— Tak — rzekł nasz szprymierzeniec — jestem Bob Carruthers i uwolnię od ciebie tę kobietę, choćby mnie mieli za to powiesić. Powiedziałem ci, co się stanie, jeśli się od niej nie odczepisz, i, na Boga, dotrzymam słowa.

— Za późno, ona jest moją żoną.

— Nie, jest wdową po tobie.

Rozległ się huk wystrzału. Woodley zachwiał się i zwałił z jękiem na wznak. Krew trysnęła spod jego kamizelki, a wstrętna czerwona twarz okryła się w jednej chwili białymi plamami.

Siwowłosy duchowny, wciąż ubrany w komżę, wybuchnął stekiem przekleństw tak okropnych, że nic podobnego w życiu nie słyszałem, i wyciągnął rewolwer, lecz zanim go podniósł, lufa broni Holmesa błysnęła mu przed oczyma.

— Dostyc tego — rzekł chłodno mój przyjaciel. — Rzuć ten rewolwer! Watsonie, weź go i wyceluj prosto w jego głowę. Tak, dziękuję. Pan Carruthers zechce mi oddać Natychmiast swoją broń. Nie pozwolę na żadną strzelaninę. Prędeż! Proszę mi oddać rewolwer!

— Kim pan jest?

— Nazywam się Sherlock Holmes.

— O Boże!

— Widzę, że słyszał pan o mnie. Będę reprezentował policję, dopóki tu nie przyjedzie. Hej! Chodź no tutaj, chłopcze! — zawołał do przerażonego woźnicy, który chwiejąc się na nogach i trzymając za głowę wyłonił się z pobliskich krzaków. — Zawieź tę kartkę jak najszybciej do Farnham i doręcz komisarzowi policji, — i Holmes wyrwał kartkę z notesu i szybko nagryzmolił parę słów. — Aż do jego przybycia wszyscy pozostaną pod moją opieką.

Silna osobowość Holmesa spowodowała, że zapanował nad sytuacją; wszyscy bez wahania poddaliśmy się jego rozkazom. Ja zaopiekowałem się przerażoną dziewczyną, a Williamson i Carruthers wnieśli rannego Woodleya do domu. Po położeniu go na łóżku Holmes kazał mi go zbadać i opatrzyć ranę, sam zaś w towarzystwie dwóch swoich więźniów zasiadł w pokoju jadalnym, w którym ściany zawieszono były starymi makatami. Tam opowiedziałem mu o rezultacie moich zabiegów.

— Będzie żył.

— Co? — wykrzyknął Carruthers zrywając się z krzesła — w takim razie idę go dobić. Czy to ma znaczyć, że ten anioł, ta cudowna dziewczyna będzie związana z tym łotrem do końca życia?

— O to może się pan nie martwić — rzekł Holmes. — Przynajmniej z dwóch poważnych powodów nie powinna być uznana za jego żonę. Po pierwsze ślubu udzielił pan Williamson, a jego uprawnienia wydają mi się co najmniej wątpliwe...

— Zostałem wyświęcony zgodnie z przepisami Kościoła! — zawołał stary łotr.

— I pozbawiony godności kapłańskiej.

— Duchowny zawsze pozostaje duchownym!

— Nie podzielam tego zdania. Czy ma pan zezwolenie na ślub, udzielone przez urząd stanu cywilnego?

— Oczywiście, mam je w kieszeni.

— W takim razie uzyskał je pan podstępem. A zresztą małżeństwo zawarte pod przymusem jest nieważne. A sam fakt udzielenia ślubu w takich okolicznościach jest surowo karanym przestępstwem i nie wątpię, że się pan o tym wkrótce przekona. W ciągu najbliższych dziesięciu lat będzie pan miał dość czasu, aby przemyśleć tę sprawę. A co do pana, panie Carruthers, lepiej by pan uczynił nie wyjmując pistoletu z kieszeni.

— Dochodzę do tego samego wniosku — rzekł Carruthers. — Staralem się ze wszystkich sił chronić tę dziewczynę, kocham ją i po raz pierwszy w życiu rozumiem, co to miłość. Na myśl, że znalazła się we władzy najgorszego łotra w całej południowej Afryce; człowieka, którego imię budziło przerażenie przyzwoitych ludzi od Kimberley aż do Johannesburga, oszalałem z wściekłości. Może wyda się to panu mało prawdopodobne, ale podczas jej pobytu u mnie w charakterze nauczycielki, ilekroć musiała się znaleźć poza tym domem, jechałem za nią na rowerze, aby chronić ją przed tymi opryszkami. Zawsze trzymałem się od niej w pewnej odległości i przyprawiałem sobie brodę. Jest ona bowiem uczciwą i ambitną dziewczyną i nie pozostałaby długo u mnie wiedząc, że włóczę się za nią po wiejskich drogach.

— Dlaczego nie uprzedził jej pan, co ją może spotkać?

— Z tego samego powodu. Porzuciłaby mnie, a tego bym nie zniósł. Nie zdołałem pozyskać jej wzajemności, ale cieszyłem się widokiem jej uroczej postaci, sam dźwięk jej głosu sprawiał mi codzienną, niewysłowioną radość.

— Pan to nazywa miłością — wtrąciłem — ja zaś nazywam po prostu egoizmem.

— To się ze sobą wiąże. W każdym razie nie chciałem się z nią rozstać. Ponadto, orientując się, z jakiego rodzaju łotrami mam do czynienia, wołałem jej niej pozostawiać bez opieki, a po nadejściu telegramu wiedziałem, że ruszą do ataku.

— Jakiego telegramu?

Carruthers wydobył z kieszeni blankiet pocztowy. Treść telegramu była krótka i wymowna: *Stary zmarł*.

— Hm — mruknął Holmes — zdaje mi się, że rozumiem, o co chodziło i dlaczego, jak pan powiada, ta wiadomość musiała przyspieszyć bieg wypadków. Skoro jednak mamy teraz wolną chwilę, może mi pan o tym opowie.

Siwowłosy duchowny w komży zareagował na to zaproszenie w zgoła nie ewangelicznym stylu.

— Do wszystkich diabłów! — zawołał, zwracając się do Carruthersa. — Jeśli zaczniesz sypać, urządę cię nie gorzej niż ty Woodleya. O tej dziewczynie możesz piąć z zachwytu, jak długo zechcesz, ale jeśli wydasz kumpli temu policjantowi w cywilu, pożałujesz tego.

— Jego wielbność niepotrzebnie się tak złości — rzekł Holmes, zapalając papierosa. — Akt oskarżenia przeciwko wam jest wystarczająco uzasadniony i pytam tylko o szczegóły dla mojej prywatnej ciekawości. Jednakże jeśli sprawia wam to taką trudność, sam chętnie was wyręczę i wtedy przekonacie się, jakie macie szansę zatajenia waszych sekretów. A zatem trzech z was, panowie Williamson, Carruthers i Woodley, przybyliście z Afryki południowej, aby wziąć udział w tej grze.

— Kłamstwo numer jeden — przerwał Williamson. — Tych dwóch poznałem dopiero dwa miesiące temu i nie byłem nigdy w Afryce południowej. Takimi rewelacjami pan Holmes może się wypchać.

— Mówi prawdę — rzekł Carruthers.

— Niech i tak będzie. Tylko wy dwaj przyjechaliście z Afryki, jego wielbność jest tutejszy. Poznaliście tam Ralphi Smitha i mieliście powody sądzić, że długo nie pożyje. Dowiedzieliście się również, że jego bratanica odziedziczy cały jego majątek. Zgadza się?

Carruthers kiwnął głową, a Williamson zaklął głośno.

— Panna Smith była jego jedyną krewną, a zdawaliście sobie sprawę, że stary Smith umrze bez testamentu.

— Nie umiał ani pisać, ani czytać — rzekł Carruthers.

— Przybyliście więc obaj do Anglii i odszukaliście tę dziewczynę. Wasz plan był prosty. Jeden z was miał się z nią ożenić, a drugi wziąć udział w podziale łupu. Z jakiegoś powodu Woodley został wybrany na męża. Dlaczego?

— Graliśmy o nią w karty na statku, w czasie podróży. On wygrał.

— Rozumiem. Po zwabieniu panny Smith do pańskiego domu pod pretekstem lekcji muzyki, pojawił się tam Woodley i zaczął zabiegać o jej względy. Poznała się jednak na nim od razu i nie chciała mieć z nim nic do czynienia. Tymczasem pan się w niej zakochał, co raczej pokrzyżowało wasze plany. Nie mógł się pan pogodzić z oddaniem jej w ręce pijaka i złoczyńcy.

— Nie mogłem!

— Pokłóciliście się o to. Woodley przestał być pańskim gościem i zaczął działać na własną rękę.

— Wydaje mi się — rzekł z gorzkim uśmiechem Carruthers — że niewiele możemy dodać temu dżentelmenowi. Tak, pokłóciliśmy się, a nawet pobiliśmy. Przynajmniej teraz mu się odplaciłem. Potem straciłem go z oczu na jakiś czas, on zaś zwąchał się z tym byłym duchownym. Odkryłem wkrótce, że zamieszkali tu razem, przy drodze, którą panna Smith co tydzień jeździła na stację. Domyśliłem się od razu, że knują jakiś paskudny podstęp i miałem na nich oko. Widywałem się z nimi od czasu do czasu, chcąc się wywiedzieć o ich planach. Dwa dni temu Woodley zjawił się u mnie z depeszą o śmierci Ralphi Smitha, pytając, czy zamierzali dotrzymać naszej umowy. Odmówiłem, na co on zapytał, czy ożeniłbym się z nią, a jemu oddał część majątku. Odpowiedziałem, że chętnie zgodziłbym się na to, ale ona mnie

nie chce. Na co Woodley: Najpierw trzeba urządzić ślub, a po tygodniu lub dwóch ona zmięknie.

Nie chciałem się zgodzić na żaden przymus, więc skłamałem i oświadczyłem kategorycznie, że tak czy inaczej ją zdobędzie. Ona zaś wymówiła pracę i zapowiedziała swój wyjazd w sobotę. Wynająłem woźnicę i dwukólkę, aby odwiózł ją na stację, ale byłem bardzo o nią niespokojny i dlatego wyjechałem za nimi na rowerze. Za późno jednak i zanim dogoniłem dwukólkę stało się nieszczęście.

Holmes wstał i rzucił niedopałek do kominka. — Tym razem nie mam się czym pochwalić — rzekł — a nawet dałem dowód, że moje władze umysłowe szwankują. Z twojego sprawozdania, Watsonie, wynikało, że widziałeś jakoby tajemniczy cyklista poprawiał krawat. To właśnie powinno było mi wszystko wyjaśnić. Co prawda niektóre aspekty tej ciekawej sprawy są raczej niezwykle i tylko dlatego możemy sobie pogratulować. Widzę już trzech policjantów idących przez park, a za nimi młodego woźnicę. Nie odniósł więc żadnych poważniejszych obrażeń, a niezbyt urodziwy pan młody również wyszedł obronną ręką z dzisiejszej przygody. Bądź łaskaw, Watsonie, wykorzystaj swój lekarski autorytet i zaproponuj pani Smith, że odwieziemy ją do matki. Jeśli jeszcze nie przyszła całkowicie do siebie, wspomnij o naszym zamiarze wysłania depeszy do pewnego młodego inżyniera, a jestem pewny, że to ją zaraz postawi na nogi i podziała jak najskuteczniejsze lekarstwo. Co do pana, panie Carruthers, uważam, że starał się pan w miarę możliwości zmyć swoją winę. Oto mój bilet wizytowy i jeśli moje zeznania mogą się panu przydać podczas rozprawy sądowej, jestem do pańskiej dyspozycji.

Pograżony w wirze codziennych zajęć nie zawsze byłem w stanie — jak to czytelnik zapewne zauważył — zakończyć moje opowieści podając końcowe szczegóły, które budzą zrozumiałą ciekawość. Sprawy następowały jedna po drugiej i ledwo Holmes zdołał je rozwikłać, ich aktorzy już znikali ze sceny naszego życia. W tym jednak wypadku odnalazłem krótką notatkę, dołączoną do moich zapisków dotyczących tej sprawy, z której wynika, że panna Violetta Smith istotnie odziedziczyła znaczny majątek i wyszła za mąż za inżyniera Cyryla Mortona, obecnie współwłaściciela wielkich zakładów elektrycznych Morton i Kennedy w Westminster. Williamson i Woodley zostali skazani za porwanie i napaść na siedem i dziesięć lat więzienia. Nie znalazłem żadnej wzmianki o losie Carruthersa, ale ponieważ to Woodley był uznany za najbardziej niebezpiecznego przestępcę, sądzę, że sąd mógł potraktować Carruthersa o wiele łagodniej, skazując go tylko na parę miesięcy.

Przełożył Jan Meysztowicz

ROZDZIAŁ VIII

KAROL AUGUST MILVERTON

Choć wiele lat upłynęło od wypadków, o których będzie mowa, długo się wahałem, zanim przystąpiłem do ich opisania. Przez długi czas ujawnienie tych faktów, choćby z pewnymi niedomówieniami, było niemożliwe. Obecnie jednak osoba bezpośrednio zainteresowana znalazła się poza zasięgiem prawa i, pomijając pewne szczegóły, nie narazimy nikogo, jeśli napiszemy, co się naprawdę zdarzyło. Zdarzenie to było zupełnie wyjątkowe w całej karierze Holmesa i mojej. Czytelnik zechce mi wybaczyć zatajenie pewnych dat i okoliczności, które pomogłyby mu się domyślić, kogo dotyczą fakty, które za chwilę ujawnię.

Pewnego mroźnego zimowego wieczora, około godziny szóstej, wróciliśmy z Holmesem do domu po jednej z naszych zwykłych wspólnych wypraw. Holmes zapalił lampę gazową i jej światło padło na leżący na stole bilet wizytowy. Rzucił na niego okiem i ze wstrętem zrzucił go na podłogę. Podniosłem go i przeczytałem:

KAROL AUGUST MILVERTON	
Appledore Towers	
Agent	Hampstead

— Kto to jest? — zapytałem.

— Nie ma od niego podlejszego człowieka w Londynie — odrzekł Holmes, zasiadając przy kominku i wyciągając nogi w stronę ognia. — Czy nic nie napisał na odwrocie?

Odwrociłem bilet i przeczytałem: *Przyjdę dziś wieczorem, o szóstej trzydzieści.*

— Hm, za chwilę się tu zjawi. Czy stojąc w ogrodzie zoologicznym, przed siatką, za którą kłębią się i pełzają śliskie, giętkie, jadowite węże, o płaskich paszczach i odrażających oczach, nie odczuwasz dreszczu obrzydzenia i zgrozy? Takie właśnie odczucia wywołuje we mnie postać pana Milvertona. W mojej karierze miałem do czynienia z co najmniej pięćdziesięcioma mordercami, lecz najgorszy z nich nie budził we mnie takiego wstrętu jak ta kreatura. A jednak są takie sytuacje, że nie mogę zrezygnować z kontaktowania się z nim! Przyjdzie tu na moje zaproszenie.

— Ale kto to jest?

— Zaraz ci wyjaśnię. To król szantażystów. Niech ręka boska broni mężczyznę, a tym bardziej kobietę, która znalazła się we władzy Milvertona. Z uśmiechem na twarzy i kamiennym sercem wyciśnie z niego lub z niej ostatni grosz. Ten łotr jest na swój sposób genialny i mógłby zdobyć sławę w niejednym bardziej godnym szacunku zawodzie. Posługuje się następującą metodą. Rozgłasza, że gotów jest zapłacić wielkie sumy za listy kompromitujące osoby bogate lub należące do wyższych sfer. Otrzymuje towar nie tylko od niedyskretnych i przekupnych lokajów czy pokojówek, ale i od dobrze urodzonych łajdaków, którym udało się zdobyć uczucie i zaufanie naiwnych kobiet. Przeprowadzając transakcję, nie skąpi pieniędzy. Wiem, na przykład, że pewnemu służącemu zapłacił siedemset funtów za list nie dłuższy niż dwie linijki i w rezultacie doprowadził do ruiny pewną arystokratyczną rodzinę. Wszystko, co ma pod tym względem wartość rynkową, trafia do jego rąk. Setki osób w naszym mieście blednie na samo wspomnienie jego nazwiska. Nikt nie wie, gdzie i kiedy uderzy. Jest bowiem na tyle bogaty i chytry, żeby nie działać przedwcześnie i gołe słownie. Całymi latami potrafi nie odkrywać posiadanej karty, a odkrywa ją dopiero wtedy, gdy stawka jest najwyższa. Powiedziałem ci, że uważam go za najpodlejszego człowieka w całym Londynie. Otóż, moim zdaniem, człowiek, który w uniesieniu zabije swego towarzysza, jest o

wiele mniej godny potępienia i kary zbrodniarzem niż ten, który z rozmysłem i powoli torturuje duszę i szarpie nerwy, aby jeszcze bardziej nabić swą i tak pełną już kabzę.

Rzadko słyszałem, żeby Holmes przemawiał z takim przejęciem.

— Czy naprawdę — powiedziałem — nie ma sposobów, aby przeciwstawić się tego rodzaju złoczyńcom?

— Teoretycznie są środki prawne, ale one zawodzą w praktyce. Cóż, na przykład, przyjdzie danej kobiecie z tego, że uzyska jego uwięzienie na parę miesięcy, jeśli jej własna zguba nastąpi natychmiast potem. Jego ofiary nie są w stanie się bronić. Jeżeli kiedykolwiek Milverton zacznie szantażować niewinną osobę, dostanie się w nasze ręce. Ale on jest szatańsko sprytny. Nie, nie, musimy znaleźć na niego inne sposoby.

— Po co tu przyjdzie?

— Pewna wysoko postawiona osoba zwróciła się do mnie o pomoc. Żałosna to sprawa. Chodzi o lady Ewę Brackwell, najpiękniejszą debutantkę w ubiegłym sezonie. Za dwa tygodnie ma wziąć ślub z lordem of Dovercourt. Otóż ten szubrawiec Milverton ma kilkanaście nieostrożnych — nic gorszego, zapewniam cię, tylko nieostrożnych — listów napisanych przez nią do pewnego młodego i mocno zadłużonego ziemianina. To wystarczyłoby jednak do zerwania zaręczyn. Milverton zapowiada, że wyśle te listy do lorda of Dovercourt, jeśli nie otrzyma znacznej sumy. Moja klientka upoważniła mnie, abym spotkał się z Milvertonem i doszedł z nim do porozumienia... na najlepszych warunkach, jakie zdołam uzyskać.

W tej chwili usłyszałem turkot i odgłos kopyt końskich na ulicy. Wyjrzałem przez okno. Przed naszym domem stała wykwinna karetka, zaprzężona w parę wspaniałych gniadych koni, których nienagannie wyszczotkowane zady lśniły w świetle latarni. Z kozła karetki zeskoczył lokaj i otworzył drzwiczki. Wsiadł z niej tęgi mężczyzna małego wzrostu, we włochatym płaszczu z karakułowym kołnierzem. Minutę później był już w naszym pokoju.

Karol August Milverton był mężczyzną na oko pięćdziesięcioletnim, o wysokim czole intelektualisty i okrągłej, tłustej, gładkiej twarzy, z której nie zniknął jakby zastygły uśmiech. Lśniące szare oczy spoglądały bystro zza wielkich, w złoto oprawnych okularów. Jego powierzchowność miała w sobie coś z jowialnej dobroduszości pana Pickwicka, choć przeczył temu nieszczery uśmiech i twardy wyraz przenikliwych, niespokojnych oczu.

Głos miał równie układny i słodki jak maniery. Postępując ku nam z wyciągniętą małą, tłustą dłonią, wyraził półszepem ubolewanie, że podczas pierwszej bytności nie zastał nas w domu.

Holmes zignorował powitalny gest dłoni i spoglądał na niego z kamienną twarzą. Uśmiech rozlał się jeszcze szerzej po twarzy Milvertona. Wzruszył ramionami, zdjął płaszcz, ułożył go bardzo starannie na oparciu krzesła i usiadł w fotelu.

— Ten dżentelmen... — rzekł, wskazując mnie leciutkim ruchem ręki. — Czy mogę liczyć na dyskrecję?

— Doktor Watson jest moim przyjacielem i partnerem we wszystkich sprawach, które prowadzę.

— Bardzo dobrze. Tylko ze względu na dobro pańskiej klientki pozwoliłem sobie o to zapytać. Sprawa jest bardzo delikatnej natury...

— Doktor Watson już o niej słyszał.

— W takim razie możemy przystąpić do interesu. A więc działa pan w imieniu lady Ewy Brackwell. Czy upoważniła pana do przyjęcia moich warunków?

— Jakie one są?

— Siedem tysięcy funtów.

— A w razie nieprzyjęcia tych warunków?

— Drogi panie, z prawdziwą przykrością wdaję się w tę dyskusję, ale jeśli tej kwoty nie dostanę do czternastego tego miesiąca, to projektowane na osiemnastego małżeństwo na pewno nie zostanie zawarte.

Jego irytujący uśmiezek wyrażał jeszcze większe, niż kiedykolwiek zadowolenie z siebie. Holmes zamyślił się na chwilę.

— Wydaje mi się — rzekł wreszcie — że przypisuje pan zbyt wielkie znaczenie tej sprawie. Znam, oczywiście, treść tych listów. Moja klientka zastosuje się z pewnością do moich wskazówek. Otóż poradzę jej, aby opowiedziała wszystko swemu przyszłemu mężowi i zdała się na jego wielkoduszność.

Milverton zachichotał.

— Najwidoczniej nie zna pan lorda.

Patrząc na zakłopotaną minę Holmesa, nie miałem wątpliwości, że szantażysta ma rację.

— Co aż tak nieprzyzwoitego zawierają te listy? — zapytał.

— Są może zbyt figlarne — odrzekł Milverton. — Lady Brackwell była czarującą korespondentką. Mogę pana zapewnić, że lord of Dovercourt tego nie doceni. Jednak, jeśli nie podziela pan mojego zdania, dalsza rozmowa jest bezprzedmiotowa. Do tej sprawy należy podejść z handlowego punktu widzenia. Skoro pan sądzi, że interesy pańskiej klientki nie ucierpią, gdy listy zostaną doręczone narzeczonemu, wypłata poważnej sumy za ich odzyskanie byłaby istotnie bardzo nierozsądnym posunięciem.

Wstał i sięgnął po płaszcz.

Twarz Holmesa poszarzała z wściekłości i upokorzenia.

— Proszę zaczekać — rzekł. — Za szybko wyciąga pan wnioski. Jesteśmy gotowi zdobyć się na każdy wysiłek, by uniknąć skandalu w tak delikatnej materii.

Milverton opadł z powrotem na fotel.

— Byłem pewny, że takie właśnie zajmie pan stanowisko.

— Jednakże — mówił dalej Holmes — lady Brackwell nie jest zamożną kobietą. Zapewniam pana, że dwa tysiące funtów i tak zrobią dużą wyrwę w jej budżecie, a suma wymieniona przez pana przekracza jej możliwości. Proszę więc o przemyślenie pańskich żądań i zwrot listów za podaną przeze mnie cenę, wyższej bowiem pan nie osiągnie.

Milverton uśmiechnął się szeroko, a w jego oczach błysnęła wesołość.

— Wiem, że to, co pan mówi o stanie majątkowym tej pani, jest zgodne z prawdą. Jednak zgodzi się pan chyba ze mną, że to małżeństwo stanowi dla krewnych i przyjaciół lady Brackwell wspaniałą okazję do poniesienia pewnych ofiar na jej rzecz. Wybór odpowiedniego prezentu ślubnego nastęrcza nieraz trudności. Mogę ich zapewnić, że ta mała paczka listów ucieszy ją bardziej niż kandelabry, srebrna lub porcelanowa zastawa w całym Londynie.

— To niemożliwe — odrzekł Holmes.

— Jaka szkoda! Doprawdy wielka szkoda! — wykrzyknął Milverton, wydobywając z kieszeni dobrze wypchany portfel. — Nie mogę się oprzeć przekonaniu, że, nie chcąc się zdobyć na niewielki wysiłek, te panie postępują wbrew swoim najżywotniejszym interesom. A oto przykład! — Trzymał w ręku list małego formatu, z herbem na kopercie. — To należy do... nie powinienem wymieniać tego nazwiska aż do jutra rana. Przedtem list ten znajdzie się w rękach przyszłego męża tej pani.

I to wszystko dlatego, że odmawia wypłacenia mi drobnej sumy, którą mogłaby uzyskać z łatwością w ciągu godziny, sprzedając swoje brylanty. Doprawdy, to przykra historia. Pamięta pan może nagle zerwanie zaręczyn hrabianki Miles z pułkownikiem Dorkingiem? dwa dni zaledwie przed ślubem w dzienniku „Morning Post” ukazała się o tym krótka notatka. A dlaczego? Wydaje się to wprost nieprawdopodobne, ale śmieszna suma tysiąca dwustu funtów załatwiłaby definitywnie tę sprawę. Taka drobnostka! A jednak... oto pan, człowiek naprawdę rozsądny, targuje się, jakby w grę nie wchodziły honor i przyszłość pańskiej klientki. Pan mnie zadziwia, panie Holmes.

— Powiedziałem panu prawdę — rzekł Holmes. — Nie możemy zdobyć takiej sumy. Czy nie wolałby pan przyjąć proponowanej przeze mnie kwoty zamiast rujnować przyszłość tej kobiety, co nie przyniesie panu najmniejszej korzyści?

— Myli się pan. Ujawnienie tych listów przyniesie mi pośrednio bardzo poważne korzyści. Blisko dziesięć analogicznych spraw dojrzeła pod moim troskliwym okiem. Gdy dojdzie do wiadomości zainteresowanych jak surowo potraktowałem lady Ewę, będę mógł się znacznie łatwiej z nimi dogadać. Czy pojmuje pan mój punkt widzenia?

Holmes zerwał się z krzesła.

— Stań za nim! Nie dopuść go do drzwi, Watsonie! A teraz, panie, chcę sprawdzić zawartość tego portfela!

Milverton skoczył ku ścianie ze zwinnością szczura i oparł się o nią plecami.

— Panie Holmes! — rzekł, odchylając klapy surduta i ukazując wystającą z wewnętrznej kieszeni kolbę wielkiego rewolweru. — Spodziewałem się po panu czegoś bardziej oryginalnego! Wiele razy próbowano już tej metody i nikomu nic z tego nie przyszło. Proszę mi wierzyć, jestem uzbrojony po zęby i nie zawaham się użyć broni, prawo bowiem jest po mojej stronie. Poza tym myli się pan, przypuszczając, że przyniosłem te listy w swoim portfelu. Nigdy nie zrobiłem i nie zrobię takiego głupstwa. A teraz, moi panowie, życzę wam dobrej nocy. Mam jeszcze coś do załatwienia dziś wieczorem, a do Hampstead daleka droga.

Podszedł do krzesła, zdjął z niego swój płaszcz, położył rękę na kolbie rewolweru i ruszył ku drzwiom. Chwyciłem krzesło, lecz Holmes potrząsnął głową, więc postawiłem je z powrotem na podłodze. Milverton uśmiechnął się słodko, uklonił się i opuścił pokój. Po chwili usłyszeliśmy trzask zamykanych drzwiczek karety i turkot oddalających się kół.

Holmes siedział nieruchomo przy ogniu, z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie spodni, z głową opuszczoną na piersi i oczami utkwionymi w żarzące się węgle.

Przez pół godziny panowało w naszym pokoju absolutne milczenie. Wreszcie Holmes zerwał się z fotela jak człowiek, który powziął wreszcie decyzję, i wszedł do swojej sypialni. Nieco później wyszedł stamtąd młody, zadzierzysty robotnik o sprytnym wyrazie twarzy. Wychodząc, zapalił od lampy gazowej swą glinianą fajkę. — Wrócę niedługo — powiedział i zniknął w ciemnościach.

Zrozumiałem, że rozpoczyna kampanię przeciwko Milvertonowi, lecz nawet w najśmielszych marzeniach nie wyobrażałem sobie, jak niezwykle będzie jej przebieg.

Przez parę dni Holmes pojawiał się i wychodził w tym przebraniu, lecz tylko raz wspomniał, że przebywa w Hampstead i nie traci tam czasu. Poza tym nie wiedziałem, czym się tam właściwie zajmował. Wreszcie, pewnego burzliwego wieczoru, gdy deszcz i wichura bębniły w okna naszego mieszkania, Holmes powrócił ze swej ostatniej wyprawy, pozbył się przebrania, usiadł przy ogniu i roześmiał się wesoło, w swój przytłumiony, charakterystyczny sposób.

— Nie posądzasz mnie chyba — rzekł — o matrymonialne zamiary.

— Nie, z całą pewnością!

— Zainteresuje cię zatem wiadomość o moich zaręczynach.

— Co takiego? Eh... hm... gratu...

— Z pokojówką Milvertona.

— Bój się Boga!

— Musiałem zdobyć pewne informacje.

— Czy aby nie posunąłeś się za daleko?

— No cóż, to było konieczne. Jestem hydraulikiem, właścicielem dobrze prosperującego warsztatu. Nazywam się Escott. Spędziłem kilkanaście ostatnich wieczorów w jej towarzystwie, gadaliśmy bez ustanku... Mój Boże, co to były za rozmowy! Ale za to wiem wszystko, na czym mi zależało. Znam rozkład domu Milvertona jak swoje pięć palców.

— Ależ ta dziewczyna... Holmes wzruszył ramionami.

— Nic na to nie poradzę. Gdy chodzi o tak wysoką stawkę, należy wygrać jak najumiejtniej każdą kartę. Ale cieszę się na myśl, że mam znienawidzonego rywala, który natychmiast wbije mi nóż w plecy, gdy tylko się odkryję. Wspaniała mamy dzisiaj noc!

— Lubisz taką pogodę?

— Sprzyja moim planom. Dziś w nocy zamierzam włamać się do domu Milvertona.

Słyszając te słowa, wypowiedziane categorycznym tonem, poczułem zimny dreszcz i dech zaparło mi w piersiach. Jakby w blasku błyskawicy rozświetlającej każdy szczegół rozległego krajobrazu roztoczyła się przede mną wizja wszystkich możliwych następstw takiego czynu. Wykrycie, schwywanie, zaszczytna kariera nieodwołalnie zakończona haniebnym skandalem, mój przyjaciel zdany na łaskę tego ohydneho Milvertona.

— Na miłość boską! Zastanów się, człowieku!

— Mój drogi, wszystko gruntownie przeanalizowałem. Nigdy nie działałem pochopnie i nie zdecydowałbym się na tak niebezpieczne przedsięwzięcie, gdyby istniało jakiegokolwiek inne wyjście. Rozważmy tę sprawę spokojnie i rzeczowo. Zgodzisz się chyba ze mną, że taki postępek jest moralnie usprawiedliwiony, choć z prawnego punktu widzenia jest przestępstwem. Włamanie do domu Milvertona nie jest niczym więcej niż odebraniem siłą portfela z listami, a ty byłeś przecież gotów mi w tym pomóc.

Zamyśliłem się i powiedziałem po chwili:

— Tak, taki postępek jest moralnie usprawiedliwiony, jeżeli naszym wyłącznym celem jest wejście w posiadanie przedmiotów służących do popełniania niemoralnych lub przestępczych czynów.

— Zgadzam się. Skoro zaś takie włamanie jest moralnie usprawiedliwione, pozostaje zastanowić się tylko, jak duże jest osobiste ryzyko, a nie ulega chyba wątpliwości, że gdy w grę wchodzi honor kobiety znajdującej się w rozpaczliwym położeniu, dżentelmen nie powinien zbytnio liczyć się z niebezpieczeństwem.

— Znajdziesz się w bardzo dwuznacznej sytuacji.

— Istotnie, ale to jest właśnie jeden z elementów ryzyka. Nie widzę innego sposobu odzyskania tych listów. Nieszczęsna lady Brackwell nie ma pieniędzy, a wśród jej krewnych nie widzę nikogo, komu mogłaby zaufać. Jutro upływa ostateczny termin i jeśli dziś wieczorem nie odzyskamy listów, ten szubrawiec dotrzyma słowa i zrujnuje jej życie. Muszę więc albo pozostawić moją klientkę własnemu losowi, albo postawić na moją ostatnią kartę. Między nami mówiąc, muszę ci się przyznać, że traktuję to jak pojedynek między mną a Milvertonem. W pierwszym skrzyżowaniu szpad uzyskał przewagę, a moja godność osobista i reputacja wymagają stoczenia walki do końca.

— Nie podoba mi się ten pomysł, ale skoro nie można na inaczej... Kiedy zaczynamy?

— Nie pójdziesz ze mną.

— W takim razie i ty nie pójdziesz. Daję ci słowa honoru, a nigdy w życiu go nie złamałem, że jeśli nie zgodzisz się, abym ci towarzyszył, wezmę dorożkę, pojedę prosto do komisariatu policji i wyjawię twoje zamiary.

— Nie możesz mi pomóc.

— A skąd wiesz? Nie możesz przewidzieć, co się stanie. W każdym razie ja się już zdecydowałem. Inni ludzie też cenią swoją godność i dobre imię, nie tylko ty.

Holmes był początkowo zły, ale po chwili rozchmurzył się i poklepał mnie serdecznie po ramieniu.

— Dobrze, dobrze. Niech i tak będzie. Dzieliliśmy przez tyle lat ten sam pokój i byłoby nawet zabawne, gdybyśmy na końcu znaleźli się w tej samej celi więziennej. Przyznam ci się, zawsze podejrzewałem, że mógłbym zostać niezwykle wytrawnym przestępcą. To jest właśnie okazja do zademonstrowania moich talentów w tej dziedzinie. Spójrz na to! — wy dobył z szuflady małą, starannie wykończoną teczkę, w kształcie podróznego nesesera. Otworzył ją i pokazał mi spory zbiór stalowych instrumentów. — Masz przed sobą

pierwszorzędny, najbardziej nowoczesny zestaw narzędzi, którymi posługują się włamywacze. Niklowany łom, zwany rakiem, diament do cięcia szyb, komplet kluczy i wytrychów, jednym słowem ostatni krzyk postępu technicznego. A oto moja ślepa latarka. Wszystko jest. Czy masz jakieś ciche obuwie?

— Mam parę tenisowych pantofli.

— Doskonale. A maskę?

— Mogę ją zaraz zrobić z czarnego jedwabiu.

— Jak widzę, masz wrodzone skłonności do tego rodzaju wyczynów. Zajmij się więc zaopatrzeniem nas w maski. Zjemy zimną kolację przed wyjściem. O jedenastej pojedziemy do Church Row, stamtąd idzie się około piętnastu minut do domu Milvertona. Zabierzemy się do pracy przed północą. Milverton ma mocny sen i kładzie się do łóżka punktualnie o wpół do jedenastej. Jeśli dopisze nam szczęście, powinniśmy być z powrotem około drugiej z listami lady Brackwell w kieszeni.

Holmes i ja włożyliśmy stroje wieczorowe, aby wyglądać na powracających z teatru. Wzięliśmy dorożkę na Oxford Street i kazaliśmy się zawieźć do Hampstead, podając adres niezbyt odległy od celu naszej wycieczki. Po zapłaceniu dorożkarzowi ruszyliśmy dalej piechotą, szczerze otuleni w płaszcze, zimno bowiem było okropnie i wiatr przenikał aż do kości.

— Należy podchodzić do tej sprawy z dużym wyczuciem — mówił Holmes. — Dokumenty, które nas interesują, znajdują się w kasie pancernej w jego gabinecie, przylegającym do sypialni. Co prawda, jak wszyscy tędzy mężczyźni dogadzający sobie w jedzeniu, zwłaszcza wieczorem, Milverton śpi bardzo twardo. Agata, moja „narzeczona”, mówiła mi, że nie można go dobudzić, co stanowi ulubiony temat żartów całej służby. Ma sekretarza, niezwykle mu oddanego, który w dzień nigdy nie rusza się z gabinetu. Dlatego właśnie musimy się tam dostać w nocy. Ponadto do ogrodu wypuszczają ogromnego, czujnego psa. Ostatnio widywałem się z Agatą późnym wieczorem, więc ze względu na mnie zaczęła zamykać tego potwora.

Celem naszej wyprawy jest ten wielki budynek otoczony ogrodem. Wejdziemy przez bramę i skręcimy w prawo, potem przedrzemy się przez krzaki laurowe. Tutaj chyba włożymy nasze maski. W żadnym oknie się nie świeci i na razie wszystko idzie jak z płatka.

W czarnych maskach staliśmy się podobni do najbardziej złowrogich postaci podziemnego świata Londynu. Zaczęliśmy się skradać w stronę domu, ledwo widocznego w ponurej ciemności i ciszy. Po jednej stronie budynku rozciągała się jakby szklana, kryta weranda, z której prowadziło dwoje drzwi do wnętrza.

— Tu jest jego sypialnia — szepnął Holmes. — A tymi drzwiami wchodzi się prosto do gabinetu. To byłaby najłatwiejsza dla nas droga, ale drzwi zaryglowane są żelaznymi sztabami. Narobiliśmy za dużo hałasu. Musimy więc obejść dom dokoła i przejść przez ciepłarnię przylegającą do salonu.

Ciepłarnia też była zamknięta. Holmes wyciął okrągły otwór w szklanych drzwiach, wsunął rękę do wnętrza i przekręcił klucz tkwiący w zamku. Po chwili drzwi werandy zamknęły się za nami i w oczach prawa staliśmy się włamywaczami. Owiało nas duszne, gorące powietrze i poczuliśmy odurzający zapach egzotycznych roślin. Holmes chwycił mnie w ciemności za rękę i poprowadził wzdłuż szeregu krzewów, których liściaste gałązki muskały nasze twarze. Mój przyjaciel miał niezwykłą i pieczołowicie pielęgnowaną zdolność orientowania się w ciemnościach. Wciąż trzymając mnie za rękę, otworzył jakieś drzwi. Intuicyjnie wyczułem, że weszliśmy do wielkiego pokoju, w którym ktoś niedawno palił cygaro. Odnajdując po omacku drogę między meblami, Holmes poprowadził mnie do innych drzwi, które też za nami zamknął. Jedną rękę trzymałem wyciągniętą przed siebie i dotknąwszy kilka płaszczy wiszących przy ścianie, domyśliłem się, że znajdujemy się w korytarzu. Posuwając się wzdłuż niego, dobrnęliśmy do drzwi po prawej stronie. Holmes

otworzył je bezszelestnie i w tej samej chwili serce mi zamarło. Coś się na nas bezgłośnie rzuciło. Był to, oczywiście, kot i byłbym się uśmieł, gdyby nie dławiący mnie strach. Ogień palił się tu na kominku, a powietrze przesiąknięte było gęstym dymem z cygara. Holmes wszedł na palcach, poczekał na mnie i nie robiąc najmniejszego hałasu zamknął drzwi. Znajdowaliśmy się w gabinecie Milvertona. Zawieszona w głębi kotara zasłaniała wejście do jego sypialni.

W kominku płonął jasno ogień, rozświetlając pokój. Na ścianie, koło drzwi, spostrzegłem przełącznik światła elektrycznego, ale nie musieliśmy go zapalać, bo i tak było wszystko widać. Po jednej stronie kominka sięgająca podłogi kotara z grubej tkaniny zasłaniała okno, które widzieliśmy z werandy. Po drugiej stronie znajdowały się drzwi prowadzące na werandę. W środku gabinetu stało wielkie biurko i fotel obrotowy, obity czerwoną, lśniącą skórą. Naprzeciwko biurka — ogromna biblioteka, a na niej marmurowy biust Pallas Ateny. W rogu, między ścianą a biblioteką, stała wysoka, zielona kasa pancerna. W blasku płomieni lśniły mosiężne okucia jej klamek i zamków. Holmes przeszedł cicho przez gabinet i zaczął się jej przyglądać, po czym podszedł do drzwi sypialni i, przyłożywszy do nich ucho, stał długo, nasłuchując w skupieniu. Żaden dźwięk nie dochodził z jej wnętrza. Tymczasem przyszło mi do głowy, że powinniśmy zabezpieczyć sobie odwrót przez drzwi wychodzące na werandę. Podszedłem bliżej i zacząłem je oglądać. Jakież było moje zdumienie, gdy się przekonałem, że nie były ani zamknięte, ani zaryglowane. Dotknąłem ramienia Holmesa, który zwrócił swoją zamaskowaną twarz w tym kierunku. Wzdrygnął się, zaskoczony tym nie mniej ode mnie.

— To mi się nie podoba — wyszeptał mi do ucha. — Nie wiem, co to może znaczyć. W takim razie nie mamy chwili do stracenia.

— Co mam teraz robić?

— Stań przy tych drzwiach. Jeśli usłyszysz, że ktoś nadchodzi, zamknij je na klucz od środka, a my wyjdziemy tą samą drogą, którą przyszlismy. Gdyby ktoś się zjawił z tej strony, a już będzie po wszystkim, wycofa się przez te drzwi na werandę, w przeciwnym wypad schowamy się za tę kotarę przy oknie. Rozumiesz?

Skinąłem głową i stanąłem przy drzwiach. Uczucie lęku ustąpiło i teraz odczuwałem miły dreszczyk podniecenia, jakiego nie zaznałem nigdy występując u boku Holmesa w roli obrońcy prawa, a nie człowieka, który je świadomie narusza. Wzniosły cel naszej misji, świadomość, że pobudki naszego czynu były rycerskie i a truistyczne, łajdacki charakter naszego przeciwnika a to nadawało naszemu przedsięwzięciu posmak gry sportowej. Daleki od tego, aby się czuć winny, cieszyłem się i byłem dumny z tego, co robię, nie przejmując się grożącym nam niebezpieczeństwem. Z podziwem przyglądałem się, jak Holmes otwiera teczkę ze swoimi przyborami i wybiera narzędzia z opanowaniem i dokładnością chirurga przystępującego do trudnej operacji. Otwieranie kas pancernych było jego hobby, wiedziałem więc, z jaką satysfakcją zaatakuje tego zielonego olbrzyma, niby smoka kryjącego w paszczy reputację wielu pięknych kobiet.

Holmes położył swój płaszcz na krzesło, podwinął rękawy smokinga i rozłożył na podłodze dwa świdy, łom i kilkanaście wytrychów. Ja stałem przy drzwiach prowadzących na werandę, rozglądałem się uważnie dokoła i starałem się być przygotowany na każdą sytuację. Prawdę powiedziawszy, nie wiedziałem, w jaki sposób mam interweniować, gdyby nam ktoś przeszkodził. Przez pół godziny Holmes pracował bez wytchnienia, z całą energią, odkładając jedno narzędzie, chwytając drugie, a posługując się każdym z nich z siłą i wprawą wysoce wykwalifikowanego mechanika.

Wreszcie usłyszałem metaliczne kliknięcie i wielkie stalowe drzwi kasy pancerniej otworzyły się bezszelestnie. Wewnątrz dojrzałem stosy papierów, starannie poukładanych i powiązanych w paczki, zapieczętowane i opatrzone napisami. Holmes wziął jedną z nich do ręki, lecz w migotliwym świetle ognia płonącego na kominku trudno było coś odczytać, więc

wyciągnął z kieszeni latarkę. Milverton spał obok w sypialni i nie mogło być mowy o zapaleniu światła.

Nagle Holmes drgnął i zaczął pilnie nasłuchiwać, po czym błyskawicznie zamknął drzwi kasy, chwycił płaszcz, pozbierał narzędzia, wetknął je do kieszeni i skoczył za kotarę zasłaniającą okno, dając mi znak ręką, żebym zrobił to samo.

Gdy się znalazłem obok niego, uświadomiłem sobie, co zaalarmowało jego wyostrzony słuch. Z wnętrza domu dochodził jakiś leciutki hałas. Po chwili, z daleka, usłyszeliśmy jak ktoś zamyka drzwi. Nieokreślony, przytłumiony szmer przeszedł niebawem w miarowy odgłos zbliżających się ciężkich kroków. Ktoś szedł korytarzem, obok gabinetu. Zatrzymał się przed drzwiami. Otworzył drzwi, przekreślił kontakt i w gabinecie zabłysło światło. Drzwi się zamknęły, a my poczuliśmy ciężki zapach cygarowego dymu. Przybysz zaczął chodzić po gabinecie tam i z powrotem, tam i z powrotem, zaledwie parę jardów od nas. Wreszcie ustały kroki i zaskrzypiała skóra, którą obity był fotel. W zamku zazgrzytał klucz i dosłyszałem szelest papierów. Dopiero wówczas ośmieliłem się rozchylić nieco obie części kotary i spojrzeć przez wążutką szparkę. Czując, jak Holmes przyciska lekko swoje ramię do mojego, domyśliłem się, że on również obserwuje wnętrze pokoju.

Na wprost nas, tak blisko, że można je było niemal dotknąć ręką, ujrzeliśmy przygarbione plecy Milvertona. Jak się więc okazało, popełniliśmy błąd, sądząc, że przebywa w sypialni. Nie było go tam ani przez chwilę, siedział bowiem w pokoju bilardowym lub gdzieś indziej, w dalszej części domu, którego okien nie widzieliśmy. Jego masywna, siwiejąca głowa, ze lśniącą na ciemieniu łysiną, znajdowała się na pierwszym planie naszego pola widzenia. Siedział do nas tyłem, rozparty w fotelu, z wyciągniętymi przed siebie nogami; i cygarem sterczącym z ust. Miał na sobie smoking półwojskowego kroju, koloru czerwonego wina, z czarnym aksamitnym kołnierzem. W ręku trzymał spory plik papierów zawierających jakieś prawnicze wywody i czytał je powoli i niezbyt uważnie, raz po raz wypuszczając z ust kłęby tytoniowego dymu. Tak się zachowywał, jakby nie miał zamiaru szybko opuścić pokoju.

Holmes ścisnął moją rękę porozumiewawczo, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że panuje nad sytuacją i nie ma powodu do niepokoju. Nie byłem pewny, czy dostrzegł coś, co z mojego miejsca było aż nadto widoczne, a mianowicie, że drzwi kasy pancерnej nie były zamknięte, lecz ledwo przymknięte, co Milverton mógł lada chwila spostrzec. Postanowiłem więc, że jeśli odwróci się i to zauważy, natychmiast wyskoczę zza kotary, zarzucę mu płaszcz na głowę i obezwładnię go, pozostawiając resztę Holmesowi. Lecz Milverton ani razu nie spojrział w stronę kasy.

Czytał z pozorną obojętnością trzymane w rękę papiery, kartka po kartce, badając zapewne wagę zamieszczonych w nich argumentów prawnych. Ale przecież, myślałem, wreszcie skończy to czytanie i dopali swoje cygaro, a wtedy będzie musiał przejść do sypialni. Jednak zanim to nastąpiło, dalsze nieoczekiwane wypadki skierowały naszą uwagę na zupełnie inne tory.

Zauważyłem co prawda, że Milverton kilka razy spoglądał na zegarek, a raz nawet podniósł się z fotela i usiadł zniecierpliwiony z powrotem, lecz aż do momentu, gdy doleciał do mnie jakiś szmer od strony werandy, nie przyszło mi do głowy, że może na kogoś czekać o tak późnej porze.

Milverton złożył papiery na biurku i wyprostował się w fotelu. Teraz już słyhać było wyraźnie czyjeś kroki, po czym ktoś lekko zapukał do drzwi. Milverton wstał z fotela i otworzył je.

— No cóż, spóźniła się pani prawie pół godziny — odezwał się szorstko. Teraz było już jasne, dlaczego drzwi prowadzące na werandę pozostawiono niezamknięte na klucz i dlaczego Milverton tak długo nie kładł się spać. Usłyszeliśmy miękki szelest kobiecej odzieży. Milverton odwrócił głowę w naszą stronę, więc czym prędzej przymknąłem obie części kotary, po chwili jednak odważyłem się rozchylić je znowu. Milverton zasiadł znowu

w fotelu, z cygarem niedbale tkwiącym w zębach. Przed nim, w pełnym blasku światła, stała wysoka, szczupła kobieta z twarzą zasłoniętą woalką i kołnierzem płaszcza zasłaniającym podbródek. Oddychała szybko i głośno, wszystko w jej wysmukłej postaci zdradzało zdenerwowanie.

— Nie wyśpię się tej nocy — rzekł Milverton — i to przez ciebie, ślicznotko. Mam nadzieję, że mi się to opłaci. Nie mogłaś przyjść o innej porze?

Kobieta potrząsnęła głową przecząco.

— Ha, trudno, jeśli twoja hrabina jest złą panią, masz teraz okazję, aby jej odpowiednio odplacić. Dlaczego się tak trzęsiesz? Wszystko w porządku! Uspokój się, dziewczyno! Przystąpmy do interesu!

Z szuflady biurka wydobyl kartkę papieru.

— Pisziesz mi, że masz pięć listów kompromitujących hrabinę d'Albert. Chcesz je sprzedać. Ja chcę je kupić. Wszystko dobrze się składa, ale teraz chodzi o cenę. Muszę oczywiście przeczytać te listy. Jeśli towar okaże się wart... O Boże! To pani?!

Kobieta bez słowa podniosła woalkę i odchyliła kołnierz płaszcza. Milverton ujrzał przed sobą ładną brunetkę o stanowczym wyrazie twarzy, lekko orlim nosie, ciemnych, gęstych brwiach, ocieniających oczy o twardym, pełnym zaciętości spojrzeniu, i cienkich wargach, wykrzywionych w pałającym nienawiścią uśmiechu.

— Tak, to ja — odezwała się — ...kobieta, której zламаł pan życie.

Milverton roześmiał się, lecz w jego głosie zabrzmiał strach.

— Była pani zbyt uparta. Dlaczego zmusiła mnie pani do zastosowania tak drastycznych środków? Zapewniam, że rozmyślnie nie skrzywdziłbym nawet muchy, ale to jest mój biznes, więc coś miałem robić? Wyzaczyłem niezbyt wygórowaną cenę, nie przekraczającą pani możliwości. Odmówiła pani zapłaty...

— Więc posłał pan te listy memu mężowi, najzacniejszemu człowiekowi na świecie, któremu butów sznurować nie byłam godna... Jego szlachetne serce nie wytrzymało takiego ciosu, umarł zaraz po ich przeczytaniu. Pamięta pan tę noc, kiedy weszłam tutaj, tymi samymi drzwiami, i prosiłam, błagałam o litość. Wyśmiał mnie pan, wykpił w żywe oczy! A teraz również próbuje pan się śmiać, ale pańska tchórzliwa natura nie umie zapanować nad drżeniem warg! Nie przypuszczał pan, że kiedykolwiek jeszcze mnie zobaczy, lecz właśnie tej nocy dowiedziałam się, jak można porozmawiać z panem w cztery oczy. Karolu Milverton, co ma pan do powiedzenia na swoją obronę?

— Myli się pani sądząc, że można mnie zastraszyć — rzekł Milverton, wstając z fotela. — Wystarczyłoby, abym podniósł głos, a wpadnie tu służba i pani zawędruje do więzienia. Ale jestem w stanie zrozumieć pani gniew. Proszę natychmiast opuścić ten pokój tą samą drogą, a zapomnę o wszystkim.

Kobieta nadal stała przed nim, z prawą ręką ukrytą na piersiach i tym samym złowrogim uśmiechem.

— Nie będziesz już nikogo prześladował i krzywdził! Uwolnię świat od jadowitego gada! Masz... masz... ty podły psie! masz... masz... masz!

Wydobyła mały błyszczący rewolwer i z odległości nie większej niż dwie stopy posyłała kulę za kulą prosto w piersi Milvertona. Cofnął się nieco i runął twarzą na biurko, szarpiąc palcami leżące na nim papiery. Po czym dźwignął się chwiejnie, dostał ostatnią kulę i zwałił się na podłogę.

— Zabiłaś mnie... — zacharczał i znieruchomiał.

Kobieta spojrzała na niego badawczo i obcasem kopnęła jego zwróconą w górę twarz. Rozejrzała się raz jeszcze, lecz wokół panowała zupełna cisza. Usłyszałem szelest sukien, przejmujące nocne powietrze wdarło się do ogrzanego pokoju... i mścicielka zniknęła.

Żadna ingerencja z naszej strony nie uchroniłaby tego człowieka od przeznaczenia. Jednakże, gdy ta kobieta strzelała raz po raz w ślaniającą się postać Milvertona, byłbym na

pewno wyskoczył zza kotary, gdyby nie silny, chłodny uścisk dłoni Holmesa. Zrozumiałem całą wymowę tego stanowczego, hamującego ostrzeżenia. To nie była nasza sprawa. Nikczemnika spotkała zasłużona kara, a my mieliśmy nasze własne obowiązki do spełnienia.

Zaledwie kobieta opuściła gabinet, Holmes cichym, szybkim krokiem podszedł do drzwi prowadzących na korytarz i przekręcił klucz. W tej samej chwili w głębi domu rozległy się krzyki i tupot biegnących nóg. Strzały rewolwerowe obudziły i zaalarmowały służbę. Doskonale opanowany Holmes doskoczył do kasy pancernej, obydwoma rękami pochwycił całe narecze papierów i cisnął je w ogień na kominku. Parokrotnie powtórzył tę czynność aż do całkowitego opróżnienia kasy.

Ktoś poruszył klamkę drzwi i zaczął się do nich dobijać. Holmes rozejrzał się szybko dokoła. List, który był zwiastunem śmierci Milvertona, leżał na biurku, cały zbryzgany krwią. Holmes rzucił go pomiędzy płonące na kominku papiery. Po czym wyjął klucz z drzwi prowadzących na werandę, otworzył je, przeszedł tam wraz ze mną i zamknął je od zewnątrz.

— Watsonie, idź za mną; przejdziemy przez mur parku.

Alarm bardzo szybko objął cały dom. Rzuciłem okiem za siebie i ujrzałem jak ten ogromny budynek nagle rozbłysnął światłami. Drzwi frontowe były otwarte i jakieś postacie poruszały się po alei wjazdowej. W całym ogrodzie roіło się od służby. Któryś z domowników dostrzegł nas opuszczających werandę, wrzasnął triumfalnie i pędem rzucił się w naszą stronę. Holmes musiał się świetnie orientować w rozkładzie parku, biegł bowiem bez wahania, klucząc wśród świeżo posadzonych drzewek. Ja za nim, a tuż za nami ścigający nas mężczyzna. Nagle przed nami wyrósł mur wysokości co najmniej sześciu stóp. Holmes jednym susem znalazł się na jego szczycie. Skoczyłem za nim, lecz w tejże chwili poczułem, że czyjaś ręka chwyta mnie za stopę. Jednym kopnięciem uwolniłem nogę z uwięzi i wspiąłem się na wyłożony tłuczonym szkłem szczyt muru, skąd zwałem się na głowę w krzaki. Holmes w mgnieniu oka poderwał mnie na nogi i zaczęliśmy biec na łeb na szyję przez rzadko zabudowaną dzielnicę Hampstead. Przebiegliśmy chyba ze dwie mile, aż wreszcie Holmes przystanął i zaczął pilnie nasłuchiwać. Nic już nie mąciło nocnej ciszy. Zmyliliśmy pogoń i byliśmy bezpieczni.

Nazajutrz rano siedzieliśmy z Holmesem przy śniadaniu paląc fajki, gdy w naszym skromnym saloniku zjawił się z uroczystą miną inspektor Lestrade ze Scotland Yardu.

— Dzień dobry — powitał Holmesa. — Chciałbym się dowiedzieć, czy jest pan obecnie bardzo zajęty.

— Nigdy nie jestem tak zajęty, aby nie móc pana wysłuchać.

— Jeśli pan rozporządza wolnym czasem, czy zechciałby pan nam pomóc w pewnej niezwyklej sprawie, jaka wydarzyła się tej nocy w Hampstead?

— W Hampstead? — zapytał Holmes. — A cóż się tam mogło stać?

— Morderstwo. Dramatyczne i niezwykle morderstwo. Wiem, jak bardzo interesują pana tego rodzaju problemy i poczytywałbym to sobie za wielki zaszczyt, gdyby zechciał się pan pofatygować na krótko do Hampstead i powiedzieć co o tym myśli. To nie jest pospolita zbrodnia. Tego Milvertona mieliśmy od dawna na oku i, między nami mówiąc, był to zwyczajny łajdak. Wiemy, że miał w swoim posiadaniu jakieś papiery, którymi posługiwał się w celach szantażu. Wszystkie zostały spalone przez morderców. Nic cennego nie zginęło i należy przypuszczać, że ci zbrodniarze należeli do wyższych sfer towarzyskich i chodziło im wyłącznie o niedopuszczenie do jakiegoś skandalu.

— Zbrodniarze? — wykrzyknął Holmes. — Czyżby ich było kilku?

— Tak, było ich dwóch. Niewiele brakowało, a schwytano by ich na gorącym uczynku. Mamy odciski ich stóp i rysopisy. Dziewięć szans na dziesięć, że ich nakryjemy. Jeden z nich był co prawda niezwykle zręczny i szybki, ale drugiego przytrzymał już pomocnik ogrodnika, jednak wyrwał mu się i uciekł. Był to mężczyzna średniego wzrostu, silnie zbudowany, kanciasta szczęka, gruba szyja, wąsy i maska na oczach.

— Hm — rzekł Holmes — wątpię, czy taki rysopis okaże się bardzo pomocny, przecież mógłby to być, na przykład, doktor Watson.

— Istotnie — odparł inspektor, uśmiechając się — mógłby to być doktor Watson.

— Tym razem, drogi inspektorze, nie mogę panu służyć pomocą. Tak się złożyło, że znałem tego Milvertona i uważałem go za jednego z najniebezpieczniejszych przestępców w Londynie. Są, niestety, zbrodnie, z którymi prawo nie umie dać sobie rady, i wymierzenie kary na własną rękę bywa, moim zdaniem, usprawiedliwione. Nie, nie, nie będziemy o tym dyskutować. Nie odstąpię od tego postanowienia. Moje sympatie są raczej po stronie winnych, a nie ich ofiary. Nie będę maczał rąk w tej sprawie.

Przez cały ranek Holmes nie wspominał ani słowem o tragedii, której byliśmy świadkami, ale popadał w zamyślenie, wzrok miał błakający i dziwnie się zachowywał. Robił wrażenie człowieka, który usiłuje sobie coś przypomnieć.

Siedzieliśmy właśnie przy obiedzie, gdy nagle zerwał się z krzesła.

— Watsonie! Już wiem! — zawołał. — Weź kapelusz i chodź ze mną!

Ruszyliśmy prawie biegiem przez Baker Street i Oxford Street aż doszliśmy do Regent Circus. Tam, po lewej stronie, znajdował się elegancki sklep, a na jego wystawie pełno było zazwyczaj fotografii osób znanych i piękności sezonu. Oczy Holmesa zatrzymały się na jednej z nich i oglądały ją badawczo.

Ujrzałem na niej podobiznę jakiejś wspaniałej damy w dworskim stroju, z wysokim diademem na głowie. Patrzyłem na lekko orli nos, gęste brwi, cienkie wargi ponad silnie zarysowanym podbródkiem — i wstrzymałem oddech ze zdumienia.

Kobieta na fotografii była żoną arystokraty i wybitnego męża stanu, którego nazwisko Anglia znała i szanowała od wieków.

Mój wzrok spotkał oczy Holmesa.

Odchodząc od okna wystawowego, położył palec na ustach.

Przełożył Jan Meysztowicz

ROZDZIAŁ IX

TRZEJ STUDENCI

W 1895 roku pewien zbieg okoliczności, którym teraz wolę się nie zajmować, spowodował, że Sherlock Holmes i ja spędziliśmy parę tygodni w jednym z naszych wielkich miast uniwersyteckich. Wtedy przeżyliśmy niewielką, lecz pouczającą przygodę. Zanim przystąpię do jej opisania, muszę zaznaczyć, że ujawnienie jakichkolwiek szczegółów mogących ułatwić czytelnikowi zidentyfikowanie przestępcy lub koledżu, w którym się to działo, uważam za niewłaściwe, a nawet nieprzyzwoite, ponieważ lepiej będzie, jeśli tego przykrego skandalu nie będzie się odgrzebywać. Jednak, przy zachowaniu odpowiedniej dyskrecji, można to wydarzenie opisać choćby po to, aby pokazać niezwykle zdolności mojego przyjaciela. W trakcie opowiadania będę się więc starał unikać określeń lub wzmianek, na podstawie których można by odkryć więcej niż wypadałoby.

Mieszkaliśmy w owym czasie w wynajętym umeblowanym mieszkaniu położonym niedaleko biblioteki. Tam właśnie Holmes cały swój czas poświęcał badaniom dokumentów dotyczących wczesnych angielskich przywilejów i nadań. Jestem zdania, że mój przyjaciel osiągnął w tej dziedzinie tak nadzwyczajne rezultaty, że zamierzam jego rozważaniom poświęcić któreś z moich następnych opowiadań.

Pewnego wieczoru złożył nam wizytę jeden z naszych znajomych, wykładowca w Kolegium św. Łukasza, pan Hilton Soames, wysoki, chudy mężczyzna, o nerwowych ruchach i gwałtownym temperamentem.

Znany mi był jego nieopanowany sposób bycia, ale t razem był tak podniecony, że wiedzieliśmy, iż stało coś niezwykłego.

— Mam nadzieję — zwrócił się do Holmesa — że chce mi pan łaskawie poświęcić parę chwil swojej cennego czasu. U św. Łukasza zdarzył się bardzo przykry wypadek i gdyby nie szczęśliwy traf, któremu zawdzięczamy pańską obecność w naszym mieście, wiedziałbym co począć.

— Jestem obecnie bardzo zajęty — odpowiedział mój przyjaciel — i nie chciałbym się odrywać od mojej pracy. Zdecydowanie wolałbym, aby zechciał się pan zwrócić o pomoc do policji.

— Nie, drogi panie, taki tryb postępowania jest wykluczony. Gdy wkroczy prawo, sprawa musi być doprowadzona do końca. W tej zaś specyficznej, sytuacji, ze względu na dobre imię naszego wydziału, zależy nam w najwyższym stopniu na uniknięciu rozgłosu i skandalu. Pańska dyskrecja jest równie dobrze znana jak pańskie wspaniałe umiejętności. Jest pan jedynym człowiekiem na świecie, który może mi pomóc. Toteż jak najusilniej pana o to proszę.

Charakter mojego przyjaciela nie złagodniał szczególnie, odkąd opuścił na jakiś czas Baker Street — miejsce tak właściwe dla jego osoby. Nie mając swojego archiwum, laboratorium chemicznego i swoistego bałaganu, który panował w jego mieszkaniu, Holmes czuł się wyobcowany.

Wzruszył więc ramionami niezbyt chętnie wyrażając zgodę, a pan Soames w pośpiesznie wyrzucanych słowach, którym towarzyszyła gwałtowna i chyba zbyt liczna gestykulacja, opowiedział nam, co się wydarzyło.

— Proszę pana, jutro jest pierwszy dzień egzaminów dla kandydatów ubiegających się o stypendium fundowane przez pana Fortescue. Jestem jednym z egzaminatorów. Wykładam grekę i pierwszy z egzaminów pisemnych polega na przetłumaczeniu nieznanego kandydatom długiego tekstu greckiego. Tekst ten jest wydrukowany na specjalnym urzędowym papierze i

zapoznanie się z jego treścią przed egzaminem w bardzo poważnej mierze ułatwiłoby studentowi zadanie, dlatego jest to pilnie strzeżona tajemnica.

Dzisiaj około trzeciej po południu otrzymałem próbne odbitki z drukarni — pół rozdziału Tocydydesa. Musiałem je przeczytać bardzo uważnie, tekst bowiem musi być absolutnie bezbłędny. Do wpół do piątej jeszcze się z tym nie uporałem. Na godzinę piątą byłem zaproszony do jednego z moich przyjaciół, wyszedłem więc, zostawiwszy odbitki na biurku. Nie było mnie ponad godzinę. Pamięta pan zapewne, że wszystkie drzwi w naszym gmachu są podwójne — wewnętrzne obite zieloną tkaniną, zewnętrzne zaś z solidnego dębu. Wracając, zauważyłem ze zdumieniem, że w zamku zewnętrznych drzwi tkwi klucz. Przez chwilę myślałem, że w drzwiach zostawiłem własny, ale natychmiast się przekonałem, że mam go w kieszeni. Jedyny, jak mi wiadomo, klucz poza moim był w posiadaniu mojego służącego Bannistera, który od dziesięciu lat u mnie sprząta. Jego uczciwość jest poza wszelkimi podejrzeniami.

Klucz istotnie należał do niego. Okazało się, że Bannister wszedł do mojego pokoju jakieś kilkanaście minut po moim odejściu, aby zapytać, czy nie życzę sobie herbaty. Wychodząc, w rozrządzeniu zostawił klucz w drzwiach. Gdyby się to wydarzyło kiedy indziej, nie przejąłbym się z tego powodu, ale tego właśnie dnia jego nieuwaga pociągnęła za sobą fatalne następstwa. Spojrzawszy na biurko, zorientowałem się natychmiast, że ktoś grzebał w moich papierach. Odbitki na trzech długich szpaltach pozostawiłem spięte razem, a teraz jedna leżała na podłodze, druga na stoliku pod oknem, trzecia zaś była w miejscu, w którym ją zostawiłem.

Holmes po raz pierwszy okazał zainteresowanie i powtórzył:

— Pierwsza szpalta na podłodze, druga przy oknie i trzecia w miejscu, w którym je pan pozostawił.

— Tak. To doprawdy zdumiewające. Skąd pan to wie?

— Proszę mówić dalej, to bardzo ciekawa historia.

— Przez chwilę sądziłem, że Bannister ośmielił się przeglądać moje papiery. Ten jednak stanowczo temu zaprzeczył. Jestem przekonany, że mówił prawdę. Doszedłem więc do wniosku, że ktoś, przechodząc koło moich drzwi, zauważył klucz tkwiący w zamku i wiedząc, że mnie nie ma, wszedł aby rzucić okiem na moje papiery. To stypendium należy do najbardziej pożądanym. W grę wchodzi znaczna suma pieniędzy, więc nieuczciwy student gotów byłby niejedno zaryzykować, aby uzyskać przewagę nad konkurentami.

Bannister bardzo się tym wypadkiem przejął, prawie zemdłał, gdy się przekonał, że ktoś zaglądał do tych papierów. Dałem mu łyk brandy i posadziłem kompletnie załamanego na krześle, sam zaś przystąpiłem do szczegółowych oględzin pokoju. Poza rozrzuconymi papierami znalazłem wkrótce inne ślady czyjejś bytności. Na stoliku pod oknem odkryłem złamany grafit i skrawki po temperowanym w tym miejscu ołówku. Niewątpliwie ten łobuz, pospiesznie przepisując tekst, złamał ołówek i musiał go zaostrzyć.

— Doskonale — rzekł Holmes, odzyskując dobry humor, w miarę jak rosło jego zainteresowanie — szczęście panu sprzyja.

— To nie wszystko. Błat mojego nowego biurka pokryty jest czerwoną skórą. Mogę przysiąc, i Bannister gotów jest uczynić to samo, że powierzchnia tego blatu była gładka, nieuszkodzona i bez jakiegokolwiek plamy. Otóż na tej skórze znalazłem rozcięcie długości około trzech cali; nie rysę, ale wyraźne rozcięcie. Ponadto na biurku znalazłem małą grudkę jakby gliny czy czegoś podobnego do czarnego ciasta, zawierającą coś, co wyglądało na trociny. Jestem przekonany, że te ślady pozostawił człowiek, który dobrał się do moich papierów. Nie odkryłem natomiast żadnych śladów stóp lub innych szczegółów mogących doprowadzić do wykrycia jego tożsamości. Nie wiedziałem zupełnie co począć, ale na szczęście przypomniałem sobie o pańskiej obecności w naszym mieście i od razu przyszedłem tutaj, aby zasięgnąć pańskiej rady.

Proszę mi pomóc! Zdaje pan sobie sprawę z wagi problemu — albo muszę odnaleźć winowajcę albo odłożyć egzamin do chwili, gdy nowy tekst zostanie wydrukowany. Musiałbym wtedy wyjaśnić powody tej zwłoki, wszystko wyjaśnić, a to doprowadziłoby do wybuchu okropnego skandalu, który może skompromitować nie tylko nasz wydział, ale i całą uczelnię. Zależy mi przede wszystkim na zachowaniu jak najdalej idącej dyskrecji w tej sprawie.

— Chętnie się tym zajmę i zrobię, co będę mógł — odpowiedział Holmes wstając i sięgając po płaszcz. — Problem nie jest pozbawiony ciekawych aspektów. Czy ktokolwiek odwiedzał pana w pokoju, gdy miał pan te papiery u siebie?

— Owszem. Młody Hindus, Daulat Ras, student mieszkający na tej samej klatce schodowej. Przyszedł do mnie, aby zapytać o pewne szczegóły związane z egzaminem.

— Czy ma brać w nim udział?

— Tak.

— A papiery leżały wówczas na biurku?

— O ile pamiętam, były zwinięte w rulon.

— Czy można się było domyślić, że są to odbitki z drukarni?

— Przypuszczam, że tak.

— Nikogo więcej nie przyjmował pan w tym czasie w swoim gabinecie?

— Nikogo.

— Czy ktokolwiek wiedział, że te odbitki będą u pana?

— Nikt poza drukarzem.

— Pański służący nie wiedział o tym?

— Nie, nikt nie wiedział.

— Co się teraz z nim dzieje?

— Jest załamany. Zostawiłem go u siebie, siedząc, go na krześle. Zależało mi, aby jak najszybciej zobaczyć się z panem.

— Zostawił pan drzwi otwarte?

— Ale papiery zamknąłem na klucz...

— Z tego wynika, panie Soames, że gdyby nawet Hindus nie domyślał się, iż zwinięte na biurku papiery zawierają odbitki egzaminacyjnego tekstu, to człowiek, który je przeglądał, mógł natrafić na nie przypadkowo, nie wiedząc, że się tam znajdują.

— I mnie się tak wydaje.

Holmes uśmiechnął się zagadkowo.

— Chodźmy dokonać oględzin — rzekł. — Ta sprawa nie będzie cię interesować, Watsonie. Problem wymaga, jak mi się wydaje, raczej sprawności intelektualnej niż znajomości fizjologii. Chodź jednak z nami, jeśli masz ochotę.

Podłużnego kształtu, niskie, zakratowane okno gabinetu naszego klienta wychodziło na stary dziedziniec wiekowego kolegium. Przez sklezione gotyckie drzwi wchodziło się na kamienne schody. Gabinet profesora Soamesa znajdował się na parterze, wyżej zaś mieszkali trzej studenci, każdy na innym piętrze. Zmrok już zapadał, gdy dotarliśmy na miejsce. Holmes przystanął i badawczym spojrzeniem obrzucił okno. Następnie podszedł bliżej wspiął się na palce i wyciągając szyję zajrzał do wnętrza pokoju.

— Musiał wejść przez drzwi — oświadczył z pewnością siebie nasz przewodnik — w tym oknie otwiera się tylko lufcik.

Holmes spojrział na niego i uśmiechnął się znacząco.

— Lepiej więc, abyśmy weszli do środka, skoro tutaj nie uzyskamy żadnych wskazówek.

Profesor otworzył drzwi i wprowadził nas do swego gabinetu. Stanęliśmy na progu, podczas gdy Holmes pilnie badał dywan.

— Obawiam się, że i tu nie pozostawiono żadnych śladów — rzekł po chwili. — Trudno się było zresztą tego spodziewać po tak suchym dniu. Pański służący musiał już dojść do siebie. Pozostawił go pan tutaj na krześle, tak? Na którym?

— Na tym koło okna.

— Aha, przy tym małym stoliku. Możecie wejść, panowie, skończyłem już sprawdzać dywan. Zaczniemy od tego stolika. Wszystko, co się tu wydarzyło, jest oczywiście najzupełniej jasne. Winowajca wszedł do gabinetu i wziął papiery z biurka, kolejno, kartka po kartce. Przeniósł je na stolik przy oknie, z tego bowiem miejsca mógł dostrzec pana powracającego przez dziedziniec i w porę uciec.

— W tym wypadku nie mógł, gdyż wszedłem przez boczną bramę.

— Tak? Tym lepiej. W każdym razie taki był jego plan. Proszę mi podać te trzy szpalty. Nie widzę na nich żadnych odcisków palców. A zatem przeniósł pierwszą szpaltę na ten stolik przy oknie i przepisał jej treść. Ile czasu mogło mu to zająć, zakładając, że robił wszelkie możliwe skróty? Co najmniej kwadrans. Następnie porzucił pierwszą szpaltę i chwycił drugą. Zajęty był właśnie jej przepisywaniem, gdy pański niespodziewany powrót zmusił go do pospiesznego wyjścia. Bardzo pospiesznego, nie zdążył bowiem odłożyć papierów tam, gdzie się przedtem znajdowały, a to umożliwiło panu odkrycie, że ktoś tu wchodził w czasie pańskiej nieobecności. Czy wchodząc, nie słyszał pan odgłosu nóg szybko biegnących po schodach?

— Nie, nic podobnego sobie nie przypominam.

— Pisał tak intensywnie, że złamał ołówek i, jak się możecie sami przekonać, musiał go zaostrzyć. To jest barć istotny szczegół, Watsonie. Ołówek, którym się posługiwał, nie był zwyczajny, grafit miał miękki, drewno polakierowane było na kolor ciemnoniebieski, nazwa i znak fabryczny wytłoczone srebrnymi, drukowanymi literami. Długość tego ołówka po zatemperowaniu wy już tylko około półtora cala. Proszę szukać takiego ołówka, panie profesorze, a znajdzie pan winowajcę. Aby panu tym pomóc, dodam, że posiada on duży i tępy scyzoryk.

Profesor Soames był oszołomiony tym potokiem informacji.

— Mogę zrozumieć niektóre z pańskich wywodów — rzekł — ale jeśli chodzi o długość tego ołówka...

Holmes trzymał w palcach drobniutki skrawek drewna, na którym były widoczne litery NN, a po nich przerwa.

— Widzi pan?

— Widzę, ale nie bardzo rozumiem...

— Rzeczywiście czasami niesprawiedliwie cię oceniam, Watsonie. Inni również na to zasługują. Co mogą oznaczać litery NN? Oznaczają koniec słowa, a wiecie przecież, że ołówki marki Johann Faber są w powszechnym użyciu. Czyż nie jest więc jasne, że długość tego ołówka musiała być mniej więcej taka, ile miejsca zajmuje nazwisko wytwórcy?

Holmes pochylił blat stolika ku elektrycznej lampie.

— Papier, na którym pisał, mógł być na tyle cienki, że jakieś ślady mogłyby pozostać na politurowanej powierzchni stolika, ale nic z tego. Skoro tu niczego nie znajdę, zajmijmy się biurkiem. Ta mała czarna grudka jest, jak sądzę, tym, co pan określił jako kawałeczek czarnego ciasta. Ma mniej więcej stożkowaty kształt i jest lekko wewnątrz wydrążona. Ma pan rację, w środku jest trochę trocin. To doprawdy bardzo interesujące. A rozdarcie skóry pokrywającej biurko? Zaczyna się od cienkiej rysy i kończy wyszarpaną dziurą. Jestem panu niezmiernie wdzięczny za powierzenie mi tak ciekawej sprawy. Dokąd prowadzą drzwi? — Do mojej sypialni.

— Czy zaglądał pan tam po odkryciu, że ktoś się dobrał do pańskich papierów?

— Nie, poszedłem prosto do pana.

— Chciałbym się tam nieco rozejrzeć... Cóż to za uroczy, staroświecki pokój! Może panowie zechcą poczekać chwilę, aż zbadam podłogę. Nie, nie widzę na niej nic godnego uwagi. A co z tą kotarą? Wiesza pan za nią swoje ubrania. Gdyby ktokolwiek chciał się ukryć w tym pokoju, musiałby to zrobić tutaj, łóżko bowiem jest za niskie, a szafa za płytka. Przypuszczam, że nie ma tutaj nikogo?

Holmes odsunął kotarę Obserwując pewną sztywność w jego sylwetce i czujność ruchów, zdałem sobie sprawę, że był przygotowany na ewentualne niebezpieczeństwo. Jednakże po odsunięciu kotary ujrzeliśmy tylko kilka garniturów na wieszakach. Holmes nagle odwrócił się i pochylił.

— A cóż to takiego?!

Na podłodze leżała mała stożkowata grudka czarnej, lepkiej substancji. Takiej samej jak ta, którą znaleziono na biurku w gabinecie. Holmes podniósł ją ostrożnie, położył na otwartej dłoni i oglądał w świetle elektrycznej lampy.

— Nieznany gość pozostawił ślady nie tylko w pana gabinecie, ale i w sypialni.

— A po co miałby tu wchodzić?

— Wydaje mi się to dosyć oczywiste. Wrócił pan niespodziewanie, inną drogą, a intruz zdał sobie z tego sprawę dopiero w chwili gdy pan się znalazł przy samych drzwiach gabinetu. Co mu więc pozostawało? Szybko chwycił wszystko, co go mogło zdradzić, i rzucił się do pańskiej sypialni, żeby się tam ukryć.

— Na miły Bóg, czy chce mi pan powiedzieć, że w czasie mojej rozmowy z Bannisterem ten człowiek był tutaj?

— Wszystko na to wskazuje.

— Czy naprawdę nie ma innej alternatywy? Nie wiem, czy zwrócił pan uwagę na okno w mojej sypialni?

— Ma drobne, kwadratowe szybki, oprawione w ołów. Składa się z trzech oddzielnych skrzydeł, z których jedno otwiera się na zawiasach i jest wystarczająco szerokie, aby mężczyzna mógł się przez nie przedostać.

— Właśnie. A poza tym to okno wychodzi na róg dziedzińca i dzięki temu jest do pewnego stopnia niewidoczne. Nasz człowiek mógł więc wejść przez okno, przejść przez sypialnię, pozostawiając ślady, i wreszcie, stwierdziwszy, że drzwi w moim gabinecie są otwarte, uciec tymi drzwiami.

Holmes potrząsnął głową, zniecierpliwiony.

— Pomyślmy realnie. Z tego, co pan mi mówił, wynikałoby, że mieszkający tutaj trzej studenci używają tych samych schodów i przechodzą zwykle obok pańskich drzwi.

— Tak jest.

— Wszyscy trzej przystępują do egzaminu?

— Tak.

— Czy ma pan jakieś powody, aby jednego z nich podejrzewać bardziej niż pozostałych?

Profesor Soames wahał się przez chwilę.

— To bardzo kłopotliwe pytanie. Nie mając dowodów, trudno podejrzewać kogokolwiek.

— Proszę podzielić się z nami pańskimi podejrzeniami. Udowodnienie winy biorę na siebie.

— Postaram się więc określić w paru słowach charakter studentów, którzy tu mieszkają. Lokatorem pokoju położonego na pierwszym piętrze jest Gilchrist, bardzo zdolny student oraz doskonały sportowiec. Należy do naszej reprezentacyjnej drużyny rugby oraz krykieta, był też mistrzem akademickim w skoku w dal i biegu przez płotki. Miły, wartościowy młody człowiek. Jest synem sir Jabeza Gilchrista, znanego hodowcy i właściciela koni wyścigowych, którego ta namiętność kosztowała cały jego majątek. Po śmierci ojca chłopak pozostał bez grosza przy duszy, ale jest pilny i pracowity. Da sobie radę w życiu.

Na drugim piętrze mieszka Hindus, Daulat Ras. Cichy i zamknięty w sobie, jak większość jego rodaków. Jego postępy w nauce są na ogół zadowalające, choć ma pewne trudności z greką. Jest systematyczny i sumienny.

Pokój na najwyższym piętrze zajmuje niejaki Miles McLaren. Gdy zabierze się do pracy, osiąga świetne rezultaty. To jeden z najwybitniejszych umysłów na naszym uniwersytecie. Jednakże jest chimeryczny, lubi się zabawić i jest pozbawiony skrupułów. W pierwszym roku studiów o mało nie został usunięty z naszej uczelni w związku z karcianym skandalem. Obijał się przez cały semestr i na pewno obawia się zbliżającego egzaminu.

— A zatem jego pan podejrzewa?

— Może to zbyt daleko idący wniosek, ale jeżeli któremuś z nich nie ufam, to tylko jemu.

— Rozumiem. A teraz proszę nam pozwolić porozmawiać z pańskim służącym.

Po chwili w gabinecie zjawił się mężczyzna około pięćdziesiątki, niewielkiego wzrostu, gładko wygolony, o bladej cerze i siwiejących włosach. Jego pulchna twarz drgała nerwowo, palce kurczowo zaciskał. Wyraźnie było widać, że jest wstrząśnięty tym wydarzeniem, które wprowadziło zamęt w jego regularnym i pozbawionym gwałtowniejszych wzruszeń trybie życia.

— Staramy się rozwikłać tę nieszczęsną zagadkę — rzekł do niego profesor Soames.

— Rozumiem, panie profesorze.

— Jak się dowiedziałem — rzekł Holmes — zostawił pan klucze w drzwiach?

— Tak jest — odpowiedział Bannister.

— Czy to nie dziwne, że stało się to właśnie w dniu, kiedy te papiery znajdowały się w gabinecie?

— To doprawdy nieszczęście, ale zdarzało mi się to już przedtem parę razy.

— Kiedy pan wszedł do gabinetu?

— Około pół do czwartej. Profesor Soames zwykł pić herbatę o tej porze.

— Jak długo pan tutaj przebywał?

— Wyszedłem od razu, kiedy zobaczyłem, że pana profesora już nie ma.

— Czy zaglądał pan do tych papierów na biurku?

— Nie, sir, na pewno nie.

— Ale jak to się stało, że pozostawił pan klucz w drzwiach?

— Niosłem tacę z imbrykiem i filiżanką, ręce miałem zajęte. Pomyślałem, że wrócę po klucz, ale zapomniałem.

— Czy zewnętrzne drzwi mają zatrzask?

— Nie, sir.

— Cały czas były otwarte?

— Tak, sir.

— Więc każdy swobodnie mógł opuścić ten pokój?

— Tak jest.

— Gdy profesor Soames wrócił i dowiedział się pan od niego, co zaszło, był pan tym bardzo przejęty?

— Tak, służę tutaj od wielu lat i nigdy nic podobnego się nie zdarzyło. O mało nie zemdląłem.

— Wiem o tym. W chwili gdy pan zasnął, gdzie się pan znajdował?

— Gdzie się znajdowałem? Tutaj, koło drzwi.

— Dziwne... usiadł pan na krześle tam w rogu. Dlaczego pan nie wybrał któregoś z krzeseł stojących bliżej?

— Nie wiem, sir, nie myślałem, gdzie siadam.

— Doprawdy nie sędzę, aby zdawał sobie sprawę z tego, co robi — wtrącił profesor Soames — wyglądał okropnie, wprost przerażająco.

— Jak długo pan tu pozostał po odejściu profesora?

— Chyba nie dłużej niż minutę. Potem zamknąłem drzwi i poszedłem do swojego pokoju.

— Kogo pan podejrzewa?

— Nie potrafię powiedzieć. Nie wierzę, aby w całym naszym uniwersytecie znalazł się ktoś, kto byłby zdolny do takiego czynu. Nie, sir, to niemożliwe.

— Dziękuję, to wystarczy — rzekł Holmes. — Aha, jeszcze jedno — czy wspominał pan któremukolwiek z tych trzech młodych dżentelmenów, którym pan służy, o tym, co zaszło?

— Nie, sir, nie wspomniałem ani słowem.

— Nie widział pan żadnego z nich?

— Nie, sir.

— Bardzo dobrze. A teraz, panie profesorze, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, przespacerujemy się po dziedzińcu.

Trzy żółte, prostokątne plamy światła lśniły nad naszymi głowami w zapadającym mroku nocy.

— Wszystkie ptaszki są w swoich gniazdkach — odezwał się Holmes, patrząc w górę. — A co to znaczy? Jeden z nich wydaje się raczej niespokojny!

Był to Hindus, którego ciemna sylwetka zarysowała się na tle spuszczonej żaluzji. Chodził szybko tam i z powrotem po swoim pokoju.

— Chciałbym rzucić okiem na każdego z nich — rzekł Holmes. — Czy byłoby to możliwe?

— Nic łatwiejszego — odpowiedział profesor Soames. — Te trzy pokoje należą do najstarszej części naszego wydziału i nieraz są zwiedzane przez przyjezdnych i turystów. Zaprowadzę panów osobiście do każdego z nich.

— Proszę nie wymieniać żadnych nazwisk — szepnął Holmes w chwili, gdy stukaliśmy do drzwi Gilchrista.

Drzwi otworzył wysoki, szczupły blondyn i dowiedziawszy się, o co chodzi, powitał nas uprzejmie. Jego pokój zawierał istotnie parę ciekawych szczegółów architektonicznych, zachowanych z okresu późnego średniowiecza. Holmes tak się jednym z nich zachwycił, że uparł się, żeby go naszkicować w swoim notesie. Robiąc to, złamał ołówek, pożyczył drugi od naszego gospodarza, a po chwili poprosił również o scyzoryk, aby go zatemperować. Dziwnym zbiegiem okoliczności to samo powtórzyło się w pokoju Hindusa — niskiego, mrukliwego młodzieńca o orlim nosie, który dał nam wyraźnie do zrozumienia, że nie jesteśmy mile widzianymi gośćmi, i odetchnął z widoczną ulgą, kiedy Holmes przestał wreszcie interesować się architektonicznymi szczegółami. W obydwu przypadkach nie zauważyłem nic, co by wskazywało, że Holmes jest na tropie.

Natomiast trzecia wizyta nie doszła do skutku. Zza drzwi, które pomimo natarczywego stukania pozostały zamknięte, usłyszeliśmy tylko potok obelżywych wyrazów:

— Nie obchodzi mnie, kim jesteście — ryczał gniewny głos. — Jutro mam egzamin i nie chcę, aby mi przeszkadzano. Idźcie do wszystkich diabłów!

Nasz przewodnik aż poczerwieniał ze złości.

— Cóż to za arogant! — mówił, schodząc z nami po schodach. — Nie wiedział, oczywiście, że to ja stukam, ale mimo to jego zachowanie należy zakwalifikować jako wybitnie niegrzeczne i zważywszy na okoliczności, raczej podejrzane.

Holmes zareagował na to w dziwny sposób.

— Czy może mi pan powiedzieć, jakiego jest wzrostu? — zapytał.

— Jakiego jest wzrostu? Doprawdy nie potrafię tego dokładnie określić. Jest wyższy od Hindusa, ale nie tak wysoki jak Gilchrist. Sądzę, że ma mniej więcej pięć stóp i sześć cali.

— To jest bardzo ważne — odrzekł Holmes. — A teraz nie pozostaje nam nic innego, jak życzyć panu profesorowi dobrej nocy.

— Na Boga! — wykrzyknął Soames zdziwiony i oburzony. — Chyba nie zostawi mnie pan tak nagle!? Czyżby nie zdawał pan sobie sprawy z położenia, w jakim się znalazłem? Jutro jest egzamin. Dziś wieczorem muszę podjąć ostateczną decyzję. Nie mogę pozwolić na przeprowadzenie egzaminu, jeśli ktoś miał dostęp do tych papierów. Trzeba koniecznie wyjaśnić sytuację!

— Niech pan zostawi wszystko bez zmian. Wpadnę jutro wczesnym rankiem i jeszcze o tym pogadamy. Może będę mógł zalecić jakieś konkretne kroki. Tymczasem proszę postępować tak, jakby nic nie zaszło.

— Zastosuję się do pańskiej rady.

— Proszę się nie obawiać, znajdziemy na pewno jakieś wyjście. Wezmę ze sobą tę grudkę gliny i skrawki ołówka. Do widzenia.

Po chwili znaleźliśmy się w ciemnościach dziedzińca i ponownie spojrzeliśmy w górę ku oświetlonym oknom trzech studentów. Hindus wciąż chodził po swoim pokoju, dwaj pozostali byli niewidoczni.

— No i cóż o tym myślisz, Watsonie? — zapytał Holmes, wychodząc na ulicę. — Czy ci to nie przypomina gry towarzyskiej lub czegoś w rodzaju gry w trzy karty? W trzech pokojach mamy trzech mężczyzn. Jeden z nich jest na pewno winowajcą. Na którego stawiasz?

— Ten z najwyższego piętra, szafujący tak hojnie wyzwiskami. Obciąża go wszystko, co o nim wiemy. Ale i Hindus jest cwaniakiem. Dlaczego on tak chodzi po pokoju?

— Nie przywiązywałbym do tego większego znaczenia. Mnóstwo ludzi ma zwyczaj chodzić, gdy uczą się czegoś na pamięć.

— Patrzył na nas niechętnie i podejrzliwie.

— A czy ty patrzyłbyś inaczej, gdyby zgraja obcych ludzi wtargnęła do twojego pokoju w przeddzień egzaminu, gdy każda chwila się liczy? A poza tym ich ołówki i scyzoryki... w porządku. Natomiast tamten typ mnie naprawdę intryguje.

— Który?

— Służący Bannister, oczywiście. Jaka rolę odegraj w tej sprawie?

— Zrobił na mnie wrażenie uczciwego człowieka. «

— Na mnie również. I to właśnie jest zadziwiające! Dlaczego uczciwy człowiek... dobrze, ale dochodzimy właśnie do sklepu z materiałami piśmiennymi. Tu rozpoczniemy nasze poszukiwania.

W mieście, o którym mowa, znajdowały się tylko cztery sklepy, mające bogaty asortyment takich artykułów. W każdym z nich Holmes pokazywał skrawki ołówka i wyraził gotowość zapłacenia najbardziej wygórowanej ceny, za identyczny. Wszędzie mu odpowiedziano, że takich i ołówków nie ma na składzie, ale można je zamówić. Mój przyjaciel nie wydawał się zbyt rozczarowany takim rezultatem naszej wędrówki i powiedział, wzruszając ramionami, z raczej wesołą rezygnacją:

— Nic z tego, mój drogi. Najlepsza i jedyna poszlaka zaprowadziła nas do nikąd. Ale nie wątpię, że i bez niej potrafimy zgromadzić wystarczające dowody. Tam do licha, dochodzi dziewiąta, a nasza gospodyni przebąkiwała coś o cielęciny z groszkiem o wpół do ósmej. Sądzę, że twój zwyczaj wędzenia się w dymie tytoniowym tudzież chroniczne spóźnianie się na posiłki sprawi, że wymówią ci mieszkanie i będę zmuszony podzielić twój los. Przedtem jednak zdołamy się uporać z problemem nerwowego profesora, roztargnionego służącego i trzech przedsiębiorczych studentów.

Holmes nie wspominał już więcej o tej sprawie, choć po naszej spóźnionej kolacji siedział długo pogrążony w myślach. Nazajutrz, o ósmej rano, kończyłem właśnie się ubierać, gdy wszedł do mojego pokoju.

— Jak się masz, Watsonie! Czas już iść do Kolegium św. Łukasza. Czy możesz zrezygnować ze śniadania?

— Oczywiście.

— Nerwy profesora Soamesa poddane są poważnej próbie i należy go czym prędzej uspokoić.

— Masz dla niego jakąś dobrą wiadomość?

— Tak sądzę.

— Czy wiesz, jak to się stało?

— Tak, mój drogi, rozwiązałem zagadkę.

— Jakim cudem?

— Nie na darmo zerwałem się dzisiaj z łóżka o szóstej, o tak nieludzkiej porze, po czym przez dwie godziny ciężko pracowałem. Przeszedłem co najmniej pięć mil. Ale opłacił mi się ten trud. Spójrz!

Wyciągnął rękę. Na jego dłoni ujrzałem trzy grudki czarnej, papkowej masy.

— Przecież wczoraj miałeś ich tylko dwie!

— A dzisiaj zdobyłem trzecią. Słuszne wydaje mi się twierdzenie, że skoro wiem, skąd pochodzi grudka numer trzy, wiem również, skąd pochodzi grudka numer jeden i dwa. Co ty na to? A teraz chodźmy i uwolnijmy naszego profesora od nękającej go od wczoraj udręki.

Profesora Soamesa zastaliśmy w jego mieszkaniu w stanie budzącym litość. Egzamin miał się rozpocząć za parę godzin, a nieszczęsny pedagog wciąż rozważał, czy podać fakty do publicznej wiadomości, czy pozwolić winowajcy ubiegać się o cenne stypendium?

Na nasz widok zerwał się z krzesła i podbiegł do Holmesa z wyciągniętymi ku niemu rękami.

— Bogu dzięki! Nareszcie się pan zjawił! Myślałem już, że dał pan za wygraną i pozostawił mnie samemu sobie. Co mam robić? Odwołać egzamin?

— Ależ nie, nie widzę po temu powodów.

— Ale ten łajdak...

— Nie będzie zdawał egzaminu.

— A więc pan wie, kto to jest?!

— Sądzę, że wiem. Jeśli ta sprawa ma nie przedostać się na zewnątrz, musimy sobie uzurpować pewną władzę i powołać coś w rodzaju prywatnego trybunału. Proszę tu zasiąść, panie profesorze. A ty tutaj, Watsonie. Ja zajmę miejsce w środku, na tym fotelu. Wydaje mi się, że nasze grono jest dostatecznie dostojne, aby napędzić strachu winnym. A teraz, panie profesorze, proszę zadzwonić.

Do gabinetu wszedł służący i, widząc nasze surowe oblicza i sędziowskie pozy, cofnął się przerażony.

— Zechce pan zamknąć za sobą drzwi — rzekł Holmes. — A teraz, Bannister, proszę nam powiedzieć prawdę o tym, co się tu wczoraj wydarzyło.

Bannister zbladł.

— Wszystko już powiedziałem.

— Całą prawdę?

— Tak jest, całą prawdę.

— Postaram się odświeżyć pańską pamięć. Czy siadając wczoraj na tym krześle, uczynił pan to w celu ukrycia pewnego przedmiotu, który by zdradził, kto się znajdował w tym pokoju?

Twarz Bannistera wyglądała upiornie.

— Nie, sir.

— To tylko przypuszczenie — mówił Holmes z łagodną perswazją — przyznaję, iż nie mogę tego dowieść. Ale wydaje mi się prawdopodobne, że natychmiast po odejściu stąd pana profesora uwolnił pan człowieka ukrywającego się w jego sypialni.

Bannister zwilżył językiem zeschłe wargi.

— Tam nikogo nie było.

— Dotychczas mówił pan, być może, prawdę, ale wiem, że w tej chwili pan kłamie. Twarz służącego przybrała wyraz ponurej zaciętości.

— Tam nikogo nie było.

— Po co się upierać przy tym kłamstwie?

— Ja nie kłamię, tam nikogo nie było.

— W takim razie nie może pan nam udzielić dalszych informacji. Proszę jednak pozostać w tym pokoju i stanąć tam, obok drzwi prowadzących do sypialni. A teraz może pan, panie profesorze, będzie łaskaw pójść do pokoju młodego Gilchrista i poprosić go, aby pofatygował się do nas.

Wkrótce do gabinetu weszli razem profesor i student. Ten ostatni był bardzo wysokim, przystojnym mężczyzną, o sympatycznym wyrazie twarzy, zwinnych ruchach i sprężystym kroku. Jego zaniepokojone niebieskie oczy przebiegły szybko po każdym z nas i zatrzymały się z przerażeniem na osobie Bannistera stojącego w najodleglejszym kącie pokoju.

— Proszę zamknąć drzwi! — rzekł Holmes. — Jesteśmy tutaj sami i nikt się nigdy nie dowie, co między nami zaszło. Możemy więc rozmawiać całkiem szczerze. Chcemy wiedzieć, jak to się stało, że pan, człowiek o nieposzlakowanym charakterze, zdobył się na taki postępek?

Nieszczęsny student zachwiał się i spojrzał na Bannistera z niemym i bolesnym wyrzutem.

— Nie, nie, paniczu! Nie powiedziałem ani słowa! — wykrzyknął służący — ani słóweczka!

— Wystarczy nam to, co pan powiedział w tej chwili — rzekł Holmes, po czym zwrócił się do studenta. — Zdaje pan sobie sprawę, że po wyznaniu Bannistera pańska sytuacja jest beznadziejna i jedynym z niej wyjściem jest szczerze przyznanie się do winy.

Gilchrist stał przez chwilę z podniesioną dłonią, usiłując opanować konwulsyjne drganie twarzy, wreszcie rzucił się na kolana przed biurkiem, ukrył twarz w dłoniach i wybuchnął spazmatycznym szlochem.

— No, no, proszę się uspokoić — powiedział łagodnie Holmes. Natura ludzka jest ułonna i nikt nie zamierza pana traktować jak pozbawionego ludzkich uczuć kryminalistę. Może pan woli, abym ja opowiedział profesorowi Soamesowi przebieg wypadków, a pan sprostuje, jeśli się będę mylił. Zgoda? No dobrze już, dobrze, może pan nie odpowiadać. Niech pan tylko słucha i uważa, czy nie wyrządzam pan krzywdy.

Od chwili, w której pan profesor mi oświadczył, że nikt, nie wyłączając Bannistera, nie wiedział, że tej papiery znajdują się w jego pokoju, przebieg tej sprawy zaczął się jasno rysować w moim umyśle. Drukarza należało, oczywiście, pominąć. Papiery miał na tyle długo, że mógł je spokojnie przejrzeć. Hindusa nie brałem pod uwagę. Skoro odbitki były zwinięte w rulon, nie mógł wiedzieć, co zawierają. Z drugiej strony trudno byłoby przypuszczać, że ktoś wszedł do gabinetu profesora właśnie w dniu, w którym te papiery leżały na jego biurku. Taki zbieg okoliczności uznałem za zbyt nieprawdopodobny, wobec tego odrzuciłem tę hipotezę. Człowiek, który wszedł do gabinetu, wiedział, że papiery tam się znajdują. Jak się mógł o tym dowiedzieć?

Zanim wszedłem do gabinetu od strony dziedzińca, przyjrzałem się dokładnie oknu. Pan, panie profesorze, wywnioskował z tego, że dopuszczam możliwość, iż ktoś w biały dzień, na oczach wszystkich zamieszkujących pokoje znajdujące się po przeciwnej stronie, mógł włamać się przez to okno do gabinetu. Ta myśl była absurdalna. Chciałem po prostu sprawdzić, jakiego wzrostu musiałby być mężczyzna, aby przechodząc koło tego okna mógł dojrzeć papiery leżące na biurku. Ja mam sześć stóp i mogłem to z łatwością zrobić. Miałem więc powody, żeby zainteresować się tym z trzech pańskich studentów, który był co najmniej mojego wzrostu.

Gdy wszedłem do gabinetu, zapoznałem pana z wnioskami, jakie mi się nasunęły po obejrzeniu stolika pod oknem. Biurko natomiast nie dostarczyło mi żadnych wyraźnych

poszłak aż do chwili, gdy opisując Gilchrista pan profesor wspomniał o jego wyczynach sportowych i mistrzostwie uzyskanym w skoku w dal. Zrozumiałem wówczas wszystko i potrzebowałem już tylko kilku potwierdzających dowodów, które udało mi się szybko zdobyć.

Przebieg wypadków był następujący: ten młody człowiek spędził popołudnie na boisku, gdzie trenował skok w dal. Wracał do domu, niosąc swoje sportowe buty, których podeszwy, jak panu wiadomo, są zaopatrzone w kolce. Przechodząc koło okna gabinetu, dostrzegł, dzięki swemu wysokiemu wzrostowi, odbitki leżące na biurku i domyślił się natychmiast, że muszą mieć związek ze zbliżającym się egzaminem. Nic złego by jeszcze z tego nie wynikło, gdyby przechodząc obok pańskich drzwi nie zauważył klucza pozostawionego w zamku przez pańskiego roztargnionego służącego. Pod wpływem nagłego impulsu Gilchrist postanowił wejść i przekonać się, czy te papiery istotnie zawierają tekst grecki. Niewiele właściwie ryzykował; aby znaleźć pretekst do wejścia do gabinetu, mógł o cokolwiek zapytać pana profesora.

Dopiero jednak wtedy, gdy się przekonał, że są to naprawdę odbitki tekstów egzaminacyjnych, uległ pokusie. Postawił pantofle na biurku, po czym... a co pan położył na krześle koło okna?

— Rękawiczki — odrzekł Gilchrist.

Holmes spojrział triumfująco na Bannistera i mówił dalej:

— Położył rękawiczki na krześle i zaczął przepisywać tekst. Sądził, że pan profesor powróci przez główną bramę i w porę pana dostrzeże. Jednak pan powrócił boczną bramą i Gilchrist usłyszał pańskie kroki dopiero przy samych drzwiach. Ucieczka stała się niemożliwa. Gilchrist zapomniał o swoich rękawiczkach, chwycił pantofle i wbiegł do sypialni. Proszę się przyjrzeć rozdarciu skóry pokrywającej blat biurka. Początkowo rysa jest zaledwie widoczna, ale pogłębia się w kierunku drzwi prowadzących do sypialni. To już jest wystarczającą wskazówką, że ktoś przeciągnął pantofle po gładkiej powierzchni i winowajca ukrył się w sypialni. Grudka ziemi, która przylepiła się do jednego z kolców, spadła na biurko, druga zaś spadła na podłogę w sypialni. Dodam, że obszedłem dziś rano całe boisko i przyniosłem próbkę czarnej, gliniastej ziemi, którą wypełniona jest skocznia. Jej powierzchnia posypana jest trocinami, co chroni zawodników przed poślizgnięciem.

— Czy powiedziałem prawdę? — Holmes zamilkł i zwrócił się do studenta.

Gilchrist wyprostował się i przyznał:

— Tak, to wszystko prawda.

— Na Boga, czy nie ma pan mi nic więcej do powiedzenia? — wykrzyknął profesor Soames.

— Owszem, panie profesorze, ale to niespodziewane wykrycie mojego haniebnego czynu wytrąciło mnie zupełnie z równowagi. Oto list, który napisałem do pana dziś rano, po bezsennie spędzonej nocy, nie wiedząc, że prawda wyszła na jaw. Proszę go przeczytać, a przekona się pan, że piszę w nim: „Zdecydowałem się nie przystępować do egzaminu. Proponuję mi stanowisko oficera policji w Rodezji. Wyjeżdżam niezwłocznie do Afryki południowej”.

— Cieszę się, że nie zamierzał pan wykorzystać nieuczciwie uzyskanej przewagi — rzekł profesor Soames — ale co pana skłoniło do zmiany pańskich planów życiowych?

Gilchrist wskazał na Bannistera.

— Oto jest człowiek, który zawrócił mnie ze złej drogi.

— Słyszał pan, Bannister, co tu mówiłem przed chwilą — rzekł do służącego Holmes — i zgodzi się pan chyba ze mną, że tylko pan mógł uwolnić tego młodego człowieka z sypialni, ponieważ został pan w gabinecie, a wychodząc zamknął pan za sobą drzwi na klucz. Ucieczka przez okno była niemożliwa. Czy nie zechciałby pan nam wyjaśnić tego ostatniego nieznanego nam jeszcze szczegółu i wytłumaczyć, co wpłynęło na takie postępowanie?

— To bardzo proste — odpowiedział Bannister. — Mimo że jest pan taki bystry, tego jednak nie mógł pan wiedzieć. W swoim czasie służyłem jako lokaj u sir Jabeza Gilchrista, ojca tego młodego dżentelmena. Gdy stracił cały swój majątek, zacząłem pracować jako służący w tutejszej uczelni, ale nigdy nie zapomniałem o moim dawnym pracodawcy, któremu przestało się dobrze powodzić. Przez pamięć dawnych spędzonych u niego lat opiekowałem się, jak mogłem, jego synem. Kiedy wczoraj wszczęto alarm z powodu tych papierów, pierwszą rzeczą, która mi się rzuciła w oczy były brązowe rękawiczki pana Gilchrista leżące na tym krześle. Znałem je dobrze i zrozumiałem, co to oznacza. Gdyby pan profesor Soames je zobaczył, byłoby po wszystkim. Opadłem na to krzesło i nie ruszyłem się z niego dopóki pan profesor nie poszedł do pana. Wtedy wyszedł z sypialni mój młody panicz, którego kiedyś na rękach nosiłem, i wszystko mi wyznał. To było naturalne, że chciałem go ratować i przemówić do niego, jakby to jego zmarły ojciec uczynił, i wytłumaczyć mu, że tak nie wolno postępować, choćby z tego nie wiadomo, jaka korzyść miała wyniknąć? Czy ma pan mi to za złe?

— Na pewno nie — odrzekł serdecznie Holmes, zrywając się żywo z fotela. — No, profesorze, zagadka rozwiązana, a w domu czeka na nas śniadanie. Chodźmy, Watsonie. Tobie zaś, młody człowieku, życzymy powodzenia w Rodezji. Raz w życiu upadłeś nisko, przyszłość pokaże, jak wysoko potrafisz się wznieść.

Przełożył Jan Meysztowicz

ROZDZIAŁ X

UMIERAJĄCY DETEKTYW

Pani Hudson, gospodyni Sherlocka Holmesa, była niezwykle wyrozumiałą kobietą. Pierwsze piętro jej domu nawiedzały nieustannie, o wszelkich porach dnia i nocy, dziwne, nieraz nie budzące zaufania osoby; ekscentryczne zaś obyczaje jej niezwyklego lokatora i dziwaczny tryb jego życia wciąż wystawiały jej cierpliwość na nie lada próbę. Okropny nieporządek, jaki otaczał zwykle Holmesa, jego zamiłowanie do muzyki, któremu hołdował w najbardziej nieoczekiwanych godzinach, ćwiczenia w strzelaniu z pistoletu uprawiane w mieszkaniu, tajemnicze, a często i cuchnące eksperymenty naukowe oraz nieodłączna od jego osoby atmosfera niebezpieczeństwa i przestępczości — wszystko to czyniło zeń najgorszego lokatora w Londynie. Z drugiej strony, wysokość opłacanych przez niego czynszów była godna książęcej szkatuły. Jestem przekonany, że można byłoby kupić ten dom za sumę wpłaconą przez Holmesa tytułem czynszów w okresie tych kilku lat, kiedy mieszkaliśmy razem.

Pani Hudson bała się go w najwyższym stopniu i nigdy nie śmiała mu się sprzeciwić, choćby na niesłychane pozwalał sobie wybryki. Jednakże lubiła go bardzo, gdyż jego stosunek do kobiet cechowała zawsze niezwykle kurtuazja i delikatność. Holmes nie ufał na ogół płci pięknej i unikał towarzystwa kobiet, lecz był zawsze rycersko nastrojonym przeciwnikiem. Wiedząc, jak szczerze pani Hudson jest do niego przywiązana, słuchałem uważnie jej wywodów, gdy przyszła do mego mieszkania w drugim roku mego małżeńskiego pożycia i opowiedziała mi o groźnym stanie zdrowia mego przyjaciela.

— On umiera, panie doktorze — lamentowała. — Przez ostatnie trzy dni coraz z nim gorzej i wątpię, czy pożyje dłużej niż do wieczora. Nie pozwalał mi sprowadzić lekarza. Dziś rano, widząc jego wychudzoną twarz i wielkie, błyszczące oczy, nie mogłam znieść tego dłużej. „Z pańskim pozwoleniem lub bez — powiedziałam — wychodzę natychmiast po lekarza”. „W takim razie — powiedział pan Holmes — niech przyjdzie doktor Watson”. Nie mamy ani chwili do stracenia, jeśli pan doktor chce go zastać przy życiu.

Nie wiedziałem nic o chorobie Holmesa i przeraziła mnie ta wiadomość. Toteż z największym pośpiechem chwyciłem płaszcz i kapelusz i jadąc z panią Hudson na Baker Street, wypytywałem ją o szczegóły.

— Niewiele mogę panu doktorowi powiedzieć. Zajęty był właśnie jakąś sprawą w Rotherhithe, w jakiejś uliczce nad rzeką, i stamtąd przywłókł chorobę. Położył się w środę po południu i od tego czasu nie rusza się z łóżka. Przez trzy dni nic nie jadł i nie pił.

— Wielki Boże! Dlaczego pani nie sprowadziła lekarza?

— Nie chciałam o tym słyszeć! Pan wie, jaki on jest uparty. Nie śmiałam mu się sprzeciwić. Ale niedługo już będzie oglądał ten świat, jak się pan doktor sam za chwilę przekonasz.

Okropny to był zaiste widok. W posępnym półświecie listopadowego dnia każdy pokój musi wywoływać przygnębiające wrażenie, ale zdałem sobie sprawę z całej grozy położenia dopiero wtedy, gdy zobaczyłem wychudłą, zsiniałą twarz spoglądającą na mnie z łóżka. Oczy Holmesa błyszczały, na policzkach płonął chorobliwy rumieniec, a spieczone wargi były aż czarne od gorączki. Wysmukłe dłonie, leżące na kołdrze, drgały nieustannie spazmatycznym skurczem, głos był urywany i chrapliwy. Gdy wszedłem do pokoju, leżał nieruchomo, ale widząc, jak jego oczy nagle się rozjaśniły, zrozumiałem, że mnie poznaje.

— No cóż, Watsonie, przyszła i na mnie kolej — odezwał się cicho, ale nie bez swej zwykłej nonszalancji.

— Mój drogi przyjacielu! — zawołałem, zbliżając się do niego.

— Nie podchodź do mnie! Cofnij się natychmiast! — rzekł ostro, ze stanowczością, jaką miewał w najbardziej decydujących chwilach.

— Dlaczego?

— Bo takie jest moje życzenie. Czy to nie wystarczy?

Jakże miała rację poczciwa pani Hudson! Był bardziej niż kiedykolwiek uparty i narzucający swoją wolę. Czy mogłem jednak nie litować się nad nim?

— Chciałem tylko przyjść ci z pomocą.

— Właśnie. Dopomożesz mi najbardziej, postępując zgodnie z tym, co ci mówię.

— Bardzo chętnie.

Holmes rozchmurzył się nieco.

— Nie gniewasz się na mnie? — zapytał, dysząc ciężko. Biedaczysko! Jak mogłem się na niego gniewać, widząc go w takim oplakanym stanie.

— To ze względu na ciebie — zacharczał.

— Ze względu na mnie?

— Ja wiem, co to jest. Ta choroba pochodzi z Sumatry. Szerzy się tam od czasu do czasu wśród tubylców. Coś w rodzaju dżumy. Holendrzy znają się na tym lepiej od nas, ale jak dotychczas i oni nie znają środków zaradczych. Jest zawsze śmiertelna i niesłychanie zaraźliwa.

Mówił ze wzrastającym wysiłkiem i gestami drżącej ręki wskazywał, że mam się oddalić od łóżka.

— Zaraźliwa przez dotyk, Watsonie. Jedno dotknięcie wystarczy. Trzymaj się ode mnie z daleka, a wszystko będzie dobrze.

— Na miłość boską! Czy wyobrażasz sobie, że tego rodzaju względy mogą mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie? Nie zawahałbym się, gdyby chodziło o obcego mi człowieka, a cóż dopiero, gdy idzie o życie mego starego przyjaciela. Czy myślisz, że cofnę się przed spełnieniem mego obowiązku?

Podszedłem ponownie do łóżka, lecz cofnąłem się natychmiast jakby odepchnięty, tak groźnym obrzucił mnie wzrokiem.

— Jeśli będziesz stał z daleka ode mnie, możemy rozmawiać, w przeciwnym razie musisz opuścić ten pokój.

Żywię najgłębszy szacunek dla niepoślednich zalet Holmesa i zawsze ulegałem jego życzeniom, nawet gdy ich nie rozumiałem, ale tym razem przeciwstawiły mu się wszystkie moje zawodowe instynkty. Gotów byłem uznawać jego wyższość, lecz nie wtedy, gdy chodziło o jego zdrowie.

— Nie wiesz, co mówisz, mój drogi. Chory człowiek jest jak dziecko i jako takie będę cię traktować. Bez względu na to, czy sobie życzysz, czy nie, zbadam cię i przystąpię do leczenia.

Holmes spojrział na mnie jadowitym wzrokiem.

— Jeśli mam, wbrew mojej woli, mieć do czynienia z lekarzem, to przynajmniej z takim, do którego mam zaufanie.

— Jak to? Nie masz do mnie zaufania?

— Ufam całkowicie twojej przyjaźni. Liczymy się jednak z faktami. Nie jesteś żadnym specjalistą, tylko zwykłym lekarzem, o ograniczonym doświadczeniu i miernych kwalifikacjach. Przykro to mówić, ale sam mnie do tego zmuszasz.

Wzdrygnąłem się, boleśnie dotknięty.

— Ta niegodna ciebie uwaga wskazuje wyraźnie, w jakim stanie są twoje nerwy, lecz jeśli nie masz do mnie zaufania, nie będę ci narzucał moich usług. Pozwól mi jednak zwrócić się do sir Jaspera Meeka lub Penrose'a Fishera, lub któregośkolwiek z najwybitniejszych lekarzy w Londynie. Jakiś lekarz musi cię zbadać i od tego nie odstępnię. Jeśli myślisz, że będę się

tutaj przyglądał beczynnemu twojej agonii zamiast ratować cię sam lub z czyjąś pomocą, mylisz się gruntownie.

— Doceniam twoje uczucia — odpowiedział Holmes głosem przypominającym jęk i szlochanie zarazem. — Czy mam ci dowieść twojej ignorancji? Co ci jest wiadomo na przykład o febrze Tapanuli? Co wiesz o odmianie czarnej ospy, której bakterie pochodzą z Formozy?

— Nigdy o takich chorobach nie słyszałem.

— Na Dalekim Wschodzie istnieją różne nie zbadane dotychczas zarazy i infekcje — mówił Holmes, odpoczywając po każdym zdaniu. — Wiele się dowiedziałem z moich ostatnich spraw, które miały zarówno kryminalne, jak medyczne aspekty. Wtedy to właśnie się zaraziłem. Nie jesteś w stanie mi pomóc.

— Być może. Ale wiem przypadkowo, że doktor Ainstree, największy z żyjących znawców chorób tropikalnych, przebywa obecnie w Londynie. Twój upór na nic się nie zda. Idę natychmiast po niego. — I ruszyłem stanowczo ku drzwiom.

Nic w życiu nie zaskoczyło mnie bardziej niż reakcja Holmesa! Ten konający człowiek jednym, iście tygrysim ruchem wyskoczył z łóżka, odepchnął mnie i zanim zdołałem się opamiętać, zamknął drzwi na klucz. Wtedy słaniając się i dysząc po tak ogromnym, zdawałoby się, wysiłku, powrócił do łóżka.

— Nie odbierzesz mi siłą tego klucza. Postawiłem na swoim, przyjacielu. Jesteś tutaj i tutaj pozostaniesz tak długo, jak mi to będzie dogadzało. — Jego oddech stawał się coraz bardziej przerywany, krztusił się bez mała przy każdym słowie. — Ale zaraz ci ułagodzę. Masz tylko moje dobro na sercu. Wiem o tym doskonale. Zgodzę się na twoją propozycję, ale jeszcze nie teraz. Daj mi trochę czasu i pozwól mi odzyskać nieco sił. Teraz jest godzina czwarta. Wypuszczę cię o szóstej.

— Ależ to szaleństwo!

— Tylko dwie godziny. Obiecuję ci, że wyjdiesz stąd o szóstej. Zgadzasz się?

— Nie mam wyboru.

— Nie masz istotnie. Nie, dziękuję ci, z kołdrą sam sobie poradzę. Nie podchodź do mnie, trzymaj się z daleka. Aha, jeszcze jeden warunek: zwrócisz się o pomoc nie do lekarza, którego wymieniłeś, ale do tego, którego ci wskażę.

— Bardzo chętnie.

— Nareszcie dwa rozsądne słowa. Tam na półce znajdziesz nieco książek. Jestem cokolwiek wyczerpany. Ciekawe, jak się czuje akumulator włączony do czegoś, co nie jest przewodnikiem prądu elektrycznego, o szóstej pomówimy znowu.

Holmes przemówił do mnie jednak o wiele wcześniej, i to w okolicznościach, które zaskoczyły mnie prawie w tej samej mierze, co jego skok ku drzwiom. Stałem przez czas jakiś, przyglądając się postaci leżącej nieruchomo na łóżku. Twarz Holmesa była ledwie widoczna spod kołdry i zdawało mi się, że usnął. Nie mogłem się zdecydować na czytanie, zacząłem więc przechadzać się po pokoju, oglądając wizerunki sławnych przestępców, którymi ozdobione były wszystkie ściany. Wreszcie, chodząc tak bez celu, zbliżyłem się do kominka. Na jego gzymsie leżały porzucane w niesłychanym bezładzie fajki, kapciuchy, strzykawki, scyzoryki, naboje do pistoletu i najrozmaitsze rupiecie. Wśród nich stało małe inkrustowane hebanem pudełko z kości słoniowej, o wysuwanej pokrywce. Podobało mi się i wyciągnąłem rękę, chcąc mu się lepiej przyjrzeć, gdy wtem...

Holmes wrzasnął tak przerażająco i donośnie, że chyba na ulicy było go słychać. Zimny pot wystąpił mi na czoło i poczułem, jak włosy jeżą mi się na głowie. Odwróciłem się i ujrzałem wykrzywioną konwulsyjnie twarz Holmesa i jego oczy ciskające pioruny. Stałem nieruchomo, trzymając pudełko w ręku.

— Połóż to! Natychmiast! Połóż to! Słuchaj, co ci mówię! Połóż! — Głowa opadła mu na poduszki i odetchnął z ulgą, widząc, jak odkładam pudełko na kominek.

— Nie znoszę, gdy ktokolwiek dotyka moich rzeczy! Wiesz o tym dobrze. Kręcisz się po pokoju, że trudno wytrzymać. Taki lekarz jak ty może doprowadzić pacjenta do obłądu. Usiądź i pozwól mi odpocząć.

Ten incydent wywarł na mnie bardzo przygnębiające wrażenie. Gwałtowne i niczym nie uzasadnione podniecenie Holmesa, brutalność jego wypowiedzi, tak nie licująca z jego normalnym, nacechowanym uprzejmością sposobem bycia, wszystko to ponad wszelką wątpliwość wskazywało na groźne porażenie jego władz umysłowych. A nie ma nic bardziej tragicznego niż ruina wspaniałego umysłu. Siedziałem więc milczący i ponury aż do nadejścia umówionej godziny. Holmes musiał również spoglądać na zegar, zaledwie bowiem wskazówka dobiegła godziny szóstej, zaczął mówić z tym samym co i poprzednio gorączkowym ożywieniem.

— Słuchaj mnie uważnie, Watsonie. Czy masz jakieś drobne w kieszeni?

— Owszem, mam.

— Srebrne monety?

— Mam ich sporo.

— Ile masz półkoronówek?

— Pięć.

— To za mało! Stanowczo za mało! Jaka szkoda. Ha, trudno, włóż te, co masz, do kieszeni od zegarka. Pozostałe pieniądze włóż do lewej kieszeni spodni. W ten sposób łatwiej ci będzie utrzymać równowagę.

Holmes niewątpliwie bredził w malignie. Zadrzał i po chwili mówił dalej, na przemian płaczkowym i jęczącym głosem.

— A teraz zapal lampę gazową, ale dopilnuj, aby ani przez chwilę nie dawała więcej niż połowę normalnego światła. Błagam cię, zrób to bardzo starannie. Dziękuję. Doskonale. Nie podnoś żaluzji. A teraz bądź łaskaw położyć parę listów i papierów tak, abym mógł ich dosięgnąć. Dziękuję. A teraz złóż tu parę rupieci z kominka. Tak, świetnie. Znajdziesz tam szczypcę od cukru. Z ich pomocą weź to małe pudełko z kości słoniowej. Postaw je wśród tych papierów. Tak, dobrze. A teraz możesz iść i sprowadzić tutaj pana Culvertona Smitha. Mieszka pod numerem trzynastym, Lower Burke Street.

Przyznaję, że konieczność niezwłocznego sprowadzenia lekarza wydała mi się wtedy mniej paląca, gdyż obawiałem się pozostawić nieszczęsnego Holmesa samego, w stanie oczywistego delirium. Jednakże pragnął widzieć u siebie wymienioną osobę równie gorąco, jak przedtem protestował przeciwko wizycie lekarskiej.

— Nigdy nie słyszałem o takim lekarzu — rzekłem.

— Wcale mnie to nie dziwi. Wyobraź sobie, że człowiek, który lepiej niż ktokolwiek na świecie zna się na tej chorobie, nie jest lekarzem, lecz plantatorem. Pan Culverton Smith stale mieszka na Sumatrze, gdzie jest dosyć znany, lecz obecnie bawi w Londynie. Wybuch tej epidemii na jego plantacji, bardzo oddalonej od wszelkich ośrodków pomocy lekarskiej, skłonił go do zainteresowania się osobiście tą zarazą, co z czasem pociągnęło za sobą daleko idące konsekwencje. Pan Smith jest bardzo systematycznym człowiekiem i nie chciałem, abyś udał się do niego przed szóstą, gdyż na pewno byś go nie zastał. Gdybyś potrafił go namówić, aby przyszedł i pozwolił mi skorzystać ze swego ogromnego doświadczenia w dziedzinie choroby, której badanie należy do jego ulubionych zajęć, nie wątpię, że zdołałby mi pomóc.

Podaję te wywody Holmesa jako całość, aczkolwiek przerywał je przy każdym niemal słowie; nie próbuję nawet opisać wszystkich objawów cierpienia, jakie im towarzyszyły. W ciągu tych paru godzin jego stan zdrowia znacznie się pogorszył; ceglaste wypieki na zapadniętych policzkach występowały coraz wyraźniej, sino podkrążone oczy błyszczały gorączką, a na brwiach lśniły krople potu. Zachował jednak stanowczość i precyzję wymowy. Jego osobowość górowała nad chorobą aż do ostatniego tchu.

— Powiedz mu dokładnie, w jakim stanie mnie znalazłeś. Przekaż mu wrażenie, jakie sam odniosłeś; zastałeś tutaj umierającego człowieka, umierającego i tracącego przytomność. Nie wiem doprawdy, dlaczego całe dno oceanu nie jest szczelnie pokryte ostrygami, tak szybko mnożą się te stworzenia. Ale, ale, czyżbym zaczynał majaczyć? To zastanawiające, jak mózg potrafi opanować to, co się w nim dzieje. O czym ja mówiłem?

— Tłumaczyłeś mi, co mam powiedzieć panu Culvertonowi Smithowi.

— Tak, tak, pamiętam. Moje życie od tego zależy. Ublągaj go, Watsonie. On mi bynajmniej dobrze nie życzy. Jego siostrzeniec... podejrzewałem coś i dałem mu to do zrozumienia. Ten chłopak zmarł straszną śmiercią. Smith nie może mi tego darować. Musisz go ugłaskać. Proś, błagaj, rób co chcesz, ale sprowadź go tu! Tylko on może mnie uratować.

— Przywiozę go dorożką, choćbym go miał z domu za kark wywlec.

— Nie uczynisz nic podobnego. Musisz posługiwać się wyłącznie perswazją. A potem wrócisz do mnie, zanim się tu zjawi. Bądź tu przed nim, pod jakimkolwiek pretekstem. Nie zapomnij o tym. Nie zawiedziesz mnie. Nigdy mnie nie zawiodłeś. Te stworzenia muszą mieć naturalnych wrogów, co hamuje ich mnożenie się. Ty i ja zrobiliśmy, co do nas należało. Czyżby świat miał zostać opanowany przez ostrygi? Nie, nie, to straszne! Powiedz mu wszystko, co o tym sądzisz.

Opuściłem Holmesa przejęty żalem i zgrozą. Ten wybitny człowiek bredził jak ogłupiałe dziecko. Wręczył mi klucz, a będąc w obawie, że może zamknąć się w swoim pokoju, zabrałem go ze sobą. Pani Hudson, drżąca i zapłakana, oczekiwała mnie na schodach. Zbliżając się do drzwi wyjściowych, słyszałem za sobą przenikliwy głos Holmesa wygadującego coś od rzeczy.

Znalazłszy się na ulicy, zagwizdałem na dorożkę i w tejże chwili podszedł do mnie jakiś mężczyzna. Był to nasz stary znajomy, inspektor Morton ze Scotland Yardu.

— Jak się miewa pan Holmes? — zapytał.

— Jest bardzo ciężko chory — odpowiedziałem.

Popatrzył na mnie w dziwny sposób. Byłem przekonany, że nie jest zdolny do tak nikczemnych uczuć, a jednak w świetle ulicznej latarni wydawało mi się, że w jego spojrzeniu dostrzegam jakby radość.

— Słyszałem coś niecoś o tym — rzekł.

Podjechała dorożka, więc pozostawiłem go stojącego na trotuarze.

Lower Burke Street, znajdująca się na pograniczu dzielnic Notting Hill i Kensington, składała się z szeregu okazałych budynków. Staroświeckie ogrodzenie z kutego żelaza, masywne drzwi i odrzwia, wypolerowane mosiężne klamki i okucia domu, przed którym zatrzymał się mój dorożkarz, świadczyły o wyszukanej, choć nieco ostentacyjnej wytworności. Do takiego otoczenia dopasowana była majestatyczna postać kamerdynera, który ukazał się na tle smugi różowego światła lampy elektrycznej, osłoniętej wykwintnym abażurem.

— Tak, pan Culverton Smith jest w domu. Doktor Watson? Zaraz zaniosę pański bilet wizytowy.

Moje skromne nazwisko i tytuł naukowy nie wywarły na panu Smith większego wrażenia. Poprzez uchylone drzwi dosłyszałem jego wysoki, raczej piskliwy, władczy głos.

— Kto to jest? Czego on chce? A nie mówiłem ci już sto razy, że nie życzę sobie, aby mi w tych godzinach przeszkadzano?

Po czym do moich uszu doszedł szmer głosu kamerdynera, tłumaczącego coś łagodnie swemu pracodawcy.

— Nie, nie chcę go widzieć. Nie jestem w stanie pracować w takim rozgardiaszu. Nie ma mnie w domu. Niech przyjdzie rano, jeśli chce mnie koniecznie widzieć. Powiedz mu to.

I znowu rozległ się cichy, szemrzący głos służącego.

— Dosyć tego! Powiedz mu, żeby przyszedł rano albo wcale. Nie chcę przerywać mojej pracy!

Pomyślałem o cierpiącym Holmesie, który, być może, liczył każdą minutę w oczekiwaniu pomocy. W takiej sytuacji nie mogłem sobie pozwolić na ceremonie. Jego życie zależało od szybkości mojej decyzji. Zanim ugrzeczniony kamerdyner zdołał mi przekazać zlecenie swego pana, przeszedłem nagle obok niego i znalazłem się w pokoju.

Pan Culverton Smith powstał z gniewnym okrzykiem z fotela stojącego w pobliżu kominka, w którym buzował tęgi ogień. Ujrzałem szeroką, nalaną twarz, o żółtej, wągrowatej cerze i podwójnym podbródku. Spod krzaczastych, jasnych brwi wyzierała para szarych, odpychających oczu. Na jajowatej, łysej głowie spoczywała mała mycka z czarnego aksamitu, zsunięta kokieteryjnie na różowej pochyłości. Czaszkę miał ogromnych rozmiarów, lecz skonstatowałem ze zdumieniem, że pan Smith był wątłym, przygarbionym, niskiego wzrostu mężczyzną, o nierówno opadających ramionach, jakby w dzieciństwie cierpiał na krzywicę.

— Co to znaczy?! — zawołał skrzeczącym dyszkantem. — Jak pan śmie tu wchodzić wbrew mojej woli? Czyż nie kazałem panu powiedzieć, że jestem gotów przyjąć pana jutro rano?

— Bardzo mi przykro — odpowiedziałem — ale to sprawa nie cierpiąca zwłoki. Pan Sherlock Holmes...

Nazwisko mego przyjaciela wywarło nieoczekiwane silne wrażenie na moim rozmówcy. Oznaki złości zniknęły z jego twarzy, która przybrała wyraz zaciekawienia i czujności.

— Pan przychodzi w imieniu pana Holmesa?

— Opuściłem go przed chwilą.

— Cóż u niego słysząc? Jak się miewa?

— Jest bardzo ciężko chory. To jest powód mego tutaj przybycia.

Pan Smith wskazał mi krzesło, sam zaś powrócił na swój fotel. Przez ułamek sekundy dojrzałem odbicie jego twarzy w lustrze zawieszonym nad kominkiem i mógłbym przysiąc, że zarysował się na niej okropny, zjadliwy uśmiech. Jednakże, pomyślałem sobie, musiał to być po prostu jakiś nerwowy grymas, bo zaraz potem, gdy odwrócił się do mnie, na jego twarzy malowała się autentyczna troska.

— Cóż za niemiła wiadomość — rzekł. — Znam pana Holmesa bardzo mało, mieliśmy pewne wspólne interesy finansowe, lecz odnoszę się z całym szacunkiem do jego zdolności i charakteru. On się interesuje zbrodniami, ja pewnymi chorobami. On ma do czynienia z przestępcami, ja zaś z mikroorganizmami. Oto moje więzienia — mówił, wskazując ustawione na półkach szklane słoje i probówki. — Tam na żelatynowych pożywkach odsiadują karę bardzo groźni zbrodniarze.

— Pan Holmes pragnie pana widzieć właśnie w związku z pańską wyjątkową znajomością tych problemów. Ma wielkie zaufanie do pańskiej wiedzy i powiada, że jest pan jedynym człowiekiem w Londynie, który może przyjść mu z pomocą.

Pan Smith wzdrygnął się, aż aksamitna czapeczka spadła mu z głowy.

— Dlaczego pan Holmes sądzi, że mógłbym mu pomóc?

— Dlatego, że zna się pan jak nikt inny na zarazach Dalekiego j Wschodu.

— Ale dlaczego przypuszcza, że zaraził się wschodnią chorobą?

— Ze względu na swe zajęcia zawodowe przebywał ostatnio w dokach chińskich marynarzy.

Pan Culverton Smith uśmiechnął się uprzejmie i podniósł swą czapeczkę.

— Ach tak. Mam nadzieję, że jego stan jest mniej groźny, niż pan przypuszcza. Kiedy pan Holmes zachorował?

— Mniej więcej trzy dni temu.

— Czy bredzi w malignie?

— Tak, od czasu do czasu.

— Hm, to może być istotnie poważna sprawa. Odmówienie pomocy byłoby niegodne chrześcijanina. Bardzo niechętnie odrywam się od moich prac, panie doktorze, ale to jest wyjątkowy wypadek. Jedziemy.

Pamiętałem jednak o wskazówkach Holmesa i odpowiedziałem bez wahania:

— Muszę jeszcze odwiedzić jednego pacjenta.

— W takim razie pojedę sam. Mam gdzieś zapisany adres pana Holmesa. Może pan liczyć na mnie, będę u niego nie później niż za pół godziny.

Z ciężkim sercem wchodziłem z powrotem do sypialni Holmesa. Nie byłem bynajmniej pewny, czy go zastanę przy życiu. Toteż z ogromną ulgą stwierdziłem, że podczas mojej nieobecności stan jego znacznie się poprawił. Co prawda wciąż był śmiertelnie blady, jednakże całkiem już przytomny, a chociaż mówił głosem słabym, ale jeszcze jaśniej i bardziej rzeczowo niż zwykle.

— Czy widziałeś się z nim?

— Tak, zaraz tu będzie.

— Świetnie. Doskonale. Jesteś najlepszym z posłańców.

— Chciał przyjechać razem ze mną.

— To by się na nic nie zdało. W ten sposób nie osiągnęlibyśmy celu.

Czy pytał, co mi jest?

— Powiedziałem, że zaraziłeś się od chińskich marynarzy w londyńskim porcie.

— Świetnie. Doskonale się spisałeś, przyjacielu. Teraz możesz zniknąć ze sceny.

— Muszę poczekać i usłyszeć jego opinię.

— Oczywiście, ale mam powody, by sądzić, że wypowie swoją opinię znacznie szczerzej, co ma dla mnie zasadnicze znaczenie, jeśli będzie myślał, iż rozmawiamy w cztery oczy. Tutaj za wezłowiek mego łóżka znajdzie się dla ciebie dosyć miejsca.

— Cóż to znowu za pomysł!

— Nie mamy innej alternatywy. W tym pokoju nie ma się gdzie ukryć. Tym lepiej zresztą, bo nic nie może tu wzbudzić podejrzeń. Wciśnij się jakoś za to wysokie wezłowie. — Usiadł nagle na łóżku i jego twarz przybrała wyraz czujnego skupienia. — Słyszysz koła. Szybko, człowieku! I nie ruszaj się stąd, cokolwiek się stanie. Słyszysz? Ani słowa, najmniejszego ruchu. Słuchaj tylko jak najuważniej!

Po czym opadł na poduszki, zupełnie wyczerpany, a jego rozkazujący głos, wydający przemyślane zlecenia, przeobraził się w bełkot tracącego przytomność człowieka.

Przykucnięty w mojej kryjówce, w której się tak szybko i niespodziewanie znalazłem, usłyszałem kroki na schodach oraz skrzypnięcie otwieranych i zamykanych drzwi sypialni. Po czym, ku memu zdziwieniu, nastąpiła długa chwila ciszy, przerywana tylko ciężkim oddechem chorego. Przypuszczałem, że gość stoi przy łóżku i przypatruje się leżącemu.

— Holmes! — zawołał wreszcie nalegającym tonem, jak ktoś, kto budzi śpiącego. — Czy pan mnie nie słyszy?

W chwilę potem usłyszałem szelest pościeli, jakby Smith szarpał chorego za ramię.

— Czy to pan Smith? — wyszeptał Holmes. — Nie śmiałem wierzyć, że pan przyjdzie.

Smith się roześmiał.

— To całkiem zrozumiałe. A jednak tu jestem. Kto się bawi ogniem, poparzy sobie palce.

— To bardzo ładnie z pańskiej strony, bardzo szlachetnie. Doceniam pańską wiedzę.

Smith zachichotał szyderczo.

— Nie mam co do tego wątpliwości. Na szczęście poza panem nikt w Londynie jej nie docenia. Czy pan wie, co panu jest?

— To samo — odrzekł Holmes.

— Tak. Rozpoznaje pan symptomy?

— Niestety, aż nazbyt dobrze.

— No cóż, możliwe, nie zdziwiłbym się bynajmniej, gdyby to istotnie było to samo. Nic dobrego to panu nie wróży. Biedny Wiktor, młody i silny chłopak, umarł czwartego dnia choroby. Niepowszedni to był istotnie wypadek, jak pan sam twierdzi, aby w samym sercu Londynu mój siostrzeniec zaraził się tą egzotyczną, rzadką, wyłącznie azjatycką chorobą. Zaiste zadziwiający zbieg okoliczności. Bardzo sprytnie doszedł pan do tego wniosku, że mam panu za złe wiązanie przyczyny i skutku.

— Wiedziałem, że to pańska sprawka.

— Wiedział pan, co? Ale nie potrafił pan tego dowieść. Nie przeszkodziło to panu jednak w rozsiewaniu o mnie różnych złośliwych plotek, a teraz, gdy się panu noga powinęła, zwraca się pan do mnie i skamle o ratunek. Cóż to ma znaczyć?

Usłyszałem świszczący, przerywany oddech chorego.

— Proszę mi podać wody — wyjęczał.

— Niedługo już pociągniesz, przyjacielu, ale zanim skonasz, chciałbym zamienić z tobą parę słów. I tylko dlatego dam ci wody. Nie chłęcz tak łąpczywie. Tak, tak będzie lepiej. Czy rozumiesz, co ja mówię?

Holmes mruknął boleśnie:

— Niech mnie pan ratuje. Po cóż powracać do tamtej sprawy? Przysięgam, że nikomu już więcej nie wspomnę ani słowem. Proszę mnie wyleczyć, a zapomnę o tym.

— O czym?

— O śmierci Wiktora Savage. To, co pan powiedział przed chwilą, równa się przyznaniu do jego zabójstwa. Zapomnę o tym.

— Możesz zapomnieć lub pamiętać, jak wolisz. Nie widzę ciebie w roli świadka na sali sądowej, widzę natomiast doskonale w zgoła innej i mniej pociągającej — w roli nieboszczyka. To, że wiesz, jak doszło do śmierci mego siostrzeńca, nie ma już dla mnie najmniejszego znaczenia. Nie o nim teraz pomówimy, ale o tobie.

— Tak, tak.

— Ten facet, który przyszedł do mnie, zapomniałem jego nazwisko, mówił, że zaraziłeś się od chińskich marynarzy w londyńskim porcie.

— Nie umiem sobie tego inaczej wytłumaczyć.

— A przecież uważasz się za wybitny umysł. Twojej przebiegłości nikt jakoby nie sprostą. Trafieś jednak na sprytniejszego od siebie. Przypomnij sobie, czy doprawdy nie mogłeś się zarazić w inny sposób?

— Nie wiem. Nie potrafię. Mąci mi się w głowie. Na litość boską, błagam o pomoc.

— Owszem, pomogę ci bardzo chętnie znaleźć przyczynę twojej choroby. Zależy mi, abyś się o tym dowiedział przed śmiercią.

— Czy nie mógłby pan jakoś ulżyć moim cierpieniom?

— Cierpisz, co? O tak, na pewno cierpisz strasznie. Moi kulisi wyli z bólu przed zgonem. Przypuszczam, że odczuwasz coś jakby łamanie kości i drętwienie kończyn?

— Tak, tak.

— Możesz jednak zrozumieć, co do ciebie mówię. Słuchaj więc: czy nie przypominasz sobie żadnego dziwnego incydentu na krótko przed pojawieniem się pierwszych objawów choroby?

— Nie, nic nie pamiętam.

— Pomyśl trochę.

— Jestem zbyt chory, aby myśleć.

— W takim razie pomogę ci. Czy nie otrzymałeś pocztą jakiejś przesyłki?

— Poczta?

— Tak. Czy nie otrzymałeś żadnej paczki?

— Ratunku! — wyjęczał Holmes.

— Słuchaj mnie! — Usłyszałem, jak szturcha konające ciało, i z największym trudem opanowałem się, by nie wyskoczyć z mojej kryjówki. — Musisz mnie wysłuchać i wysłuchasz. Czy pamiętasz paczkę zawierającą pudełko, małe pudełko z kości słoniowej? Otrzymałeś je w środe. Otworzyłeś to pudełko. Pamiętasz?

— Tak, tak, otworzyłem. W środku była jakaś ostra sprężyna. Pewnie jakiś żart...

— To nie był żart, jak się o tym przekonałeś na własnej skórze. Ty głupcze, sam tego chciałeś. Dlaczego zacząłeś się wtrącać do moich spraw? Gdybyś nie był taki wścibski, nie musiałbym cię tak boleśnie uderzyć.

— Pamiętam — wy stękał Holmes. — Ta sprężyna. Skaleczyła mnie w rękę. To pudełko... Leży tutaj na stole.

— Tak, to ono właśnie. Wolę, aby znalazło się zaraz w mojej kieszeni. W ten sposób zniknie ostatni szczątek jakiegokolwiek dowodu. A teraz; powiem ci prawdę. Będiesz umierał wiedząc, że to ja cię zabiłem. Za wiele wiedziałeś o losie Wiktora Savage, więc postarałem się, aby spotkał cię taki sam los. Za chwilę rozpocznie się twoja agonía. Ja zaś zasiądę sobie tutaj i będę się przyglądał, jak umierasz.

Holmes powiedział coś prawie niedosłyszalnym szeptem.

— Co ty gadasz? — rzekł Smith. — Podkręcić płomień w lampie? Aha, robi ci się już ciemno w oczach. Chętnie to uczynię, będę cię lepiej widział. — Przeszedł przez pokój i nagle rozbłysło silne, białe światło lampy gazowej. — Czym mogę ci jeszcze służyć, przyjacielu?

— Proszę o papierosa i zapalki.

O mało nie krzyknąłem z radosnego zdziwienia. Holmes przemówił swym naturalnym głosem, może nieco osłabionym, ale brzmiącym najzupełniej normalnie. Nastąpiła długa chwila ciszy i zdałem sobie sprawę, że Culverton Smith spogląda zdumiony na mego przyjaciela.

— Co to znaczy? — rozległ się jego przenikliwy głos.

— Dobry aktor — odpowiedział Holmes — musi się wżyć w swoją rolę. Daję panu słowo, że od trzech dni nie miałem w ustach ani pożywienia, ani napoju, aż do chwili, gdy pan był łaskaw podać mi szklanekę wody. Najbardziej jednak dokuczało mi powstrzymywanie się od palenia. Nareszcie mogę sobie pozwolić na papierosa. — Dosłyszałem trzask zapalanej zapalki. — Czuję się znacznie lepiej. Ale, ale, czy mi się zdaje, że słyszę kroki jednego z moich przyjaciół?

Istotnie, za drzwiami sypialni rozległy się kroki, drzwi się otworzyły i ukazał się w nich inspektor Morton.

— Wszystko w porządku, oto jest pański klient — rzekł Holmes. Inspektor wypowiedział urzędową formułę zakończoną słowami:

— Aresztuję pana pod zarzutem morderstwa dokonanego na osobie Wiktora Savage.

— Może pan jeszcze dodać: jak również pod zarzutem usiłowania morderstwa na osobie niejakiego Sherlocka Holmesa — powiedział mój przyjaciel parszcząc śmiechem. — Aby oszczędzić wysiłku inwalidzie, pan Culverton Smith zechciał łaskawie dać umówiony sygnał, otwierając szeroko dopływ gazu do lampy. Aresztowany ma w prawej kieszeni swego płaszcza małe pudełeczko z kości słoniowej. Należałoby je od niego odebrać. Radzę panu uczynić to z jak największą ostrożnością. Tak, dziękuję. Proszę je tu położyć. Przyda się jako dowód rzeczowy na rozprawie.

Nagle rozległ się tupot nóg i szamotanie, a potem brzęk stali i okrzyk bólu.

— Może pan co najmniej jeszcze mocniej oberwać — rzekł inspektor. — Proszę stać spokojnie. — Usłyszałem metaliczny dźwięk zatraskiwanych kajdanków.

— Sprytna pułapka! — wykrzyknął piskliwy głos. — To ty, Holmes, staniesz przed sądem, a nie ja. Wezwał mnie tutaj, abym go leczył. Zlitowałem się i przyszedłem. A teraz wmawia we mnie, że powiedziałem różne zmyślane przez niego rzeczy, potwierdzające jego obłądne

podejrzenia. Możesz kłamać, ile ci się żywnie podoba. Nie ma świadków, a moje słowo jest tyle samo warte co twoje.

— Mój Boże! — zawołał Holmes. — Zupełnie o nim zapomniałem. Przepraszam cię, mój drogi Watsonie. Któż by się spodziewał, że mogę zapomnieć o twojej obecności. Nie potrzebuję cię chyba przedstawiać panu Culvertonowi Smithowi, gdyż panowie mieli już ze sobą do czynienia dziś wieczorem. Inspektorze, czy ma pan dorożkę na dole? Przyjadę do was za chwilę, jak tylko się ubiorę, bo mogę wam się przydać.

— Nigdy tego bardziej nie potrzebowałem — mówił Holmes, popijając wino i posilając się biszkoptem w przerwie pomiędzy toaletowymi zabiegami. — Co prawda, jak ci dobrze wiadomo, prowadzę bardzo nieregularny tryb życia, więc tego rodzaju wyczyny łatwiej mi przychodzą. Zależało mi w najwyższym stopniu, aby w umyśle pani Hudson nie powstała najmniejsza wątpliwość co do mego stanu, ona bowiem miała tobie o tym donieść, a ty z kolei jemu. Nie masz mi za złe tej komedii? Zgodzisz się ze mną, że wśród twoich licznych talentów nie znajdziemy sztuki udawania i gdybym cię wtajemniczył, nigdy byś nie potrafił przekonać Smitha o konieczności niezwłocznego przybycia do mego mieszkania, co było najistotniejszym elementem całego planu. Znając jego mściwą naturę, nie miałem wątpliwości, że zechce oglądać swoje dzieło.

— A twój wygląd... Twoja okropna twarz?

— Trzy doby absolutnego postu nie wpływają dodatnio na niczyją urodę — odrzekł Holmes. — Na resztę zaś gąbka, woda i mydło są Wystarczającym lekarstwem. Wazelina i szminka na czoło, belladonna w oczach, róż na policzkach i odpowiednio spreparowany wosk na wargach — to wszystko wywołuje bardzo zadowalające efekty. Sylwiulowanie choroby jest przedmiotem, któremu poświęcę może kiedyś broszurę. Uwagi zaś o ostrygach, półkoronówkach i tym podobne nonsensy wywołują znakomicie wrażenie delirium.

— Ale dlaczego nie pozwalałeś zbliżyć się do siebie, skoro nie było żadnego niebezpieczeństwa infekcji?

— Jak możesz o to pytać? Przecież szanuję twoją lekarską wiedzę. Czy doprawdy posądzasz mnie o to, że mógłbym założyć, iż uznasz za konającego człowieka, który aczkolwiek poważnie osłabiony, ma normalny puls i temperaturę? Z odległości czterech jardów mogłem cię wprowadzić w błąd. A gdyby mi się to nie udało, któż zwabiłby Smitha w pułapkę?

Nie, nie dotykaj, proszę, tego pudełka. Przyglądając mu się dokładnie z boku, można dojrzeć maleńki otwór, z którego, jak żądło żmii, wyskakuje po otwarciu ostro zakończona sprężyna. Nie wątpię, że w jakiś podobny sposób Smith uśmiercił swego siostrzeńca, aby zagarnąć jego majątek. Moja korespondencja zawiera różne rzeczy, mam się więc na baczności wobec wszystkich adresowanych do mnie paczek. Jednakże wiedziałem, że udając, iż jego pomysł wywołał zamierzony skutek, potrafię wydobyć z niego przyznanie się do winy. Tę komedię odegrałem artystycznie, nie gorzej od zawodowego aktora. Podaj mi płaszcz. Dziękuję. Pojedziemy na chwilę do urzędu śledczego, a stamtąd do jakiejś dobrej restauracji. Należy mi się chyba solidny posiłek.

Przełożył Jan Meysztowicz

ROZDZIAŁ XI

BRYLANT KARDYNAŁA MAZARIN

Doktor Watson z prawdziwym zadowoleniem wszedł do pokoju na pierwszym piętrze, na Baker Street, w którym brało początek tyle niezwykłych przeżyć i przygód. Panował tam, jak zawsze, nieporządek. Doktor Watson spojrzął na porozwieszane na ścianach tablice i wykresy naukowe, na poplamiony kwasami chemicznymi stół laboratoryjny, na stojący w kącie futerał do skrzypiec i kubek na węgiel, służący od niepamiętnych czasów do przechowywania fajek i tytoniu. Wreszcie jego wzrok zatrzymał się na sympatycznej, uśmiechniętej twarzy Billy'ego, młodego, roztropnego i uprzejmego chłopca na posyłki, którego obecność była miłym akcentem w atmosferze panującej wokół wielkiego detektywa.

— Nic się tu nie zmieniło — Watson rzekł do niego. — I ty również się nie zmieniłeś. Mam nadzieję, że i o nim można to samo powiedzieć.

Billy zerknął z troską na zamknięte drzwi prowadzące do sypialni.

— Zdaje mi się, że leży w łóżku i śpi — odpowiedział.

Była godzina siódma wieczorem i kończył się piękny letni dzień, ale doktor Watson zbyt dobrze znał dziwaczne przyzwyczajenia przyjaciela, aby się zdziwić, zastając go w łóżku o takiej porze.

— Ma chyba jakąś trudną sprawę na głowie?

— Tak jest — odpowiedział Billy. — Jest ostatnio bardzo zajęty. Obawiam się nawet o jego zdrowie. Wychudł, pobladł i w ogóle nie ma apetytu. „Kiedy pan zje obiad?” — zapytała go pani Hudson. „Pojutrze, o wpół do ósmej” — odpowiedział. Pan doktor dobrze wie, jaki on jest, gdy się na coś lub na kogoś uweźmie.

— Wiem, Billy.

— On kogoś śledzi. Wczoraj wyszedł z domu w ubraniu robotnika, takiego, co się szwenda tu i tam w poszukiwaniu pracy. Dzisiaj rano przebrał się za starą kobietę. Nie poznałem go w pierwszej chwili, a przecież powinienem już znać jego sposoby.

Billy wskazał na bardzo postrzępiony parasol oparty o kanapę:

— To należało do wyposażenia tej starej baby.

— Ale o co właściwie chodzi?

— Ci...! — Billy zniżył głos, jak ktoś dyskutujący o tajemnicach państwowych. — Myślę, że mogę to panu doktorowi powiedzieć, ale to musi zostać między nami. To dotyczy tego królewskiego brylantu!

— Chodzi o tę kradzież, o której tyle się czyta teraz w gazetach? Brylant warty sto tysięcy funtów?

— Tak. Muszą go odzyskać. Czy uwierzy pan doktor, że pan premier i pan minister spraw wewnętrznych przyszli do nas osobiście i siedzieli na tej właśnie kanapie? Byli kompletnie załamani. Pan Holmes uspokajał ich i obiecał, że nie zawiedzie ich nadziei, że zrobi wszystko, co w jego mocy. A co do tego okropnego lorda Cantlemere'a....

— On był tu również?

— A jakże. Z tym facetem, o ile wolno mi tak powiedzieć, trudno się dogadać. Premier zrobił na mnie całkiem dobre wrażenie, nie mam również nic przeciwko ministrowi spraw wewnętrznych. Myślę, że to dobroduszny, spokojny człowiek. Ale co innego ten lord. Doprawdy trudno z nim wytrzymać. Pan Holmes też go nie cierpi. Widzi pan doktor, on nie ma zaufania do pana Holmesa i sprzeciwiał się powierzeniu mu tej sprawy. On by nawet wolał, aby się panu Holmesowi nie udało.

— I pan Holmes wie o tym?

— Pan Holmes zawsze wie wszystko, co wiedzieć powinien.

— Miejmy nadzieję, że Holmes da sobie radę z tą sprawą, wbrew temu, co sądzi lord Cantlemere. A teraz powiedz mi, co to za dziwna kotara zasłaniająca okno?

— Pan Holmes kazał ją zawiesić trzy dni temu. Za nią znajduje się coś śmiesznego.

Billy podszedł i odsunął kotarę zasłaniającą dosyć głęboką niszę, w której znajdowało się szerokie, łukowate okno, sięgające aż do podłogi.

Doktor Watson nie potrafił opanować okrzyku zdumienia.

Na fotelu ustawionym tuż przy oknie siedział sobowtór Holmesa, ubrany w jego ulubiony szlafrok, z twarzą zwróconą częściowo w kierunku okna i nieco pochyloną, jakby czytał niewidzialną książkę. Billy odczepił głowę figury i uniósł ją do góry w triumfalnym geście.

— Co jakiś czas ją przekręcamy, żeby wydawała się jeszcze bardziej żywa. Nie śmiałbym jej ruszyć przy odsłoniętych firankach, bo wtedy wszystko widać z drugiej strony ulicy.

— Kiedyś już używaliśmy podobnego sobowtóra.

— To nie za moich czasów — rzekł Billy, po czym rozchylił nieco firankę i wyjrzał przez okno. — Z tamtej strony ulicy, naprzeciw naszego domu, jacyś faceci ciągle nas obserwują. I teraz nawet widzę kogoś w oknie. Niech pan doktor sam się o tym przekona.

Watson zrobił krok do przodu, lecz w tej samej chwili otworzyły się drzwi sypialni i ukazała się w nich wysoka, smukła postać Holmesa. Twarz miał bladą i wychudzoną, ale cała jego postawa i każdy ruch tchnęły jak zwykle energią. Jednym skokiem znalazł się przy oknie i zasłonił je starannie.

— Dosyć tej zabawy, Billy — rzekł — ryzykujesz życiem, a właśnie teraz nie mogę się bez ciebie obejść. Jak się masz, drogi Watsonie. Miło mi cię widzieć na starych śmieciach. Zjawileś się w krytycznym momencie.

— Tak mi się wydaje.

— Billy, możesz odejść. Prawdziwe utrapienie z tym chłopakiem. Jak dalece mogę mu pozwalać narażać się na niebezpieczeństwo?

— Na jakie niebezpieczeństwo?

— Nagłej śmierci. Spodziewam się czegoś dziś wieczorem.

— Czego, na Boga?

— Że mnie zamordują.

— Żartujesz!

— Nawet przy moim ograniczonym poczuciu humoru stać mnie na lepszy dowcip. Tymczasem rozgość się. Mam nadzieję, że dasz się poczęstować kieliszkiem whisky? Cygara i zapalniczkę znajdziesz na dawnym miejscu. Niech sobie popatrzę na ciebie, siedzącego w tym fotelu jak za dawnych czasów... Nie razi cię chyba moja fajka i okropny gatunek tytoniu? W ostatnich dniach zastępuje mi pożywienie.

— A dlaczego nie chcesz jeść?

— Dlatego, że umysł działa sprawniej przy pustym żołądku. Jako lekarz zgodzisz się chyba ze mną, że to, co organizm i krew zyskują na skutek trawienia, dla mózgu jest stratą. Ja zaś jestem mózgiem. Reszta mojej osoby to tylko dodatek. Muszę więc brać pod uwagę przede wszystkim sprawność umysłową.

— O jakim wspominałeś niebezpieczeństwie?

— Ach tak, na wszelki wypadek, gdyby im się to przedsięwzięcie udało, obciążenie twojej pamięci nazwiskiem i adresem mordercy może się okazać wskazane. Podasz je do wiadomości Scotland Yardu, z pozdrowieniem ode mnie i pożegnalnym błogosławieństwem. Nazwisko to brzmi: hrabia Negretto Sylvius. Zapisz koniecznie. Adres: Londyn, 136 Moorside Gardens. Zapamiętasz? Lepiej będzie, jak zapiszesz.

Na szczerzej, łagodnej twarzy Watsona odmalował się niepokój. Wiedział aż za dobrze, na jak ogromne niebezpieczeństwa narażał się nieustannie Holmes. Watson zdawał sobie sprawę, że, unikając wszelkiej przesady, skłonny był raczej je lekceważyć.

Byłem jednak człowiekiem czynu, więc nie namyślając się powiedziałem:

— Możesz na mnie liczyć. Przez najbliższy dzień lub dwa nie mam nic do roboty.

— Nic się nie zmieniłeś. Do twoich licznych przywar dodałeś skłonność do mijania się z prawdą. Patrząc na ciebie, widzę doskonale, że mam do czynienia z bardzo wziętym lekarzem, który nie ma nawet godziny wolnego czasu.

— Naprawdę, niczego ważnego nie przewiduję w najbliższym czasie. Czy nie mógłbyś spowodować aresztowania tego człowieka?

— Mógłbym z łatwością. I to właśnie go dziwi i niepokoi.

— Dlaczego więc tego nie zrobisz?

— Odpowiedź jest prosta: nie wiem, gdzie się ten brylant znajduje.

— Aha, Billy wspominał mi o tym. Chodzi o skradziony brylant należący do koronnych klejnotów?

— Tak, ogromny brylant, o żółtawym odcieniu, który należał niegdyś do kardynała Mazariniego. Zrzuciłem sieć i ryby się w niej już trzepoczą. Ale co mi przyjdzie z ich schwytania, skoro nie odnalazłem brylantu? Przydałoby się, oczywiście, uwolnić świat od tego rodzaju typów, ale tym razem nie o to chodzi. Chcę odzyskać brylant.

— I ten hrabia Sylvius jest jedną z twoich ryb?

— Tak, chociaż właściwie to raczej rekin. Ma ostre zębiska i umie się nimi posługiwać. Drugą rybą jest zawodowy bokser, niejaki Sam Merton. Nawet nie jest złym człowiekiem, ale hrabia potrafił go urobić i wciągnąć do tej roboty. Sam nie jest rekinem, jest po prostu durniem obdarzonym wielką siłą fizyczną i łatwo go złapać na byle przynętę jak płótkę. Toteż i on znalazł się w mojej sieci.

— Gdzie teraz przebywa ten hrabia Sylvius?

— Szliśmy obok siebie dzisiaj rano. Widywałeś mnie już przebranego za starą kobietę. Nigdy jeszcze nie odegrałem lepiej tej roli. Wyobraź sobie, że nawet podniósł upuszczony przeze mnie parasol. „Zwracam zgubę szanownej pani” rzekł z wyszukaną uprzejmością. On jest pół Włochem i gdy mu humor dopisuje, stać go na wdzięk i manieri południowca, ale w innym wcieleniu to prawdziwy diabeł. Życie jest pełne dziwacznych niespodzianek.

— To mogło się zakończyć tragedią.

— Owszem, mogło. Poszedłem za nim aż do warsztatu starego Straubenzee’ego. To on skonstruował tę wiatrówkę, zresztą zrobił to genialnie, i nie zdziwiłbym się, gdyby dzieło tego znakomitego fachowca znajdowało się w tej chwili w oknie naprzeciwko. Czy widziałeś mojego sobowtóra? Oczywiście. Billy ci pokazał. Lada chwila moje drugie ja może dostać kulą w swoją piękną głowę. Billy, co się dzieje?

Chłopak wszedł do pokoju niosąc na tacy bilet wizytowy. Holmes spojrział na bilet z zagadkowym wyrazem twarzy i po chwili uśmiechnął się wesoło.

— Otóż i hrabia we własnej osobie. Doprawdy, tego się nie spodziewałem. Musi mieć mocne nerwy. Włazi prosto do jaskini lwa. Może słyszałeś, że hrabia Sylvius ma opinię świetnego strzelca i myśliwego, a poluje wyłącznie na grubego zwierza. Gdyby dołączył moją osobę do swoich trofeów, byłoby to wspaniałe uwieńczenie jego sportowej kariery. Czuje, że depczę mu po piętach. Ta wizyta tego dowodzi.

— Zawiadom policję

— Zrobię to z pewnością, ale jeszcze nie teraz. Bądź tak dobry, wyjrzyj przez okno i sprawdź, czy ktoś podejrzany nie szwenda się po ulicy koło naszego domu?

Watson odsunął firankę i zerknął ostrożnie na ulicę.

— Tak, koło drzwi kręci się jakiś wysoki, barczysty drab.

— To musi być Sam Merton, wierny, lecz raczej głupi Sam. Billy, gdzie jest ten dżentelmen?

— W przedpokoju.

— Wprowadź go tutaj, gdy zadzwonię.

— Tak, sir.

— Wprowadź go, nawet wtedy, gdy mnie tu nie będzie.

— Tak jest.

Watson poczekał, aż Billy zamknął za sobą drzwi i zwrócił się szybko do swego przyjaciela.

— Holmesie, nie rób tego. To niebezpieczny, zdesperowany człowiek. Gotowy nie cofnąć się przed niczym. Może przyszedł tylko po to, żeby ciebie zamordować.

— Wcale by mnie to nie zdziwiło.

— Proszę cię na wszystko, pozwól mi ze sobą pozostać.

— To fatalnie pokrzyżowałoby wszystkie plany.

— Jego plany?

— Nie, mój drogi, moje.

— Nie mogę cię jednak zostawić samego.

— Owszem, możesz. A nawet to zrobisz. Jeszcze nigdy nie popsuleś mi moich zamierzeń. Jestem pewny, że i tym razem zagrasz ze mną do końca. Ten hrabia przyszedł ze swoim planem, ale musi się dostosować do mojego.

Holmes wyciągnął notes i szybko skreślił parę słów na wyrwanej z niego kartce.

— Weź doróżkę, jedź do Scotland Yardu i oddaj to Youghalowi z departamentu śledczego. Wróć tu razem z policją. A potem aresztujemy tego człowieka.

— Zrobię to z prawdziwą przyjemnością.

— Do czasu twojego powrotu będę miał dosyć czasu, żeby wykryć, gdzie znajduje się brylant.

Holmes zadzwonił.

— Obaj wyjdziemy przez sypialnię. To zapasowe wyjście jest czasami bardzo przydatne. Chcę zobaczyć mojego rekina nie będąc widziany przez niego, pamiętasz przecież, że mam na to swoje sposoby.

Tak więc minutę później Billy wprowadził hrabiego do pustego pokoju. Sławny myśliwy, sportsmen i bywalec wielkomijskich salonów był wysokim mężczyzną o śniadej cerze, długim, haczykowatym nosie, przypominającym dziób orła, i ciemnych wąsach, ocieniających wąskie, zacięte usta. Ubrany był wytwornie, lecz jego cokolwiek zbyt barwny krawat, drogocenna szpilka w niego wetknięta i błyszczące pierścienie na palcach nadawały mu nieco pospolity wygląd. Gdy drzwi zamknęły się za nim, rozejrzał się wokoło niespokojnie, jak ktoś obawiający się na każdym kroku pułapki. Dojrzał nieruchomą głowę i kołnierz szlafroka wystające nad oparciem fotela stojącego przy oknie i wzdrygnął się gwałtownie. W pierwszej chwili na jego twarzy odmalowało się tylko zdumienie, następnie jednak w ciemnych, drapieźnych oczach błysnęła straszliwa nadzieja. Rozejrzał się ponownie, sprawdzając, czy w pokoju nie ma ewentualnych świadków, i zaczął się skradać na palcach, z uniesioną w górę grubą laską w ręce, ku milczącej postaci w fotelu. Przysiadł, jakby nabierając rozpędu, gdy nagle w drzwiach sypialni rozległ się chłodny, ironiczny głos Holmesa:

— Ostrożnie, panie hrabio, proszę mi go nie rozbić.

Niedoszły morderca cofnął się jednym skokiem, starając się opanować grymas zdziwienia. Przez chwilę trzymał swą wypełnioną ołowiem laskę w takiej pozycji, jakby się namyślał, czy nie przerzucić swych zabójczych zamiarów z podobizny na oryginał, ale było coś takiego w przenikliwych szarych oczach Holmesa i jego drwiącym uśmiechu, że ręka hrabiego opadła bezwładnie.

— To naprawdę artystyczne dzieło — rzekł Holmes, podchodząc do swej podobizny na fotelu. — Wyszło z rąk Taveniera, francuskiego specjalisty od figur woskowych. Jest mistrzem w swoim zawodzie, równie dobrym jak pański przyjaciel Straubenzee w sporządzaniu wiatrówek.

— Wiatrówek? Jak to mam rozumieć?

— Proszę położyć kapelusz i laskę na tym stole. Dziękuję. Pan hrabia zechce łaskawie usiąść. Czy nie ma pan nic przeciwko odłożeniu również swojego rewolweru? A zresztą mniejsza z tym, jeśli pan woli na nim siedzieć. Jestem doprawdy wdzięczny za tę wizytę, bardzo mi zależy na krótkiej pogawędce z panem.

Hrabia Sylvius skrzywił się i spojrzał spode łba.

— Ja również chcę zamienić z panem parę słów. I dlatego tu jestem. Nie zaprzeczam, że przed chwilą miałem szczerą ochotę roztrzaskać panu głowę.

Holmes przysiadł na krawędzi stołu.

— I mnie się tak zdawało, ale skąd to zainteresowanie moją osobą?

— Ponieważ ciągle pan staje na mojej drodze. Ponieważ każe mnie śledzić swoim agentom.

— Moim agentom? Nic podobnego! Proszę mi wierzyć!

— Bzdury! Kazałem ich również śledzić, tę grę można uprawiać na dwie strony.

— Może to nieistotne, ale bardzo prosiłbym, hrabio, o zachowanie w stosunku do mnie elementarnych form grzeczności. Zdaje pan sobie zapewne sprawę, że w moim zawodzie mam do czynienia z całą galerią łobuzów i oszustów, a nieraz i złoczyńców wszelkiego rodzaju, nie mogę więc pozwalać im na zbyt dużą poufałość, a robienie jakichkolwiek wyjątków bardzo mnie irytuje.

— W porządku, panie Holmes.

— Doskonale. Pragnę jednak pana zapewnić, że żaden mój agent pana nie śledził.

Hrabia Sylvius roześmiał się pogardliwie.

— Nie tylko pan ma oczy otwarte i umie obserwować, co się koło niego dzieje. Wczoraj łąził za mną jakiś stary mężczyzna, dzisiaj stara baba. Przez cały dzień nie mogłem się od nich odczepić.

— Pan hrabia mi pochlebia. Stary baron Dawson, do którego skazania na szubienicę cokolwiek się przyczyniłem, mówił w przeddzień egzekucji, że gdybym się poświęcił scenie, a nie służbie prawa, zaliczono by mnie do najznakomitszych aktorów. A teraz pan hrabia raczy doceniać moje talenty w tej dziedzinie.

— Jak to? Więc to był pan?...

Holmes wzruszył ramionami.

— Tutaj w kącie stoi parasol, który mi pan tak uprzejmie podniósł, zanim pan zaczął się czegoś domyślać.

— Gdybym wiedział...

— Nie zobaczyłbym już więcej mojego skromnego domu. Zdawałem sobie z tego doskonale sprawę. Któż z nas nie żałuje zaprzepaszczonego w życiu okazji. Nie wiedział pan jednak, że mogę się z tego tylko cieszyć.

Gęste brwi hrabiego Sylwiusa zmarszczyły się jeszcze bardziej, a oczy zaślniły złowrogo.

— Tym gorzej dla pana. Woli pan sam odgrywać każdą rolę, nie korzystając z zastępstwa gorszych aktorów. Dlaczego pan mnie śledzi?

— Czy tak trudno się domyślić? Przecież polował pan nieraz na lwy w Afryce.

— I cóż z tego?

— Dlaczego pan lubi polowanie?

— Dlaczego? Lubię sport, podniecenie, jakiego dostarcza, lubię igrać z niebezpieczeństwem...

— I pragnie pan również uwolnić daną okolicę od niebezpiecznego drapieżnika?

— Oczywiście.

— Ja kieruję się tym samym.

Hrabia zerwał się na równe nogi, a jego ręka skierowała się bezwiednie ku bocznej kieszeni.

— Niech pan siada — powiedział Holmes. — Jest jeszcze inny powód: chcę odzyskać brylant!

Hrabia Sylvius rozparł się w krześle, a na jego twarzy pojawił się uśmiech pełen złośliwej satysfakcji.

— Podziwiam pańską czelność! — rzekł.

— Przecież zdaje pan sobie doskonale sprawę, że dlatego właśnie idę krok w krok za panem. Pragnie się pan dowiedzieć, co mi wiadomo w tej sprawie i czy usunięcie mnie należałoby uznać za absolutną konieczność. To jest istotny cel pańskiej dzisiejszej wizyty. Otóż, moim zdaniem, to jest absolutna konieczność, gdyż wiem wszystko z wyjątkiem jednego szczegółu, który mi pan hrabia zechce za chwilę wyjawić.

— Doprawdy? A cóż to za szczegół, ośmielę się zapytać?

— Gdzie obecnie znajduje się brylant?

Hrabia Sylvius spojrział przenikliwie na swego rozmówcę.

— A więc o to chodzi? A dlaczego, u diabła, sądzi pan, że ja mógłbym to panu powiedzieć?

— Pan hrabia może mi to powiedzieć i powie.

— Doprawdy?

— Nie zwiedzie mnie pan, hrabio — odparł Holmes, a jego szare, na wpół przymknięte oczy zabłyśły groźnym, stalowym blaskiem. — Jest pan przezroczysty jak szkło. Mogę z łatwością odczytać wszystkie pańskie myśli.

— W takim razie wie pan, gdzie się znajduje brylant.

Holmes klasnął w dłonie z uciechą i drwiącym gestem wskazał na swego gościa.

— A zatem pan wie! Sam pan to przyznaje!

— Nic podobnego!

— Panie hrabio, jeśli pan się okaże rozsądnym człowiekiem, możemy dojść do porozumienia. W przeciwnym wypadku spotka pana sporo nieprzyjemności.

Hrabia Syhdus skierował wzrok ku sufitowi i rzekł, rozkładając ręce:

— Więc kto tu mówi o bluffowaniu!

Holmes spojrział na niego badawczo, jak mistrz szachownicy, który obmyśla decydujący ruch. A potem otworzył szufladę biurka i wydobył gruby notes.

— Jak pan myśli, co zawiera ten notes?

— Nie wiem.

— Informacje o pańskiej cennej osobie.

— O mnie?

— Tak, pana. Wszystko tu jest opisane, całe pańskie podłe życie, wszystkie zbrodnicze wyczyny.

— Do stu diabłów! Są granice mojej cierpliwości!

— Wszystko można tu znaleźć. Fakty dotyczące śmierci starej pani Harold; odziedziczony po niej spory majątek szybko pan przehulał i przegrał w karty.

— Pan bredzi!

— A tu wszystkie dane dotyczące historii panny Minnie Warrender...

— No i co z tego! Nic to panu nie da.

— Są tu i inne sprawy, hrabio. Na przykład kradzież w luksusowym ekspresie Paryż–Riwiera, dokonana 13 lutego w 1892 roku. Sfałszowany w tymże roku czek banku Credit Lyonnais.

— Tym razem pomyłka w adresie.

— To znaczy, że nie myślę się co do innych faktów. Jest pan szulerem karcianym, panie hrabio! Gdy przeciwnik posiada wszystkie atuty, dalszą grę uważa pan z reguły za stratę czasu.

— Co to wszystko ma wspólnego z klejnotem, o którym pan wspominał?

— Powoli, panie hrabio, powoli. Niech się pan nie domaga wszystkich szczegółów. Pozwolę sobie przedstawić tę sprawę w mój własny, nudnawy sposób. Mam dowody na wszystko, co jest opisane w tym notesie, ale ponadto rozporządzam dowodami wystarczająco obciążającymi zarówno pana, jak i tego pańskiego zbira, boksera. Wskazują one niezbicie, że jesteście obaj zamieszani w kradzież tego brylantu.

— Doprawdy?!

— Odszukałem dorożkarza, który zawiózł was do Whitehall, oraz dorożkarza, który przywiózł was z powrotem. Odszukałem jedyne go świadka, który widział was wtedy w miejscu, gdzie włamanie zostało dokonane. I wreszcie wiem, że Ikey Sanders odmówił rozcięcia tego brylantu. Sanders wsypał was dokumentnie i nie macie najmniejszej szansy, aby się z tego wykręcić.

Żyły nabrzmiały na czole hrabiego Sylwiusa. Zaciskał pięści, na próżno starając się opanować. Próbował coś powiedzieć, lecz słowa więzły mu w gardle.

— Oto są moje karty — powiedział Holmes. — Wykładał je przed panem. Szukam tylko jednej. Nie wiem, gdzie ukryliście brylant.

— Tego się pan nigdy nie dowie!

— Czyżby? Niech pan będzie rozsądny i trzeźwo osądzi sytuację. Wsadzą pana do więzienia, podobnie jak i Sama Mertona, na jakieś dwadzieścia lat. I cóż panu przyjdzie z posiadania brylantu? Nie osiągnie pan z tego najmniejszej korzyści. Ale jeśli pan go odda... tym razem ujdzie panu na sucho. Nie chodzi nam o pańską osobę ani o Sama Mertona. Chcemy odzyskać brylant. Proszę go zwrócić, a jeśli chodzi o mnie, nie mam nic przeciwko pozostawieniu pana w spokoju i na wolności, dopóki pan nie wykręci nowego numeru. Moim zadaniem nie jest unieszkodliwienie pana, lecz odzyskanie brylantu.

— A jeśli odmówię?

— No cóż, niestety, wtedy nie brylant, ale pan znajdzie się pod kluczem.

Holmes zadzwonił i w drzwiach ukazał się Billy.

— Moim zdaniem należałoby zaprosić Sama na tę konferencję. Ostatecznie jego interesy wchodzi również w grę i winny być reprezentowane. Billy, przed naszym domem kręci się wysoki i szpetny jegomość. Poproś go, aby przyszedł do nas.

— A jeśli nie będzie chciał?

— Żadnej przemocy. Bądź wobec niego łagodny. Gdy mu powiesz, że pan hrabia Sylvius sobie tego życzy, przyjdzie tu z pewnością.

— Co pan zamierza teraz uczynić? — zapytał hrabia po odejściu chłopca.

— Mój przyjaciel Watson był tutaj przed chwilą. Powiedziałem mu, że trzymam w sieci rekina i płotkę, drobną, naiwną płotkę. Teraz zacznę wyciągać sieć i zarówno rekin, jak płotka wyrzują z wody.

Hrabia Sylvius wstał z krzesła, trzymając rękę nieco z tyłu, w okolicach prawego biodra. Ręka Holmesa natomiast spoczywała w kieszeni jego szlafroka.

— Nie umrzesz w łóżku — warknął.

— I mnie się tak nieraz wydaje — odpowiedział Holmes. — Ale to nieważne. Pan natomiast opuści najprawdopodobniej ten świat w pozycji nie poziomej, lecz pionowej. Te rozważania na temat przyszłości są jednak niezbyt miłe, a nawet przygnębiające. Czy nie lepiej cieszyć się terażniejszością?

Hrabia Sylvius zrobił się podobny do krwiożerczego zwierzęcia czającego się do skoku; postać zaś Holmesa, w miarę jak wzrastało napięcie i rosła jego gotowość do natychmiastowej reakcji, wydawała się coraz wyższa.

— Po co sięgać po rewolwer, przyjacielu — rzekł spokojnym, prawie cichym głosem. — Wie pan doskonale, że nie ośmieli się pan go użyć, nawet gdybym nie zdążył w tym przeszkodzić. Rewolwer należy do nieprzyjemnych, robiących dużo hałasu przedmiotów,

radzę więc pozostać przy wiatrówce. Ale, ale, słyszę kroki pańskiego szanownego partnera. Dzień dobry, panie Merton, chyba nudno tak sterczeć na ulicy, prawda?

Zawodowy bokser, potężnie zbudowany młody mężczyzna, o grubo ciosanych rysach wyrażających tępotę i upór, stał zakłopotany w drzwiach i onieśmielony rozglądał się dokoła. Dobroduszość, z jaką powitał go Holmes, zaskoczyła go zupełnie i choć wyczuwał w niej jakieś nieokreślone akcenty wrogości, nie wiedział, jak się w takim wypadku zachować. Zwrócił się więc o pomoc do swego bardziej życiowo wyrobionego towarzysza.

— Co tu jest grane, panie hrabio? Czego ten facet chce ode mnie? — rzekł głębokim, chrapliwym basem.

Hrabia Sylvius wzruszył ramionami. Odpowiedzi udzielił Holmes.

— Postaram się to jak najzwężlej wyrazić. Wszystko się wydało.

Bokser wolał jednak nadal zwracać się do swego protektora.

— Co wygaduje ten facet? Żarty czy co? Nie mam dzisiaj ochoty na żarty!

— Istotnie, nie sędzę, aby pan był w żartobliwym nastroju — powiedział Holmes. — Mogę pana zapewnić, że zanim wieczór upłynie, pański humor znacznie się pogorszy. A teraz do rzeczy, panie hrabio. Jestem bardzo zajęтым człowiekiem i nie mogę sobie pozwolić na stratę czasu. Przejdę do mojej sypialni, pozostawiając panów samych. Proszę się nie krępować i czuć jak u siebie w domu. W cztery oczy będzie panu łatwiej wytłumaczyć przyjacielowi, jak sprawa stoi, ja zaś poświęcę sobie tu obok barkarolę Hoffmana. Za pięć minut wrócę po ostateczną odpowiedź. Alternatywy są jasne, prawda? Albo oddacie brylant, albo obaj powędrujecie za kratki... i to na bardzo długo.

Holmes wyszedł do sypialni, zabierając ze sobą skrzypce. Po chwili zza zamkniętych drzwi rozległy się rzewne tony tej melancholijnie nastrojającej melodii.

— Co to wszystko znaczy? — rzekł zaniepokojony Merton. — Czy on wie o tym kamyczku?

— On wie o wiele za dużo. A może i wszystko.

— Mój Boże! — Błada twarz boksera zbieleła jeszcze bardziej.

— Ikey Sanders nas wyspał.

— Tak? Wykończę go, choćbym miał za to dyndać!

— To niewiele nam pomoże. Musimy zdecydować co robić?

— Chwileczkę — bokser spojrzał nieufnie na drzwi prowadzące do sypialni — to jest sprytna sztuka, z nim trzeba uważać. Może podsłuchuje?

— Jak mógłby podsłuchiwać, grając na skrzypcach?

— Racja. Ale ktoś może się ukrywa za kotarą. Za wiele tych kotar.

Rozejrzał się podejrzliwie po całym pokoju i wówczas dopiero, dostrzegając woskową figurę przy oknie, aż zdrtwiał ze zdumienia, szeroko otwierając usta.

— Eh — rzekł hrabia — to tylko woskowa kukła.

— Podrobiony? Ale jaki podobny! Jak żywy! Jak u Madame Tussaud. I siedzi sobie w szlafroku! Z wosku, pan powiada? Naprawdę jak żywy! A co tam, za tymi kotarami?

— Niech diabli wezmą wszelkie kotary! Tracimy czas, a nie mamy go za dużo. On może nas przymknąć z powodu tego kamienia.

— Niechby spróbował!

— Ale odczepi się od nas, jeśli mu wskażemy, gdzie jest nasza zdobycz.

— Co takiego? Mamy go oddać? Oddać sto tysięcy funciaków?

— Albo jedno, albo drugie.

Merton podrapał się w krótko przystrzyżoną głowę.

— On tam jest sam. Można by go zaciukać. Jak wykituje, będziemy mieli z nim spokój.

Hrabia potrząsnął głową.

— Jest uzbrojony i ma głowę na karku. Zastrzelić go się nie da, bo potem nie zdołamy się stąd wydostać. A poza tym policja wie pewnie wszystko, co wywąchał. Co to? Co się tam dzieje?

Dosłyszeli coś, jakby lekki szmer od strony okna. Obaj porwali się na nogi, nasłuchując i rozglądając się po pokoju. Jednak wszędzie panowała cisza i oprócz nieruchomej figury w fotelu, w pokoju nie było na pewno nikogo.

— To coś na ulicy — odezwał się Merton. — A jeśli o tamto chodzi, to przecież pan chyba potrafi coś wymyślić. Ja nie mam głowy do takich rzeczy. Jeśli go nie można wykończyć, to trzeba by go jakoś inaczej załatwić. To pańskie zmartwienie.

— Nabierałem już sprytniejszych od niego — odpowiedział hrabia. — Kamień mam przy sobie, w zamaskowanej kieszeni. Wolę go nigdzie nie zostawiać. Van Seddar może go wywieźć z Anglii dziś wieczorem i do niedzieli pociąć na ćwiartki w Amsterdamie. Holmes o nim nic nie wie.

— Myślałem, że van Seddar wyjeżdża dopiero w przyszłym tygodniu.

— Miał wyjechać. Ale teraz musi się zabierać najbliższym statkiem. Jeden z nas musi się stąd wymknąć i zanieść kamień na Limę Street i powiadomić van Seddara o tym, co zaszło.

— Walizka o podwójnym dnie nie jest jeszcze gotowa.

— Nic na to nie poradzimy. Musimy zaryzykować. Nie mamy ani chwili do stracenia.

Ulegając instyktowi myśliwego i sportowca, hrabia Sylvius rozejrzał się dokoła. Spojrzał bystro w stronę okna. Tak, ten szmer musiał dochodzić z ulicy.

— Jeśli chodzi o Holmesa — mówił dalej — możemy go łatwo wykiwać. Nie każe nas aresztować, jeśli powiemy mu, gdzie jest ten brylant. Wpuścimy go na fałszywy trop i zanim się zorientuje, będziemy już obaj w Holandii.

— To brzmi niezłe! — zawołał z uśmiechem Merton.

— Ty pójdziesz do van Seddara i powiesz mu, żeby się natychmiast stąd zabierał. Ja pogadam z tym draniem i niby wypowiadam się ze wszystkiego. Powiem mu, że kamień ukryliśmy w Liverpoolu. Niech diabli wezmą tę muzykę, działa mi na nerwy! Zanim się okaże, że brylantu tam nie ma, zdążymy go pociąć na kawałki i sami się dobrze zadekować. Chodź tutaj, stoisz naprzeciwko dziurki od klucza. Mam tu kamień.

— Że też się pan nie boi nosić go przy sobie!

— A gdzie byłoby bezpieczniej? Jeżeli my potrafiliśmy zgarnąć go z Whitehall, ktoś mógłby odszukać go w moim mieszkaniu.

— Pokaż go pan!

Hrabia Sylvius spojrzął na swego współnika niezbyt ufnym wzrokiem i udał, że nie widzi wyciągniętej ku sobie dłoni wątpliwej czystości.

— Boi się pan? Że go panu zwinę? Mam już dość pańskiego zachowania.

— No dobrze, dobrze, po co się zaraz złościsz? Nie możemy sobie pozwolić na kłótnie. Jeśli chcesz się dobrze przypatrzeć tej błyskotce, podejźmy razem do okna. Popatrz, jak się mieni w świetle.

— Dziękuję!

Holmes jednym susem zerwał się z fotela i wyrwał królewski klejnot z ręki Sama. W drugim ręku trzymał rewolwer wycelowany wprost w głowę hrabiego Sylviusa. Obaj złoczyńcy cofnęli się w najwyższym zdumieniu. Zanim zdołali się opamiętać, Holmes nacisnął guzik elektrycznego dzwonka.

— Żadnych gwałtownych ruchów, moi panowie! Bardzo proszę! Miejcie wzgląd na moje meble! Rozumiecie chyba, że sytuacja jest beznadziejna. Policja jest na dole.

Zdumienie hrabiego przewyciężyło jego wściekłość.

— Ale jak, u diabła?... — wyszeptał.

— Wasze zdziwienie jest całkiem naturalne. Nie wiecie, że za tą kotarą ukryte są drugie drzwi, prowadzące do mojej sypialni. Kiedy usuwałem figurę, zdawało mi się, że coś

usłyszeliście, ale szczęście mi dopisało. Mogłem więc wysłuchać waszej szczerzej wymiany zdań, która byłaby niewątpliwie pozbawiona różnych budujących elementów, gdybyście wiedzieli o mojej obecności w tym fotelu.

Hrabia machnął ręką z rezygnacją.

— Przegraliśmy. Pan chyba podpisał pakt z diabłem.

— W każdym razie pozostaję z nim w zażyłych stosunkach — odpowiedział z uprzejmym uśmiechem Holmes.

Niezbyt lotny umysł Sama Mertona powoli ogarniał tak błyskawicznie zmienioną sytuację. Słyszając ciężkie kroki na schodach, odezwał się wreszcie:

— Urodzony z pana policjant, nie ma co mówić. Ale te cholerne skrzypce... przecież je ciągle słyszę!

— Oczywiście — odrzekł Holmes. — Możemy jeszcze posłuchać tej miłej dla ucha melodii. Nowoczesne gramofony to zaiste wspaniałe wynalazki.

Pokój zaroił się od policjantów. Rozległ się metaliczny szczęk zatrzaszanych kajdanek i obaj przestępcy zostali wyprowadzeni do oczekującej na ulicy dorożki.

Doktor Watson natomiast pozostał z Holmesem i gratulował mu nowego i tak błyskotliwego sukcesu. Po chwili ich rozmowę przerwał Billy wnosząc tacę z biletem wizytowym.

— Lord Cantlemere! — zaanonsował uroczyście.

— Poproś go tutaj — rzekł Holmes. — Ten dostojny arystokrata i godny reprezentant Izby Wyższej jest dosyć interesującą osobą. W gruncie rzeczy to szlachetny człowiek, ale jak na mój gust zbyt *ancien regime**. Należałoby go trochę rozruszać. Mam ochotę spletać mu figła. Możemy chyba założyć, że jeszcze nie wie, co tutaj zaszło.

Drzwi się otworzyły, ukazała się w nich chuda, drobna postać, o surowym wyrazie twarzy, ozdobionej parą bokobrodów, przystrzyżonych na wczesnowiktoriańską modłę, i zbyt czarnych, dziwnie nie pasujących do przygarbionych ramion i starczych ruchów.

Holmes podszedł do gościa z wyszukaną uprzejmością i uścisnął podaną mu chłodno dłoń.

— Jestem zaszczycony pana przybyciem, lordzie Cantlemere. Jak na tę porę roku kiepską mamy pogodę, ale u mnie jest całkiem ciepło. Czy pozwoli pan uwolnić się od płaszcza?

— Nie, dziękuję. Wolę pozostać w płaszczu.

Holmes upierał się jednak, chwytając rękaw okrycia gościa.

— Proszę mi wybaczyć to naleganie. Ale obecny tu mój przyjaciel doktor Watson twierdzi zawsze, że nic tak nie sprzyja przeziębieniu jak zmiany temperatury, do których nie umiemy się dostosować.

Lord Cantlemere uwolnił się z rąk Holmesa z lekkim gestem zniecierpliwienia.

— Dziękuję bardzo. Czuję się doskonale w płaszczu. A zresztą nie zamierzam długo tu zabawić. Pozwoliłem sobie wpaść tutaj, aby się dowiedzieć, jak postępuje dochodzenie.

— Przyznaję, że, jest trudna, powiedziałbym nawet, niezwykle trudna...

— Obawiałem się, że dojdzie pan do takiego wniosku.

W głosie i całym zachowaniu starego arystokraty wyczuwało się wyraźnie nutę ironii.

— Prędzej czy później — mówił dalej — każdy człowiek musi się przekonać, jak ograniczone są jego możliwości, ale przynajmniej chroni to nas przed zarozumiałstwem.

— To prawda. Jestem w nie lada kłopotcie.

— Bez wątpienia.

— Zwłaszcza dotyczy to jednego aspektu tej sprawy; może pan mógłby mi coś doradzić.

— Nieco późno zwraca się pan do mnie z taką prośbą. Miałem wrażenie, że pańskie własne metody okazują się z reguły skuteczne. Jednakże chętnie panu służę.

— Otóż łatwo jest sformułować akt oskarżenia przeciwko winnym dokonania kradzieży...

— Po ich schwytaniu.

* *Ancien regime* (franc.) — ustrój we Francji przed rewolucją 1789 r. dawny sposób rządzenia; tu: człowiek o staroświeckich, zacofanych poglądach.

— Oczywiście. Ale z jakiego tytułu należałoby postawić przed sądem tego, w którego posiadaniu znajduje się brylant?

— Czy te rozważania nie są aby przedwczesne?

— Należy wszystko przewidzieć z góry. A więc, co pan uważałby za dostatecznie obciążający dowód?

— Faktyczne posiadanie tego brylantu.

— Czy kazałby pan aresztować posiadacza?

— Niewątpliwie.

Holmes rzadko się śmiał, ale obecnie nie mógł się prawie powstrzymać od wybuchu śmiechu. Jego przyjaciel Watson na próżno usiłował przypomnieć sobie podobną sytuację.

— W takim razie spada na mnie przykry obowiązek wezwania policji, aby pana, sir, aresztowała.

Lord Cantlemere wpadł we wściekłość. Na jego wychudłych policzkach ukazał się od dawna na nich nie widziany płomienny rumieniec.

— Za dużo pan sobie pozwala, panie Holmes. Nie przypominam sobie, aby w ciągu pięćdziesięciu lat mojej służby publicznej ktokolwiek ośmielił się tak do mnie przemawiać. Jestem bardzo zajęty, pełnię poważne funkcje państwowe i nie mam czasu ani ochoty na wątpliwego gatunku żarty. Powiem panu szczerze, iż nigdy nie wierzyłem w pańskie zdolności i byłem zdania, że należy oddać tę sprawę w doświadczone ręce policji. Pańskie zachowanie potwierdza moją opinię. Mam zaszczyt pana pożegnać.

Holmes szybko przeszedł przez pokój i zagroził mu drogę do drzwi.

— Chwileczkę, sir — powiedział. — Wyniesienie stąd brylantu, który należy do klejnotów koronnych i był własnością kardynała Mazariniego, byłoby znacznie poważniejszym przestępstwem niż chwilowe jego posiadanie.

— Tego już za wiele! Proszę odejść od drzwi!

— Proszę włożyć rękę do prawej kieszeni pańskiego płaszcza.

— Co to ma znaczyć?

— Proszę to zrobić!

Chwilę później zdumiony lord, mrugając z niedowierzaniem oczami, trzymał w drżącej dłoni ogromny brylant o żółtawym odcieniu.

— Co...? Co... to jest? Czy... czy to możliwe? — wyjąkał.

— Obecny tu mój przyjaciel doktor Watson chętnie potwierdzi, że mam słabość do żartów i sztuczek tego rodzaju oraz że nie umiem się oprzeć pokusie wywoływania jak najbardziej dramatycznych efektów. Na początku naszej rozmowy pozwoliłem sobie, wyznając to ze szczerą skruchą, wsunąć do pańskiej kieszeni ten brylant.

Stary lord spoglądał raz po raz to na brylant, to na uśmiechniętą twarz Holmesa.

— Jestem doprawdy oszołomiony. Ależ tak, to jest rzeczywiście brylant kardynała Mazariniego. Jesteśmy pana dłużnikami. Pańskie poczucie humoru, jak sam pan powiedział, jest... cokolwiek szczególnego rodzaju, nieco perwersyjne i objawia się w najmniej po temu odpowiednim czasie, lecz wycofuję to, co powiedziałem o pańskich zdolnościach. Ale jak?...

— Ta sprawa nie jest jeszcze całkowicie zakończona. Szczegóły odłożmy na później. Mam nadzieję, że przyjemność, z jaką powiadomi pan po powrocie znakomite grono dostojników o odzyskaniu brylantu, wynagrodzi panu zaskoczenie wywołane moim żartem. Billy, odprowadź, proszę, jego lordowską mość i powiedz pani Hudson, że prosimy o jak najszybsze podanie obiadu na dwie osoby.

Przełożył Jan Meysztołowicz

ROZDZIAŁ XII

ZABÓJSTWO PRZY MOŚCIE

Na ulicy Charing Cross, gdzieś w piwnicach banku Cox & Co, stoi, noszące ślady licznych podróży, płaskie, blaszane pudło, jakiego zazwyczaj używa się do przewożenia poczty wojskowej. Na jego wieku jest wymalowane moje nazwisko:

JOHN H. WATSON, DR MEDYCYNY
EMERYTOWANY OFICER ARMII INDYJSKIEJ

Pełno w nim rozmaitych notatek. Większość z nich dotyczy zagadkowych spraw, z którymi w różnych okresach czasu Sherlock Holmes miał do czynienia. Niektóre, nawet bardzo ciekawe, zakończyły się kompletnym fiaskiem. Nie będę się nimi teraz zajmował, skoro nie udało się ich do końca rozwikłać. Dla profesjonalisty taki problem może stanowić przedmiot badań, ale nie zainteresuje czytelnika.

Jednym z takich nie rozstrzygniętych problemów jest sprawa niejakiego Jamesa Phillimore'a, który wrócił do domu po zapomniany parasol, po czym przepadł jak kamień w wodę i nikt nie ujrzał go już więcej. Równie niezwykła jest zagadka kutra „Alicja”. Pewnego wiosennego poranka wszedł w niewielki kłęb mgły i już się z niej nie wynurzył. Statek wraz z załogą zniknął od tego czasu bez śladu. Trzecią godną uwagi tajemnicą jest los Isadora Persano, słynnego dziennikarza i bohatera kilku głośnych pojedynków, którego znaleziono kompletnie obłąkanego, trzymającego przed sobą pudełko od zapalek, w którym był nieznany nauce robak.

Oprócz spraw niewyjaśnionych, moje notatki zawierają trochę informacji tak ściśle związanych z tajemnicami rodzinnymi, że sama możliwość ich opublikowania wywołałaby nie lada poruszenie w arystokratycznych sferach różnych krajów. Nie może być, oczywiście, mowy o podobnym nadużyciu zaufania i teraz, gdy mój przyjaciel ma dość czasu, aby się tym zająć, będzie można dokonać selekcji i wybrać relacje, które muszą zostać zniszczone. Mimo to zostanie jeszcze i tak sporo spraw mniej lub bardziej interesujących, które już dawniej mogłem ogłosić drukiem, lecz nie uczyniłem tego w obawie, że czytelnik mógłby poczuć przesyt, a chciałbym tego uniknąć, ze względu na osobę Holmesa, którego wyjątkowo cenię. W niektórych uczestniczyłem osobiście i mogę o nich opowiedzieć jako naoczny świadek, inne znam tylko ze słyszenia lub odegrałem w nich tak marginesową rolę, że mogę przystąpić do ich opisania tylko w trzeciej osobie. To, które teraz opowiem, zaczerpnąłem z własnych przeżyć.

Pogoda tego październikowego poranka była fatalna. Ubierając się, widziałem przez okno, jak wiatr porywa ostatnie liście z samotnego platanu, stanowiącego jedyną ozdobę podwórza za naszym domem. Schodząc na śniadanie, myślałem, że zastanę Holmesa w ponurym nastroju, jak każdy bowiem wielki artysta miał naturę niesłychanie wrażliwą na zmiany pogody. Myliłem się jednak. Skończył właśnie śniadanie i był w wyjątkowo dobrym humorze. Jego wesołość, jak zawsze, gdy widział życie w jaśniejszych barwach, przepojona była pogodną ironią.

— Masz jakąś nową sprawę? — zapytałem.

— Zdolność dedukcji jest najwidoczniej zaraźliwa — odpowiedział. — Pozwoliła ci odkryć istotę mojego dobrego samopoczucia. Tak, mam nową sprawę. Po cało — miesięcznej stagnacji i zajmowaniu się blahostkami nareszcie trafiło mi się coś poważniejszego.

— Czy mogę uczestniczyć w tej sprawie?

— Twój udział będzie skromny, ale pomówimy o tym, gdy się uporasz z dwoma jajami na twardo, którymi uraczyła nas nasza nowa kucharka. Ich nie licująca z pierwszym śniadaniem twardość pozostaje zapewne w jakimś związku z egzemplarzem „Family Herald”, który wczoraj widziałem na stole w holu. Nawet tak prosta czynność jak gotowanie jajek wymaga skupienia i uświadomienia sobie roli, jaką w życiu odgrywa czynnik czasu, a to nie da się pogodzić z zamięłowaniem do sentymentalnych powieści drukowanych w tym skądinąd znakomitym czasopiśmie.

Kwadrans później siedzieliśmy naprzeciw siebie przy sprzątniętym stole. Holmes wyciągnął jakiś list z kieszeni.

— Czy słyszałeś o Neilu Gibsonie, zwanym królem złota?

— Masz na myśli amerykańskiego senatora?

— Tak, był kiedyś senatorem z ramienia któregoś z zachodnich stanów, ale znany jest przede wszystkim jako jeden z największych potentatów wśród właścicieli kopalń złota.

— Tak, słyszałem o nim. Zdaje mi się, że przebywał jakiś czas w Anglii. Jego nazwisko jest powszechnie znane.

— Masz rację. Mniej więcej pięć lat temu kupił wielki majątek ziemski w Hampshire. A może słyszałeś o tragicznej śmierci jego żony?

— Oczywiście. Teraz sobie przypominam. Dlatego właśnie tyle się o nim teraz mówi. Nie znam jednak bliższych szczegółów tej tragedii.

Holmes wskazał ręką na stos gazet leżących na krześle.

— Nie spodziewałem się, że wypadnie mi zająć się tą sprawą, więc nie zdążyłem przygotować sobie wycinków i notatek. W gruncie rzeczy ten problem, choć niezwykle sensacyjny, zapowiada się jako bardzo łatwy. Atrakcyjna osobowość oskarżonej nie może przesłaniać oczywistych faktów. Na takim stanowisku stanęły władze sądowe i policja. Sprawa będzie rozpatrywana na sesji sądu przysięgłych w Winchester. Obawiam się, że czeka mnie niewdzięczne zadanie. Mogę wykryć fakty, ale nie potrafię ich zmienić. Jeśli nic nowego i nieoczekiwanego nie wyjdzie na jaw, doprawdy nie wiem, na co mój klient mógłby liczyć.

— Twój klient?

— Ach, zapomniałem ci powiedzieć. Nabrałem twojego zwyczaju komplikowania spraw przez opowiadanie ich od końca. Najpierw to przeczytaj.

Pismo listu, który mi podał, świadczyło o silnym, władcym charakterze piszącego.

Claridge Hotel, 3 października

Wielce Szanowny Panie!

Muszę uczynić wszystko, co leży w mojej mocy, aby ratować od śmierci najlepszą na świecie kobietę. Nie potrafię wyjaśnić faktów... nawet nie próbuję... ale wiem z pewnością, że panna Dunbar jest niewinna. Zna pan na pewno tę sprawę. Któż zresztą jej nie zna? Plotkują o tym w całym kraju! Nikt jednak nie podniósł głosu w jej obronie! Szał mnie ogarnia na tę krzyczącą niesprawiedliwość. Ta kobieta nie potrafiłaby zabić nawet muchy. Będę jutro u pana, może pan zdoła rzucić nieco światła na tę tajemnicę. Może, nie wiedząc o tym, sam posiadam jakiś klucz do niej. W każdym razie, jeśli pan potrafi ją uratować, wszystko, co mam, cały mój majątek i całego siebie stawiam do pańskiej dyspozycji. Liczę na to, że zechce pan poświęcić tej sprawie wszystkie pańskie zdolności.

Łączę wyrazy szacunku J. Neil Gibson

— Teraz — rzekł Holmes, wytrząsając popiół ze swej porannej fajki i powoli nabijając ją na nowo — czekam na przybycie do nas autora tego listu. Jeśli chodzi o samą sprawę, to wątpię, czy zdążysz uporać się z przeczytaniem tych gazet. Jeżeli więc chcesz wziąć czynny udział w tym, co nastąpi, muszę ci streścić w paru słowach przebieg wypadków. Ten

człowiek, to największa potęga finansowa świata. Odnoszę wrażenie, że odznacza się ponadto niezwykle gwałtownym i nieugiętym charakterem. Był żonaty z ofiarą tej tragedii, kobietą, o której właściwie wiem tylko tyle, że nie była już pierwszej młodości. Opiekę nad ich dwojgiem małych dzieci sprawowała bardzo ponętna guwernantka. Oto trzy główne postacie tragedii. Sceną zaś jest wielki, stary pałac, mieszczący się w dobrach o wielkim znaczeniu historycznym. A teraz przejdziemy do rzeczy. Panią Gibson znaleziono w parku, jakieś pół mili od pałacu, późno w nocy, ubraną w wieczorową suknię, z szalem na ramionach i kulą rewolwerową w głowie. Na miejscu nie odkryto żadnych poszlak, niczego, co mogłoby wskazać osobę mordercy. Zapamiętaj: żadnej broni przy zwłokach!

Zabójstwa dokonano najprawdopodobniej późnym wieczorem. Ciało znalazł leśniczy około godziny jedenastej. Lekarz w asyście policji dokonał obdukcji zwłok, po czym przeniesiono je do pałacu. Czy nie streszczam się zbyt i czy wszystko jest jasne?

— Wszystko jest jasne, ale dlaczego podejrzewa się guwernantkę?

— Przede wszystkim dlatego, że istnieją bezpośrednio obciążające ją dowody. Na dnie jej szafy znaleziono rewolwer z jedną komorą w bębunku pustą, a kaliber broni odpowiada kuli wydobytej z czaszki zabitej.

Oczy Holmesa znieruchomiały i raz jeszcze powtórzył przerywanym głosem:

— Na dnie... jej... szafy... — po czym umilkł. Zdałem sobie sprawę, że w jego głowie myśli zaczynają się układać w jakiś logiczny łańcuch i nie należy w żadnym wypadku przerywać ich toku. Nagle Holmes ocknął się gwałtownie z zadumy.

— Tak, mój drogi, znaleziono broń. Trudno o bardziej przekonujący dowód. Takiego zdania są władze. Poza tym przy zabitej znaleziono kartkę wyznaczającą jej spotkanie w miejscu, w którym zbrodnia została dokonana, kartkę podpisaną przez guwernantkę. Co o tym myślisz? Wreszcie pobudki popełnionej zbrodni są najzupełniej oczywiste. Senator Gibson to bardzo korzystna partia. W razie śmierci jego żony któż mógłby zająć miejsce u jego boku, jeśli nie młoda i piękna dziewczyna, która (jak wszystko na to wskazuje) cieszyła się już przedtem względami swego chlebobawcy? Miłość, bogactwo, władza..., to wszystko można osiągnąć po śmierci jednej kobiety w średnim wieku. Ta sprawa niedobrze wygląda dla guwernantki!

— Masz rację.

— Guwernantka nie ma żadnego alibi, a co gorsza musiała się przyznać, że znajdowała się koło Thor Bridge, mostu gdzie popełniono zabójstwo i to o tej samej mniej więcej godzinie. Nie może zaprzeczyć, gdyż widział ją tam przechodzący wieśniak.

— To chyba wyraźnie wskazuje na osobę najbardziej podejrzaną!

— A jednak... a jednak! Ten most, zwykły kamienny łuk, z balustradami po obu stronach, spina w najwęższym miejscu brzegi długiego, głębokiego stawu, zarośniętego sitowiem. Staw nazywają Thor Mere. Zabita leżała przy samym wylocie mostu. Przedstawiłem ci najważniejsze fakty. A oto, jeżeli się nie mylę, nadchodzi nasz klient. Znacznie wcześniej, niż się go spodziewałem.

Billy otworzył drzwi i ku naszemu zdziwieniu wymienił nazwisko dla nas zupełnie nieznaną. Nie był to pan Gibson, tylko niejaki Marlow Bates, drobny, szczupły, nerwowy mężczyzna, o nieśmiałych, niespokojnych ruchach. Oceniając go z lekarskiego punktu widzenia, powiedziałbym, że znajdował się u kresu wytrzymałości nerwowej.

— Jest pan bardzo zdenerwowany — rzekł Holmes. — Proszę, niech pan siada. Niestety, mogę panu poświęcić tylko parę chwil, ponieważ o jedenastej oczekuję wizyty.

— Wiem o tym — wykrztusił nasz gość, jak człowiek na próżno usiłujący złapać oddech. — Za chwilę przyjdzie tu pan Gibson. To mój chlebobawca. Zarządzam jego majątkiem ziemskim. To łajdak... to szatan, nie człowiek.

— Dosadne określenie.

— Nie mogę dobrać słów. Mam mało czasu. Za nic w świecie nie chciałbym, aby mnie tu zastał. Lada chwila się zjawi. Ale nie mogłem przyjść wcześniej. Ferguson, jego sekretarz, dopiero dziś rano powiedział mi o umówionym z panem spotkaniu.

— Więc pan jest zarządcą jego posiadłości?

— Wymówiłem już tę posadę. Za dwa tygodnie zrzucę z siebie to przeklęte jarzmo! Zbyt mi już dokuczył ten człowiek, mnie i otoczeniu. Ostentacyjnie uprawiana filantropia to tylko zasłona dla prywatnych niecznych postępów. Jego żona była główną ofiarą. Traktował ją brutalnie... tak, brutalnie! Nie wiem, jak doszło do jej śmierci, ale jak ona się nacierpiała za życia! Pan wie chyba, że pochodziła z Brazylii?

— Nie, tego nie wiedziałem.

— Była dzieckiem Południa z urodzenia i charakteru, dzieckiem słońca i szalonych namiętności. Kochała go tak, jak tylko taka kobieta kochać potrafi, ale kiedy straciła urodę (a była kiedyś bardzo piękna), straciła też wszelki na niego wpływ. Wszyscy ją lubiliśmy i współczuliśmy jej. Jego zaś nienawidziliśmy, dlatego że tak okrutnie się z nią obchodził. Ale to człowiek sprytny, który potrafi wzbudzić zaufanie. To wszystko, co miałem panu do powiedzenia. Niech się pan nie da zwieść pozorom. Dużo się za nimi kryje. Już idę. Nie, nie, proszę mnie nie zatrzymywać! On tu zaraz będzie! Spojrzawszy z przerażeniem na zegarek, nasz gość dosłownie pobiegł do drzwi i zniknął.

— No, no — rzekł Holmes po chwili milczenia. — Gibson ma niezwykle lojalnych współpracowników. Jednak to ostrzeżenie może się nam na coś przydać. Czekajmy teraz na główną osobę dramatu.

Dokładnie o oznaczonej godzinie usłyszeliśmy ciężkie kroki na schodach i niebawem Billy wprowadził słynnego milionera. Patrząc na niego, zrozumiałem, dlaczego wzbudzał nienawiść i strach u swoich podwładnych i dlaczego tylu rywali w świecie biznesu ciskało gromy na jego głowę. Gdybym był rzeźbiarzem i chciał przedstawić typowego człowieka interesów, o nerwach ze stali i elastycznym sumieniu, zaprosiłbym Neila Gibsona, aby mi pozował. W jego wysokiej, masywnej postaci wyczuwało się jakąś drapieżną zaborczość. Rzeźba Abrahama Lincolna, w której dłuto artysty uwypukliłoby wszystkie najniższe instynkty zamiast najszlachetniejszych, dałaby obraz tego człowieka. Twarz miał jakby wykutą w granicie: twardą, posępną, bezwzględną, porytą głębokimi bruzdami, śladami minionych przeżyć. Szare, zimne oczy, patrzące przebiegle spod krzaczastych brwi, zmierzyły nas obu od stóp do głów. Niedbale skinął głową, gdy Holmes wymienił swoje nazwisko. Po czym, z pewną siebie miną, przysunął sobie krzesło i zasiadł naprzeciw Holmesa, niemal stykając się z nim kościstymi kolanami.

— Najpierw chciałbym powiedzieć, nie zatajając niczego — zaczął rozmowę — że w tej sprawie pieniądze nie grają dla mnie żadnej roli. Może pan nimi palić w piecu, jeśli w blasku tego ognia prawda stanie się widoczna. Ta kobieta jest niewinna i musi być oczyszczona z wszelkich zarzutów. Jak to zrobić, to pańska sprawa. Proszę wymienić dowolną sumę!

— Stawki mojego honorarium są stałe — chłodno odparł Holmes. — Nigdy nie ulegają zmianom, poza wypadkiem, gdy z niego całkowicie rezygnuję.

— Skoro pieniądze nie mają dla pana uroku, proszę wziąć pod uwagę, jaki czeka pana rozgłos i reklama. Jeżeli potrafi pan tego dokonać, wszystkie gazety w Anglii i Ameryce roztrąbią pańskie nazwisko. Stanie się pan sławny na obu kontynentach.

— Dziękuję. Nie sądzę, abym potrzebował reklamy. Zdziwi się pan może, słysząc, że wolę pracować anonimowo. Interesuje mnie przede wszystkim problem. Nie traćmy jednak czasu. Proszę o fakty.

— Najważniejsze znajdzie pan w doniesieniach prasowych. Nie wiem, czy potrafię jeszcze coś dorzucić, co by się panu mogło przydać, lecz chętnie służę wyjaśnieniami i gotów jestem odpowiadać na pańskie pytania. Po to przyszedłem.

— Mam tylko jedno pytanie.

— Słucham.

— Jakie naprawdę stosunki łączyły pana z panną Dunbar?

Król złota zachnął się i uniósł na krzesło. Szybko jednak się opanował.

— Przypuszczam, że stawiając podobne pytanie ma pan do tego prawo, a może jest pan do tego zobowiązany.

— Oczywiście — odparł Holmes.

— A więc mogę pana zapewnić, że łączyły nas tylko takie stosunki, jakie powinny łączyć młodą pannę z jej pracodawcą, i że nie widywałem się z nią sam na sam, tylko zawsze w towarzystwie dzieci.

Holmes wstał ze swego krzesła.

— Jestem człowiekiem bardzo zajęтым — rzekł — i nie mam ani czasu, ani ochoty na bezcelowe rozmowy. Do widzenia panu.

Nasz gość powstał również; jego wysoka postać górowała znacznie nad Holmesem. Oczy rzucały gniewne spojrzenia spod nastroszonych brwi, a bladożółte policzki zarumieniły się z lekka.

— Co, u diabła, mam przez to rozumieć!? Rezygnuje pan z mojej sprawy!?

— Rezygnuję z dalszej z panem rozmowy. Sądziłem, że wyrażam się dość jasno.

— Jasno... tak. Ale co się za tym kryje? Chce pan uzyskać ode mnie wyższą sumę czy boi się pan do tego zabrać? A może chodzi o coś innego? Mam prawo żądać szczerzej odpowiedzi.

— Założmy, że ma pan istotnie do tego prawo, odpowiem więc panu. Ta sprawa jest na tyle skomplikowana, że nie należy zaczynać od fałszywych informacji.

— A zatem zarzuca mi pan kłamstwo?

— Usiłowałem się wyrazić jak najogólniej, ale jeśli pan upiera się przy tym słowie, nie będę oponował.

Zerwałem się na równe nogi, gdyż milioner podniósł swą wielką, żyłastą pięść, a jego twarz zmieniła się nie do poznania. Holmes uśmiechnął się lekceważąco i sięgnął po fajkę.

— Niech się pan uspokoi, łaskawy panie. Po śniadaniu nawet najmniejsza sprzeczka wpływa ujemnie na trawienie. Zdaje mi się, że mały spacer i chwila zastanowienia się dobrze panu zrobią.

Król złota z największym wysiłkiem się opanował. Trudno go było w tej chwili nie podziwiać: miał dość silnej woli, aby błyskawicznie przejść od niepohamowanego gniewu do pogardliwej obojętności.

— Decyzje — rzekł — pan podejmuje. Sądzę, że pan sam najlepiej wie, co leży w pańskim interesie. Nie mogę pana zmusić do pracy dla mnie wbrew pańskiej woli. Ale dzisiejszy ranek nie wyjdzie panu na dobre; potrafiłem złamać silniejszych od pana ludzi. Nikomu jeszcze nie udało się sprzeciwić mi bezkarnie.

— Niejeden już mi to mówił — odrzekł z uśmiechem Holmes — a jednak, jak pan widzi, cieszę się dobrym zdrowiem. Do widzenia, panie Gibson. Musi się pan jeszcze wiele nauczyć.

Nasz gość wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. Holmes zaś palił dalej w milczeniu, z oczyma utkwionymi w sufit.

— Co myślisz o tym? — odezwał się wreszcie.

— Myślę, że ten człowiek potrafi usunąć każdą przeszkodę na swojej drodze, a że jego żona mogła stanowić przeszkodę i, jak to nam wyraźnie powiedział Baes, była przedmiotem jego nienawiści, dochodzę do wniosku, że...

— Słusznie, ja również.

— Ale co go łączyło z guwernantką? I jak to odkryłeś?

— Bluff, mój drogi, czysty bluff. Niezwykle emocjonalny, powiedzmy nawet, niezbyt rzeczowy ton jego listu zwrócił moją uwagę. A kiedy poznałem autora, jego wygląd, tak nie pasujący do listu, doszedłem do wniosku, że bardziej jest mu bliski los oskarżonej od żony. Jeśli mamy dojść prawdy, musimy dokładnie zbadać stosunki łączące te trzy osoby. Sam

widziałeś, jak przypuściłem frontalny atak, a on mimo to niezbyt się oburzył. Potem zaryzykowałem, chcąc, aby myślał, że znam prawdę, podczas gdy w rzeczywistości chodziło tylko o usprawiedliwione podejrzenie.

— Może wróci?

— Jestem tego pewien. Musi wrócić. Nie poprzestanie na tym. Zdaje mi się, że ktoś dzwoni. Tak, słyszę jego kroki.

— Panie Gibson, właśnie mówiłem doktorowi Watsonowi, że pan każe na siebie czekać.

Król złota wszedł do naszego pokoju znacznie pokorniejszy. Był ciągle jeszcze zły i urażony w swojej dumie, ale najwidoczniej zdrowy rozsądek przeważał.

— Przemyslałem wszystko — powiedział — i doszedłem do wniosku, że niepotrzebnie się uniosłem z powodu pańskiej uwagi. Słusznie żąda pan ode mnie ujawnienia faktów, wszelkich faktów. To tylko podnosi pana wartość w moich oczach. Zapewniam jednak, że moje stosunki z panną Dunbar nie mają nic wspólnego z tą sprawą.

— O tym, jeśli pan pozwoli, ja zdecyduję.

— Zgadzam się. Jest pan jak chirurg, który zanim postawi diagnozę, musi poznać wszystkie objawy choroby.

— Słusznie. Doskonałe określenie. Pacjent, który ukrywa prawdę przed lekarzem, musi mieć bardzo poważne powody.

— Tak, lecz przyzna pan, że każdy mężczyzna oburzy się, gdy mu się postawi pytanie, jakie stosunki łączą go z kobietą..., zwłaszcza gdy w grę wchodzi głębsze uczucie. W duszy większości ludzi znajdują się jakieś zakamarki, do których innym wstęp jest wzbroniony. Pan zaś zapytał tak prosto z mostu... Rozumiem jednak, że chodzi panu o to, by ją ratować. A więc zgadzam się, proszę pytać o wszystko. Od czego zaczynamy?

— Od prawdy.

Gibson milczał przez chwilę, jak człowiek zbierający myśli. Jego posepna twarz stała się jeszcze bardziej smutna i poważna.

— Wyznam panu prawdę w paru słowach. Są sprawy, o których nie tylko przykro, ale i trudno jest mówić; nie będę się więc w nie zagłębiał. Poznałem moją żonę w Brazylii. Byłem tam jednym z poszukiwaczy złota. Maria Pinto, dziewczyna niezwykle piękna, była córką urzędnika państwowego w Manaus. Byłem wówczas młody i napalony, ale nawet dzisiaj, gdy patrzę w przeszłość okiem bardziej krytycznym i obiektywnym, zdaję sobie sprawę, że jej uroda i wdzięk należały naprawdę do wyjątkowych. Charakter i temperament miała również niepospolity: namiętna, nie zrównoważona, inna niż Amerykanki; tak niepodobna do wszystkich kobiet, jakie znałem, prawdziwa tropikalna roślina. Krótko mówiąc, zakochałem się w niej i ożeniłem. Dopiero po latach, gdy namiętność przeminęła, przekonałem się, że nie mamy ze sobą nic, absolutnie nic wspólnego. Moja miłość skończyła się bezpowrotnie. Gdyby i ona przestała mnie kochać, sprawa byłaby łatwiejsza. Ale pan zna kobiety! Niczym nie mogłem jej do siebie zrazić. Jeśli traktowałem ją szorstko, a nawet, jak powiadają niektórzy, brutalnie, to tylko po to, aby zabić w niej miłość i wzbudzić nienawiść. Nasze życie stałoby się wówczas łatwiejsze. Niestety, nic nie było w stanie zmienić jej uczucia. Kochała mnie wśród angielskich lasów tak samo jak dwadzieścia lat wcześniej nad brzegami Amazonki. Wybaczała mi wszystko, była mi nadal bezgranicznie oddana.

I nagle zjawiała się Grace Dunbar. Poszukiwaliśmy przez ogłoszenia w gazetach guwernantki dla naszych dzieci. Grace się zgłosiła i została przyjęta. Widział pan może jej zdjęcia w prasie. Wszyscy uważają, że i ona jest bardzo piękna. Nie twierdzę, że moja konstrukcja moralna odbiega od normy i przyznaję, że żyjąc pod jednym dachem z tą dziewczyną, widując ją codziennie, zakochałem się w niej bez reszty. Czy bierze mi to pan za złe?

— Nie biorę panu za złe samego uczucia. Ale miałbym panu za złe, gdyby pan je ujawniał, bo przecież ta młoda dziewczyna była w pewnej mierze od pana zależna.

— Być może — zgodził się milioner, chociaż na tę uwagę w jego oczach zamigotały wściekle ogniki. — Nie uważam się za lepszego, niż jestem. Przez całe życie wystarczyło mi wyciągnąć rękę, aby uzyskać wszystko, co chciałem, a nigdy jeszcze niczego nie pożyłem bardziej niż tej kobiety i jej miłości. Powiedziałem jej to.

— Ach tak? — W chwilach szczerzego oburzenia Holmes wyglądał bardzo groźnie.

— Powiedziałem jej, że ożeniłbym się z nią, gdybym mógł, ale jest to niemożliwe. Pieniądze, mówiłem jej, nie odgrywają tu żadnej roli, zrobię wszystko, co mogę, aby zapewnić jej szczęście i wygodne życie.

— To szlachetny gest z pana strony — rzekł szyderczo Holmes.

— Przyszedłem do pana po fachową pomoc, a nie po nauki moralne. Nie oczekuję od pana krytyki.

— Rozmawiam z panem w tej sprawie — oschle odpowiedział Holmes — wyłącznie ze względu na los tej młodej kobiety. Nie wiem doprawdy, co jest bardziej godne potępienia: przestępstwo, o które ona jest oskarżona, czy postępek, do którego się pan przyznaje; usiłował pan przecież zmarnować życie młodej, bezbronnej dziewczynie, przebywającej pod pańskim dachem. Niektórzy, tacy jak pan, bogacze powinni sobie uświadomić, że są jeszcze ludzie na świecie, których nie można zmusić przekupstwem do przebaczenia karygodnych postępów.

Ku mojemu zdziwieniu Gibson przełknął spokojnie tę gorzką uwagę.

— Dzisiaj i ja podzielam pańskie zdanie i dziękuję Bogu za to, że nie udało mi się wprowadzić w życie moich planów. Panna Dunbar odrzuciła moją propozycję i chciała natychmiast opuścić nasz dom.

— Dlaczego tego nie zrobiła?

— Po pierwsze, miała obowiązki wobec swojej rodziny, której nie mogłaby dalej pomagać porzuciwszy dobrą posadę. Musiałem jej przysiąc, że już nigdy o tym nie wspomnę, i zgodziła się u nas pozostać. Ale był także inny powód. Wiedziała, że ma na mnie tak wielki wpływ jak nikt inny w świecie i chciała go użyć na rzecz dobrej sprawy.

— Jakiej?

— Znała się trochę na finansach i wiedziała, jaki jest mój stan majątkowy. Interesy, które prowadzę, są rozległe... obejmują znacznie większy zakres, niż to zwykli ludzie mogą sobie wyobrazić. Mogę budować albo niszczyć... Przeważnie niszczę. I to nie tylko jednostki, ale i społeczności, miasta, a nawet narody. Biznes to ostra gra, słabi idą na dno. Grałem o każdą stawkę, nie oglądając się na nic i na nikogo. Sam nigdy nie prosiłem o litość i nad nikim się nie litowałem. Ale panna Dunbar miała inne poglądy i sądzę, że miała rację. Jej zdaniem człowiek, który ma o wiele więcej pieniędzy niż potrzebuje, aby zaspokoić wszystkie swoje potrzeby, nie powinien doprowadzać do ruiny dziesiątków tysięcy ludzi pozostawionych bez środków do życia. Jej zdaniem są w życiu rzeczy ważniejsze od mamony i ona spożytkowałaby je na bardziej szczytne cele. Wiedziała, że liczę się z jej zdaniem i myślała, że przysłuży się światu, jeśli będzie mogła wpłynąć na moje postępowanie. Została więc... a potem to się stało.

— Czy może nam pan coś powiedzieć, jak do tego doszło?

Gibson siedział bez słowa, minutę może dłużej, z głową podpartą rękami, głęboko zamyślony.

— Nie mogę zaprzeczyć, że wszystko przemawia przeciwko niej. Kobiety są nieprzeniknione, kryją w sobie jakąś tajemnicę; są zdolne do popełniania czynów absolutnie niezrozumiałych dla mężczyzn. Początkowo byłem tak zaskoczony i przerażony, że dopuszczałem do siebie myśl, że pewna szczególna sytuacja mogła tak wstrząsnąć panną Dunbar, iż zrobiła coś niezgodnego z jej charakterem i postawą wobec życia. Wtedy doszedłem do pewnego wniosku. Sam nie wiem, czy można go uznać za prawdopodobny, gotów jednak jestem powiedzieć o tym panu. Otóż nie ulega wątpliwości, że moja żona była szalenie zazdrosna. Zazdrość z powodu łączącej dwoje ludzi wspólnoty duchowej może

być równie silna jak zazdrość o kształty fizyczne. Żona zdawała sobie sprawę, że do zbliżenia fizycznego nie doszło, wiedziała jednak, że panna Dunbar miała na mnie tak wielki wpływ, jakiego ona nigdy osiągnąć nie zdołała. Co prawda, wpływ ten był dobry, ale to nie zmienia postaci rzeczy. Szalała więc z nienawiści; w jej żyłach płynęła przecież krew Brazylijki.

Myśl o zamordowaniu panny Dunbar mogła jej przyjść do głowy lub, powiedzmy, postanowiła postraszyć dziewczynę użyciem broni. Chciała być może ją w ten sposób zmusić do opuszczenia naszego domu. Mogło zatem dojść do jakiegoś szamotania i broń wypaliła, zabijając niechcący moją żonę.

— Rozwazałem już taką możliwość — rzekł Holmes. — Poza rozmyślnym zabójstwem nie widzę jednak innej alternatywy.

— Panna Dunbar kategorycznie temu zaprzecza!

— Ale może się z tego wycofać. Często kobieta w tak krytycznej sytuacji traci głowę i biegnie do domu z rewolwerem w rękę i nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, rzuca go do szafy pomiędzy swoje sukienki. Jeśli tak było, panna Dunbar usiłowała ratować się kłamstwem i zataiła wszystko, co zaszło między nią i pańską żoną; każde bowiem inne wytłumaczenie jest niemożliwe. Co przemawia przeciwko takiemu założeniu?

— Sama panna Dunbar.

— Hm... może... — Holmes spojrział na zegarek.

— Zapewne uda nam się jeszcze dzisiaj uzyskać zezwolenie i pojechać wieczorem pociągiem do Winchester. Po rozmowie z panną Dunbar może będę wiedział coś więcej, choć nie obiecuję, że moje wnioski okażą się zgodne z pańskimi.

Jednak nie zdołaliśmy załatwić wszystkich koniecznych formalności i zamiast do Winchester pojechaliśmy do Thor Place w hrabstwie Hampshire, majątku ziemskiego Neila Gibsona. Milioner nam nie towarzyszy —

szył, mieliśmy natomiast adres sierżanta Coventry'ego z miejscowej policji, który prowadził wstępne śledztwo. Był to wysoki, chudy, trupio blady mężczyzna, którego dość tajemnicze zachowanie pozwalało przypuszczać, że wie lub podejrzewa o wiele więcej, niż mówi. Miał też dziwny zwyczaj zniżania głosu aż do szeptu, jakby wyjawiał coś niezwykle tajnego i ważnego, podczas gdy jego informacje były na ogół pozbawione większego znaczenia. Poza tym okazało się, że jest to porządny chłop, który nie wstydził się przyznać, iż chętnie przyjmie każdą pomoc, gdyż problem śmierci pani Gibson przerastał jego możliwości.

— Wolałbym skorzystać z pańskiej rady niż z pomocy Scotland Yardu — mówił do Holmesa. — Jeśli przekazemy im prowadzenie śledztwa, każdy sukces pójdzie na rachunek tych panów, niepowodzenie zaś obciąży, jak zwykle, miejscową policję. Z tego, co słyszałem, pan do takich nie należy.

— O moim udziale w tej sprawie nie mam zamiaru wspominać — odpowiedział Holmes, co zostało przyjęte przez sierżanta z widoczną ulgą. — Jeśli uda mi się wyjaśnić tę zagadkę, nie zależy mi wcale na ujawnianiu mojego nazwiska.

— To bardzo ładnie z pańskiej strony. Pańskiemu przyjacielowi doktorowi Watsonowi też na pewno można zaufać. Teraz pójdziemy na miejsce zbrodni i po drodze chciałbym pana o coś zapytać. Nikomu jeszcze o tym nie wspomniałem.

Sierżant rozejrzał się dokoła, jakby wahał się z wypowiedzeniem każdego słowa.

— Czy pan nie sądzi, że nasze podejrzenia należałoby skierować w stronę samego Gibsona?

— Brałem to pod uwagę.

— Pan nie widział panny Dunbar. To śliczna kobieta, wspinała pod każdym względem. W interesie Gibsona było pozbycie się żony. A ci Amerykanie są bar —
dziej od nas Anglików skorzy do strzelaniny. To był jego rewolwer!

— Czy to pewne?

— Tak. Jeden z pary.

— Jak to z pary? To gdzie jest drugi?

— A bo ja wiem? Ten pan ma u siebie pełno najrozmaitszej broni palnej. Nie udało nam się dobrać drugiego odpowiedniego, ale pudło było na dwa.

— Gdyby to był jeden z pary, na pewno znalazłby pan drugi.

— Całą broń zgromadziliśmy w pałacu, może pan zechce sam obejrzeć.

— Chętnie, ale może nieco później. Chodźmy teraz na miejsce zbrodni.

Rozmowa toczyła się w niewielkim frontowym pokoju, w skromnym domku sierżanta Coventry'ego, w którym mieścił się również posterunek miejscowej policji. Po mniej więcej półmilowym marszu przez otwarte, smagane wiatrem wrzosowisko, brązowożłote od wędnących paproci, stanęliśmy przed boczną bramą, wiodącą do parku Thor Place. Przeszliśmy ścieżką wijącą się przez bażanciarnię i, dochodząc do polany, ujrzelśmy na szczycie pagórka częściowo drewniany, częściowo murowany, olbrzymi pałac. Jego architektura była niezbyt szczęśliwym skrzyżowaniem stylów XVII i XVIII wieku. Po jednej stronie polany ciągnął się długi, obficie zarośnięty szuwarami staw, zwężający się w środku, gdzie przecinał go na dwie części kamienny most, przez który biegła główna aleja wjazdowa. Nasz przewodnik zatrzymał się u wylotu mostu i wskazał na ziemię.

— Tu leżało ciało pani Gibson. Zaznaczyłem miejsce kamieniem.

— Rozumiem, że przed panem nikt zwłok nie ruszał.

— Tak, natychmiast po mnie przysłano.

— Kto po pana posłał?

— Sam Gibson. Gdy odkryto zbrodnię, przybiegł tu razem z innymi i nie pozwolił niczego dotykać aż do nadejścia policji.

— Miał rację. Wiem z gazet, że strzał padł z bliskiej odległości.

— Tak jest. Z bardzo bliska.

— Koło prawej skroni?

— Tuż za nią.

— Jak leżały zwłoki?

— Na plecach. Nie było śladów walki, nie znaleziono broni, nic, żadnych śladów. Tylko kartkę od panny Dunbar, zaciśniętą w lewej dłoni zabitej.

— Zaciśniętą?

— Tak, ledwie udało nam się rozgiąć palce.

— To bardzo ważne! To znaczy, że nikt nie mógł wcisnąć kartki do ręki zmarłej w celu zmylenia śledztwa. Nadzwyczajne! Kartka, jeśli dobrze pamiętam, brzmiała lakonicznie: „Będę przy moście o dziewiątej. G. Dunbar”. Tak?

— Tak jest.

— Czy panna Dunbar przyznaje się do napisania tej kartki?

— Tak jest.

— Czym to tłumaczy?

— Odkłada wszelkie wyjaśnienie do rozprawy sądowej; na ten temat nie chce nic powiedzieć.

— Doprawdy, ciekawa sprawa. Najbardziej zagadkowa jest ta kartka.

— A mnie się zdaje, że to jedyna rzecz nie budząca wątpliwości, o ile wolno mi się tak wyrazić.

Holmes potrząsnął głową.

— Zakładając, że ten liścik jest autentyczny, musiał być doręczony przed wypadkiem..., powiedzmy na godzinę lub dwie. Dlaczego więc zmarła trzymała go wciąż w ręku? Dlaczego nosiła go ze sobą jak coś cennego?

Podczas rozmowy nie musiała się na ten list powoływać. Czy to nie dziwne?

— Chyba ma pan rację, to istotnie dosyć dziwne.

— Muszę się przez chwilę spokojnie nad tym zastanowić.

Holmes usiadł na kamiennej balustradzie mostu. Widziałem, jak obrzuca uważnym spojrzeniem wszystko dokoła. Nagle zerwał się, podbiegł do przeciwległej balustrady, wyciągnął z kieszeni szkło powiększające i zaczął oglądać jeden z kamieni, z których zbudowany był cały most i obie balustrady.

— Ciekawe — rzekł po chwili.

— Widzieliśmy ten odprysk na balustradzie — odezwał się sierżant. — To chyba zrobił jakiś przechodzień.

Na szarym kamieniu widać było białą szczerbę wielkości monety sześciopensowej. Przy bliższych oględzinach łatwo można było dostrzec, że powstała ona od silnego uderzenia.

— Wymagało to dużej siły — mówił zamyślony Holmes. Trzymaną w ręku laską parokrotnie uderzył w kamienie, nie pozostawiając na nich żadnego śladu. — To musiał być gwałtowny cios. I w dziwnym miejscu. Od dołu, a nie od góry, bo, jak pan widzi, szczerba znajduje się na niższej krawędzi balustrady.

— Ale w odległości co najmniej piętnastu stóp od miejsca, gdzie znaleziono ciało.

— Tak, około piętnastu stóp. Może to nie ma nic wspólnego ze sprawą, ale zasługuje jednak na uwagę. Chyba już zobaczyliśmy wszystko. Mówi pan, że nie było żadnych śladów stóp?

— Ziemia była twarda jak kamień. Nie znaleźliśmy żadnych śladów.

— Chodźmy więc stąd. Pójdziemy do pałacu i obejrzymy broń, o której pan mówił, a później pojedziemy do Winchester. Chciałbym się widzieć z panną Dun — bar, zanim przystąpimy do dalszego działania.

Neil Gibson jeszcze nie wrócił z Londynu. Przyjął nas roztrzęsiony zarządca Bates, który przybiegł do nas rano. Z ponurą satysfakcją pokazał nam ogromną kolekcję broni palnej najrozmaitszego kalibru, wszelkich rodzajów i wymiarów, zebraną przez jego pracodawcę w różnych okresach jego awanturniczego życia.

— Pan Gibson — mówił Bates — ma wrogów, co jest zrozumiałe ze względu na jego charakter i sposób postępowania. Sypia z nabitym rewolwerem, schowanym w szufladzie przy łóżku. To bardzo impulsywny człowiek. Wszyscy się go boimy. Jestem pewny, że terroryzował nieszczęsną panią.

— Czy był pan świadkiem stosowania przemocy wobec żony?

— Tego nie mogę powiedzieć. Ale słyszałem słowa okrutne..., upokarzające, jakimi się do niej zwracał; ordynarnie, pogardliwe, poniżał ją nawet w obecności służby.

— Nasz milioner nie zyskuje przy bliższym poznaniu jego prywatnego życia — mówił Holmes w drodze do stacji. — Zebraliśmy sporo nowych danych, a jednak wciąż daleko mi do konkluzji. Mimo całej nienawiści Batesa do chlebobawcy, z tego co mówi, wynika że w chwili, gdy znaleziono zwłoki, Gibson znajdował się w swojej bibliotece. Obiad podano o wpół do dziewiątej i do tego czasu wszystko przebiegało normalnie. To prawda, alarm wszczęto dosyć późno, ale przypuszczalnie tragedia wydarzyła się mniej więcej o godzinie określonej w kartce. Nie mamy żadnych dowodów, że Gibson wychodził z domu od chwili powrotu z Londynu, a więc od godziny piątej. Z drugiej strony panna Dun — bar, o ile wiem, nie zaprzecza, że umówiła się z panią Gibson na spotkanie przy moście. Poza tym nie mówi nic. Adwokat doradził jej bowiem, aby milczała aż do rozprawy. Chciałbym zadać tej dziewczynie kilka bardzo istotnych pytań i nie uspokoję się zanim jej nie

zobaczę. Przyznaję, że uznałbym jej sytuację za bardzo niekorzystną, gdyby nie pewien fakt.

— Jaki?

— Rewolwer znaleziono w jej szafie.

— To chyba — wykrzyknąłem — najbardziej ją obciąża!

— Nic podobnego. Od razu, już przy pobieżnym czytaniu sprawozdania z wypadku, zwróciłem uwagę na ten zadziwiający fakt. Obecnie zaś, po bliższym zbadaniu tej sprawy, w tym przede wszystkim pokładam nadzieję. To brak konsekwencji, a tam gdzie jej brak, należy doszukiwać się braku przyczyny.

— Z trudem za tobą nadążam.

— Mój drogi, wyobraź sobie przez chwilę, że jesteś kobietą, która na zimno, z premedytacją chce się pozbyć rywalki. Ułożyłeś sobie plan działania, napisałeś kartkę, ofiara przyszła na spotkanie. Masz broń w ręku. Dokonałeś zabójstwa. Zrobiłeś to bardzo fachowo. Czy zatem można przyjąć, że po szczegółowo przemyślanej zbrodni wszystko zepsujesz zanosząc troskliwie rewolwer do domu i wkładając go do szafy, którą na pewno przeszukają, zamiast wrzucić go do zarośniętego stawu, gdzie nikt by go nigdy nie znalazł? Nawet jeżeli zdolność przewidywania nie jest twoją największą zaletą, drogi Watsonie, to jednak nie wyobrażam sobie, abyś mógł postąpić tak nierozsądnie!

— W napięciu...

— Nie, nie, mój drogi, uważam to za niemożliwe. W zbrodni popełnionej z premedytacją zaciera się ślady również z premedytacją. Mam więc nadzieję, że tkwi w tym błąd w rozumowaniu.

— W takim razie niejedno należałoby wyjaśnić.

— Zrobimy to. Jeśli zmienimy punkt widzenia, może uda nam się znaleźć klucz do rozwiązania tajemnicy. A to doprowadzi nas do wykrycia prawdy. Na przykład ten rewolwer. Oskarżona twierdzi, że nic o nim nie wie. Zgodnie z naszą nową koncepcją, mówi prawdę. A więc

ktoś podrzucił ten rewolwer do jej szafy. Ale kto? Ktoś, kto chciał, aby ją uznano winną zabójstwa pani Gib — son. Czy nie ta sama osoba dokonała zbrodni? Jak widzisz zatem, wszystko wskazuje, że jesteśmy na dobrym tropie.

Musieliśmy przenocować w Winchester, ponieważ formalności nie zostały jeszcze załatwione, ale już następnego ranka pozwolono nam, w towarzystwie młodego i świetnie zapowiadającego się adwokata, pana Joyce'a Cummingsa, odwiedzić oskarżoną w jej celi. Byłem przygotowany na ujście pięknej kobiety, ale jej widok przewyższał moje oczekiwanie. Było jasne, że nawet ten potężny magnat musiał ulec tak silnej indywidualności, zdolnej zawładnąć jego umysłem i sercem. Patrząc na pełne energii, stanowcze, lecz subtelne rysy jej twarzy, na której malowała się pełna wdzięku wrażliwość, wyczuwało się, że gdyby nawet popełniła jakiś gwałtowny czyn, to niewątpliwie działałaby w dobrej intencji. Zdecydowałaby o tym jej wrodzona szlachetność. Panna Dunbar była wysoką brunetką, o dumnej postawie i urzekającym sposobie bycia, lecz w jej ciemnych oczach krył się wyraz bezradności i trwogi, jak u osaczonego stworzenia, na próżno usiłującego wydostać się z matni. Na widok mojego przyjaciela, zdając sobie sprawę, że pragnie jej przyjść z pomocą, jej wybladłe policzki zarumieniły się lekko i w jej spojrzeniu zabłysnął promyk nadziei.

— Czy pan Gibson wspomniał panu o tym, co zaszło między nami? — spytała cichym, nieco drżącym głosem.

— Tak — odrzekł Holmes — może więc pani sobie oszczędzić mówienia o tym. Teraz, gdy panią poznałem, rozumiem, że Gibson mówił prawdę zarówno o pani wpływie na niego, jak i waszych wzajemnych stosunkach. Ale dlaczego nie wyjaśniła pani tego śledczym?

— Oskarżenie wydawało mi się tak absurdalne, iż myślałam, że wystarczy poczekać, a cała prawda wyjdzie na jaw bez bolesnego roztrząsania intymnego życia rodzinnego. Rozumiem już jednak, że wszystko się przez to jeszcze bardziej pogmatwało i moja sytuacja stała się jeszcze gorsza.

— Droga pani, proszę się nie łudzić! — rzekł poważnie Holmes. — Pan mecenas Cummings potwierdzi, że na razie wszystko przemawia przeciwko pani i jeśli mamy panią oczyścić z zarzutów, musimy wziąć wszystko pod uwagę. Ukrywając przed panią grożące

niebezpieczeństwo, wprowadzilibyśmy panią w błąd, co pociągnęłoby za sobą fatalne następstwa. Bez pani najdalej idącej pomocy nie wykryjemy prawdy.

— Nie mam zamiaru nic ukrywać.

— Proszę więc powiedzieć, jakie naprawdę stosunki panowały między panią a panią Gibson.

— Nienawidziła mnie. Nienawidziła mnie całą swoją istotą. Była kobietą nie uznającą kompromisu. Miarą jej nienawiści do mnie była jej namiętna miłość do męża. Nie rozumiała zapewne istoty stosunków między mną i jej mężem. Nie chcę mówić o niej źle, ale fizyczny element w jej miłości był tak silny, że nie mogła pojąć intelektualnej, a nawet duchowej więzi łączącej mnie z panem Gibsonem. Nie była też w stanie zrozumieć, że zgodziłam się pozostać pod jego dachem tylko po to, aby czynić ludziom dobro. Teraz widzę, że popełniłam błąd. Nic nie usprawiedliwiało mojego pobytu tam, gdzie byłam przyczyną cierpienia i nieszczęścia, chociaż jestem pewna, że nawet gdybym odeszła, szczęście nie powróciłoby do tego domu.

— Proszę mi dokładnie opowiedzieć, co zaszło tego wieczoru.

— Opowiem szczerze wszystko, co wiem, ale, niestety, nie mam na to żadnych dowodów. Są pewne szczegóły... bardzo, bardzo ważne..., których nie potrafię wytłumaczyć, a nawet nie wyobrażam sobie, jak można by je wytłumaczyć.

— Proszę przytoczyć fakty, a może inni znajdą dla nich wytłumaczenie.

— Jeśli chodzi o moją obecność tego wieczora przy moście. Rano dostałam krótki list od pani Gibson. Znalazłam go w szkolnym pokoju na stoliku, przy którym odrabialiśmy lekcje. Sama go tam pewnie położyła. Błagała mnie, abym się z nią spotkała po obiedzie, bo chce mi coś ważnego zakomunikować. Prosiła o zostawienie odpowiedzi na zegarze słonecznym w ogrodzie, ponieważ nikt nie powinien się o tym dowiedzieć. Nie rozumiałam, po co ta tajemniczość, ale zgodziłam się z nią spotkać w podanym przez nią miejscu. Prosiła o zniszczenie jej kartki, więc spaliłam ją na kominku w dziecinnym pokoju. Pani Gibson bała się swego męża, który traktował ją dosyć niegrzecznie, o co nieraz robiłam mu wyrzuty. Przypuszczałam więc, że nie chce, aby się dowiedział o naszym spotkaniu.

— A jednak zmarła do ostatniej chwili nie rozstawała się z pani odpowiedzią.

— Tak, bardzo się zdziwiłam, słysząc, że trzymała moją kartkę mocno zaciśniętą w dłoni.

— Co zaszło potem?

— Zgodnie z dan obietnicą wyszłam do parku. Czekala na mnie przy moście. Aż do tej chwili nie wyobrażałam sobie, jak strasznie ta nieszczęsna kobieta mnie nienawidzi. Zachowywała się jak obłąkana... Myślę nawet, że była szaloną, przebiegłą wariatką, doskonale umiejącą to ukrywać, jak to często się zdarza wśród umysłowo chorych. Inaczej bowiem nie mogłaby, nienawidząc mnie z całego serca, tak świetnie utrzymywać pozorów obojętności w codziennych ze mną rozmowach. Nie będę powtarzała tego, co mówiła. W strasznych, najbardziej raniących słowach wyładowała na mnie całą swoją furję. Nic nie odpowiedziałam... nie mogłam. Byłam zbyt przerażona jej widokiem. Zatkaną sobie rękami uszy i uciekłam.

Zostawiłam ją u wylotu mostu, wykrzykującą najokropniejsze obelgi.

— Tam, gdzie ją znaleziono?

— O parę jardów dalej.

— A jednak, jeśli założymy, że jej śmierć nastąpiła kilka chwil po pani odejściu, nie słyszała pani wystrzału?

— Nic nie słyszałam. Byłam tak przerażona i zdenerwowana tym wybuchem nienawiści, że chciałam się jak najprędzej ukryć w swoim pokoju. Nie słyszałam, nie byłam w stanie zwrócić na cokolwiek uwagi.

— A więc wróciła pani do swojego pokoju. Kiedy pani z niego wyszła?

— Wybiegłam razem ze wszystkimi, gdy zaalarmowano cały dom.

— Widziała pani pana Gibsona?

— Tak, zobaczyłam go zaraz po jego powrocie z miejsca wypadku. Posłał natychmiast po lekarza i policję.

— Czy był zdenerwowany?

— To twardy i opanowany człowiek. Nigdy nie ujawnia swych uczuć. Ale znam go bardzo dobrze i widziałam, że był bardzo wstrząśnięty.

— Przejdźmy teraz do najważniejszej rzeczy. W pani pokoju znaleziono rewolwer. Czy widziała go pani kiedykolwiek przedtem?

— Nigdy. Przysięgam.

— Kiedy go znaleziono?

— Nazajutrz, podczas rewizji.

— Leżał wśród pani ubrań?

— Tak, na dnie szafy, pod sukniami.

— Jak pani sądzi, jak długo mógł tam być?

— Poprzedniego dnia jeszcze go tam nie było.

— Skąd pani wie?

— Robiłam porządki w szafie.

— To ma zasadnicze znaczenie. Wynika z tego, że ktoś wszedł do pokoju i włożył rewolwer do pani szafy,

chcąc w ten sposób skierować podejrzenie przeciwko pani.

— Zapewne tak było.

— Kiedy to mogło się zdarzyć?

— Tylko w czasie posiłków lub wtedy, gdy znajdowałam się z dziećmi w szkolnym pokoju.

— A więc wtedy, gdy znalazła tam pani kartkę od pani Gibson?

— Tak, od tej chwili nie wychodziłam ze szkolnego pokoju przez całe rano.

— Dziękuję. Czy może pani jeszcze coś dodać, co mogłoby mi pomóc w dochodzeniach?

— Nie sądzę, nic takiego sobie nie przypominam.

— Na kamiennej balustradzie mostu jest ślad jakiegoś gwałtownego uderzenia — całkiem świeży, dokładnie naprzeciwko miejsca, w którym znaleziono zwłoki. Czy nic pani to nie mówi?

— To chyba zbieg okoliczności.

— Czyżby? To jest jednak zastanawiające. Dlaczego ta szczerba powstała właśnie wtedy, gdy nastąpił ten wypadek, i dlaczego w tym właśnie miejscu?

— Któż mógłby wyszczerbić kamień? To wymagało wielkiej siły.

Holmes nie odpowiedział pograżając się w zadumie. Wiedziałem, że wtedy jego genialny umysł gorączkowo pracuje i nikomu z nas nie wolno wówczas przerywać ciszy. Adwokat, oskarżona i ja siedzieliśmy w pełnym napięcia milczeniu, nie odrywając oczu od mego przyjaciela.

Nagle zerwał się z krzesła — z całej jego postaci, z każdego ruchu promieniowała energia i chęć czynu.

— Idziemy! — zawołał.

— Co się stało? — spytała panna Dunbar.

— Proszę się nie martwić, droga pani! Panie mecenasie, zgłoszę się wkrótce do pana. Z pomocą boską dostarczę panu takie dowody, że cała Anglia rozbrzmie —

wać będzie echem tej rozprawy! Pani zaś dowie się jutro czegoś nowego, a tymczasem mogę panią zapewnić, że prawda wyjdzie lada chwila na jaw.

Podróż z Winchester do Thor Place nie trwała długo. Wystawiła jednak moją cierpliwość na nie lada próbę. Holmesowi zaś dłużyła się jeszcze bardziej. Nie mógł usiedzieć na miejscu, w nerwowym podnieceniu przechadzał się po korytarzu wagonu lub bębnił palcami po

oparciu i poduszkach naszego przedziału. Gdy docieraliśmy już do celu, nagle się uspokoił, usiadł naprzeciwko mnie (byliśmy sami w przedziale pierwszej klasy) i położywszy ręce na moich kolanach spojrzał mi w oczy figlarnie i z przekorą właściwą dla niego.

— Sądzę — powiedział — że na niektóre nasze wspólne wycieczki zabierasz ze sobą broń.

Na szczęście dla niego istotnie miałem taki zwyczaj. Holmes bowiem, gdy jakiś problem absorbował jego umysł, lekceważył całkowicie własne bezpieczeństwo i mój rewolwer bardzo mu się nieraz przydawał. Przypomniałem mu o tym.

— Tak, tak, w tych sprawach jestem cokolwiek roztargniony. Czy masz broń przy sobie?

Wydobyłem rewolwer z tylnej kieszeni spodni. Była to broń o krótkiej lufie, ale bardzo poręczna. Holmes odsunął bezpiecznik, wytrząsnął naboje z bębna i uważnie go zbadał.

— Jest ciężki, niezwykle ciężki — rzekł.

— Tak, to solidna robota. Sherlock rozmyślał przez chwilę.

— Zdaje mi się — powiedział — że twój rewolwer będzie miał związek z zagadką, którą staramy się rozwiązać.

— Chyba żartujesz.

— Nie, mówię całkiem poważnie. Czeka nas pewien eksperyment. Jeśli się uda, wszystko się wyjaśni. Jego wynik zależy od zachowania się twojego rewolweru.

Wyjmiemy jeden nabój. Pozostałe pięć wsuniemy z powrotem do bębna. Tak, w ten sposób zwiększamy wagę broni i odtwarzamy jak najdokładniej przebieg wypadków.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, o co chodzi, ale Holmes niczego mi nie wyjaśnił. Siedział zamyślony i milczący aż do małej stacji kolejowej w Hampshire. Stamtąd rozklekotaną wynajętą bryczką w ciągu piętnastu minut dojechaliśmy do siedziby sierżanta policji.

— Ma pan jakieś poszlaki? — spytał.

— Wszystko zależy od rewolweru doktora Watsona — odpowiedział mój przyjaciel. — Proszę, oto jest. Czy może mi pan znaleźć dziesięć jardów sznurka?

W wiejskim sklepiku kupiliśmy kłębek mocnego szpagatu.

— To chyba wszystko, czego nam potrzeba — rzekł Holmes. — A teraz wyruszmy na ostatni, mam nadzieję, etap naszej wędrówki.

W zachodzącym słońcu faliste wrzosowiska Hampshire tworzyły wspaniałą jesienną panoramę.

Sierżant włókł się przy nas, rzucając krytyczne i nieufne spojrzenia na mojego przyjaciela, i najwyraźniej utwierdzał się w przekonaniu, że ten chyba dostał pomieszania zmysłów. W miarę jak zbliżaliśmy się do miejsca zbrodni, Holmes, mimo że starał się zachować pozory opanowania, coraz bardziej był zdenerwowany.

— Tak — odpowiedział na moją uwagę — byłeś już parokrotnie świadkiem moich pomyłek. W niektórych wypadkach instynkt mnie nie zawodzi, ale bywa też inaczej. Tam, w celi, w Winchester, gdy wpadłem na ten pomysł, wydawało się to zupełnie oczywiste. Jednak człowiekowi, którego umysł pracuje, przychodzą też inne rozwiązania do głowy, czasami prowadzące na fałszywy trop. A jednak... a jednak... za chwilę się przekonamy!

Po drodze Holmes przywiązał mocno jeden koniec

sznurka do kolby mojego rewolweru. Gdy doszliśmy do mostu, oznaczył bardzo dokładnie, zgodnie ze wskazówkami sierżanta, miejsce, w którym leżały zwłoki. Po czym długo szukał czegoś na wrzosowisku, aż znalazł duży kamień. Przywiązał go do drugiego końca sznurka, przewiesił przez balustradę mostu i opuszczył tuż nad wodę. Następnie stanął w oznaczonym miejscu w pewnej odległości od balustrady, trzymając rewolwer w rękę. Sznurek, na którego jednym końcu przywiązany był kamień, a na drugim rewolwer, naciągnął się mocno.

— Już! — wykrzyknął Holmes.

Podniósł rewolwer do skroni i wypuścił go... Broń, porwana ciężarem kamienia, uderzyła z trzaskiem o balustradę mostu, prześliznęła się ponad nią i zniknęła w wodzie. Nie minęło kilka sekund, a Holmes już klęczał przed kamienną balustradą. Nagle krzyknął triumfalnie.

— Wspaniale udany eksperyment! Patrz, Watsonie, twój rewolwer rozwiązał zagadkę!

I pokazał nam nową szczerbę, ładną podobną do pierwszej, na dolnej krawędzi balustrady.

— Zanocujemy w oberży — mówił, powstając i zwracając się do zdumionego sierżanta. — Pan natomiast postara się o bosak i wydobędzie z wody rewolwer mojego przyjaciela. Mniej więcej w tym samym miejscu wyłowi pan też drugi, sznurek i ciężar, za pomocą których ta mściwa kobieta popełniła samobójstwo w taki sposób, aby upozorować morderstwo i skierować podejrzenie na niewinną dziewczynę. Proszę, by pan powiadomił pana Gibsona, że będę u niego jutro rano i podejmiemy niezwłocznie kroki w celu zwolnienia panny Dunbar z więzienia.

Tego wieczora siedzieliśmy w oberży do późna i paliliśmy fajki, Holmes zaś tłumaczył mi, w jaki sposób odtworzył przebieg wypadków.

— Obawiam się, mój drogi — mówił Holmes — że opi —

sując w swojej kronice historię zabójstwa przy moście w Thor Place, nie przyczynisz mi sławy. Mój mózg pracował dość opieszale, bez wyobraźni. Przyznaję, że oglądając szczerbę na kamiennej balustradzie mostu powinienem był od razu domyślić się prawdy i wstydę się, że nastąpiło to tak późno.

Należy jednak uwzględnić nadzwyczajną pomysłowość tej nieszczęsnej kobiety. Trudno przecież było wykryć, na czym polegał jej skomplikowany plan. Nie sądzę, abyśmy kiedykolwiek spotkali się z podobnym zjawiskiem: czego może dokonać niepochamowana miłość. Pani Gibson nienawidziła swej rywalki bez względu na to, czy zdrady dokonano w sensie fizycznym, czy tylko duchowym. Uważała, że tej niewinnej dziewczynie zawdzięcza krzywdzące traktowanie i brutalne słowa, którymi Gibson usiłował ją poskromić. Początkowo miała zamiar popełnić samobójstwo. Następnie jednak wpadła na pomysł odebrania sobie życia w taki sposób, aby zgotować swej ofierze los gorszy od nagłej śmierci.

Przebieg wypadków wskazuje wyraźnie na niepospolitą przebiegłość pani Gibson. Bardzo sprytnie wyłudziła list, stwarzający pozory, że to panna Dunbar zwabiła ją na miejsce schadzki.

Zależało jej do tego stopnia na tym, aby policja znalazła tę kartkę, że trzymała ją w ręku do ostatniej chwili. Już to samo powinno było wzbudzić moje podejrzenia.

Następnie wzięła jeden z pary rewolwerów męża — sam się przekonałeś, że miał w domu cały arsenał — i przeznaczyła go na własny użytek. Drugi rewolwer z tej pary ukryła rano tragicznego dnia w szafie panny Dunbar, po uprzednim wystrzeleniu z niego jednego naboju, co mogła z łatwością uczynić w lesie, nie zwracając niczyjej uwagi. Przedtem obmyśliła sobie wyjątkowo pomysłowy sposób rozstania się z bronią przy

moście. Po nadejściu panny Dunbar wypowiedziała wszystko, co leżało jej na sercu, dała swobodny upust całej swej nienawiści, a gdy tamta, uciekając, znalazła się w dostatecznej odległości, strzeliła sobie w skroń. Każde ogniwo tej smutnej sprawy jest teraz złączone w jeden konsekwentny łańcuch wypadków.

Gazety zaczną się zapewne dopytywać, dlaczego policja nie rozpoczęła śledztwa od przeszukania dna stawu, ale łatwo jest być mądrym po szkodzie; a zresztą znalezienie broni w dużym i gęsto zarosłym szuwarami stawie, gdy się nie ma jasnej koncepcji, czego i gdzie należy szukać, nie byłoby łatwym zadaniem.

Tak więc, mój drogi, oddaliśmy niemałą przysługę wartościowej kobiecie i niezwykle przedsiębiorczemu mężczyźnie. Jeśli w przyszłości połączą swe siły, co nie jest wykluczone, świat finansów przekona się, że król złota nauczył się czegoś.

Przełożył Jan Meysztowicz